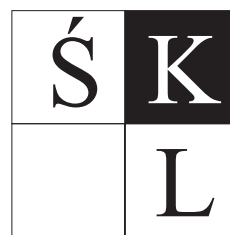


ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI



KIELCE 2013 NR 1-2 (39-40)

ISSN 1429-849-X

NAGRODZONY PRZEZ MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA ŚWIĘTOKRZYSKIEGO



Elżbieta Wodała: *Maestro* – florotypia



Elżbieta Wodała wrocławianka, bankowicz, uczestniczka plenerów literacko-plastycznych w Kazimierzu Dolnym (2012, 2013). Od 2004 r. tworzy „liściaki”, tj. kompozycje wyklejane z zasuszonych części roślin. Inspiracją do ich powstania jest zawsze forma użytego materiału: kształt, faktura, kolor. Liście i płatki kwiatów będące w zasuszonej postaci efektywnym materiałem plastycznym, dają bogate wrażenia estetyczne, stanowiąc intensywne pobudzenie wyobraźni.

Oryginały liściaków autorka przetwarza na artystyczną grafikę cyfrową, określaną mianem florotypii.

Swoje prace zaprezentowała dotychczas na 33. wystawach indywidualnych i dwóch zbiorowych, głównie we Wrocławiu – m.in. na Uniwersytecie Przyrodniczym. Część prac można znaleźć w internecie. Jej kompozycje stały się inspiracją do powstania kilkunastu wierszy wrocławskich poetek.

W 2008 r. Elżbieta Wodała została laureatką konkursu czasopisma „Świat Kobiety”, opisującego pasje kobiet. W 2010 r. jej prace zajęły I miejsce w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Aneks Twórczości Artystycznej” w Namysłowie w kategorii rękodziela artystycznego. W 2011 r. zilustrowała tomik poezji haiku Aleksandry Zamorskiej pt. *Pięć pór roku*, a w 2013 tomik poezji Teresy Nietykszy pt. *Sto dwadzieścia sześć haiku*.

Od autorki:

Przy tworzeniu moich prac staram się osiągnąć zarówno zamierzony wyraz plastyczny, o którym decyduje wybór i odpowiednie połączenie pobudzających wyobraźnię, intrygujących roślin, jak też przekazać pozytywne nastroje, emocje i uczucia.

ŚWIĘTOKRZYSKI KWARTALNIK LITERACKI

ISSN 1429-849-X

KIELCE 2013 NR 1-2 (39-40)



Wydawca: Związek Literatów Polskich – Oddział w Kielcach

Adres redakcji: 25-009 Kielce, ul. Zamkowa 5

**Numer przygotowany dzięki finansowej pomocy
Samorządu Województwa Świętokrzyskiego
przy współdziałaniu Oficyny Wydawniczej „STON 2”
oraz Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Witolda Gombrowicza w Kielcach**

Redaguje Zarząd Kieleckiego Oddziału ZLP

STANISŁAW NYCZAJ – prezes, redaktor naczelny

BOGUSŁAW PASTERNAK – członek Zarządu, KAZIMIERA SZCZYKUTOWICZ – skarbnik,

ANDRZEJ PISKULAK – sekretarz, WŁADYSŁAWA SZPROCH – wiceprezes

oraz KRYSZYNA CEL, JAN LECHICKI

Korekta: IRENA NYCZAJ

Opracowanie komputerowe: PAWEŁ NYCZAJ

Redakcja dziękuje autorom za nieodpłatne przekazanie utworów i artykułów do publikacji.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych; zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów,
a także zamieszczania fragmentów dłuższych utworów.

OD REDAKCJI

S. Nyczaj: Świętokrzyska Wiosna Literacka 2013. Weekendy literacko-artystyczne w gminach Zagnańsk i Sitkówka-Nowiny 5

WSPOMNIENIA

I. Kaczmarczyk: I Posiady Literackie „U Szymborskiej” 8
 Wiersze: J. Lechicki...10, E. Musiał...10-11, A. Patey-Grabowska.. 11
 R. Orlewski: Poeta znad Łuciąży (o J.W. Miszteli) 12
 Wspomnienia o B. Piaście
 E. Jach 14
 S. Nyczaj..... 15
 W. Szproch 18
 M. Włodno 20
 Wspomnienia o R. Mierniku
 S. Nyczaj..... 21
 B. Pasternak 22
 W. Szproch 23

WYDARZENIA

P. Chmielewski: Teatr w czasach Big Brothera 24
 Sz. Wroński: Głośne czytanie dramatów..... 28
 S. Żak: Sonet i obraz 29
 W. Szproch: Spichlerz Regionalny E. Jach 31

TWÓRCZOŚĆ

Z. Antolski: Kobieta z pejcem (opow.) 33
 E. Biela: Jak Koziołek Matołek chciał zmienić nazwisko (opow.) 36
 R. Bielenda: Wiersze 46
 A. Błachucka: Ostatni chłop (fragm. powieści) 47
 J.A. Borzęcki: Mniszka (fragm. powieści) 52
 K. Cel: Wiersze 55
 A. Dębowski: Wiersze 57
 A. Gnarowski: Wiersze 58
 J. Jaśkowiak: Kosmogonia miłości (fragm. poematu) 60
 St. Jurkowski: Wiersze 62
 H. Kawiorski: Sesja (fragm. powieści) 64
 Wł. Klaczyński: Oficyna. Komedia nieoptymistyczna..... 67
 B. Kocela: Wiersze 75
 K. Konecka: Sonety..... 76
 J. Lechicki: Fraszki i aforyzmy. Pieskie myśli. Epitafia..... 77
 M. Maciejczyk: Wiersz 80
 J.Wł. Misztela: Wiersze 81
 H. Morawski: Wiersze. Moja matka wojenna (opow.) 82
 E. Musiał: Fragmenty poematów i wiersze 86
 J. Natanson: Wiersze 88
 A. Nawrocki: Wiersze 89
 S. Nyczaj: Wiersze i limeryki 90
 B. Pasternak: Wiersze 91
 I.J. Paździerz: Ktoś tu jest (fragm. powieści) 92
 A. Piskulak: Baszta (fragm. powieści) 95
 U. Przyboś: Wiersze 99
 W.M. Rak: Fraszki 100
 P. „DarkAraghel” Rejda: Pasja (fragm. powieści) 101
 I. Stopierzyńska: Wiersze 103
 E. Strzałkowska, M. Strzałkowski: Nasze literackie ścieżki sichowskie 104
 K. Szczykutowicz: Wiersze i fragm. poematu 105

W. Szproch: Wiersze 107
 Z. Walas: Wiersze 109
 M. Wawrzkiwicz: Wiersz w j. polskim i rosyjskim 109
 E.M. Wojtasik: Sok z pomarańczy (opow.) 111
 B. Wrońska: Wiersze 112
 Sz. Wroński: Wiersze 113

ESEJE – SZKICE – RECENZJE

J.Z. Brudnicki o książce I. Stopierzyńskiej *Pod lukami gotyckiej alei* 114
 K. Cel o książkach
 R. Kozieja *Modlitwa, zachwyt, pokora* 115
 K. Ryka *Oswojone miejsca* 116
 A. Gnarowskiego *Ty...* 117
 H. Kawiorskiego *Obwodnica* 118
 A. Ginter *Może potem pokochasz...* 119
 A. Gnarowski o książce St. Jurkowskiego *Studnie Andersena* 121
 St. Jurkowski o książkach
 A. Tchórzewskiego *Chroniąc oczy przed korozją* 124
 K. Koneckiej *Szklana kula* 126
 R. Nowakowski: Jak tłumaczyć (esej) 128
 W. Nowik-Pala o książce W. Szproch *Po tej stronie błękitu* 131
 S. Nyczaj o książkach
 A. Dębowskiego *Do wszystkich niedostępnych brzegów* 133
 M.A. Łypa *Dalekie światła Radomska* 134
 A. Patey-Grabowska: Warto przeczytać (o nowych książkach) 136
 I. Paździerz o książce E.M. Wojtasik *Miłość i kulinarne delikje* 139
 J. Termer: O Piotrze Kuncewiczu słów kilka (esej) 140
 Sz. Wroński: Nowe szaty ubizmu (esej) 144
 T. Zubiński: Andrzej Kuśniewicz – Europejczyk cokolwiek zwarzony (szkic) 147

NOTY

S. Nyczaj: Nasz udział w londyńskiej „Sztuce do kwadratu”, Środach Literackich w warszawskim Domu Literatury oraz XII i XIII Światowych Dniach Poezji 153



Kolaż Ireny Nyczaj

Stanisław Nyczaj

Świętokrzyska Wiosna Literacka '2013

Weekendy literacko-artystyczne w gminach Zagnańsk i Sitkówka-Nowiny

Podczas tegorocznej Świętokrzyskiej Wiosny Literackiej postanowiliśmy szerzej, niż udawało się to dotychczas, zainteresować naszą twórczością podkieleckie gminy. Wystąpiliśmy z propozycją weekendów literacko-artystycznych, mających w programie:

- w piątek przed południem spotkania pisarzy z młodzieżą we wszystkich gminnych szkołach nt. związków współczesnej twórczości – także własnej, każdego z nich – z literackimi tradycjami regionu dla poszerzenia obowiązującego kanonu lekturowego i wzbogacenia wiadomości z zakresu „Ścieżki regionalnej”;

- w piątek około południa dla szerokiej publiczności imprezę rozstrzygnięcia, ogłoszonego wcześniej, młodzieżowego konkursu literacko dziennikarskiego na wiersze, opowiadania, satyrę, krótkie reportaże, wywiady, felietony – z wręczeniem nagród i wyróżnień przeze mnie jako przewodniczącego jury, wójta gminy, prezentacją nagrodzonych utworów, popisami miejscowych muzyków i wokalistów;

- w piątkowe godziny wieczorne – nie tylko z udziałem regionalistów – literacką biesiadę gawęd, anegdot, legend, wspomnień, toastów z muzyką, śpiewem, degustacją miejscowych przysmaków kulinarnych (fajda dla żołądka i ducha!);

- w sobotę do południa spotkanie dla szerokiej publiczności pn. „Z fraszką świętokrzyską i pieśnią operetkową przez stulecia” z udziałem naszych i miejscowych satyryków oraz śpiewaka Opery Narodowej, barytona Andrzeja Zagdańskiego z Warszawy (pochodzącego ze Skarżyska-Kamiennej) i lokalnych zespołów pieśni i tańca;

- w sobotę około południa giełdę książki literackiej z autografami, obejmującą tomy poezji, prozy, satyry, bajki dla dzieci, fantasy dla młodzieży i dorosłych, sprzedawane po przystępnych, negocjowanych cenach.

Oficyna Wydawnicza „STON 2” i ZLP z zasobów biblioteczki Kieleckiego Oddziału zapro-

ponowały książki na nagrody i wyróżnienia dla laureatów młodzieżowego konkursu literacko dziennikarskiego, muzyków, wokalistów, a także regionalistów.

Tę inicjatywę, łączącą pisarzy ze społecznością całej gminy, przyjęli i wspólnie z nami organizacyjnie spełnili ze wspianymi rezultatami wójtowie: Zagnańska – Szczepan Skorupski w dn. 19-20 kwietnia oraz Sitkówki-Nowiny – Stanisław Barycki w dn. 17-18 maja. Gorąco im osobiście i w imieniu Zarządu Oddziału ZLP dziękuję z nadzieją na kontynuację współpracy w latach następnych.

W szkołach gminy Zagnańsk lekcje literackie przeprowadzili, prócz piszącego te słowa: zaproszony spoza regionu Andrzej Dębowski (red. „Gazety Kulturalnej”), Romuald Bielenda, Bohdan Gumowski, Jan Lechicki, Elżbieta Musiał, Bogusław Pasternak, Andrzej Piskulak, Kazimiera Szczykutowicz, Władysława Szproch, Ewa Maria Wojtasik, a w szkołach gminy Sitkówka-Nowiny także Włodzimierz Kłaczyński, Irena Paździerz, Wawrzyniec Marek Rak, Zofia Walas. Porywająco arie operetkowe i operowe śpiewał wspomniany Andrzej Zagdański. W ocenie prac konkursowych wspomagali mnie: Krystyna Cel, Andrzej Piskulak, dyr. Gminnej Biblioteki Publicznej Beata Januchta, z którą od lat owocnie współpracujemy.

Niezapomniany klimat miało tłumne spotkanie regionalistyczne w Samsonowie, przygotowane przez Lidię Putowską (prezes Towarzystwa Ziemi Samsonowskiej). Znakomicie wypadł, pełen muzyki, wspomnieniowy wieczór w zgorzkim „Retro”. Oklaskiwano w obydwu gminach laureatów konkursów literacko-dziennikarskich – prezentowanych potem w „Gazecie Zagnańskiej” i „Głosie Nowin” – jak również popisy młodych artystów. Na spotkaniu w auli Zespołu Szkół Ponadpodstawowych w Nowinach, prócz literatów, wystąpili z własnymi utworami twórcy miejscowi: Danuta Kilakiewicz (przed rokiem wspomagałem ją w przygotowaniu wyboru wierszy wraz ze Zdzisławem Antolskim) i Henryk Skowerski.

Obydwa weekendom literacko-artystycznym patronowały kieleckie i gminne media: nasz „Kwartalnik”, Radio Kielce (audycjami pod red. Ryszarda Kozieja), „Echo Dnia” (omówieniami bogato zilustrowanymi zdjęciami), „Gazeta Zagnańska” (redagowana przez Andrzeja Piskulaka), „Głos Nowin” (redagowany przez Piotra Piestrzyńskiego).

Cieszę się, że dobrą passę mają w Świętokrzyskiem oceniane pod moim kierunkiem literackie konkursy młodzieżowe, mające już 5-letnie tradycje: ogólnopolski im. Feliksa Raka w Krasocinie (zainicjowany przez wybitnego regionalistę

Tadeusza Stolarskiego, autora cenionych kompendiów: *Znani i nieznani ziemi włoszczowskiej* i *Znani i nieznani ziemi jędrzejowskiej*) i gminny „O Złote Pióro” w Łopusznie (co roku starannie przygotowywany przez dyr. Gminnej Biblioteki Publicznej Zuzannę Woś – w bieżącym miał okazały finał 17 czerwca, kończący Świętokrzyską Wiosną Literacką). Obydwa podsumowały swoje pokłosia almanachami, będącymi przeglądem najwartościowszych konkursowych objawień – talentów wartych uwagi Czytelników i naszej troski o młodych adeptów pióra.

Stanisław Nyczaj



Laureatom młodzieżowego konkursu literacko-dziennikarskiego z gminy Zagnańsk nagrody wręczali: wójt Szczepan Skorupski i Stanisław Nyczaj – przew. jury
Fot. W. Szproch



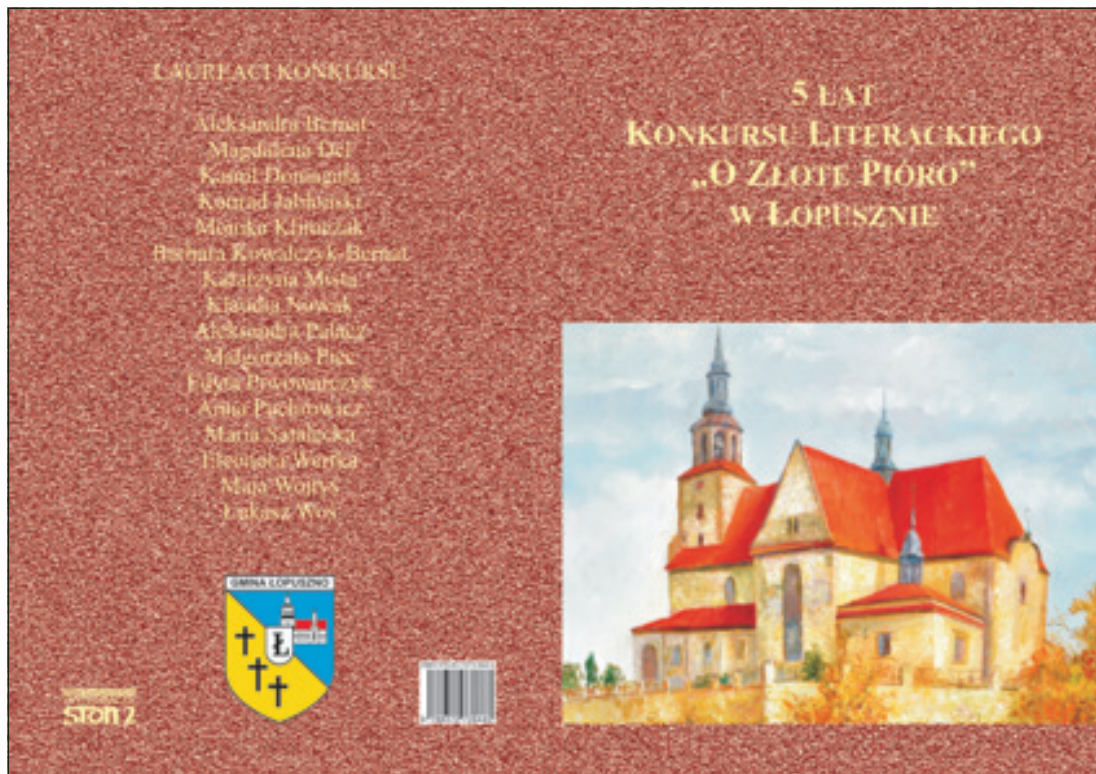
Władysława Szproch i Romuald Bielenda przed dębem Bartkiem
Fot. z arch. W. Szproch



Grupa literatów zwiedzała ruiny pieców hutniczych w Samsonowie
Fot. z arch. W. Szproch



Lidia Putowska (z prawej) oprowadza pisarzy po Muzeum Regionalnym w Samsonowie



Almanach pokonkursowy



Finał V edycji konkursu „O Złote Pióro” w Łopusznie (18 czerwca 2013) Fot. z arch. Gminnej Biblioteki Publicznej w Łopusznie



Na spotkaniu z regionalistami w Samsonowie



Wieczór literacki w restauracji „Retro” Fot. W. Szproch

Irena Kaczmarczyk

I Posiady Literackie „U Szyborskiej”

„Astoria” w Zakopanem. Położony w urokliwej okolicy, przy cichej uliczce prowadzącej do Doliny Białego, Dom Pracy Twórczej Literatów. Znają go doskonale ludzie kultury i sztuki. Szczególnie zaś – literaci. Tutaj Wisława Szymborska w 1996 roku dowiedziała się o przyznaniu jej Nagrody Nobla. Nic więc dziwnego, że prezes Kieleckiego Oddziału ZLP Stanisław Nyczaj właśnie w tym miejscu, w imieniu Prezydium Zarządu Głównego ZLP, zorganizował I Posiady Literackie „U Szyborskiej” (inne niż odbywane w Zakopanem od wielu lat posiady góralskie przy ul. Kościuszki). Zapowiadał je już podczas gościnnego pobytu 20 lutego 2013 roku w krakowskiej siedzibie ZLP przy ul. Szerokiej 12. Zaprosił wówczas naszych członków do uczestnictwa w zakopiańskiej biesiadzie poetyckiej. Z zaproszenia mogli skorzystać również literaci innych oddziałów, wszak anons o majowej imprezie w stolicy Tatr ukazał się na warszawskiej stronie ZLP.

I Posiady Literackie „U Szyborskiej” odbyły się 2 maja 2013 r. o godzinie 16. w przytulnym saloniku usytuowanym na półpiętrze willi (osobiście obdarzyłabym ów salonik epitetem „cytrynowy”, bo żółty kolor ścian, biel sufitu i „świerkowe franki” za szybami kilku okien tworzą tu słoneczny i wspinały klimat wnętrza).

Już od wejścia uwagę przykuwała znana fotografia Wisławy Szymborskiej, przedstawiająca poetkę w chwili otrzymania wiadomości o przyznaniu jej Nagrody Nobla. To wtedy ponoć powiedziała: „O Boże, dlaczego właśnie ja...”. Nie była to jedyna podobizna Noblistki, bo pani Irena Nyczaj również stworzyła znakomity rysunkowy portret Szymborskiej, który wraz z *Tryptykiem limerycznym dla autorki „Radości pisania”* autorstwa Stanisława Nyczaja można było podziwiać podczas trwania poetyckiej biesiady. Oczywiście nie zdominowały wnętrza owe wizerunki Pierwszej Damy Poezji Polskiej, bo jak czytamy w jednym z wywiadów przeprowadzonych z obecną na posiadach kierowniczką „Astorii” Urszulą Malinowską-Stopką, krakowska Noblistka nigdy nie lubiła wokół siebie wrzawy. „Była bardzo

skromną osobą, tak ją zapamiętaliśmy. [...] Parę lat temu robiliśmy galerię znanych osób, których u siebie gościliśmy. Miałam dwa portrety pani Wisławy i bardzo zależało mi na tym, żeby któryś pokazać. Zgodziła się ostatecznie, ale bardzo prosiła, żeby ten portret nie był większy niż inne, żeby był w ogóle możliwie jak najmniejszy. Nie chciała w żaden sposób być wyróżniona” – opowiadała szefowa Domu Pracy Twórczej.

Prowadzący spotkanie Stanisław Nyczaj już na wstępie zaznaczył, iż Posiady Literackie „U Szyborskiej” nie będą zawęzać się li tylko do odniesień związanych ze zmarłą w ubiegłym roku poetką. Zatem wyłącznie w pierwszej części wieczoru odbyła się prezentacja utworów poświęconych Noblistce. Członkowie Kieleckiego Oddziału czytali głównie wiersze ze „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego”, wydanego w jubileusz 15-lecia czasopisma. Kwartalnik, jak i inne książki poetyckie, można było nabyć wraz z dedykacją na kiermaszu towarzyszącym zakopiańskiemu spotkaniu.

Wiersze z kwartalnika zaprezentowały m.in. poetki: Kazimiera Szczykutowicz, wiersz Ireny Stopierzyńskiej-Siek odczytała Elżbieta Kotlarska, dwa nowo powstałe Jana Lechickiego – pomysłodawcy stworzenia lobby dla „Astorii” wizualnym upamiętnieniem pobytu Noblistki opromienionego wieścią o najbardziej prestiżowej Nagrodzie – usłyszeliśmy w interpretacji Włodzimierza Kłaczyńskiego, a poetycką refleksję Alicji Patey-Grabowskiej z portalu warszawskiego metra w recytacji Stanisława Nyczaja obok wspomnianego *Tryptyku limerycznego* jego autorstwa. Gina Jusiega przypomniała kończące jej tomik strofy *Dla Wisławy Szymborskiej*, a Elżbieta Musiał przeczytała ten fragment swojego poematu *Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych*, który poświęciła Poetce.

W drugiej części wystąpiła Iwona Zielińska-Zamora, uczestniczka wszystkich sześciu dorocznych kwietniowo-majowych plenerów literackich prowadzonych przez S. Nyczaja, po czym zapanowały akcenty liryczne zdecydowa-

nie krakowskie: prezes Oddziału ZLP Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, z tomu zmarłego w zeszłym roku Jerzego Tawłowicza (we wzruszającym przekazie aktorskim Grażyny Syrzystie i Krzysztofa Michno ze Sceny 42 Towarzystwa Miłośników Teatru im. Heleny Modrzejewskiej), impresje liryczne Ireny Kaczmarczyk z najnowszego albumu poetycko-malarskiego *Śpiew ziemi* oraz tomu *Lubię z tobą zapalać latarnie*.

Nie bez powodu chyba ujawniły się krakowskie klimaty w zakopiańskim saloniku. Z wypowiedzi obydwójga prezesów można było wnioskować, iż zarysowuje się projekt kolejnych wspólnych przedsięwzięć literackich.

Posiady zakończyła prezentacja wiersza *tarantella*, autorstwa zdobywczyni nagrody Zło-



Od lewej: Irena Kaczmarczyk, Stanisław Nyczaj, Magdalena Węgrzynowicz-Plichta



Występuje Elżbieta Kotlarska

tego Pióra podczas XIII Światowych Dni Poezji UNESCO, Marleny Zynger.

W zakopiańskiej imprezie, oprócz poetów, uczestniczył znany, emerytowany dyrektor zakopiańskiej Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Stefana Żeromskiego Mieczysław Mantyka, który podczas swej 40-letniej pracy zawodowej organizował słynne Czwartki Literackie, poznając w ten sposób ok. 200 wybitnych literatów. „Dzięki temu – powiedział – biblioteka ma niezwykle ciekawy zbiór dedykacji książkowych wielu znanych powojennych twórców”.

I jak to zwykle przy posiadach bywa, literaci posiłkowali się nie tylko słowem i gitarowymi interludiami w wykonaniu młodego zakopiańczyka, ucznia krakowskiego liceum muzycznego Kuby Bachledy. Delektowali się smacznymi, domowymi ciasteczkami i winem. Nie spieszyło się do wyjścia poetom, którzy tego wieczora nie zdecydowali się pójść na jazzowy koncert do pobliskiego „Belwedere”. Bo nikt chyba nie zaprzeczy, że w górach, zwłaszcza w maju, wszystko smakuje inaczej. I słowo, i muzyka, i wino. Niechaj więc żałują ci, którym nie udało się przyjechać do Zakopanego na tę potrójną ucztę. O kolejnych Posiadach Literackich „U Szymborskiej” na pewno powiadomi nas fantastycznie prowadzący spotkanie Stanisław Nyczaj.

Kraków, 10 maja 2013

Irena Kaczmarczyk

Fot. Mieczysław Kaczmarczyk



Od lewej: Kazimiera Szczykutowicz, Urszula Malinowska-Stopka (kier. Domu Pracy Twórczej „Astoria”)

Pan Bóg się pomylił

Pan Bóg chyba się pomylił
albo zabawił się w prima aprilis –
pomyślałem sobie, siedząc w „Astorii”
w pokoju numer jedenaście
pierwszego kwietnia 2013 roku.

Za oknami biało jak w środku zimy.
Giewont schował się ze wstydu
w mleczej mgle.
Sosny znieruchomiały
pod ciężarem śniegu.
Wiosenny śpiew ptaków
zamarzył w zimowym krajobrazie.
A ja – ciągle praktykant poezji –
siedzę uwięziony w jedenastce
i czytam wiersze wybrane
noblistki Wisławy Szymborskiej.
Jestem na stronie sto dwudziestej ósmej.
Wiersz Przylot zaczyna się od słów:
„Tej wiosny ptaki wróciły za wcześnie...”.

Pani Wisławo, jeszcze nie wróciły.
W Zakopanem zima trzyma na dobre
Niech Pani poprosi Najwyższego,
aby wiosna zawitała w góry.
Podejrzewam jednak, że Pani
zorganizowała dla niebiańskich vip-ów
spotkanie autorskie;
bo wierzę że Stwórca
mianował Panią
nadworną poetką
i teraz zabawia Pani
niebiańską świtę
swoimi wierszami i limerykami.

PS:

W „Astorii” wszystko po staremu, tylko kwia-
ty, które trzymała Pani z okazji przyznania
Nagrody Nobla, uschły z tęsknoty za Panią
i, niestety, zostały wyrzucone na śmietnik hi-
storii. Pani jednak ciągle jest obecna w Domu
Pracy Twórczej przy Drodze do Białego 12.

W zakopiańskiej „Astorii”
szukałem bezskutecznie
Pani Wisławy.
Wierzyłem, że Ona tu jest,
tylko schowała się
za dymek z papierosa
lub wyszła na spacer
w Dolinę Białego,
a może na Krupówki.
Niewykluczone, że schowała
głowę pod koc
i „obmyśla świat”
po krakowsku i poznańsku.
Możliwe jest i to,
że śmieje się sama do siebie,
bo wymyśliła limeryk
o poecie, który handluje
wierszami na krakowskim Kleparzu.

Nie, nie ma już w „Astorii”
Pani Wisławy.
Tu błąkają się i błąkać się będą
jeszcze długo
zagubione przez Panią Wisławę
wiersze i metafory,
jakie odkrywać będą poeci,
których portrety
nie wiszą jeszcze w „Astorii”.

Zakopane, 30 marca 2013

Elżbieta Musiał

Ars moriendi, czyli poradnik czynności nieużytecznych (Fragmenty poematu)

2.

Jedyna i raz przychodzi. I bez prób udaje się wszystkim.
Ją trzeba w sobie przygotować.
Tak, śmierć potrzebuje celebracji.
Ubiera się długo.
Podejmij dla niej jeszcze jedną czynność
przyziemną. Jest ona potrzebna również tym,
których opuścisz. Przecież nie wypada wysłać człowieka
nieobutego przed oblicze Boga.

Więc wyczyść buty,

które ci potem założą w ostatnią drogę. I pamiętaj,
by były wygodne, by stóp nie ranily.
Nie zostawiaj ich z tym problemem. Gdy wezmą czyścik
do polerowania, będą musieli się pochylić. Jeszcze raz
nad tobą, jeszcze raz nad śmiercią.

3.

Ubiera się długo. Musi zestroić w jeden świat
obie strony życia. Wtedy trochę mami, trochę
obiecuje, na przykład widok z lotu ptaka
z domieszką kwiatu konopi i kleksem
błękitu nad stopą. Co, obrazek przewrotnie
chagallowski? Więc dodam jeszcze:
i będziemy jak rekruci rysujący butami
glazur nieba.

4.

Wschodzą w niebo, wreszcie znośni dla siebie.
Wznoszą serca z litu najlżejszego. Chagallowscy
rekruci. A tam na ziemi położą im głowy ciężkie
na krochmalne poduszki. Mój Boże, czy Ty słyszysz
jak to brzmi? Poduszka do snu ostatniego?

A oni muszą się wyzwolić

z przyciągania ziemskiego, by zakończyć
co nieodwracalne i wypełnić co nieuniknione.
Pojedynczo. Nie inaczej. Chagallowscy rekruci.
Ale gdy raz zakołują nad głowami, gdy porwie ich
trawa wonna, już sami nie są. Bez skrzydeł a lecą.
Klucze, całe klucze niby żurawi.

30.

Ale ty* powiedz, jak radzisz sobie teraz z kotem
na obrażonych nogach?
Wciąż dąsa się ale... już przy tobie?
Czy zrozumiał, że można przejść na drugą stronę
jak gdyby nigdy nic? Ot, zamienić życie w jego negatyw
ukryty przed okiem.
I mruczenie z czarnego obrócić w białe.
Mów choćby wierszem,
co u ciebie słyhać? Jak teraz wygląda twoje
życie duchowe?

Odwołanie się do wiersza Wisławy Szymborskiej *Kot w pustym
mieszkanu*.

I już Jej nie ma

Pamięci Wisławy Szymborskiej

I już Jej nie ma
i nic nie napisze
Prawda

Nieprawda
Pozostały wiersze

Kruchość ulotna
jak skrzydło Pegaza
I odfrunęła
Lutnia pozostała

Więc jest i będzie
Kto powiedział
nie ma?



Andrzej Skupień – wicestarosta powiatu tatrzańskiego
przy plakacie upamiętniającym Noblistkę
Fot. Magdalena Węgrzynowicz-Plichta

Poeta znad Luciąży

Jerzy Włodzimierz Misztela (1946–2013)

W minionym roku, kiedy był już ciężko chory, ale czasem do mnie zaglądał, po raz kolejny podjął się wyświadczyć mi przyjacielską przysługę. Otóż jeszcze latem napisałem cykl wierszy pt. *Legion serdeczny*, poświęcony imiennie ok. stu ludziom dobrym, życzliwym, jakich miałem szczęście w życiu spotkać. Lecz w mojej sytuacji zdrowotnej myśl o edycji książki to niemal utopia. A Jurek – co zdążył niejedną raz udowodnić – sprawnie i dokładnie potrafił robić skład komputerowy, po czym „przerzucił” zapis z komputera na płytę, którą składało się do drukarni. I tak, dość szybko, ukazał się wspomniany tomik.

Dopóki mógł, zjawiał się w ciągu paru ostatnich lat wielokrotnie, prezentując mi kolejne fragmenty swej powieści, Mówił przy tym, jakby nieco zażenowany, że właśnie ma okazijną godzinkę, bo potem jedzie odebrać małą wnuczkę ze szkoły. Czytałem te fragmenty i po kilku powiedziałem: – Jurek, to trzeba koniecznie wydać, najlepiej w jakimś solidnym wydawnictwie. Walcząc z „tulipanem” (rakiem) pisał dalej, zdołał też nawiązać kontakt – i to z sukcesem! – ze znanym wydawnictwem, Ludową Spółdzielnią Wydawniczą w Warszawie, które Jego barwną i soczystą powieść *Księżyc nad Luciążą* oddało do rąk czytelników w 2012 r.

Rozradowany, choć przecie nie był to debiut, bo był już autorem kilku książek głównie poetyckich – przywiózł mi egzemplarz tej powieści z wpisaną odręcznie dedykacją: „Przyjacielowi po piórze Rafałowi Orlewskiemu na pamiątkę wspólnych wędrówek po stromych ścieżkach literackich... maj 2012”. Strome miał ścieżki nie tylko literackie. W *Legionie*, wierszu poświęconym Jurkowi, starałem się ująć to syntetycznie: „Z nadluciążańskiej zszedł doliny/ sztygar, prozaik i poeta/ – różne go wiodły koleiny...”.

Urodził się 22 sierpnia w Starej Wsi nad Luciążą – rzeką, o której potem tak urzekająco pisał. Po edycji ww. powieści zaczął pisać następną, z akcją także umieszczoną w swej małej ojczyźnie i okolicach. Miał tę rzecz sporo już zaawansowaną, ok. 150 stron. Nie zdołał jej dokończyć – choroba wściekle finiszowała...

Z wykształcenia był budowlańcem. Przed laty podjął pracę w bełchatowskiej kopalni węgla brunatnego, na stresującym i odpowiedzialnym stanowisku sztygara zmianowego. Wcześniej poślubił Krystynę, z którą wychował dwoje dziś już dorosłych dzieci. Mieszkał



z rodziną w Piotrkowie, potem blisko tego miasta – w Woli Bykowskiej. W pracy zawodowej, jak i w twórczości był solidny i precyzyjny. Z Jego fachowym zdaniem liczyli się zarówno podlegli Mu górnicy, jak i zwierzchnicy kopalni, a nawet (jak to się zdarzyło) nie dał się wyprowadzić w pole urzędnikom ministerstwa, gdzie załatwiał sprawy swego zakładu pracy.

Lecz Jego męska, zdecydowana i niekiedy bezpardonowa postawa, także we wzburzonym czasie na początku lat osiemdziesiątych – kontrastowała z wrażliwością, wielkim sercem, uczciwością i szlachetnym poczuciem sprawiedliwości. „W myśli czy w dłoni ceni detal”: nie tylko szczegół, ale zwłaszcza jego jakość. We wszystkim, co robił, obca Mu była jakakolwiek fuszerka. Przy tym był zawsze gotowy, gdy trzeba było komuś pomóc. Wiele osób mogłoby dać tego przykłady, sam wyliczyłbym ich niemało, choć zapewne najwięcej miałyby tu do powiedzenia Jego rodzina: był dla niej ostoją – znakomitym mężem, ojcem i dziadkiem, ukochanym autorytetem.

Nie mówił, kiedy zaczął pisać. Pierwsze laury literackie zdobył w organizowanym przez Piotrków od 1965 r. konkursie ogólnopolskim „O Rubinową Hortensję” (1985). Wtedy też debiutował drukiem nagrodzonych utworów w pokłosiu tej edycji konkursu. Potem był laureatem wielu krajowych konkursów literackich na wiersze i opowiadania. Pierwszy własny zbiorek wierszy

Krawędź wydał w redagowanej przeze mnie serii „Piotrkowskie Zeszyty Poetyckie” (1987). Następne tomiki poetyckie, np. *Garbate poranki* (1998), *Klejnot z sitowia* (2001) otworzyły Mu drogę do Związku Literatów Polskich, Oddziału w Kielcach. Napisał też piękny poemat o swym przodku, bohaterze wojny secesyjnej w Ameryce (ten zbiorek obiecano Mu wydać w LSW), oraz obrazowo ukazaną opowieść prozą pt. *Strajk zegarmistrzów* o gorącym czasie strajków i polityczno-społecznego zamętu w kraju przed stanem wojennym. Oczywiście akcję tej prozy umieścił w bełchatowskim kombinacie.

Nigdy nie należał do żadnej partii, ale nie unikał społecznego uczestnictwa w zbiorowiskach twórczych. Najpierw związał się z piotrkowskim RSTK, z sekcją literacką „Pomona”. Zmiany ustrojowe po 1989 roku zmiotły niejedną taką inicjatywę. Świetnie tu działające RSTK po latach istnienia uległo rozwiązaniu. Zanim jednak to się stało, Jerzy W. Misztela został wybrany do Rady Krajowej RSTK. Działał tam, poznawał ludzi pióra o proveniencji robotniczej i ich książki, publikował swe utwory w RSTK-kowskich periodykach. Potem przez szereg lat był aktywnym członkiem klubu literackiego „Zakole”, który zrzeszał głównie adeptów pióra, toteż praca klubu miała charakter warsztatowy. Po kilku latach klub został rozsadzony od środka przez zawistników; takich nigdy nie brakuje, zwłaszcza tam gdzie coś dobrego się dzieje.

„Zakole” odeszło w przeszłość, lecz „próżnia” trwała niedługo, bo pod tym samym patronatem Miejskiego Ośrodka Kultury w Piotrkowie powstał nowy klub, którego nazwę „Abaton” wymyślił właśnie Jurek. To czas późniejszy. Natomiast w roku 2001 utworzyłem i przez 10 lat prowadziłem w tut. Domu Nauczyciela grupę literacką „Pomosty”. Jurek, nie rezygnując z „Abatonu” zgłosił swój akces także do „Pomostów”. Grupa ta wydawała czasopismo literackie pod tym samym tytułem, gdzie Jurek wielokrotnie zamieszczał swe wiersze i fragmenty powieści.

Komu z nas przez te wszystkie lata przyszłoby na myśl, że ten silny jak tur mężczyzna, rozwijający się twórczo – tak przedwcześnie nas pożegna? O tym zagrożeniu wiedziałem dopiero wtedy, gdy pisałem *Legion* z taką dla Jurka strofą:

Wręcz heroiczny, gdy się zмага
ze słowem (w parze z Watermanem)

i kiedy jako losu tragarz
walczy z zabójczym „tulipanem”.

Dziś czasowniki, użyte tu w czasie teraźniejszym, są już kłująco nieaktualne – przebrały się w czas przeszły... A tak niedawno rozmawialiśmy nie tylko o tym, co pisał. Zwierzaliśmy się wzajem z kłopotów codzienności, snuliśmy wspomnienia. Jurek często i zawsze z estymą wspominał nieżyjącego już ojca. Kiedyś zaskoczył mnie wierszem dedykowanym, wtedy jeszcze żyjącemu, arcybiskupowi Józefowi Życińskiemu. Wydało mi się dziwne, że autor pisze o tym duchownym per ty, jako o swoim koledze. I Jurek opowiedział mi, jak to w dzieciństwie obaj pasali krowy w dolinie nad Luciążą, a ówczesnego Józka nazywano „Mirkiem”. Lecz ten wiersz to nie tylko retrospekcja z lat chłopięcych. To równocześnie wyraz szacunku i uznania dla znanego z bezkompromisowych wypowiedzi, także przedwcześnie zmarłego hierarchy.

Mijały jesienne tygodnie bez znaku życia od Jurka. Zadzwoił 22 grudnia ub. roku... ze szpitala. Zbolałym głosem, krótko (bo zakazano rozmów z pacjentami) wydusił z siebie kilka zdań. To była nasza ostatnia, może 2-minutowa rozmowa. I dokładnie po 37 dniach (28.01.2013) słyszę w słuchawce głuchy, zrozpaczony głos Krystyny: „Jurek zmarł w szpitalu przy ul. Roosevelta dzisiaj, o piątej po południu. Byłam przy Nim. Umierał spokojnie...”.

Jak trudno w to uwierzyć, Drogi Przyjacielu! Jak przeboleć to, że musimy myśleć nie „jesteś”, lecz „byłeś”? Ale to niezupełnie tak, bo pozostałeś w sercach i pamięci tych, którzy Cię kochali i cenili. Pozostałeś też w swej znakomitej poezji i prozie. Twoje zabite przez straszną chorobę ciało musimy pożegnać, lecz Twoje dzieło jest żywe, piękne i mądre. Przez nie będziesz żył w nas, póki my żyjemy... Bez Ciebie poranki będą jeszcze bardziej garbate, ale Twój z sitowia klejnot talentu przebijie swym blaskiem mrok obezwładniający nasze umysły i serca. Ten blask będzie świecił mocniej niż utrwalony Twym piórem blask księżycy nad Luciążą.

Żegnaj, wspaniały Twórczo i Przyjacielu!

Rafał Orlewski

Wspomnienia o Bożenie Piastce

Bożena Piasta (1943–2013)

Elżbieta Jach

Dwie kolorowe prawdy

Bożena Piasta od urodzenia była związana ze Skarżyskiem-Kamienną. Tu mieszkała, pracowała i tworzyła. Kochała to miasto, czemu dawała wyraz w swoich utworach poetyckich, prozatorskich, kronikarskich i malarskich. Największym sentymentem darzyła Rejów, chyba najładniejszą dzielnicę Skarżyska – miejsce swojego urodzenia. Tam, w domu rodzinnym, czuła się szczęśliwa. Pragnęła go wyremontować, a duży ogród-łaz, choćby trochę „ucywilizować”.

Na Rejowie bardzo lubiła malować. Pracownię malarską urządziła w przeszklonym ganku, gdzie, jak twierdziła, było doskonałe światło. Zwykle rano (a była rannym ptaszkiem) wychodziła na spacer, z którego wracała z naręczem polnych kwiatów, które najchętniej uwieczniała na swych obrazkach, oprócz pejzaży ulubionego rejowskiego zalewu. Wiosną przynosiła zawilce, konwalie, kaczęńce, jaśminowe gałązki. Od przekupek handlujących na ulicy Norwida kupowała kwitnące bagno. Pamiętam, jak czekała, kiedy i czy w tym roku pojawi się kobieta z bagienkiem. Bardzo lubiła malować tę krzewinkę. Namalowała także kilka obrazków z bukietem mydlnicy – przydrożnego zioła, którego ładny, ale lekko duszący zapach długo utrzymywał się w mieszkaniu. Jesienią królowały bukiety jarzębiny, georginii, malwinek, czyli dziko rosnących malw.

Kiedy przeszła na emeryturę, miałam wrażenie, że bardziej pochłonęło ją malarstwo niż pisanie. Zawsze kiedy ją odwiedzałam, na rozdawianych sztalugach był aktualnie malowany obraz (zwykle dużych rozmiarów, małe malowała niezwykle rzadko), a inne rozpoczęte, czekały na swoją kolej, oparte o meble i ściany.

W tamtym okresie (ok. roku 2000), chętnie wyjeżdżała na plenery malarskie (Kazimierz Dolny, Pasierbiec, Wąchock). Dwukrotnie byliśmy na plenerze w Łopusznie, gdzie niejedną wieczór przegadałyśmy do rana i wcale nie plotkowałyśmy...

Bożenka nie do czekała się indywidualnej wystawy malarstwa. Nie było w tym niczyjej winy, po prostu o nią nie zabiegano. Tylko raz przy okazji promocji tomiku *Mikroświaty* (2003) w MCK w Skarżysku-Kamiennej, była mała wystawa złożona z kilku prac.

Natomiast brała udział w wystawach zbiorowych skarżyskiego klubu SKART, którego była członkinią od początku jego istnienia, czyli od 2000 roku, oraz w wystawach poplenerowych w Ostrej Bramie.

W książkach: *Niedopowiedzenia*, *Mikroświaty* i *Liryka-specyfika* znajdują się zdjęcia jej obrazów, które są szczególnym dopełnieniem twórczości poetyckiej i prozatorskiej. Mottem tomiku *Niedopowiedzenia* jest zdanie:

„Prawda jedna jest, a ja w rękę dwie
[trzymam kolorowe”

Bawiła się słowami i kolorami... Gdy zmęczyła się malowaniem – pisała, jak miała dosyć pisanie – malowała. Obie te pasje uzupełniały się wzajemnie.

„kochał to, co malował
Żółte mleczce widział
jako iskrzenie gwiazd...
...muza poezji sama
mówiła przez niego”

Zauważyłam, że w obu pasjach Bożenki, występuje często motyw okna. Okno jest prawie na wszystkich obrazach z kwiatami, *Okno* – to tytuł jednego z opowiadań w tomiku *Niedopowiedzenia*, a w ostatnim tomie *Liryka-specyfika* występuje w wierszach: *Za oknem*, *Poranna radość*, *ja/yo samotności*. Nurtowało ją to, co za oknem, przed oknem i w oknie. Świat zamknięty w czterech ścianach, ale i przestrzeń, i wolność w obu dziedzinach twórczości.



Bardzo wzrusza mnie fragment wiersza pt.
na/strój

„dziś jestem
jak pudło zeschniętych farb
odkręconych i połamanych...”.

Utwór jest bez daty i miejsca powstania,
dlatego nasuwa mi różne myśli...

Znałyśmy się długo, bo 28 lat. Pracowałyśmy
w tej samej Szkole Podstawowej nr 7 i przez te
wszystkie lata nigdy nie pokłóciłyśmy się, nie
gniewałyśmy się, nie sprawiłyśmy sobie żadnej
przykrości, a kiedy na skutek wypadku, jaki mnie
spotkał – odsunęłam się od pisania i uczest-
nictwa w spotkaniach poetyckich, napisała mi
taką dedykację:

„Kochanej Eli zawsze z pamięcią – wróć, moja
Koleżanko i Przyjaciółko, wróć”.

Ja wróciłam, a Ona odeszła...

W Jej mieszkaniu na sztaludze został niedo-
kończony obrazek – bukiet kwiatów...



Mydlnica – olej, 2006

Fot. Maciej Zbroja

Stanisław Nyczaj

W aurze różnobarwnego rozkwitania (Wspomnienie o Bożenie Piaście)

I

4 lutego br. w kieleckim szpitalu zmarła
w wieku 70 lat Bożena Piasta – poetka, proza-
torka, publicystka, malarka, członkini Kielec-
kiego Oddziału ZLP, związana zamieszkaniem
oraz działalnością twórczą i animatorską ze
Skarżyskiem-Kamienną. Była współinicjatorką
ogólnopolskiego, a z czasem też polonijnego
Konkursu Literackiego im. Leopolda Staffa, któ-
rego czternaście dorocznych edycji rozstrzygano
z jej udziałem przemienne w Skarżysku i Stara-
chowicach (ostatnio także z pomocą Ostrowca
Świętokrzyskiego), honorując utwory nagro-
dzone i wyróżnione drukiem w redagowanych
przez nią almanachach. Gromadziła ponadto
materiały do przygotowywanej w Skarżysku izby
pamięci autora *Dziwięciu muz*. Skupiła młodych
miejscowych adeptów pióra w klubie literac-
kim „Wiklina” (po latach wielopokoleniowym),
umożliwiając im debiut w obmyślonej przez sie-
bie gustownej serii miniatur poetycko-plastycz-
nych „Liście”. Była redaktorką naczelną tygodni-
ka „Ostra Brama nad Kamienną”. Opracowała
W cytatach dzieje Skarżyska-Kamiennej, czyli
„literacką pigułkę. W ubiegłym roku obchodziła
25-lecie pracy twórczej, uhonorowana przez
marszałka województwa na wniosek Zarządu
Oddziału ZLP Świętokrzyską Nagrodą Kultury.

II

Współpracowaliśmy całe te 25 lat, a nawet
nieco dłużej, nim nastąpił jej debiut. Przyjeź-
dziła ze Skarżyska na prowadzone przeze mnie
comiesięczne seminaria w Kielecko-Radomskim
Nauczycielskim Klubie Literackim. Przy naszej
Oficynie Wydawniczej „STON 2” utworzyłem
odrębną serię dla nauczycieli-pisarzy z regionu
i innych stron kraju.

Bożena wykorzystwała tę szansę, wydając
w 1995 r. bardzo starannie przygotowany tom
wierszy i opowiadań *Niedopowiedzenia*, który –
puentowałem w notce na okładce – przekonuje,
iż krąg spraw powszednich nie jest tak naskórko-

wy i błądy, jak zwykliśmy sądzić, że gdy uważniej mu się przyjrzeć, kryje w sobie niemało frapujących tajemnic i subtelnych pótcieni, wartych kreacyjnego przybliżenia i czułej zadumy.

W trakcie przygotowań do tego tomu długo wahała się co do jego oprawy plastycznej. Wówczas, zniecierpliwiony, przypomniałem jej, że ma w swym dorobku nastrojowe w klimacie malarstwo. Potem w rozmowie zwierzyła się:

– Przyznaję, że *Niedopowiedzenia* były dla mnie punktem zwrotnym. Wyzwoliły mnie z kompleksu, bo, na przykład, kiedy zaproponowałem mi reprodukcje pejzaży, przeraziłam się. Szukałam wykrętu, że może kto inny lepiej ozdobiłby moje wiersze i opowiadania, a przecież malarstwo pociąga mnie równie silnie, jak poezja czy proza.

Odtąd włączała je chętnie do tomów wierszy, opowiadań i legend. Z jednym tylko wyjątkiem: humoresek prozą. Nie uprawiała malarstwa, grafiki ani rysunku w konwencji groteskowo-żartobliwej, toteż stanowczo opowiedziała się, by zbiorek o takim charakterze zilustrowała kolażami moja żona Irena.

Ukazał się w 1998 pt. *Żartem*. Byłem na jego promocji w Miejskiej Bibliotece Publicznej przy ul. Sokolej. Niewielki objętościowo, a stał się swego rodzaju wydarzeniem – i to, rzekłbym, literacko-obyczajowym, bo skarżyszczanie z dumą odnajdywali się w tekście bez pretensji o sportretowanie z przymrużeniem oka, więcej przecież życzliwe niż kpiarskie. A sama autorka tak mówiła o jego genezie:

– Humoreską *Coś za torem*, jako pierwszą z cyklu *Takie sobie historyjki*, miałam w zamyśle zacząć jakąś sensowną całość. Nie wiedziałam jednak, jaki kształt ona przybierze. To się stopniowo wyczuwa. Zawieszenie między śmiechem a płaczem? Farsa? A czymże jest życie, w którym przeplata się jedno i drugie? Komedia przeradza się w tragedię. Dramat ludzki zinterpretowany przez wesoła może nawet chwilami śmieszyć. Pisząc wnিকamy w świat, ale i opowiadamy go na swój sposób. Potem stwierdziłam, że całość nabrała charakteru bardziej uniwersalnego, i to zachęciło mnie do skomponowania cyklu w książkę. Humor jest jakby odpryskiem krzywego zwierciadła, gdy w błysku potrafi rozśmieszyć wesoła myśl, czyjaś mina, jakiś gest... Taki obserwator we mnie siedzi od dawna, nawet kiedy nie zdawałam sobie jeszcze sprawy z jego obecności.

Każde „wejście” między ludźmi, spotkania z przyjaciółmi, praca, zakupy, poczekalnia itp. są niewyczerpalnym źródłem. Od dawna fascynuje mnie sposób widzenia nas, ludzi, jako marionetek bytu przez wielkiego Czechowa. Cenię też nadal felietony Wiecha, pomimo odżegnywania się od jego twórczości wysokiego parnasu krytyki. Nie znaczy to, że chciałabym kogokolwiek, nawet największego mistrza, naśladować. Na własny sposób pragnę podejść do człowieka, jego słabostek czy śmieszności. Na ile mi się to udaje, musi ocenić czytelnik. Przyznam, że w stylistyce żartu i prostego niewyszukanego, „życiowego” języka poczułam się dosyć poręcznie. Ale wciąż dążę do skrótu.

– Dla kamuflażu w małym wścibskim środowisku obrałaś męski pseudonim. I zapewne spojrzenie na świat z męskiego punktu widzenia okazało się frapującą pisarską przygodą? – zapytałem.

– Pseudonim daje pewną swobodę. Używając go, człowiek zachowuje się trochę jak struś, który chowa głowę w piasek i myśli, że ukrył się cały. No, ale tak właśnie pod nim myśli i czuje się bezpieczniejszy. Nie odbiegamy od zwierząt zbyt daleko. Męskie pseudo miało mnie zamaskować, i to nie tylko ze względu na ukrycie pod innym nazwiskiem, ale również dlatego, że świat moich bohaterów to przede wszystkim świat mężczyzn. Zwierciadło satyry wykrzywia go, staje się mniej rzeczywisty, ale narrator-mężczyzna przynajmniej nie pogłębia tej rysy. Lepiej też, gdy nie czyni tego autor. Dlatego na okładce tej książki najchętniej też widziałabym pseudonim Zenek Karaś czy Zenek Kwiatkowski, skoro zaczynam tekst np. *Kuki Monster* męskoosobowo: „Tym razem spotkałem sąsiada na ławce przed blokiem...”. Lecz w przypadku książki trzeba się już odsłonić. Męski punkt widzenia jest mi zresztą bliski. Wychowałam się w gronie rówieśników. Dziewczęta w okolicy były nieco starsze i miały co innego w głowie, niż łażenie po płotach i dachach, bieganie po łące i lesie. Klimat tych zabaw i świat chłopięcej przyjaźni mam w pamięci do dzisiaj: chwytanie żab, łowienie raków, pierwszy kancerek z uciętej mamie firanki, wędka, motor, kapitańskie gniazdo na drzewie, przesiadywanie z książką na kajaku w szuwarach, nie mówiąc o malowidłach na ciele kolorową gliną z Kamionki, o piłce, łyżwach, nartach, sankach. Niewiele w tych wspomnieniach miejsca na lalki i szmatki. Owszem, była jedna charakterystycz-

na, wielka, chodząca i gadająca – służyła jednak do straszenia chłopaków, do zabawy zaś mniej.

– Pewna młoda osoba, która poznała twoje opowiadki w toku pracy nad tą książką zwierzyła się, że chciałaby pisać podobnie. Że bardzo jej odpowiada twoje rozpoznanie kalejdoskopu ludzkich spraw. Śmieszność prowincji, gdzie przecież żyje większość Polaków.

– Prowincja nie kojarzy mi się terytorialnie. Może być w Krakowie, może być w Paryżu, Rzymie czy Nowym Jorku. Prowincja jest w sercu człowieka, w sposobie jego myślenia, zachowania, w stylu życia. Może rzeczywiście ludzi z mniejszymi potrzebami intelektualnymi czy duchowymi więcej jest w małych miasteczkach, na wsi i stąd nazwa prowincjusza. Lecz właśnie w tych osobach, z ich prawdziwą, choć maskowaną niewiedzą, występuje ta doza naiwności, która potrafi rozśmieszyć, rozczulić, udobruchać. Tutaj „strzelą głupotę” i okażą „cielęcy zachwyt”, „otworzą serce”, a dziwić się potrafią, bo wciąż jeszcze poznają, będą wystawać pod blokiem w grupie, odwiedzać się, bo nie nauczyli się jeszcze wielkomięskiej izolacji. A w dodatku, jak napisał jeden kielecki poeta: „w każdym bloku inna wieś”. Ta asymilacja to szeroki temat do potraktowania z przymrużeniem oka; sama w sobie jest często groteską. Śmieszności były, są i będą, więc dlaczego się nimi nie zajmować. Jednak gdy napiszę, zakończę jedną opowiadkę – mam dosyć na pewien czas, przestaje mnie śmieszyć. Dziękuję wspomnianej przez ciebie młodej osobie. Zdanie młodych bardzo sobie cenię. Od lat wysyłam młodzieżowe prace na konkursy literackie, pracowałam z grupą prób literackich „Wiklina”, pracowałam nad almanachem *Tęcza*. Trzeba im pomagać, bo ich drogi wbrew pozorom są trudne. Ta praca zawsze ma sens. Z pewnością jest jedną z przyczyn mojego „zakwitania”, jak to określiłeś. Ale nie jedyną.

III

Moją rozmowę z Bożeną, otwierającą zbiorek *Żartem*, wykorzystałem tu z pewnymi skrótami. Właśnie podczas tej rozmowy padły słowa, do których nawiązała, iż w aurze różnobarwnego rozkwitania sami też odnawiamy się wciąż twórczymi pomysłami.

Jednak obowiązki szkolne i rodzinne spowodowały, iż kolejny jej tom poetycko-prozatorski

z malarstwem ukazał się dopiero po sześciu latach (w 2003). Nadała mu tytuł *Mikroświaty*. Był znacznie obszerniejszy niż *Niedopowiedzenia*. Promowaliśmy go w kieleckim Domu Środowisk Twórczych z komentarzem znanej krakowskiej poetki Krystyny Szlagi, którą Bożena zjednała sobie podczas wspólnych plenerów plastycznych w Łopusznie. Wszystkie pasjonujące ją dziedziny – poezja, nowelistyka, malarstwo – uzyskały tu w zakresie poruszonych tematów głęboko humanistyczną wymowę i przekonujący artystyczny wyraz. Dorobek zawarty w nim wierszy wkrótce jeszcze powiększył się o tomik z serii „Liście” pt. *Podzwonne dla dębu „Powstańca”* (osnuty na podaniu-legendzie, utrzymany w balladowym klimacie), który opatrzyłem posłowiem, tak oto charakteryzując jego liryczny pejzaż:

W tym poetyckim listku ciekawie krzyżują się – niczym żyłki na liściu rzeczywistym – historia i terażniejszość, natura i cywilizacja, żal i nadzieja, bolesna zaduma i radosny zachwyt. Gdy głośno się czyta, można – znowu jak na żywym liściu – rozcierać słowa, dzieląc je według części znaczeniowych i dla lingwistycznej igraszki. Niektóre są jak węzłowe punkty, zrosty i zarazem zworniki brzmieniowo-znaczeniowe. Przykładem „cywilidżungla”, mająca walor celnego neologizmu i poprzez energię skumulowanych znaczeń siłę ekspresyjnego oddziaływania na słuchacza-czytelnika.

Bożena Piasta – poetka i malarka – maluje słowami obrazy zarówno z historii (kreując sytuacje z czasów powstania styczniowego, których świadkiem był nieistniejący już dąb „Powstaniec”), jak i te z intymnych niemal spotkań zagubionego w cywilidżungli współczesnego człowieka z przyrodą. Tu i ówdzie przenika do nas świadomość o zagrożeniu toksynami, które wszak są na tyle blisko i wszędzie, że zdążyliśmy się z nimi oswoić. Stąd pisownia „tok/syny”, ale też możliwe jest skojarzenie z pogranicza „dobrotliwego” przekleństwa.

W listku Bożeny Piasty poznajemy całą jej biografię poetycką: od debiutanckiej ballady po związane liryczne słowoobrazy, od ukłonu wobec metrum wiersza tradycyjnego po odnalezienie się w formie niby-szkicowego zapisu wrażeń. Określam „niby-szkicowego”, bo te zapisy są w istocie całością.

Poetka unika patosu, nawet gdy dotyka wymownych znaków historii czy literackiej tradycji

(np. Gombrowicza). Wskazuje na to wybór zapisu z małej litery bez interpunkcji, a więc bez wykrzykników, pytańników... Dbą o naturalność znaku literackiego – wzorując się (w najlepszym sensie) na Mironie Białoszewskim. Ale cóż tu mówić o jakimkolwiek wzorowaniu się, skoro bezpośrednio w samej już formie graficznej upowszechniła się. Wspominam o Białoszewskim jednak nieprzypadkowo, ponieważ to jego twórczość właśnie zainspirowała kiedyś Bożenę Piastę do śmiałych poszukiwań formy i poetyckiego wyrazu. Tak się też jak raz składa, że czułość dla ludzi i przyrody tkwi w charakterze autorki. Odgaduje dusze drzew, odczytuje zdarzenia ze znaków przeszłości, wychodzi całą sobą wszelkiemu dobru i pięknu naprzeciw.

IV

W roku 2007 Bożena Piasta wydała *Legendy i opowieści skarżyskie*, których specyfiką jest to, że powstały współcześnie i z rzadka tylko odwołują się do dawnych wieków. „Ich czas to najczęściej wiek XX – czytamy w *Słowie od Autorki* – i najboleśniej tużesze przeżycia, po których pozostała w skarżyskiej społeczności pamięć utrwalona symbolem, wzmianką czy ustnym przekazem. Korzystając z tych źródeł, można by zapisać znacznie więcej legend, bo cenne jest to, że mają wielką siłę zapładniającą wyobraźnię”. I znowuż prowadziłem związane z książką promocyjne spotkanie, tym razem w restauracji przy rejowskim zalewie – takie nieomal rytualne, ze szczodrą rozmową i smakowitymi regionalnymi przystawkami. Zainteresowanie legendami przeszło i autorki, i nasze oczekiwania. Zyskała w Skarżysku popularność, mogła liczyć na wsparcie miejscowych władz, gdy występowała z literackimi inicjatywami. Wiem od synów, że w papierach pośmiertnych znajduje się sześć nowo zapisanych nieopublikowanych dotąd legend. Warto by więc pokusić się o drugie, wydanie poszerzone wydanie książki.

V

Na jej wspomniany tu w I części jubileusz – z prezentacją przed szeroką publicznością w skarżyskim Centrum Kultury – Oddział ZLP i OW „STON 2” opublikowały tom poetycko-malarski *Liryka-specyfika* z moim słowem wstęp-

nym i postawieniem Krystyny Cel, która niebawem ukończy prace nad małą monografią o życiu i twórczości Bożeny w nowej (tj. w 2010 roku rozpoczętej) serii „Portrety Literackie”. Monografia ta zostanie powiększona o suplement ze wspomnieniami kolegów po piórze i przyjaciół.

Bożena Piasta była ceniona za swą twórczość. Pisali o niej m.in. krytycy warszawscy Jan Z. Brudnicki, Zdzisław T. Łączkowski. Za swą serdeczną otwartość, gotowość do życzliwej pomocy była szanowana i lubiana. Zdobyła uznanie i serce młodych twórców Skarżyska, co przecież nawet „u swoich” nie zawsze łatwo sobie zaskarbić.



Jaśmin – olej, 2011

Fot. Rajmund Piasta

Władysława Szproch

...Serce złożyło swe skrzydła motyla...
(B. Piasta z wiersza *Tęsknota*)

Ona już nie wyjdzie naprzeciw pięknu i dobru

(Wspomnienie o Bożenie Piaście)

„Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą”. Ileż to razy powtarzamy te znamienne słowa Ks. Twardowskiego? Któżby to zliczył. Jedno jest pewne; powtarzamy je na pewno wtedy, gdy odchodzi od nas na zawsze ktoś stonkowo młody, ktoś, kto tyle w tym ziemskim

życiu planował jeszcze zrobić. 4 lutego 2013 roku odeszła na wieczny spoczynek Bożena Piasta ze Skarżyska-Kamiennej – moja przyjaciółka literatka i malarka, a także działaczka społeczna na polu kultury. A jeszcze miesiąc temu prowadziłyśmy korespondencję w sprawie promocji debiutanckiego tomiku poezji Urszuli Wójcik – Jej najmłodszej podopiecznej z Grupy Literackiej „Wiklina”. To Bożena Piasta redagowała w/w tomik, pt. *To właśnie ja*, Ona napisała postłowie: *Jej poetycki świat*, a ja napisałam notę krytyczną, pt.: „Boski ogród słowa”. Promocja tomiku odbyła się 18 stycznia br. w MCK w Skarżysku. Miała poprowadzić go Bożenka, niestety – już była w szpitalu. Poprowadziła ten wieczór sama autorka – Urszula Wójcik, a ja Ją wsparłam jako wiceprezes ZLP O/Kielce i jako krytyk. Wśród licznie przybyłej publiczności dało się wyczuć zasmucenie, że nie ma osoby tak ważnej dla tej chwili i literackiego środowiska Skarżyska, jaką była Bożenka Piasta. Łączyliśmy się z Nią duchowo, wierzyliśmy w powrót do zdrowia. Niestety. Bożena Piasta już ze szpitala nie wyszła. Zmarła nad ranem 2 tygodnie po tej promocji. Wiadomość o Jej śmierci pogrążyła w smutku i żalu nie tylko najbliższą rodzinę, ale także mnie, członków ZLP O/Kielce, malarzy i całe miasto Skarżysko-Kam., w którym artystka żyła, któremu poświęciła nie tylko swoją twórczość, ale wszystkie siły i serce. Tutaj pracowała jako polonistka, tutaj „wzięta pod swoje skrzydła” wszystkich piszących i skupiła w Grupę Literacką „Wiklina”. Redagowała członkom tomiki autorskie, redagowała prace zbiorowe, m.in. zbiory: *Tęcza* (1997) i *Wokół Staffa* (2000, 2002). To Bożena Piasta była pomysłodawczynią i redaktorką serii *Liście*, o których pisałam Słowa Krytyczne. Bożenka była ponadto redaktorką Tygodnika Skarżyskiego pt. *Ostra Brama nad Kamienną*. Ta pracowita twórczyni zainicjowała i współorganizowała naprzemiennie ze Starachowicami Ogólnopolski Konkurs Literacki im. L. Staffa (1998 r.). Bożena Piasta była poetką, prozatką (opowiadania, nowele, legendy) i publicystką. Współpracowała z redakcjami wielu pism kulturalno-literackich w regionie i kraju. Należała do Związku Literatów Polskich O/Kielce. Była autorką książek: *Niedopowiedzenia* (1995), *Żartem* (1998), *Mikroświaty* (2003), *Legendy i opowieści skarżyskie* (2009), *Liryka-specyfika* (2012), I i II tom: *Dzieje Skarżyska-Kamiennej w cytatach*.

Jej utwory pomieszczono w wielu almanachach, pokłosiach i antologiach. Jako literatka zdobyła wiele nagród na konkursach ogólnopolskich. Bożena Piasta była członkiem Rady Fundacji „Daj szansę” i Zarządu Radostowa. Wiele pracy włożyła w organizowanie w Skarżysku-Kam. Izby Pamięci Leopolda Staffa. Bożena Piasta kochała swoje miasto. Żyła nie tylko dniem bieżącym tego grodu, ale też jego historią. W swojej twórczości przybliżała mieszkańcom dzieje miejsc, osób, zdarzeń historycznych, ważnych, wartych upamiętnienia. Wyznawała zasadę, że bez historii, tradycji – nie ma nas, tak jak bez języka, mowy – nie ma człowieka, nie ma kraju. Świadczy to wszystko o tym, że Bożena Piasta była prawdziwą patriotką swojej Małej Ojczyzny, była osobą bardzo ważną dla Skarżyska-Kamiennej. Miasto to doceniało. Już w roku 1999 uhonorowało Ją tytułem: Skarżyszczanin Roku w dziedzinie: Animator Kultury. Za efektywną pracę zawodową i społeczną w szkole była odznaczona Złotym Krzyżem zasługi, otrzymywała także nagrody: Ministerstwa Edukacji Narodowej, Kuratorium Oświaty i Wychowania oraz nagrody Prezydenta miasta Skarżysko-Kamienna.

Bożena Piasta była także utalentowaną malarzką amatorką. Malowała na płótnie w technice olejnej. Ileż to razy nasze twórcze drogi krzyżowały się na letnich plenerach malarskich; w Wąchocku, Łopusznie, Sandomierzu, Staszowie, Kielcach... Bożena malowała urokliwe pejzaże Ziemi Świętokrzyskiej, kwiaty, architekturę, portrety i sceny rodzajowe. Reprodukcjami swoich prac ozdabiała tomiki, numery „Kwartalnika Literackiego”. Przez pewien czas należała do Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich w Kielcach. Malarstwo przenikało do Jej literatury. Stanisław Nyczaj napisał: „Bożena Piasta – poetka i malarka – maluje słowami obrazy zarówno z historii [...] jak i te z intymnych niemal spotkań zagubionego w cywilidżungli współczesnego człowieka”. Zauważył to również krytyk literacki Działosz Tadeusz Łączkowski, który napisał tak: „Bożena Piasta zdania maluje barwą, różnorodnością barw bardzo intensywnych, pełnych swoistego uroku”.

Bożena Piasta „wychodzi całą sobą wszelkiemu dobru naprzeciw” – napisał Stanisław Nyczaj. Wychodziła naprzeciw dobru i pięknu. Już nie wyjdzie i to jest wielka strata dla kultury Ziemi Żeromskiego.

Śp. Bożenkę Piastę zapamiętam jako osobę szczególnie mi bliską duchowo. Zawsze rzeczową, sumienną, skromną i uśmiechniętą, zawsze zatroskaną o istotę ludzką i o przyrodę.

Cześć Jej pamięci.

Maria Włodno

Wspomnienie

Bożena Piasta była poetką pędzla i słowa. Malowała swoje obrazy na płótnie oraz w wyobraźni czytelników. Wówczas kolory i kształty były dziełem jej poetyckiego języka.

Mnie bardzo się podoba jej twórczość malarcka, szczególnie pejzaże, do których natchnienie czerpała z otaczającej nas natury. Pewnie nie widziałam wszystkich tych obrazów, ale te, które obejrzałam, wzruszały mnie owym pochwyleniem chwili, nastroju oraz uroku portretowanego miejsca. Jednocześnie były one w jakiś sposób swojskie nieomal jak „widok z mojego podwórka”.

Zamówiłam więc sobie u niej obraz sentymentalny, wymyślony przeze mnie. Miała to być panorama Pińczowa, miasta, w którym mieszkałam do osiemnastego roku życia i które wypiastrowało mnie od przedszkola aż do samej matury, bo potem polecałam w świat!

Chciałam mieć niezwykle malowidło, takie żeby każdy, kto zna Pińczów, rozpoznał klasztor, górę św. Anny z kapliczką, zakola Nidy i ogólny widok miasta, a jednocześnie, żeby to był wizerunek Pińczowa sprzed stu lat – czyli pół żartem, pół serio.

A więc na moim płótnie pod murami klasztoru miały rosnąć krzaki dzikiej róży, których tam naprawdę nie ma, a zamiast chodników i asfaltu miała być droga polna i drzewa.

Chciałam, żeby róże pachniały na moim obrazie. Wysoki kamienny mur miał ukrywać tajemnice klasztoru, bo rzeczywiście nigdy mi się nie udało zobaczyć, co się za nim znajduje, chociaż bardzo byłam ciekawa. Zachodzące słońce powinno zostawiać ciepłe wspomnienie dnia, letniej pogody i beztroski. A zadaniem Bożeny było sprostać tym wszystkim oczekiwaniom.

Bożena nigdy nie odwiedziła mojego miasta, więc zajrzała do Internetu, żeby mieć wyobraże-

nie o tym, jak wygląda ów gród nad Nidą. Resztę, czyli nastrój, koloryt i to coś, co mówi nam, że widzimy krajobraz bliski sercu, musiała uzupełnić swoim talentem.

Oczywiście namalowała wszystko tak, jak sobie życzyłam.

Jednak nie znając Pińczowa popełniła kilka drobnych pomyłek, gdyż umieściła te charakterystyczne elementy krajobrazu miasta niezupełnie tam, gdzie one naprawdę są. Toteż osoby, które mieszkają w Pińczowie od urodzenia, kiwają głowami przyglądając się dziełu Bożenki. Chociaż im się podoba, trochę gubią się w szczegółach. Ale nie ma problemu, bo na tym płótnie wszystko jest! Jak nie tu, to tam.

Bożena przywiozła mi ten obraz do Kielc w grudniu 2006 roku. Powiesiliśmy go oczywiście na przygotowanym miejscu w moim mieszkaniu, a potem pojechaliśmy do Domu Środowisk Twórczych na wigilię literacką naszego Oddziału ZLP.

Bożena na tej wigilii była krótko, spieszyła się do domu. Powiedziała mi wtedy jednak coś zaskakującego. Była to uwaga na temat mojej książki dla dzieci pt. *Uczeń profesora Cyrusa*, którą właśnie przeczytała:

– Poczułam ulgę, bo zrozumiałam, że nie muszę się tak bardzo przejmować swoją rolą i mogę zdjąć ręce z kierownicy, bo nie ja kieruję światem. Jest siła większa od nas, na której można się oprzeć.

Tak wyraziła swoją refleksję po lekturze powieści przygodowej, czym wprawiła mnie w zdumienie. Ta myśl i to spostrzeżenie wydało mi się bardzo odległe od treści mojej książki, ale tylko w pierwszej chwili. Gdy zatoczyłam koło w swojej głowie doszłam do wniosku, że istotnie można się zainspirować do tak głębokich przemyśleń, oczywiście jeśli ktoś jest odpowiednio wrażliwy. Ale Bożena jako poetka i artystka widziała, czuła i pojmowała więcej niż zwykły czytelnik. Straciliśmy ją jednak i dopiero teraz możemy docenić znaczenie tej przyjaźni, koleżeństwa i osobowości. A więc spieszymy się kochać ludzi, ponieważ odchodzą.

Wspomnienia o Ryszardzie Mierniku

Ryszard Miernik (1929–2013)

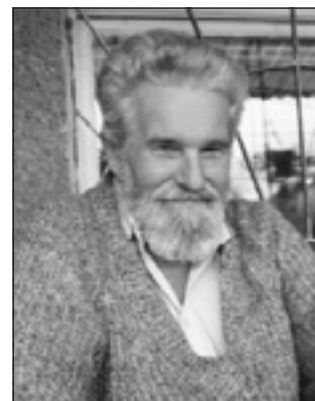
Stanisław Nyczaj

Pożegnanie Ryszarda Miernika

Żegnamy wybitnego pisarza i artystę rzeźbiarza, z pasji regionalistę. Regionalistę w znaczeniu i wymiarze w pełni nobilitującym. Twórcę związanego duchowo ze swoją małą ojczyzną – rodzinnym Suchedniowem, będącym jego „światem pierwszym”, do którego w utworach najczęściej powracał i gdzie w 1990 roku z pomocą synów stworzył galerię rzeźby „Podwórko”. Twórcę związanego duchowo też, szerzej, z całą Kielecczyną autentycznym przeżywaniem zarówno walorów jej wielkiej tradycji kulturowej (dorobku wspaniałych pisarzy, ludzi sztuki), jak i przeobrażeń ludzkich losów w czasie bliskim współczesności – od wojenno-okupacyjnych tragedii ukazanych na przykładzie Michniowa w najbardziej znanej z jego poezji *Pieśni o Michniowie* (mającej trzy wydania), poprzez późniejsze doświadczenia ostrowieckie zobrażone w powieści *Kawaler do wzięcia*, rytuały obsesyjnego świętowania przy marnowaniu czasu, sił i środków, skarykaturowane w powieści *Dożynki w mieście*, po krytyczne obserwacje przemian w wyniku ustrojowej transformacji deprecjonujące kulturę w imię wyższych celów ekonomicznych w dehumanizującej rzeczywistości skali makro. Miał tę świadomość wypracowaną i ugruntowaną jeszcze za czasów PRL-u. W rozmowie ze mną dla „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” (1999, nr 1) zaakcentował z całą mocą, że w tamtym okresie (1961–1982), gdy kierował Wydziałem Kultury i Sztuki MRN w Kielcach: „[...] jednego jestem pewien, swoją pracą i postawą zaprzeczyłem bzdurnemu przekonaniu, iż kultura i sztuka są niewymierne i będziemy się nimi zajmować, kiedy każdy będzie miał pod dostatkiem chleba i kiełbasy...”.

Ryszard Miernik, nawiązując do Żeromskiego, Czernika, Gajzlera, a także Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego, wypracował własną artystyczną formułę i metodę pisarską polegającą w prozie na połączeniu pamiętnika i reportażu

z beletrystyką, wpiśnaniu autentycznych życiorysów (realnych ludzkich losów), faktograficznych opisów i relacji z organizującą świat przedstawioną fabułą, jak to widać reprezentatywnie na przykładzie ostatniej jego



powieści *Połowanie z Sokółem*. Skąd to wynikło? We wspomnianej rozmowie ze mną dla „Kwartalnika” wyznał: „[...] to moje wędrowanie wokół Łysej Góry i po różnych obszarach życia, potrzeba poznawania ich, przeżywania i wyrażania w takiej czy innej formie, pobudzały mnie do aktywności”. I w innym miejscu: „[...] lubię tę książkę, nad którą pracuję, najczęściej wychodzoną, gdyż staram się bywać tam i widzieć to, o czym piszę, co pobudza moją wyobraźnię”.

A w poezji – poza nastrojową jednorodnością pieśni-poematów – koncentrował się na portretowaniu sytuacji, zdarzeń i osób w tonacji lirycznej to znów z ciepłym humorem, ale i w połączeniu z groteską przy użyciu środków ironii, drwiny, sarkazmu, z wykorzystaniem w stylistyce zwrotów i wyrażeń rubasznych, dosadnych, jak w tomach *Skalniak świętokrzyski* czy ostatnim – *Mateczniku*.

Miał dalsze twórcze plany. Tyle że siły deprymująco słabły. Gdy raz podczas spaceru o lasce zasłabł i upadł, syn uspokoił mnie telefonem, że na szczęście nic złego się nie stało. W ostatnich rozmowach wyczuwało się jednak narastający w nim niepokój i rozgoryczenie. Nie braliśmy sobie do serca jakichś bezzasadnych pretensji Ryszarda. Mając mu wiele do zawdzięczenia, przemilczaliśmy je. Byleby nie poddawał się, starał jeszcze podźwignąć...

Zmarł przy pracy nad powieścią 11 marca. Żegnałem go cztery dni później w Domu Pogrzebowym na Cedzynie, przemawiając szerzej w imieniu przyjaciół z Oddziału ZLP – mniej więcej na kanwie tego tekstu.

Miernik miał swoją miarę

Urodził się w marcu 1929 roku i odszedł w marcu 2013. Na pogrzebie nie było tłoku: rodzina, kilku kolegów i jakieś kobiety. Rysiek nie był kobieciarzem, ale one chętnie przebywały w jego towarzystwie. Właśnie towarzystwo miało dla niego szczególne znaczenie, dzień w dzień przesiadywał w prywatnych domach lub w pracowniach kolegów i w Klubie Dziennikarza, potem w „Dziurce” – kawiarni artystycznej przy Teatrze Stefana Żeromskiego. Istniały takie szczególne miejsca przy ul. Sienkiewicza, tam właśnie za tzw. czasów komunistycznych przy stołach biesiadnych toczyły się rozmowy środowiska kieleckiego do późnych godzin o twórczości i polityce. Te dosyć zawzięte dyskusje były inspirujące, miały charakter wzajemnego przekazywania sobie zdobytych informacji i wiedzy o świecie z lektur książek i czasopism wydawanych poza granicami obozu socjalistycznego.

Ryszard Miernik to rzeźbiarz z wrodzonym talentem, dosyć płodny powieściopisarz, niezły poeta o swoistym widzeniu rzeczy i zjawisk. To przez wiele lat kierownik Wydziału Kultury w kieleckim Urzędzie Miejskim. Miasto wojewódzkie ani wcześniej, ani też później nie miało takiego szefa. To on po wyjeździe Waldemara Babinicza (naonczas znanego pisarza) do Nałęczowa sterował Klubem Literackim i całym środowiskiem twórczym Kielecczyny. Założył Ośrodek Rzeźbiarski na Wietrzni, skupował rzeźby i rozstawiał je na ulicach i skwerach w całym mieście, starał się o pracownie dla plastyków. W tych pracowniach odbywały się spotkania, dyskusje i spory także polityczne. Nikt nie był w stanie ograniczyć wolnego słowa, nawet donosiciele z tego środowiska. Tak rodziły się pomysły na nowe książki i twórczość plastyczną. Mógłbym powiedzieć bez jednego słowa kłamstwa i przeinaczeń, że był to „złoty czas kultury” w Kielcach. Szkoda, że po roku 1989 kultura niby otrzymała wolność słowa, ale zabrano jej pieniądze, kluby artystyczne, kawiarnie i zwykłe ludzkie przyjaźnie.

Miernik urodził się w Suchedniowie. Była to jego mała umiłowana ojczyzna. Pisał o niej prozą i wierszem, rzeźbił chłopów i baby świętokrzyskie. Jego dusza nie umiała się uwolnić

z objęć tego miasteczka, latami dzieciństwa i młodości wrastał w tamtejszą ziemię, ukorzeniła się jak perz albo krzew tarniny. Ojciec był stolarzem, więc Rysiek od dziecka obcował z pracą w drewnie. Po skończeniu podstawówki poszedł do Technikum Mechanicznego w Skarżysku-Kamiennej, ale po maturze jakoś nie nabral ochoty na dalszą naukę w dziedzinach technicznych. Ruszył w świat, do Gdańska na tamtejszą wyższą uczelnię i skończył polonistykę. Musiał dużo czytać, bo nieźle opanował literaturę polską i światową, znał się na rzeźbie i malarstwie. Chętnie o tym rozmawiał przy biesiadnym stole. Czasem chwycił za dłuto i pędzel, i poprawiał prace innych kolegów. Był facetem wszechstronnym i bez wątpienia utalentowanym. Czy był to wielki talent? Nie wiem. Powieści są sprawnie napisane, czyli miał opanowany warsztat literacki, ale coś szwankowało w rozchwianej wyobraźni. Wiersze są pisane językiem prostym jak kij bambusowy, ale wypełnione głęboką myślą. Miał też świetne rzeźby w drzewie; gdyby od początku uprawiał tę dziedzinę sztuki, może zaszedłby daleko. Niestety, on chciał robić i to, i tamto, Niespokojny, uparty, spierał się i kłócił, zawsze szedł swoją niezachwianą drogą, jakby z Suchedniowa do Kielc i nigdzie dalej. Umiał też słuchać całymi godzinami, szczególnie opowieści byłych partyzantów. Przyjmował do wiadomości tylko to, co sam już przemyślał i szukał u innych tylko potwierdzenia.

No cóż, odszedł i chyba się nie spełnił. Pisał do ostatniej chwili (umarł przy maszynie). Przyszły bowiem nowe czasy, dla takich jak on gorsze. Nigdy nie wychwalał socjalizmu, nie był tajnym współpracownikiem, choć z esbekami jako kierownik Wydziału Kultury musiał się liczyć i prowadzić rozmowy. „Solidarność” i przemiany tamtego okresu raczej popierał, choć bez entuzjazmu. Był trochę nieufny. Oszukali go komuniści, bo nie realizowali tego, co obiecywali, więc i dla tych nowych – a wielu znał osobiście – był podejrzliwy i chyba miał rację. Choć liczył, że może oni przyniosą coś nowego i lepsze rozwiązania w dziedzinie kultury. Niestety, to „nowe” okazało się karłowate i pokrętne, a ci, co przejęli władzę, zaszkośli najmocniej oświacie i kulturze. Było źle, jest źle i minęło wiele bezowocnych lat. Zobaczymy, co będzie dalej.

Nieśmiertelność

Pamięci Ryśka Miernika

Siedział godzinami
Przy starej maszynie
Stukał pukał
Aż w uszach dudniło

Przenosił na papier
Suchedniowskie zwydy
Załatwiał sprawy
Nie do załatwienia

W pokoju urzędowym
Nad biurkiem wisiła
Jak wiecheć słomy
Siwa broda poety

Do końca uparcie
Wymyślał programy
Zapisywał w zeszytach
Potargane zmyślenia

Miał własne drogi w pamięci
Zapisane na amen
Chodziliśmy osobno
Czasem krzyżowały się z konieczności

Brał chętnie w sprawne dłonie
Lipowe klocki
I strugał i dłubał jodłowe baby
I świętokrzyskich chłopów

Miał w sobie wiarę
Że tylko kultura
Daje człowiekowi
Gwarancję nieśmiertelności

Obraz siwobrody (Tryptyk pożegnalny)

Pamięci Ryszarda Miernika

I

Marzec 1929
Marzec 2013
Twój miesiąc otwarcia
I zamknięcia oczu
Pierwszy błękit krzyku
I ostatnia biel ciszy

Poza granicami
Barwnego życia
Już tylko niewidoczność

II

Zafrasowały się
Wszystkie świątki
Kiedy dogasła świeca
Twojej metafory
Zamilkły dłuta
Młotki i siekiery
Zamarło serce
Lipowej kłody
Pod suchedniowskim
Płotem ojcowizny
Ono przypisane ziemi
Jak Twoje jestestwo

III

Byłeś pulsem
Świętokrzyskiej historii
Mocarzem Słowa i Dłuta
Echem michniowskiej rozpaczy
Byłeś...

Będiesz jak gwóźdź
Na ścianie naszej rozpaczy
Z której zdjęto
Siwobrody obraz

2013-03-18

Paweł Chmielewski

Teatr w czasach Big Brothera

W epickim dramacie Tadeusza Różewicza *Odejscie Głodomora* ukazana zostaje w sposób niemal proroczy (zamyśl tekstu powstał w latach 60.), antycypowana przez autora teraźniejszość pierwszej dekady XXI w. Świat nieustannego reality show.

Nie jest to bynajmniej prefiguracja widowisk znanych jeszcze z *Koncertu świętego Owidiusza* Buero Vallejo czy *Dziwolągów* Toda Browninga. Tamten (świat) zaczął się ucłowieczać, zginął wraz ze schyłkiem epoki wiktoriańskiej i „etycznego” pozytywizmu. Jego przedstawiciele jak słynny „człowiek-słoń” stali się – powoli – cokolwiek ekscentrycznymi członkami społeczeństwa. Chodzi o przestrzeń, w której pojęcie „theatrum mundi” nabrało cech tak makabrycznie realnych, że oderwało się od metaforycznego pojęcia brzmiącego tak pięknie we frazach Calderona, Szekspira i Lope de Vegi.

„Theatrum mundi” pod prysznicem

Różewicz antycypuje medialne spektakle, w których widz godzinami wpatruje się w leżących na trawie zwyczajnych ludzi, wysłuchuje pogadanek przy barowym stoliku, miesza je z doniesieniami o kolejnej wojnie na antypodach. I obojętnie wobec stosu ciał, zajmując się raczej problemem silikonowego biustu inteligentnej inaczey ze szklanego ekranu.

Różewicz mówi o śmierci teatru i tekstu scenicznego. Poezja jeszcze broni się metafizycznym nimbem czasów minionych. Poetą jest zresztą co dwudziesty obywatel nadwiślańskiego kraju. Proza – w większości przypadków – pozwoliła się zepchnąć do statusu pozornie intelektualnego zapychacza czasu. Zaś dramat... Nie prześcignie przecież czterdziestej czwartej edycji „Big Brothera”. Ścigając się na ekshibicjonizm z telewizją skazuje się nie tylko na porażkę, ale i na śmieszność.

To szaleństwo i dziwactwo współczesnego „theatrum mundi” wyzwala – u niektórych

odbiorców – tęsknotę za przeżyciem autentycznym, obcowaniem ze słowem, dialogiem i monologiem scenicznym sprawnie napisanym. Za literaturą na scenie.

Stąd właśnie ten tekst i głośne czytania dramatu w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Kielcach zainicjowane przez świętokrzyski Oddział Związku Literatów Polskich. Zasada spotkań jest tylko jedna: promowanie tekstów, które nie zaistniały jeszcze w szerszym obiegu teatralnym; ich autorami są twórcy z regionu świętokrzyskiego lub z nim związani.

Gombrowicz frenetyczny

Mając sześciokrotnie (lub prawie, o czym dowie się czytelnik trochę później) przyjemność wygłaszać słowo krytyczne przed oddaniem głosu aktorom, mogę pokusić się o kilka wniosków, uwag konstytuujących formalne i treściowe cechy prezentowanych dramatów scenicznych. Wyraźnie dominujący wśród czytanych tekstów pozostaje temat historyczny z obecnym wątkiem Holocaustu i rozliczeń z PRL-owską przeszłością (dwukrotnie).

Wesele Gombrowicza Dariusza Kowalczyka to utwór czerpiący z biografii (zwłaszcza epizodów przetransponowanych ze *Wspomnień polskich*) i dzieła autora *Kosmosu*. Jest próbą wyjścia poza schemat „opowieści o wielkiej postaci”. Korzysta z poetyki snu, odniesień do *Wesela* Wyspiańskiego, w dalszym planie z *Połowania na karaluchy* Głowackiego, stwarzając punkt odniesienia do dyskusji. Najprawdopodobniej jednak dyskusji spóźnionej – tekst bowiem powstał ponad ćwierć wieku temu – zwłaszcza w kontekście niedawnej publikacji *Kronosa*.

Symulakry i simy

Do wirtualnego kosmosu przenosi nas „cyfrowa tetralogia” Krzysztofa Kowalskiego. Głośne czytanie ukazało nam środkową jej część,

02.06.2011: *Wesele Gombrowicza* Dariusza Kowalczyka. Od lewej: pierwsza Ewa Lubacz, trzeci Michał Olszewski – aktorzy kieleckiego Teatru Lalki i Aktora „Kubuś” oraz adepci Studium Teatralno-Muzycznego w Kielcach ▶



◀ 16.12.2011: *ALT + TAB* Krzysztofa Kowalskiego. Od lewej: Zdzisław Reczyński – aktor kieleckiego Teatru Lalki i Aktora „Kubuś”, Ewa Pająk – aktorka bez etatu, Łukasz Pruchniewicz – aktor Teatru im. Stefana Żeromskiego w Kielcach

06.12.2012: *Wizyta* Bohdana Gumowskiego. Od lewej: Bohdan Gumowski – literat, dziennikarz Radia Kielce, Szczęsny Wroński, Barbara Wrońska – aktorzy Teatru Promocji Poezji Kielce–Kraków ▶



◀ 20.12.2012: *Obywatel Szrajbman* Pawła Chmielewskiego. Od lewej: Michał Pustuła, Karol Górski, Beata Orłowska, Marek Kantyka – aktorzy Teatru Ecce Homo w Kielcach

dramat *Alt+Tab*. W tym przypadku konteksty można mnożyć. Od filmowego *Matrixa*, którego bohaterowie przerzucają się cytatami z Baudrillarda o „pustyni rzeczywistości” do teoretyka kultury Paula Virilio, który twierdził, że „to nie my postrzegamy przedmioty, lecz przedmioty nas postrzegają”.

Tekst przenosi nas bezpośrednio do świata gier komputerowych. Tutaj postaci noszą imiona Lara (Croft – bohaterka serii *Tomb Raider*) i Doom (zarazem tytuł najpopularniejszej komputerowej „rąbanki”). Gdy za oknem przejeżdża samochód to prowadzi go Collin – bohater „gier samochodowych”. W tekście rozsiane są aluzje do literackiej twórczości Philipa Dicka, który zajmował się problematyką światów równoległych.

Dedykacja do jednego z tekstów wskazuje wyraźnie na intencje autora. „Simom, symulakrom...” – czytamy. „Symulakr” to termin wprowadzony przez francuskiego filozofa Jeana Baudrillarda. W książce *Symulakry i symulacja* postawił tezę, że człowiek, dążąc do prawdy o świecie, tworzy jego wirtualny model, który w pewnym momencie zaczyna być tak idealny, że zastępuje całą metafizykę, Boga, religię... Przedmioty i pojęcia występujące w tym świecie są tak doskonałym naśladownictwem, jak pisze Baudrillard, że wydają się jak najbardziej realne. Są symulakrami.

Z kolei „Sim” to istota wirtualna, zaprojektowana i sterowana przez gracza, żyjąca w wirtualnym trójwymiarowym świecie – gdzie, można jej kupić mieszkanie, wysłać do ciekawej pracy. „Sim” to takie inne, lepsze „ja”, które może być gwiazdą rocka, płatnym zabójcą i mieć elektryczne kochanki.

Grecka tragedia

Trzecie głośne czytanie poświęcone zostało *Szmacianej lalce* Jana Krzysztofczyka, prozaika i dramaturga zmarłego w 2008 r. Tekst nagrodzony w ogólnopolskim konkursie w 1992 r. i zrealizowany w następnym sezonie na antenie I Programu Polskiego Radia jest – jak prawie wszystkie utwory autora *Kłopotu Pana Boga* – traktatem o moralności.

Ascetyczna w formie, oszczędna w słowie, historia z okresu II wojny światowej rozgrywa się wedle zasad greckiej tragedii. Mamy jedność miejsca, czasu i akcji, zaś główny bohater

(Leśniczy), kierujący się nakazem moralnym niesienia pomocy bliźnim, jest z góry skazany na klęskę. Fatalistyczna opowieść z czasów zagłady nie nadaje się na wysokobudżetowy film. To – paradoksalnie – krótka narracja dialogowa o zwykłym człowieku postawionym w sytuacji ekstremalnej. Gdy wiedziony ludzkim odruchem Leśniczy chce podać chleb głodnym żydowskim dzieciom zamkniętym w obozie przejściowym, jest po prostu (lub aż) człowiekiem.

Kulminacyjny punkt (tu znów odniesiemy się do arystotelesowskiej *Poetyki*) – jego rozmowa z Komendantem – to starcie dwóch przeciwstawnych racji. Tylko finał: zastrzelenie dzieci i śmierć rozszarpanego przez niemieckie psy Leśniczego ma wymiar uniwersalny, lecz nie przynosi katharsis. Wywołuje bunt przeciw porządkowi świata.

W oparach PRL-u

Słabo wypełnioną kartą lub, używając idiomu Żeromskiego, „blizną niezarośniętą błoną podłości” – pomimo licznych realizacji w ostatnim dwudziestolecu – pozostaje rzeczywistość powojenna. Stalinizm, marzec 1968... odkrywane po latach lub przywoływane przez uczestników wydarzeń, dławione przez dziesięciolecia albo spychane w odmęt niepamięci. Nie dziwi zatem ilość tekstów poświęconych historii najnowszej.

Wizyta, słuchowisko Bohdana Gumowskiego, jest opowieścią o spotkaniu lekarza Michała z ciężko chorym oficerem UB. Oficerem (tu stosuje autor prawie dokumentalny zabieg retrospekcji), który najpierw zmusił go do wstąpienia na Wojskową Akademię Medyczną, a następnie – w zamian za zgodę na wyjazd zagraniczny – starał się zmusić do współpracy.

Twórca umiejętnie uwiarygodnił psychologiczne opisywaną sytuację (z dominującą rolą oficera – manipulatora, który siłą rzeczy musi odstręczać i fascynować zarazem), ukazał proces zastraszania, tworząc dramat mieszczący się w nurcie rachunkowym literatury polskiej, obok *Norymbergi* Wojciecha Tomczyka czy *Misia Kolabo* Piotra Kokocińskiego.

Niejednoznaczna, ukryta została również decyzja głównego bohatera. Nie wiemy, czy śledczy złamał Michała. Finałowa rozmowa z żoną nie wyjaśnia nam nic, pozostawia pole manewru dla wyobraźni odbiorcy.

Oficyna Włodzimierza Kłaczyńskiego nosi podtytuł „komedia nieoptymistyczna”. To wyraźnie ironiczna aluzja do, granej kiedyś na wszystkich scenach demoludu *Tragedii optymistycznej* Wsiewołoda Wiszniewskiego. Zarys fabularny dramatu – uwłaszczenie i wygnanie dawnych właścicieli – pojawiają się zarówno w realizacjach znanych przede wszystkim ze szklanego ekranu: *Domu*, *Bożej podszewce*, ale odsyłają nas do *Palacu* Wiesława Myśliwskiego, który adaptował na potrzeby scenariusza tekst *Popielca* Kłaczyńskiego.

Słowem, jakiego użyłbym dla określenia kondycji bohaterów dramatu, jest metamorfoza. W rzeczywistym czasie akcji, który określić możemy – między październikiem 1944 r. a sierpniem/wrześniem roku następnego – następuje wymiana klas i stanowisk. Bohaterowie wciąż opatrzeni są określnikiem „byli”. Staje się on jakby konstytuanta ich nazwisk. Lecz równoprawnym bohaterem dramatu jest język. Postaci nie posługują się tu powszechnym, zrozumiałym dla wszystkich tekstem. Każdej przypisany jest idiolekt: czy to gwara, wysmakowany język hrabiego dzentelmena, nowomowa, rosyjski bądź niemiecki.

Jest też *Oficyna* dramatem o rozpadzie więzi – międzyludzkich, historii, rodzinnych (gdy ktoś próbuje ocalić przeszłość, ignorując pozornie nowe czasy, przystosować się lub nawet, jak młody hrabicz, wejść w rodzaj układu z systemem). Finalny gest Hrabiego Stajeńskiego – zakup ekskluzywnego zestawu wędkarskiego miast zapłaty grzywny – ma w sobie coś straceńczego, coś z ułańskiej fantazji. Jest gestem w istocie samobójczym, próbującym zakłócić rzeczywistość. Pewnie nie zgodziłby się ze mną autor, ale widzę w tym podobieństwo do sceny finalnej z *Pożegnaniem* Hasa, gdy bohaterka z obojętnością, acz podszytą straceńczą radością, gryzie jabłko patrząc na czołgi. „Wreszcie się skończyło/ niech wreszcie się skończy” – zdają się mówić postaci.

Pływak

Tekst ostatni (*Obywatel Szrajbman*) z dotychczas czytanych wyszedł spod pióra niżej podpisanego. Stoję zatem przed dylematem, z którego mógłbym wybrnąć stosując prosty wytrych, frazę wypowiedzianą niegdyś przez znanego twórcę: „Nie wiem, o czym to jest, ja

to tylko napisałem”. Trudno, narażając się na zarzut braku obiektywnej oceny, postaram się zrelacjonować treść dramatu.

To pokawałkowana na krótkie sceny, utrzymana w formie filmowej opowieść o Ilji Szrajbmanie, pływaku, przedwojennym mistrzu Polski, uczestniku IO w Berlinie, który w 1940 r. miał zagrać główną rolę w polskiej ekranizacji przygód Tarzana. Losy tytułowego bohatera – od wczesnego dzieciństwa do śmierci w powstaniu w getcie warszawskim – pokazane zostały poprzez szereg retrospekcji, rzucone na szersze tło relacji polsko-żydowskich w przedwojennej stolicy.

Wyprowadzona ze szczątkowej noty prasowej historia spleta losy przedwojennych wybitnych postaci polskiego sportu (bracia Szrajbmanowie, Szapsel Rotholz, Kazimierz Bocheński) i środowiska filmowego (Juliusz Gardan, Michał Znicz, Eugeniusz Cękalski). Teraźniejszość warszawskiego getta, gdzie na pianinie przygrywa Władysław Szpilman, śpiewa „słowik” Maria Ajzensztadt, przechodzi w ciąg nakładających się jak w mozaice obrazów z zawodów sportowych, filmowego planu studia „Sfinks”, aż do wielkiej wywózki i powstania. By na koniec stać się fantasmagorią konającego bohatera. Nawiasem, pięknym, bo nierealnym, chwytem znanym z kina lynchowskiej epoki postnowoczesnej.

Tragedią tego świata polsko-żydowskiego było, że bohaterowie nikną zniszczeni huraganem historii. Są jak symbol przedwojennego kina, amant Eugeniusz Bodo, którego zdjęcie z ogoloną głową, wychudłego, pędzonego gdzieś do sowieckiego łagru, stało się ikoną polskiej kultury.

Paweł Chmielewski
Fot. Grzegorz Cuper

Głośne czytanie dramatów

Przed niespełna dwoma laty prezes Kieleckiego Oddziału ZLP, Stanisław Nyczaj, zwrócił się do mnie z prośbą o przygotowanie czytania jednoaktówki Jana Krzysztofczyka *Szmaciana lalka*. Pomysł wydał mi się ciekawy, gdyż tak wiele tekstów leży teraz na półkach z niewielkimi szansami na wystawienie w teatrze. W tej sytuacji szukanie alternatywy, by utwór mógł zaistnieć, to gra warta świeczki. Pomyślałem, że to nie może być jednak suche czytanie stolikowe, lecz próba zasygnalizowania choćby interakcji, emocji z użyciem rekwizytu i elementami gry aktorskiej. Zaprosiłem do współpracy: Ewę Lubacz, Michał Olszewskiego, Bohdana Gumowskiego, Basię Wrońską i po kilku próbach głośne czytanie odpaliło z dobrym skutkiem. Reakcja publiczności była znakomita, wieść się rozeszła i zostaliśmy zaproszeni na powtórkę do Muzeum Hutnictwa w Maleńcu. W podobny sposób zrealizowaliśmy *Wizytę* Bohdana Gumowskiego, gdzie obok autora, wystąpiła Basia Wrońska i niżej podpisany.

Propozycja przeczytania pełnowymiarowego dramatu Włodzimierza Kłaczyńskiego *Oficina. Komedia nieoptymistyczna* (89 stron) okazała się znacznie trudniejszym wyzwaniem. Jakim posłużyć się kluczem, żeby na kilkunastu stronach zmieścić podstawowe tematy, wątki i przeżycia bohaterów, a nade wszystko atmosferę czasów powojennej transformacji, kiedy wszystkich „obywateli” poddawano tzw. urawniłowce. Np. pan hrabia zmuszany był do produkcji spirytusu na rzecz wojska, hrabina doła krowy, a dawni farnale zajmowali stanowiska w administracji. Przymierzałem się do tego przez kilka długich miesięcy i wykrołem 19 stron, tak by wypowiedź była w miarę spójna i oddawała ducha całości utworu. Ponad dwadzieścia postaci dramatu zredukowałem do dziesięciu, czytanych przez pięciu aktorów, tak więc niektórzy czytali po dwie, trzy, a nawet cztery role. Do współpracy zaprosiłem małżeństwo aktorskie: Teresę i Mirosława Bielińskich z Teatru im. Stefana Żeromskiego, którzy dołączyli do składu: Bohdan Gumowski, Barbara Wrońska, Szczęsny Wroński.

Głośne czytanie *Oficyny. Komedii nieoptymistycznej* odbyło się 6 czerwca 2013 roku o godz.

17 w Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej w Kielcach, która od dwóch lat jest matecznikiem tego rodzaju akcji słowa, głównie dzięki zaangażowaniu wicedyrektora Grzegorza Cupera. Miałem pewne obawy, czy autor i publiczność poczują się usatysfakcjonowani zaproponowanym przeze mnie skrótem, ale odbiór publiczności był bardzo ciepły, a sam autor uznał naszą „próbkę” jako wizytówkę dramatu i wyraził wolę, by ta wersja została opublikowana.



22.03.2012: *Szmaciana lalka* Jana Krzysztofczyka. Od lewej: Bohdan Gumowski – literat, dziennikarz Radia Kielce, Szczęsny Wroński, Barbara Wrońska – aktorzy Teatru Promocji Poezji Kielce–Kraków, Ewa Lubacz, Michał Olszewski – aktorzy kieleckiego Teatru Lalki i Aktora „Kubuś”



07.06.2013: *Oficina* Włodzimierza Kłaczyńskiego. Od lewej: Szczęsny Wroński – aktor Teatru Promocji Poezji Kielce–Kraków, Mirosław Bieliński – aktor kieleckiego Teatru im. Stefana Żeromskiego, Bohdan Gumowski – literat, dziennikarz Radia Kielce, Teresa Bielińska – aktorka Teatru im. S. Żeromskiego, Barbara Wrońska – aktorka Teatru Promocji Poezji Kielce–Kraków

Sonet i obraz

W Domu Środowisk Twórczych (Pałacyku T. Zielińskiego) 5 listopada 2012 r. miała miejsce promocja tomiku poetyckiego *Piać do podświadomości* Anny Błachuckiej. Ten tomik zawiera dwojaki materiał, z dwóch dziedzin twórczości artystycznej – malarstwa i literatury. Zespolecie tych dwóch materii: barwy, kształtu – słowa i dźwięku dało oryginalny efekt, który można by wyrazić pytaniem: czy słowo komentuje obraz, czy obraz inspiruje słowo? Skłaniałbym się do traktowania obu dyscyplin równorzędnie, ponieważ w obu dominuje określona symbolika, ukryta w kolorze i kształcie (obraz) oraz metaforze poetyckiej i strukturze wersyfikacyjnej tekstu (sonet). Wczytując się w tekst, odnosi się wrażenie, że jest tutaj jeszcze jeden „mariusz”, mianowicie tradycji (sonet, wersyfikacja) i współczesności (obraz, kolor). Poetyka sonetu jest specyficzna, zamknięta, jest to wiersz w samej strukturze trudny. Znakomicie ten rygor sonetu uchwycił poeta:

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych kształty
[coraz nowe.
Lubię te dźwięki pełne, szerokie, brązowe,
Brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą,
A w nieskończoną różność motywów rozsnutą,
Jak mgły na jednym niebie w przeróżną
[posnowę.
(Tetmajer, *O sonecie*)

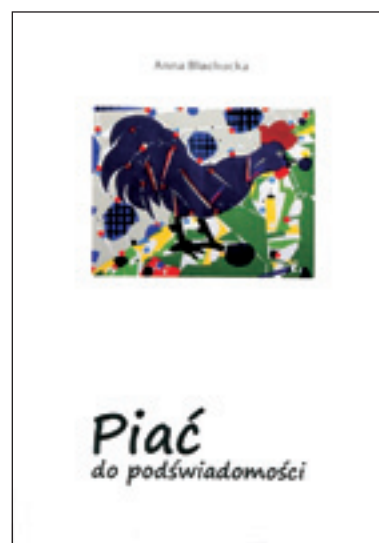
W sonetach *Piać do podświadomości* odnajdziemy, jeśli nie wszystkie, to z pewnością wiele walorów artystycznych, plastycznych, akustycznych. Trzeba więc przyznać, że autorka poradziła sobie ze skomplikowaną strukturą wersyfikacyjną, wypełniając ją bogatą treścią intelektualną.

Pierwsze, ale chyba zasadnicze pytanie: dlaczego taki tytuł *Piać do podświadomości*? Przede wszystkim naprowadza on na trop psychoanalizy Freuda, który podświadomość wypełnił treściami „niecenzuralnymi”, które ujawniają się w snach, halucynacjach, majakach i marzeniach na jawie. Na okładce jest obrazek koguta z jaskrawym czer-

wonym grzebieniem i w czarnym upierzeniu. To pewnie ma ograniczyć słowo „piać” tylko do piania tego ptaka z pominięciem innych znaczeń (np. śpiewać, piać z zachwytem). To w takim razie: kogut pieje wczesnym ran-

kiem na pobudkę, ale także na zmianę pogody, zapowiada, przeczuwa instynktownie możliwość odmiany np. ze snu do przytomności, z ciepła do chłodu, z pasywności do aktywności.

Skoro podświadomość w interpretacji wiedeńskiego doktora zawiera treści mętne, amorficzne, życzenia i pragnienia nie zawsze szlachetne, to obrazy wzbogacające tomik Anny Błachuckiej prezentują takie właśnie treści w kontrastach kolorystycznych, w zdeformowaniu naturalnych lub konwencjonalnych kształtów. Odbiorca tych obrazów odczuwa najpierw zdziwienie, następnie niepokój, zwłaszcza z racji częstego sprowadzania człowieka do poziomu zwierzęcia. Tu rodzi się podejrzenie, że autorka, pełna niepokoju, tytułem tomu atakuje współczesne cywilizacyjne inklinacje do preferowania *animal sociale*, człowieka zwierzę, dzikusa, któremu wystarcza zaspokoić potrzeby biologiczno-fizjologiczne. Pisał kiedyś Miłosz: „chyli się Polska w przyszłe czasy / Przed bóstwem wódki i kielbasy”. Natomiast filozof zauważył: „Natura ludzka polega na nieustannym wysiłku przekraczania granic zwierzęcości tkwiącej w człowieku i wyrastania ponad nią człowieczeństwem i rolą człowieka jako twórcy wartości. Bez tej misji i bez tego wysiłku wyrastania ponad samego siebie człowiek zapada z powrotem i bez ratunku w swoją czystą zwierzęcość, która stanowi jego śmierć” (R. Ingarden, *Książeczka o człowieku*). Nie jest to – tak myślę – nadinterpretacja.



Ów niepokój autorka sonetów zgrabnie prze-
myśla do czytelnika w strukturze wersyfikacyjnej,
stosując przerzutnię, czyli łamiąc wersy zacierając
wyrazistość rymów i intensyfikuje niepokój we-
wnętrzny podmiotu. W tym miejscu następuje
niejako synchronizacja między obrazem i słowem.

Dla zilustrowania tego zabiegu stylistyczno-
wersyfikacyjnego można znaleźć wiele przykła-
dów. Obrazek przedstawia portret poetki w kolo-
rach: czarnym, czerwonym, białym, fioletowym;
postać siedzi przy zielonym biurku, opiera ręce
na dwóch książkach. Do tego przypisany został
Sonet niewinny:

Nie bywam w kręgach uczących patrzenia,
a więc mniej widzę, nie to, o co chodzi...
Ale nie mogę opanować **drżenia**
pytań, gdy czuję coś, co inny spłodził.

Swoisty autoportret malarsko-słowny, w ja-
kim dominantą jest to permanentne „drżenie
pytań” zasadniczych o charakterze egzysten-
cjaldnym: kim jestem i co robię? Są to pytania
rudymtarne i fundamentalne zarazem, które
wypażają zagubienie we współczesnym świecie,
ujawniają niezrozumienie tajemnicy świata, nie-
możność rozszyfrowania podświadomości, dla
zrozumienia warunków egzystencji bytu.

Ktoś stawia znaki nieludzko dziewicze
gdzieś poza wiedzą spisaną, nazwaną.

W pierwszym sonecie łatwo dostrzec nawią-
zanie do wiersza Miłozza *Oeconomia divina*,
w którym poeta ostrzega przed cywilizacją bez
zasad. Autorka omawianego tomu ostrzega
przed pogonią za zyskiem, stanowiskami:

nadjechał biznes.
Jego dzikie oczy
świdrują drogę do kas, kont i banków.

Podsumowując te krótkie rozważania, trzeba
powiedzieć, że obraz współczesnego świata nie
jest optymistyczny. Przyspieszone tempo życia
ogranicza albo całkiem redukuje sprawność my-
ślenia; budzenie podświadomości jest także za-
grożeniem. Jest to bowiem ucieczka od realiów
codziennosci, zamykanie się w kręgu własnych
interesów, czyli w egoizmie.

W rozwoju pisarstwa Anny Błachuckiej
dostrzegam duży postęp zarówno formalny,

jak też merytoryczny. Jeden z wcześniejszych
tomików również w tytule – *Nie odwracaj gło-
wy* – sygnalizuje problem otwarcia na świat.
W jednym z wierszy przywołuje Gintrowskiego,
który ubolewał:

„Upadają obyczaje”!
Bez tradycji nie będziemy
Nigdy praworządnym krajem.

Te sonety mają solidną bazę intelektualną,
filozoficzną. Puenta *Sonetu świadomego*, ilu-
strowanego czarno-czerwonym kogutem, który

przerażliwym pianem
reanimuje w człowieku – świtanie

sugeruje możliwość przebudzenia, tęsknoty za
porządkiem, za odrodzeniem człowieka. Ogólny
pesymizm redukuje nadzieja Nadziei.

Stanisław Żak



Kolaż Jerzego Świątkowskiego z omawianego tomu

Anna Błachucka, *Piać do podświadomości* (sonety
z kolażami Jerzego Świątkowskiego), wstęp Zofii
Korzeńskiej, Kielce 2012, s. 100.

Spichlerz Regionalny Elżbiety Jach

W Skarżysku Kościelnym przy ul. Granicznej 9 na posesji Elżbiety i Włodzimierza Jachów powstał Spichlerz Regionalny oraz minigaleria rękodzieła o nazwie „Stryzek”. Uroczyste otwarcie odbyło się 19 maja 2013 r.

Zgodnie z polską tradycją, na początku uroczystości obiekt ten o charakterze regionalnej chaty został poświęcony przez ks. proboszcza parafii pw. św. Trójcy w Skarżysku Kościelnym – Mariana Czajkowskiego. Po tym obyczajowym akcie głos zabrała właścicielka Spichlerza Elżbieta Jach. Mówiła o pomysśle na wybudowanie takiego obiektu, o wieloletniej realizacji podjętego zamiaru i planowanej działalności edukacyjno-kulturalnej spichlerza w przyszłości. Pomysłodawczyni i organizatorka całego przedsięwzięcia podziękowała tym osobom, które pomogły przy wyposażeniu Spichlerza, udostępniły eksponaty i pomagały w przygotowaniu uroczystego otwarcia. Zostały one obdarowane drobnymi upominkami przez Panią Elżbietę.

Po okolicznościowych przemówieniach przedstawiciele miejscowych władz i przecięciu wstęgi Spichlerz zaczęli zwiedzać licznie zebrani zaproszeni goście.

Zafascynowana wydarzeniem, wystąpiłam i ja również jako Kundzia Jojko z przerywnikiem ludycznym i bardzo wesołym, wygłaszając monolog satyryczny pt. *Oda do sierpa*, oczywiście z rekwizytem w dłoni, i wprawiając zebraną publiczność w wyśmienity nastrój.

Z ognistymi tańcami wystąpił także Zespół Pieśni i Tańca „Skarżysko” z Miejskiego Centrum Kultury.

W ogrodzie przed Spichlerzem odbył się mini-kiermasz rękodzieła artystycznego miejscowych twórców. Podpisywałam też swoje książki.

Elżbieta Jach zadbała nie tylko o strawę duchową, ale też cielesną. Goście mogli się delektować wiejskimi przysmakami: barszczem, bigosem, chlebem ze smalcem, wiejskim pieczywem oraz napojami. Impreza trwała do wieczora, gdyż pogoda tego dnia była wyjątkowo piękna.

Muszę odnotować, że nazwa „Spichlerz” jest nieco myląca, gdyż ten obiekt *de facto* to duża wiejska drewniana chata, zbudowana częściowo

z elementów dawnego spichlerza, a częściowo z nowych materiałów drewnianych. Wewnątrz duża izba z tradycyjnym, wiejskim, historycznym już wyposażeniem. Elżbieta Jach zadbała tu o każdy detal, przeznaczając mu należne miejsce zgodnie ze sztuką etnografii. Obok spichlerza pod wiatą zgromadzono stare narzędzia rolnicze. Zwiedzając całość, można się cofnąć w czasie o kilkadziesiąt lat i przeżyć własne dzieciństwo albo też dowiedzieć się, jak żyli, jak mieszkali, w co się ubierali, z jakich przedmiotów na co dzień korzystali, jakimi narzędziami się posługiwali dawni mieszkańcy świętokrzyskiej ziemi.

Ten Spichlerz Regionalny to nie tylko zbiór wiejskich przedmiotów, to także oferta edukacyjno-kulturalna i turystyczna.

Wierzy w to poetka, rzeźbiarka i całym sercem oddana sprawie regionalistka Elżbieta Jach. Wierzą w to miejscowe władze i już się tym obiektem chwają, gdyż zdążyli Spichlerz pokazać marszałkowi woj. świętokrzyskiego Adamowi Jarubasowi.

Życzę Eli Jach jak najwięcej turystów i satysfakcji z tego ogromnego dzieła.



Władysława Szproch jako Kundzia Jojko Fot. Aldona Ostatkiewicz



Marszałek Adam Jarubas (z lewej)
gościł w Spichlerzu Elżbiety Jach
(z prawej)

Fot. Paweł Welpa/skarzysko.info



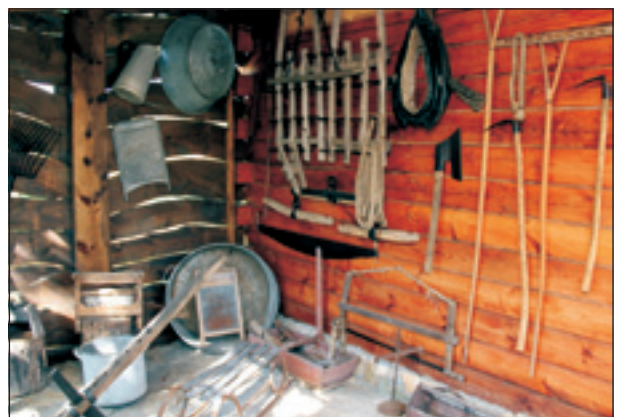
Fot. Władysława Szproch



Fot. Paweł Welpa/skarzysko.info



Fot. Paweł Welpa/skarzysko.info



Fot. Paweł Welpa/skarzysko.info

Kobieta z pejczem

Wujek Stanisław w czasie wojny należał do partyzantki. Lata całe siedział ze swoim oddziałem w lesie. W bunkrach wykopanych w ziemi albo na kwaterach, u tak zwanych konspiracyjnych „ciotek”. Należał do ugrupowania, o jakim nie wolno było po wojnie głośno wspominać. Palił namiętnie papierosy, jednego za drugim. Uznawał tylko extra-mocne bez filtra, jak na starego wiarusa przystało. Bawił się też często zapalniczką, zrobioną z karabinowego pocisku. Bardzo mu jej zazdrościłem, choć wówczas jeszcze nie paliłem.

Był przystojny, podobny trochę do aktora Stanisława Mikulskiego, niezapomnianego Hansa Klossa. Wysoki, szczupły, żylasty, włosy miał szpakowate, gęste, czesał się do góry, według przedwojennej mody. Często czuć było od niego gryzącą woń alkoholu. Kiedy pytałem go, czy pił coś dzisiaj, wujek odpowiadał mi, nieco zakłopotany, że to mocna woda kolońska. Używa jej do nacierania twarzy po goleniu, bo skórę ma wrażliwą.

Mimo różnicy wieku łączyła nas przyjaźń. Staliśmy się kumplami. Wujek kupował mi zabawki, najczęściej w postaci ołowianych i plastikowych żołnierzyków. Lubił się ze mną bawić w wojsko. Na podłodze w pokoju odtwarzaliśmy sławne bitwy. Zwłaszcza uwielbiał karabiny maszynowe, bo przed wojną, w armii Rydza-Śmigłego, służył jako cekaemista, na wschodnich kresach. Znał wszystkie typy tej broni. Wiedział doskonale, jak ją obsługiwać. Twierdził, że z zawiązanymi oczami może broń rozłożyć i złożyć z powrotem. To na wypadek, gdyby walki toczyły się w nocy.

Miałem czternaście lat, gdy pewnego dnia opowiedział mi swoją przerażającą historię. Wujek twierdził, że najgorszy dzień w jego życiu wydarzył się podczas hitlerowskiej okupacji. Wojna miała się ku końcowi, już słychać było ze wschodu dudnienie sowieckich armat, a także przerażający świst i jazgot rakietowych pocisków, „katuszy”. Niemcy zdawali sobie sprawę z tego, że ich koniec jest bliski. Przegrali wojnę. Pewnie

dlatego zatracali się niemal w okrucieństwie wobec ludności cywilnej. Szaleli. Mordowali, palili zagrody, a nawet całe wsie. Aresztowali mnóstwo niewinnych ludzi.

W pałacu dziedzica Wojciechowskiego hitlerowcy mieli swoją siedzibę. Stary piętrowy lamus dworski stojący w parku zamienili na tymczasowe więzienie. Przesłuchiwali ludzi w niezwykle okrutny sposób. Bili. Torturowali. Po nocach pili alkohol, głośno ryczeli przy muzyce z patefonu dziedzica. Wojciechowski już nie żył, zastrzelili go partyzanci z powodów honorowych. Opisał ich bowiem w krakowskiej „gadzinówce” jako pospolitych bandytów, kiedy odwiedzili go w majątku i skonfiskowali znaczną sumę pieniędzy. Egzekucje zbiorowe były na porządku dziennym. W obliczu przegranej wojny Niemcy i ich polscy poplecznicy urządzali wprost orgie sadyzmu. Chłopi mówili, że okupanci zachowują się jak muchy, które tną najmocniej jesienią.

Nasz powiat stał się terenem przyfrontowym. Niemcy zaostrzyli kontrolę ludności za pomocą żandarmerii oraz wojska. Pojawiło się dużo regularnych jednostek Wehrmachtu. Partyzanci, z powodu przygniatającej przewagi liczebnej oraz technicznej przeciwnika, zesłi do podziemia. Akowcy rozpuścili swoich ludzi po domach. Natomiast alowcy przedarli się przez linię frontu, aby połączyć się z wojskami radzieckimi. Przez front przedzierali się zwykli, szeregowi partyzanci, chłopscy synowie. Po tzw. szarżę czyli dowódców, przyleciał sowiecki samolot, mały dwupłatowiec, zwany kukuruźnikiem.

W lamusie ludzie umierali w strasznych mękach. Zazwyczaj z powodu uszkodzenia narządów wewnętrznych, pękniętej wątroby albo odbitych nerek, obrażeń powstałych w wyniku ciężkiego pobicia przez gestapowców. Jednemu chłopu podejrzanemu o kłusownictwo oprawcy poderżnęli bagnietem gardło. Ale nie do końca, żył jeszcze kilka dni. Z okropnej rany na szyi wydobywały się czerwone pęcherze. Wrzucili go do lamusa, półżywego, czekając aż się wykrwawi lub

udusi. Nie mógł jeść ani pić. Kłusownik po kilku dniach popełnił samobójstwo. Przeciął sobie żyły na rękach kawałkiem szkła, który dostarczyła mu jego żona podczas widzenia. Nie mogła patrzeć, jak jej mąż się męczy.

Najważniejszych więźniów, jeśli wykryli, że ktoś z zatrzymanych ma powiązania z partyzantami, wywozili na gestapo do Buska, wówczas powiatowego miasta. Tam ich, po torturach i przesłuchaniach, rozstrzeliwano. Tak zginął legendarny dowódca Batalionów Chłopskich w naszym powiecie – Jan Pszczoła, pseudonim „Wojnar”. Już przewieziony do Buska, w gmachu Gestapo, rzucił się z gołymi rękami na Niemców, żeby ich sprowokować. Nie chciał być katowany. Zginął, został zastrzelony na miejscu. Wydał go polski konfident, zdrajca, podobno niedorozwinięty umysłowo. Połasił się na pieniądze, które wkrótce straciły wartość.

Pszczoła najpierw siedział w tymczasowym areszcie w lamusie, w Błotach. Lokaj dziedzica, który był w konspiracji, chciał go uwolnić. Pszczoła nie zgodził się na ucieczkę. Bał się, że rozstrzelają jego bliskich. Miał starych rodziców i młodą żonę.

Tego strasznego dnia, który go całkowicie odmienił i zamienił w ludzki wrak, wujek wrócił do domu koło południa. Mieszkał z matką, ojciec zmarł na suchoty przed wojną. Siostra wyszła za mąż, mieszkała w sąsiedniej wsi. W nocy razem ze swoim oddziałem Wujek rozbijał niemiecki posterunek. Dowódca „Żbik” dał mu do przechowania tajne dokumenty; dotyczyły one personaliów członków oddziału i miały być przekazane do Londynu.

Ze zmęczenia i z nerwów wujek Stach zapomniał włożyć je od razu do swojego schowka w pasie, którą odziedziczył po zmarłym przedwcześnie ojcu. W pszczelim ulu było podwójne dno. Specjalnie zrobione przez stolarza. Tam wujek trzymał gazetki oraz broń krótką. Schowek nigdy nie zawiódł. Niemcy tam nie zaglądali. Bali się użądleń owadów?

W domu zjadł krupnik, odgrzewaną zupę, którą przygotowała mu matka. Zrobiło mu się ciepło, sennie i bezpiecznie. Był zmęczony, czuł ból w kościach, na chwilę przysiadł na łóżku, choć było pościelone. Nie zdawał sobie nawet sprawy, kiedy zasnął w ubraniu. Obudził się zalękniony, odrętwiały od przykrego sennego koszmaru, ze złymi przecuciami.

Było już za późno. Słyszał ujadanie swojego psa na podwórzu. Wskoczył na ganek. Wtedy ich zobaczył. Otaczali dom półkolem. Zza wzgórza koło cmentarza wyłaniały się sylwetki w hełmach, z karabinami. Ogromne postacie, bo zachodzące słońce rzucało długie cienie. Wyolbrzymiało ich sylwetki. Ostre, czerwone promienie oślepiały.

W panice cofnął się do izby. Zaczął gorączkowo myśleć, gdzie się ukryć. Piwnica, strych, sad... Wtedy zmartwiało z przerażenia. Przypomnił sobie o dokumentach schowanych za pazuchą.

Usłyszał wystrzał, a zaraz potem długi, śmiertelny skowyt swojego psa Karuska, uwięzowanego przy budzie. Oni już tupali podkutymi buciorami po drewnianym ganku, rozwalali drzwi, a potem szyby kolbami oraz kopniakami.

Wujek pobiegł do drugiego, ciemnego pokoju z tyłu domu, z oknem wychodzącym na wschód. Wyrzął do sadu, było pusto i cicho. Sielsko, jakby wojny wcale nie było. Cień padał od drzew owocowych: grusz i jabłoni. Pachniały intensywnie kwiaty. Krzyknęła gdzieś przenikliwie wilga. Brzęczały w rześkim, krystalicznym powietrzu, zapóźnione pszczoły, które wracały do pasieki z łąk, pól i ogrodów.

Zamierzał wyskoczyć oknem. A potem uciec w pola, które rozciągały się za księżym sadem, klucząc miedziami. Ale było za późno, już krzyczeli za jego plecami: Halt! Hande hoch.

Najpierw wpadli ci olbrzymi żandarmi, w lśniących płaszczach, w hełmach zakrywających oczy, ze schmeisserami w łapach. Okrutne, zwierzęce mordy, jak z sennego koszmaru. Ustawili się rzędem wzdłuż ścian. Wtedy wolno, teatralnym krokiem, wszedł tamten, znany w okolicy, major Hermann. Wyglądał operetkowo, czapkę założył zawiadaczko lekko przekrzywioną. Miał przy tym krzywe nogi, jak kawalerzysta. Chyba był lekko podpity, z ust śmierdziało mu alkoholem. Spod czapki spływały na czoło grube krople potu. Tuż przy jego nodze poszczekiwał wielki pies, czarny wilczur.

Za majorem, co zdziwiło wujka bardzo, a raczej speszyło, szła kobieta. W czarnym mundurze. Wąska spódniczka obciskała zgrabne nogi. Na głowie czarna furażerka z czerwoną nitką. Blond loki opadały jej na czoło. Pukiel włosów przysłaniał jedno oko. Miało się wrażenie, że gestapówka mruga porozumiewawczo.

Major gniewnie szwargotał. Uderzył wujka kilkakrotnie skórzaną rękawiczką po policzku. Jego słowa tłumaczył Polak, były nauczyciel w gimnazjum, obecnie na usługach gestapo. Jednak wujek zbyt był zdenerwowany, żeby zrozumieć dokładnie sens jego słów. Chodziło o wydanie kolegów z oddziału. Ktoś musiał na wujka donieść. Nagle major skończył szwargotać. Odwrócił się chybotliwie na pięcie i wyszedł do kuchni.

Wtedy zbliżyła się do wujka kobieta w mundurze. Poczł zapach jej perfum. Zamachnęła się i uderzyła go pejczem po twarzy. Ze zdziwieniem pomyślał, że nie czuje bólu, natomiast ma erekcję. Dotknął policzka, zapiekło. Poczł wilgoć. Miał krew na dłoni.

Po drugim uderzeniu uczł mimowolny wytrysk. Był to dla niego bardzo upokarzające. Nie rozumiał reakcji swojego ciała. Przecież nienawidził tej Niemki, a jednocześnie ona go jakoś fizycznie pociągła. Kobieta uśmiechała się zalotnie. Pies wilczur rzucał się na smyczy, szczerząc wielkie kły. Niemieckie psy tresowane były, żeby rozrywać ludziom brzuchy. Tak okaleczone zwłoki Niemcy z Buska oddawali rodzinom. Major wyciągnął z kabury pistolet. Przyłożył wujkowi do skroni.

Wtedy wujek Staszek – jak mi opowiadał z przejęciem – wyszarpnął swoje tajne dokumenty, jakie otrzymał od „Żbika” zza pazuchy. Zupłnie mechanicznie, bezwiednie wyciągnął przed siebie rękę z papierami. Jakby w próżnię, ale w kierunku majora. Nie wiedział, dlaczego to robi. Nie miał władzy nad sobą. Był w psychicznym szoku. Nie chodziło tylko o to, żeby ratować swoje życie. Został duchowo złamany. Poddał się wewnątrz. Pokazał majorowi swoją uległość. Wewnętrzną słabość, poddaństwo. Może nawet potem zostałby niemieckim szpiclem? Był na to gotów w tamtej chwili. Jednak wypadki potoczyły się inaczej.

Zawieźli go czarnym ciężarowym samochodem, zwanym budą, razem z innymi schwytanymi tego dnia, ze związanymi z tyłu rękoma do dworu Wojciechowskiego w Błotach. Tam przy parku, wśród ogromnych więzów, wysokich jak kolumny katedry, w lamusie zbudowanym z białego kamienia, mieściło się gestapowskie więzienie.

W nocy przyszedł do niego pod okno aresztu lokaj dziedzica Wojciechowskiego, który należał do konspiracji. Łomem z zewnątrz podważył kraty. Obaj uciekli do lasu.

Opowiedział wszystko dowódcy. Ukrył jednak przed nim, że sam podał Niemcowi dokumenty. Bo po co? Nie miało to żadnego znaczenia. Przecież hitlerowcy i tak by je znaleźli podczas rewizji.

„Żbik” rozesał ludzi z ostrzeżeniami do tych członków organizacji, którzy byli na liście. Większości udało się ukryć. Ale nazajutrz Niemcy przyjechali do zagrody wujka. Jego starą matkę zastrzelili, a gospodarstwo puścili z dymem.

Po wojnie wujek siedział w więzieniu w Pińczowie za przynależność do prawicowej partyzantki. Jednocześnie boczyli się na niego byli koledzy z konspiracji, podejrzewając, że ich wydał Niemcom. Niektórzy twierdzili, że wujek był konfidentem. Bardzo go to bolało. Był niezgodne z prawdą. Ale jednocześnie dręczył się tym, że kolaborantem mógł naprawdę zostać. A właściwie w środku, w głębi duszy, już się zgodził na taką rolę. Chociaż nikt obcy o tym nie wiedział, tylko on sam. Był to jego sekret. Ciężar winy. Nie mógł się go pozbyć. Nie wierzył w Boga, więc nie pomogłaby mu nawet spowiedź.

Nie mógł sobie wybaczyć lekkomyślności. Żałował, że od razu nie ukrył dokumentów. Sam powinien się gdzieś zamelinować. Po prostu stęsknił się za domem. Stracił na chwilę instynkt ściganej zwierzyny. Był nieostrożny. Winił siebie za śmierć matki.

Ale najbardziej dziwiła go i przygnębiała własna uległość wobec niemieckiej kobiety w mundurze. Nie mógł pogodzić się z tym, że coś w nim pękło, że się załamał. Z powodu pożądania, zmieszanego ze strachem przed śmiercią, gotów był na zdradę w chwili słabości. Nie mógł sam sobie wybaczyć. Kim była kobieta z pejczem? Podobno to wojenna narzeczona majora Hermanna, z jakiejś kobiecej służby pomocniczej, którą on wziął pod wpływem alkoholu na tę akcję. W pałacu Wojciechowskiego major urządzał orgie alkoholowe. Tak po wojnie mówili ludzie ze służby dziedzica, pokojówki i fornale. Ale nie chcieli ujawniać szczegółów. Zwłaszcza pokojówki. Niektórzy szeptali, że zmuszane były do rozpusty.

Mama twierdziła, że pewnie z powodu tego załamania nerwowego wujek się rozpił. Leczył się z alkoholizmu. Wyjechał potem na Ziemię Odzyskane, pod Szczecin, na jakąś bezludną wyspę. Chciał goić rany. Zapomnieć. Po kilku latach powiesił się z rozpacz.

Zdzisław Antolski

Jak Koziołek Matołek chciał zmienić nazwisko

Ależ się zrobiło! Jejku, jejku! A nic nie wskazywało na to, że będzie miało miejsce niezwykle wydarzenie, bo dzień zapowiadał się po prostu nudnie, robił wrażenie niedobudzonego, niewyspanego, wręcz zaspanego. Naciągał na siebie bez końca postrzępioną kołdrę z białych chmur...

I co się takiego stało? Wcale nie pukając, wpadł do mojego domu pan Stefan Uchacz, zwany przez wszystkich po prostu Stefciem. Znany był z tego, że jedno ucho miał wielkie niby talerz telewizyjnej anteny satelitarnej, a drugie – maleńkie, normalne. Tym olbrzymim uszykiem wysłuchiwał, podsłuchiwał wyłącznie złe wiadomości, a tym małym dobre. Tych ostatnich było niewiele, więc w przyszłości wystarczało to miniaturowe uszko. Natomiast wiadomości złych była jak zwykle kopiasta fura, taka jak w wieczornym dzienniku telewizyjnym, więc potrzeba było na ich wysłuchiwanie wielkiego ucha.

– Nieszczęście, nieszczęście! – wołał z rozpaczą Stefcio.

– Co się stało? Giewont się zawalił? Tatry przeniosły się nad morze? Śpiący rycerze się przebudzili? – usiłowałem żartować do grobowej miny Stefcia.

– Ależ nie! Jeszcze gorzej: Koziołka Matołka ukradli sprzed „Opolanki”!

– Niemożliwe!

– Przysięgam...

„Opolanka” przy ulicy Tetmajera nr 15 w Zakopanem to willa, w której mieszkał Kornel Makuszyński, autor m.in. *Przygód Koziołka Matołka* i *Małpki Fiki-Miki*. Pisarz zmarł w mieście pod Tatrami w roku 1953, a dom, w którym tworzył, zamieniono na muzeum. Przed „Opolanką” jest pomnik-popiersie Makuszyńskiego, a u jego podnóża przepiękny, w brązie odlany, Koziołek Matołek.

I teraz Koziołek Matołek zniknął!

Policja wszczęła gorączkowe poszukiwania. Jak do tej pory – bezskutecznie. Stefcio, prawie płacząc relacjonował smutne wydarzenia – wszyscy bardzo kochali tego Koziołka Matołka! Jaki był wypieszczony, wygłaskany, obfotografowany niczym filmowa gwiazda. Każdy chciał go pogłaskać, dzieci przytulały się do niego – Stefcio

omal płakał, gdy to mówił, prawdziwe łzy ocierał z policzków. – I teraz go nie ma w Zakopanem! Gdzie on się podziewa? Co za bezlitosne łotry ci złodzieje!

Makuszyński patrzył z góry, czyli z nieba, i też był zmartwiony. To wiem na pewno! Podsłuchiwałem, jak mówił o tym do skrzydlatych niebian. Ci też umieli całą książeczkę Makuszyńskiego na pamięć. Nie tylko ja...

I pan Stefan Uchacz z przejściem zaczęła recytować końcowe zwrotki *Koziołka Matołka*:

W nocy z Matołkiem gadał długo,
Spoglądając wciąż na chmury,
Potem w mieście kosz zakupił
I konopne mocne sznury.

Kosz u dołu uwiązali,
A do kosza wsiadły dzieci:
„Dobra nasza!” – rzekł Matołek,
„Księżyc zaraz w górę wzleci!”

Księżyc właśnie stanął w pełni
I jak balon, co ulata,
Wznosił się od całej ziemi,
Potem płynął na kraj świata.

Zabeczały wszystkie kozy,
Zapłakały kozie panie,
Z kosza zaś, jak deszcz rzęsyty,
Spadły łzy na pożegnanie.

Gdy nazajutrz wisiał nisko,
Przystawili doń drabinę,
I sznur długi zaczepili,
Chociaż gniewną zrobił minę.

Księżyc leciał, leciał w górę,
Ponad góry, ponad morza,
Tą niezmierną w chmurach drogą,
Którą kreśli ręka Boga.

Jeszcze długo rozmawialiśmy o Koziołku Matołku i jego przyjaciółce małpce Fiki-Miki. Stefcio Uchacz z zafrasowaniem pocierał swe wielkie, satelitarne ucho.

– A może Koziołek po prostu uciekł, bo miał dość stania przed „Opolanką”?



Pomnik Koziołka Matołka w Pacanowie

Fot. Wikipedia

– Znając jego fantazję i nieoczekiwane pomysły oraz wstręt do „nicnierobienia”, jest również możliwe – potwierdziłem ze smutkiem domysły Stefcia.

Jeszcze chwilę rozmawialiśmy, a potem pożegnałem się z właścicielem olbrzymiego ucha, bo miałem tego dnia jechać do Rabki. Na pożegnanie Stefcio obiecał, że rozejrzy się dobrze po Zakopanem i okolicy, bo może Koziołek pozazdrościł tatrzańskim kozicom i udał się gdzieś w góry, aby poskakać sobie, pohasać po skałkach...?

Wszystko było możliwe.

Lubiłem odwiedzać Rabkę-Zdrój, która od roku 1996 była ogłoszona Miastem Dzieci Świata. Tutaj chore maluchy odzyskiwały w licznych sanatoriach utracone zdrowie. W Rabce był też piękny pomnik świętego Mikołaja, stojący przed stacją kolejową. Rabka jest naprawdę dziecięcą stolicą i ja, stary człowiek, młodniałem z każdym krokiem.

Najbardziej lubiłem posiedzieć sobie dłuższą chwilę w parku zdrowym, posłuchać śpiewu ptaków i dziecięcych głosów, które były tak piękne, jak ptasie trele.

Rozglądałem się bacznie wokół, czy nie dostrzegę gdzieś mojego zaginionego Koziołka Matołka. Ale nigdzie go nie było widać. Nigdzie! A coś mi mówiło, że dzisiaj go zobaczę. Miałem takie przeczucie...! Gdzieś w moim pobliżu odezwała się kukułka. Zacząłem liczyć jej kukanie. Nie byłem pewny, czy odezwała się dwadzieścia razy, czy dziewiętnaście. I wtedy olśniło mnie! Naprawdę! O 19.30 trzeba wysłuchać wiadomości w telewizyjnym dzienniku. Może coś powiedzą o Koziołku Matołku? Kto wie? Tak myślałem przeświadczony, że tak z pewnością będzie.

Spokojnie wróciłem z Rabki do Zakopanego. Zaszedłem jeszcze przez „Opolankę”, by zobaczyć, czy zguba przypadkiem już się nie odnalazła. Niestety! Koziołka Matołka nie było. Pan Kornel smutno patrzył z pomnika. Widać, że też tęsknił za swym pupilem. Nie było jego ukochanego przyjaciela, który mu opowiedział aż sto dwadzieścia swoich przychód.

O 19.30 usiadłem przed telewizorem. Pierwszą wiadomością była informacja, że prezydent RP Lech Kaczyński złożył wizytę w Łodzi i spotkał się tam w Wyższej Szkole Filmowej z artystami. Żartował o swym udziale w dzieciństwie razem z bratem bliźniakiem w filmie pt.: *O dwóch takich, co ukradli księżyc* według powieści Kornela Makuszyńskiego. Mówił, że to były wspaniałe czasy, gdy byli filmowymi braćmi: Jackiem i Plackiem. „Nikt w szkole nas z tego powodu nie przezywał” – dodał z uśmiechem i w tej chwili spostrzegłem, jak w pobliżu prezydenta pojawił się... Koziołek Matołek i nie kłaniając się, głośno zawołał:

– Panie prezydencie! Panie prezydencie! Wnoszę gorącą prośbę... Ja nie chcę już dłużej nazywać się Matołek! Umiem posługiwać się komputerem, Internetem, gram w szachy, władam dwoma językami, umiem również wysyłać listy elektroniczne! Nie jestem M a t o ł k i e m!!! Proszę wydać odpowiednie zarządzenie...! Mogę na przykład nazywać się Wesolek, Koziołek Wesolek albo Radostek, a nie Matołek. To mi po prostu ubliża! Panie prezydencie, bardzo proszę...

Ochrona prezydenta odciągnęła Koziołka do tyłu. Słysząc było, jak rozpaczliwie wołał: – Przecież jesteśmy pobratymcami! Mnie oraz Jacka i Placka stworzył pan Makuszyński, nasz pisarski ojciec. Panie prezydencie... Jak pan mi nie pomoże, to ja sam zwołam zjazd, zlot, kongres, sejmik krajowy lub światowy. Zjadą się moim książkowi koledzy, przyjaciele, bohaterowie

różnych książek dla dzieci, poprą moją prośbę o zmianę nazwiska. Oto moje żądanie!

Telewizyjna kamera pokazała jeszcze, jak pan prezydent uśmiechał się dobrotliwie, wyrozumiale. I tyle całego zamieszania w sprawie Koziołka, który nie chciał się nazywać Matołek. Wiedziałem, że na tym sprawa się nie zakończy, bo i telewizyjny komentator rzekł, że to raczej minister kultury powinien podjąć temat, a może minister edukacji lub spraw wewnętrznych.

Nie mogłem tej nocy zasnąć. Nie umiałem odpowiedzieć na pytanie, co teraz robi Koziołek Matołek? Jak trafił do telewizji? I to była przyczyna mojej bezsenności. Zasnąłem dopiero nad samym ranem.

Zdawało mi się, że spałem najwyżej pięć minut, gdy obudził mnie posiadacz wielkiego ucha. Nie wszedł do mego domu, lecz po prostu wtargnął!

– Słyszał pan? Widział pan? Był i znowu go nie ma... Już omotał telewizję polską! – Stefcio krążył niczym bąk po pokoju. Nie potrafił usiąść nawet na chwilkę. – Jaki on kongres wymyślił? Co on sobie właściwie wyobraża? Czy on zamierza rządzić światem? Zwariować z nim można! Prawdziwy z niego Koziołek Wesotek. Nieobliczalny! A może on chce być wodzem, królem i cesarzem wszystkich bohaterów dziecięcych książek? Chyba zwariował! Jak pan myśli?

Dosłownie topiłem się w powodzi Stefcio- wych pytań. Nie miałem na żadne pytania najmniejszej nawet odpowiedzi, więc milczałem poważnie przestraszony.

Po chwili znowu byłem sam, bo Stefcio, jak nieoczekiwanie wpadł do mnie, tak też błyskawicznie zniknął, czyli „wybył”, nawet nie powiedziawszy „do widzenia!”. A ja, stary, nie widziałem, że dzięki telewizji, wiadomość o zamiarach Koziołka poszła w świat i my obaj nie mieliśmy w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie wiedziałem również, czy to jest dobra, czy też zła wiadomość. Stefcia z jego niezwykłymi uszami nie było w pobliżu, więc nie miałem kogo zapytać. Wypadało uzbroić się w cierpliwość i czekać na rozwój wydarzeń.

W wieczornym, głównym wydaniu wiadomości telewizyjnych podano, że Koziołek Matołek znów się gdzieś ukrył i wiadomo jedynie, o czym poinformowały służby specjalne, że wysyła emaile i esemesy z zaproszeniami na wielki zjazdokongres, złoto-sejmik do swych książkowych braci i siostr. Miejsce polsko-międzynarodowej kon-

ferencji okryte jest głęboką tajemnicą. Jedynie gazety będą informować, kto potwierdził chęć przejazdu, czyli przyjął zaproszenie i prosi rezerwację miejsca. Wszystkiemu szefuje oczywiście, jak Pan Owsiak z Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, sam Koziołek. Ale jeszcze nie Wesotek, bo zjazd musi podjąć uchwałę w tej kwestii.

Już następnego dnia poranne gazety wydrukowały pierwsze zgłoszenia do udziału w niezwykłym zlocie, pierwszym w historii istnienia książek dla dzieci, albo jak kto woli: literatury dla młodego czytelnika.

Skrupulatnie zbierałem te informacje, założyłem specjalną teczkę z wycinkami prasowymi. Pomagał mi w tym, zupełnie oszołomiony niezwykłym wydarzeniem Stefan Uchacz z coraz większym jednym uchem, prawym! Wydawało nam się obu, że słynny na cały świat Mały Książę, którego stworzył przed laty A. Saint-Exupéry, patrzy teraz na nas obydwu życzliwie z góry, z wysokości swej planety... Musiał mu się podobać zjazd bohaterów dziecięcych lektur.

Pierwsze dwa zgłoszenia przyszły z zagranicy, z Czech, od czarnego Krecika i jego leśnych przyjaciół. Podpisane było słynnym „Ahoj!”. Drugie zgłoszenie było z Anglii, od Kubusia Puchatka i jego wiernych kompanów: Królika, Prosiaczka, Kangurzyca z Maleństwem, Ośła i Sowy Przemądrzałej. Dołączona też była piosenka zatroskanego Puchatka:

Hejże Ha! Niech żyje Miś!
Kto? Kto taki? Co za Miś?
Miś Puchatek, chyba wiecie.
Kubuś? Znany? Co to znaczy?
Owszem znany. Nie inaczej.
Z czego?
Zaraz wytłumaczę.
Więc ten Kubuś, jak to bywa,
Choć nie umiał wcale pływać,
I choć nie miał żadnej łodzi,
Uratował od powodzi
Serdecznego przyjaciela...
Jak to zrobił ten Puchatek?
Więc wynalazł taki statek,
Nie kłodzisko jakieś marne,
Lecz wspaniały okręt-garnek.
No i właśnie tym zasłynął,
Że po prostu nim popłynął.
(O kim mowa?)
O Puchatku, O Kubusiu, O niedźwiadku.
O tym Misiu, mężnym, znanym,
Co miał Rozum Niesłychany,

O tym, co jak głosi wieść,
Ponad wszystko lubił jeść
I był gruby jak baryłka.
(Czy to czasem nie pomyłka?
Czy na pewno to ten sam?)
Tak, to Kubuś, Miś Puchatek,
Wielki mędrzec i bohater,
A więc, panie i panowie,
Pijmy teraz jego zdrowie!

Przyszło z kolei duże zgłoszenie z Polski, od Marysi, pastuszki z Głodowej Wólki i od jej krasnoludków, na których czele stał oczywiście stary król Błystek. Na zawiadomieniu byli wymienieni również wierni studzy króla Błystka, a mianowicie Żagiewka, skarbnik Groszek, a także Sikorek, Krężolek, Biedronek, Podziomek, no i oczywiście naczelny kronikarz: Koszałek Opałek!

Krasnoludki, czyli skrzaty i Bożęta, dopisały jeszcze w PS, że bardzo się cieszą i ćwiczą już maleńką pioseneczkę:

Liczym ziarnka piasku,
Liczym krople w zdroju,
Krople rosy w trawie,
Krople potu w znoju!
Liczym kwiaty na łąkach,
Liczym liście w borze,
Zapisujemy pięknie
Na brzoźowej korze!

I był jeszcze jeden dopisek od Marysi, że prosi też na spotkanie Królową Tatrę...

Nadeszło również zgłoszenie ze Szwecji, od sławnych Muminków. Pisali, że bardzo się cieszą – Ryjek Włóczykij, panna Migotka i Migotek Paszczak.

Potem odezwała się Dania. Telegrafował tradycyjnym sposobem ołowiany żołnierz od pana Andersena. Zapowiedziała także swój przyjazd zakochana para: urocza tancerka wraz ze swym partnerem, oboje wycięci z papieru. A jak oni potrafili pięknie tańczyć! Każdy pamięta do dziś...

Dali znać z Bielska-Białej uroczy dwaj chłopcy. Bolek i Lolek, mimo kłopotów, jakie mieli ostatnio. Zaraz po nich napisała list sympatyczna kluska – Pyza, którą stworzyła pani Hanna Januszewska. Wszyscy pamiętali Pyzę z polskich drózek albo też ze Starego Miasta w naszej stolicy Warszawie.

– To gości zagranicznych będzie więcej niż krajowych? – dziwił się wielkouchy Stefcio.

– Polska w całym świecie słynie z gościnności, więc każdy chętnie tutaj przyjeżdża.

– Żeby tak jeszcze pamiętali o przywiezieniu podarunków, czyli gościńców.

– Myślę, że tak. Ja nigdy nie potrafię zapomnieć o gościńcu dla swoich bliskich. Podaj drobiazg, ale zawsze nie przyjeżdżam z pustą ręką.

– Bo to doprawdy piękny, staropolski zwyczaj! Trzeba mu zrobić światową reklamę – zapalił się w chwaleńcu tego zwyczaju pan Stefcio.

A gazety drukowały i drukowały zapowiedzi licznych przyjazdów. I tak odezwał się stół Trąbalski i majster Klepka, duszek Dzińdzizinek i gałgankowa Balbisia. Chęć wzięcia udziału w nadzwyczajnym kongresie ujawnił też Kiciuś majstra Lepigliny i...? I kto!?

Na pewno też przyjadą dzieci z Bullerbyn, a więc Lisa, bracia Lasse i Bose, Olle, Britta i Anna. Cała szwedzka szóstka przypominała w liście swoje czarodziejskie wezwanie:

Raz, dwa, trzy na me wezwanie
A za czwartym niech się stanie,
A za piątym niech tu będzie,
A za szóstym huknie wszędzie!

Coraz więcej było gości z Polski: pan Kleks, Babulej i Babulejk, Cudaczek-Wyśmiewaczek, Czerwony Kapturek, Jacek, Wacek i Pankracek, Kacperek, Jaś i Małgosia, Klituś Bajduś, Kacperek i Kajtek, Jaśki, Józki i Franki, Jośki, Mośki i Srule, król Maciuś, kot Bazyli, Kubuś Spóźnialski, Marek Wagarek, Łatek i Fikołka, Malwinka, matematyk Szymon Patyka, Puk i Fuk, Pan Tralaliński, Pan Doremi, i jego siedem córek, Miś Uszatek, Gucio Pingwin, Jacek Wiercipięta, Tomcio Paluch, rycerz Szaławiła, Plastuś, Reksio i Pucek, Stach Sobiepan, Brudasek-Oberwasek, Skoczek-Toczek, Rzemieślniczek-Wędrowniczek, Zosia-Samosia.

I znowu odezwali się goście ze świata...

– Żeby tak jeszcze widzieli, co to jest gościniec – wdychał pan Stefcio. – To byłoby pięknie!

– A niechże pan przestanie! – strofowałem wielkouchego przyjaciela.

– Dobrze, dobrze – i już grzecznie czytał, kto jeszcze przyjechać zamierza na zjazd zwoływany przez Koziółka Matołka, który chciał się nazywać po prostu – Wesolek!

I tak z Niemiec zamierzali się pojawić Gdakasz, Gdakula i Gdakuleńce. Ze Szkocji Piotruś Pan, ze Szwecji Nils Paluszek. Z Rosji przygłopować obiecał Konik Garbusek, natomiast z Włoch drewniany chłopczyk Pinokio. Z Niemiec pszczołka Maja z pszczelego ludu i jej przyjaciel,

poeta Alojzy Siedmiokropek, czyli biedronka albo Boża Krówka.

Ta właśnie „boża krówka” na okoliczność zlotu-zjazdu ułożyła wcale zgrabny wierszyk:

Ja
żyję słońcem, spokojem
i miłością ludzi –
bierzcie ze mnie przykład
wy – mali i duzi
słonecznego pokoju
życzę wam na każdy dzień!

Głośnym szczekaniem, jakby wielkimi literami, oznajmił chęć swojego przybycia, niezwykle pies, Ferdynand Wspaniały, z rodowodem od znanego poety, pana Ludwika Jerzego Kerna.

A potem, po Ferdynandzie Wspaniałym, zgłosiły się smerfy, zielone ludki. Za nimi zapowiedziała się duża grupa zagranicznych gości: wesole zwierzęta od doktora Dolittle ze Stanów Zjednoczonych Ameryki, a może i z Wielkiej Brytanii, bo nie było to sprecyzowane w podpisie. Ale czegoż można się było spodziewać po kaczcie Dab-Dab, psie Dżipie, śwince Gab-Gab, papudze Polinezji czy sowie Tu-Tu? Z pewnością nie precyzji i dokładności, która jednak powinna wszystkich zawsze cechować. Podkreślał to każdego dnia Stefcio wielkouchy.

– Ale niech przyjadą, niech pojawi się to zoo! Będzie radocha! Robi się tłum gości. I o to przecież chodzi.

Bo i rzeczywiście! Do owego różnokolorowego tłumu co raz to dołączał ktoś nowy. Na przykład sławny Krecik z Czech i Kot w Butach z Francji, którego stworzył przed trzystu laty monsieur Charles Perrault. Był on również „ojcem” Kopciuszka, Śpiącej Królowny, Czerwonego Kapturka, Wilka, Babci i Dobrych Wrózek. Słowem – istny bogacz wyobraźni! Ale dzielił się ze wszystkimi swym „bogactwem”, wysyłając swych bohaterów na cały świat.

Ale tak po prawdzie, to czekaliśmy na akces od Pippi Pończoszanki ze Szwecji. Ta szalona, pełna pomysłów, dziewczynka, posiadaczka dwóch rudych, sterczących, sztywnych warkoczków, właścicielka willed „Śmiesznotka”, konia i mały, była i jest ulubienicą całego świata.

Jej przyjazd stałby się prawdziwą sensacją i niezwykłym wydarzeniem!

I nadszedł drugi esemes. Pippi pisała w nim, że przywiezie swoje własne pigułki arbuzowe dla

tych, co nie chcą dorosnąć. I oczywiście czaro-dziejskie zaklęcie:

Pigułka z arbuzem –
Ja nie chcę być DUŻA!

Przypominała też, że nie można powiedzieć DUŻA, bo wtedy rośnie się w... przeraźliwy sposób.

Były telefony również z Ameryki, co odnotowała zaraz prasa, od nieśmiertelnego Kaczora Donalda i Myszki Miki. Pojawiły się też informacje, że Koziołek Matołek nie oczekuje raczej głosowania uczestniczenia w zjeździe od Harry`ego Pottera, bo ten zwariowany chłopiec wszystko by zamieszał i popsuł oraz zaczarował, a to z pewnością zakłóciłoby powagę nadzwyczajnego kongresu. Na szczęście Harry milczał. Czyżby lekcewał pomysł zlotu dziecięcych ulubieńców? Możliwe i bardzo prawdopodobne.

W oczekiwaniu na dalszy rozwój wypadków minęły dwa dni, aż wreszcie ciepły, złoty kwiatek słońca przyniósł w darze, jakby w niebiańskim gościńcu, wielki jasny dzień, w którym rozpoczął się oczekiwany Wielki Zjazd zwołany przez Koziołka Matołka.

Było ciepło, złościście, bajecznie szczęśliwie. Gdzieś daleko było zmartwienie, kłótnie, śmierci, wojny i wszelakie nieszczęścia. Wielkie, delikatne trąby wiatrów podhalańskich grały symfonię skomponowaną przez koniki polne. Dyrygował niczym Penderecki sam Wielki Koń polny w złotych okularach. Słowem, było bardzo uroczyście, bo nie mogło być inaczej. Był to dowód wielkiej miłości do Koziołka Matołka.

Już poprzedniego dnia stało się coś niezwykłego. Po lekkim deszczu, który na mokro wylakierował cały zakopiański świat, w poddeszczowym słońcu pojawiała się na niebie olbrzymia tęcza.

Tęczowy warkocz jakby w łuk triumfalny się ustawił. Popatrz – zobacz! – wołali wszyscy. I odgadnij, dla kogo ten łuk, kto pod nim stanie w chwale, a kto przejdzie jako zwycięzca?

Może to będziesz ty? Dziś lub kiedyś?

Tak skomentował tęczowy łuk pan Stefcio. Przytakiwałem mu z radością, która mnie brała w otwarte ramiona niczym brat lub siostra.

Siedziałem przed telewizorem razem ze Stefanem. Za chwilę w programie I miała rozpocząć się transmisja z uroczystości otwarcia zjazdu bohaterów książek dla młodych, małych, ale przede wszystkim pilnych czytelników.

Zbliżała się godzina dziesiąta rano. Równy z jej wybiciem zaczęło się telewizyjne sprawozdanie. Ciekawość widzów była wielka, bo miejsce spotkania trzymane było dotąd w tajemnicy. Okazało się, że zjazd odbywa się w Zakopanem, pod Wielką Krokwią. Poszliśmy tam natychmiast. Zewsząd schodzili się ludzie i zajmowali miejsca na trybunach.

Koziołek Matolek w białym fraku stał na progu skoczni i przez mikrofon wielkim głosem wołał:

– Witam wszystkich najserdeczniej! Zapewniam, że słońca starczy dla każdego. Proszę się kolejno przedstawiać!

Rozległy się fanfary, zaczęła się strojna parada.

Uczestnicy zlotu, którzy dotąd zajmowali licznie ławki po obu stronach skoczni pomiędzy widzami, kolejno stawiali się na wybiegu u podnóża Wielkiej Krokwi. Każda postać witana była gromkimi oklaskami.

Szczególnie gorące owacje na stojąco zgotowano krasnoludkom. Było ich chyba parę setek. Nie wiadomo, skąd się wzięli w takiej ilości. Kolorowi, weseli, tańczący, fikający przewrotki, aż im siwe brody fruwały wokół głów niczym białe skrzydła. Płasali i śpiewali wokół swego monarchy, ukochanego króla Błystka. On sam był bardzo poważny w całej tej krasnoludkowej karuzeli.

Podobnie powagę zachowywał sekretarz Jego Królewskiej Mości, Koszałek-Opatek. Pilnie rozglądał się wokół, by nie uronić żadnego wydarzenia. A było na co patrzeć i było czym się zachwycać! Bo oto na koronie skoczni zjawiła się... Zgadnijcie kto? Oczywiście ona! Szalona, przez wszystkie dzieci kochana i uwielbiana – Pippi Pończoszanka!

Na moment zapadła oczekiwana cisza. Wszyscy spoglądali na szczyt Krokwi. Pippi do ramion miała przypiętą małą lotnię, a do nóg nartorolki. A więc pewnie wbije się w powietrze i pofrunie za chwilę w dół. Jeszcze nigdy w swym niezwykłym życiorysie nie była w roli narciarskiego skoczka! Ba! W historii narciarskich skoków nie było do tej pory płci żeńskiej. Są tylko skoczki, mężczyźni. A więc prawdziwa rewelacja! Coś niebywałego i doprawdy niezwykłego!

Więc wszyscy tłumnie zgromadzeni pod Wielką Krokwią zamarli w niecierpliwym oczekiwaniu. W ciszy omal słyhać było, jak głośno biją serca ludzi.

Koziołek Matolek machnął chorągiewką i Pippi ruszyła w dół! Na progu odbiła się jak sam Adam Małysz i poszybowała...!

Skok był rewelacyjny, rekordowy! Dwieście metrów! Absolutny rekord Wielkiej Krokwi. Zerwała się burza oklasków, mocnych niczym halny wiatr. Pippi udawała, że nie słyszy tych kaskadowych braw. Kłaniała się z gracją, jak przystało na narciarską baletnicę powietrzną. Pierwsza w świecie s k o c z n i n a! Mistrzyni za pierwszym razem, za pierwszym skokiem.

– Kto pobije ten rekord? – pytał przez mikrofon Koziołek Matolek.

– Kto?

Zapadła cisza, ale tylko przez chwilę, bo wyrwali się z odpowiedzią przybysze z Bielska-Białej, czyli Bolek i Lolek.

– My skoczmy dalej! Najdalej! – zapewniali. Wzięli nartorolki od Pippi. Za przyczyną Pippi oraz bielsko-bialskich chłopców dziecięca rewia bohaterów książek z każdą minutą nabierała nowych blasków i wzbudzała prawdziwy entuzjazm.

Skok Lolka był piękny, ale w granicach „tylko” 120 metrów. Bolek był o dwa metry lepszy. Pippi była niepokonana! Dumnie siedziała w honorowej łoży i niczym pierwsza dama udzielała na gorąco telewizyjnego wywiadu. Obok niej siedział Piotruś Pan z Nibylandii. Wyglądał bardzo tajemniczo. Milczał i w tym kryło się jakieś niebezpieczeństwo. W ręce trzymał fujarkę, ale nie grał na niej. Jakby na coś czekał... Z lewej strony siedziała milcząca dziewczynka, Cynowy dzwoneczek, ubrana w elegancką suknię z równo przyciętych liści.

Pippi, nie bacząc na gwar i coraz to kolejną prezentację dziecięcych bohaterów, opowiadała telewizyjnym reporterom, że teraz chce być... poetką. I to taką największą, aby otrzymać nagrodę Nobla! Na razie jeszcze nie pisze wierszy, tylko je sobie czyta i uczy się ich na pamięć.

– Każdy człowiek w prezencie komuś bliskiemu na imieniny, urodziny czy na jakąś domową uroczystość powinien nauczyć się wiersza i wyrecytować go w darze. Z podróży też powinien przywozić wiersz. Taki rymowany gościniec. Może go też sam napisać i wtedy byłoby najpiękniej...

– Więc jakiego wiersza uczysz się teraz na pamięć? – spytał reporter.

– O, dobre pytanie! Akurat umiem na pamięć pierwszą zwrotkę wiersza Fernando Pessoa:

Bóg chce, człek marzy, a dzieło się rodzi...
Chciał Bóg, by ziemia jedna była cała,
By morze łączyło, a nie dzieliło narody.

I w tej chwili rozległy się na Krokwi wielkie brawa, jakby od Giewontu halniak przeleciał, bo wywiad był nagłaśniany przez wzmacniacze na cały teren zimowej skoczni.

– O, fajnie! Fantastycznie! – cieszyła się Pippi i odebrała mikrofon redaktorowi. – Pan pozwoli, że skorzystam z okazji i nauczę wszystkich paru ważnych słów, bo widzę, że tu są goście z całego świata. I głośno zapytała:

– Jakie jest najpiękniejsze słowo?

Cisza.

– Pieniądz! – krzyknął mały skarbnik, krasnoludek Groszyk.

– Bzdura, dziadku krasnoludku...! – No, jakie słowo? – Pippi nie ustępowała.

Cisza jeszcze większa.

Milczał również Koziółek Matołek, który niczym frasobliwy Bóg siedział na progu skoczni. Cierpliwie czekał na swoje pięć minut. Nie tylko chciał przedstawić powód zwołania światowego zlotu ulubieńców dzieci, ale również miał przygotowany niezwykle prezent, ów gościniec. Były nim długopisy, co nie robiły błędów ortograficznych i zawsze pisały poprawnie. Takie właśnie cudowne, wymarzone, magiczne, antybłędowe, po prostu czadowe! Słowem – antyterrorysty ortografii! Który uczeń nie chciałby mieć takiego długopisu? Dyslektycy mogliby z radością chodzić do szkoły!

– Tym najpiękniejszym wyrazem jest słowo...

– Pippi zrobiła efektowną pauzę, dłuższą przerwę – ...kocham cię!

Stadion doprawdy oszalał. Brawa, śmiechy, głośne potwierdzanie prawdy tego stwierdzenia. Pobliskie tatrzańskie szczyty wyciągały skalne ręce do ludzi, jakby gratulując im odwagi przyznania się do najważniejszej życiowej międzyludzkiej prawdy.

A Pippi nie ustawała w przypominaniu najważniejszych słów dla człowieka:

– Po angielsku: I love you!

– Po angielsku: I love you!

I stadion trzykrotnie powtórzył.

– Po niemiecku: Ich liebe dich!

Cały stadion powtórzył sześciokrotnie.

Po węgiersku: Szeretlek!

Stadion powtórzył dziewięciokrotnie.

– W języku esperanto: Mi Amas Win!

Rozentuzjasmowani ludzie zawołali wielkim, zgodnym chórem dwunastokrotnie!

– Po włosku: TI AMO!

Stadion powtórzył piętnastokrotnie!

– W języku hiszpańskim: Te AMO!

Stadion powtórzył to miłosne wyznanie aż osiemnastokrotnie.

Pippi szalała z radości. Pewnie by teraz podniosła do góry nawet trzy konie, a nie tylko jednego! A król Dardanel musiałby cerować jej podarte pończochy, słowo honoru! Tak myślałem, patrząc na szalejącą widownię pod skocznią. Pan Stefan zupełnie oniemiał, pocierał swe wielkie ucho, a właściwie ciągnął je niemiłosiernie, że aż strach brał, czy go zupełnie nie urwie i zrobi sobie z ucha czapkę lub beret.

Powoli jednak wszystko się uspokoiło. I znowu kolejni goście zaczęli swe prezentacje. Każda postać nagradzana była oklaskami, które echem odbijały się od gór i wracały do Zakopanego. Niedaleki Giewont z krzyżem na czole przysłuchiwał się tym niezwykłym głosom z zadowoleniem i aprobatą. On przecież od niezliczonych lat pilnował, by wśród ludzi kwitnął i nie więdnął najpiękniejszy kwiat, który nazywa się Miłość.

Pana Steficia Uchacza bolały już dłonie od nieustannego klaskania, drapało gardło od okrzyków radości, od skandowania imion poszczególnych bohaterów. Podobne „dolegliwości” i ja miałem, ale nie narzekałem. Dawałem się ponosić falom radości. Wszak taki kongres zdarzył się na świecie pierwszy raz! To promowało Polskę niebywale. Wprawiało wręcz w dumę, że to wszystko działo się u nas! W najpiękniejszej części kraju – pod Tatrami, które swoim niebotycznym wyglądem uczą nieustannie, że człowiek powinien stąpać po ziemi ze wzrokiem patrzącym śmiało w górę.

Po autoprezentacji Kota w Butach, który wykonał niezliczoną ilość akrobatycznych figur i gigantycznych skoków-podskoków, nieoczekiwanie zabrał głos Koziółek Matołek. Z przejęcia drżał mu głos, kiedy mówił:

– Żyjemy w czasach tak zwanej demokracji. Wszyscy powinni decydować o wszystkim. I dlatego proponuję głosowanie w mojej sprawie, która wcale nie jest tylko moją sprawą, bo to dotyczy honoru i dobrego imienia... – Koziółkowi zabrakło tchu, gdy mówił te ostatnie słowa, a prawie zapłakał, kiedy rzekł: – Bo ja naprawdę nie chcę się nazywać Matołek. Nie chcę... Nie chcę i już... Pinokio, pomóż mi, proszę cię! A wy, Muminki, rozdajcie karty do głosowania.

Drewniany chłopczyk z Włoch wstawił obok Koziółka wielką urnę do głosowania. Miała na wierzchu otwór do wrzucania głosów.

– Każdy z uczestników zjazdu – tłumaczył Koziołek – a także widzowie będą mogli zagłosować. Jeżeli ktoś popiera prośbę o skreślenie z mojego nazwiska słowa Matołek, to niech odda kartkę ze słowem TAK. Gdy się z moją prośbą nie zgadza i uważa ją za niepotrzebną, wtedy odda kartkę z napisem NIE.

Chyba z dobrą godzinę trwało oddawanie głosów. Kolejka głosujących była bowiem bardzo długa. Nie mniej długie było liczenie kartek. Robiły to sprawnie krasnoludki. Wreszcie odezwały się fanfary i król Błystek wszem i wobec ogłosił uroczyste wyniki referendum w sprawie nazwiska Koziołka Matołka.

– Głosów na TAK jest 117. Głosów na NIE 3119 – obwieścił sędziwy monarcha. – Koziołek, który wcale nie jest matołkiem, musi nadal nazywać się Matołkiem. Nie ma na to żadnej rady.

Huragan braw wyraził zadowolenie z rezultatów głosowania.

– Przegrałem – powiedział ze smutkiem Koziołek Matołek. – Ale są podobno piękne klęski i brzydkie zwycięstwa. Więc spróbuję się weselić piękną porażką... Zapraszam wszystkich do poloneza, do tańca, tak jak uczył, widział i opisał mój tata, Kornel Makuszyński.

A mój przyjaciel, Pan Stefan Uchacz tak skomentował finałowe wydarzenie niezwykłego kongresu:

– Nie byłoby to wcale takie głupie, gdyby na przykład Koziołek nazywał się Wesołek, a przezwisko Matołek przypisano jakiemuś dobrze urodzonemu osiołkowi. Ale skoro tak musi być, to niech będzie, jak było dotychczas. Zmiany nie zawsze są dobre i szczęśliwe.

– Trzeba jakoś pocieszyć Koziołka Matołka – powiedziałem. – Spróbuję go zaprosić do siebie. Posiedzimy sobie razem przy kominku, porozmawiamy, popatrzymy na ogień...

– Świetny pomysł! – ucieszył się Pan Stefan. – Zapraszam! A Pan niech już idzie do domu i szykuje drzewo do kominka.

Szybkim krokiem skierowałem się na ulicę Żeromskiego, gdzie mieszkałem od paru lat. Zaszedłem jeszcze na Krupówki z czystej ciekawości, bo tą najśłynniejszą w Polsce ulicą szedł akurat barwny i roześmiany korowód postaci spod Krokwi. Nieoczekiwanie zatrzymał się. Postacie znieruchomiały, zamieniając się w żywe pomniki. Można je było oglądać z bliska, do woli. Nawet nieposkromiona Pippi zamieniła się w pomnik

grzecznej dziewczynki! Czar niezwykłego dnia zakopiańskiego działał nadal. Aż się wierzyć nie chciało, że Pippi stoi bez ruchu. Niebawem, niesamowicie, niezwykle! Przechodnie zatrzymywali się, fotografowali, usiłowali nawiązać rozmowy.

Najwięcej zdjęć robiono z Bolkiem i Lolkiem. Próbowano też – o zgrozo! – zabrać do kieszeni kogoś z krasnoludków, ale nie można ich było oderwać od ziemi. No, nie można było, bo to były przecież małe, maleńkie pomniczki. Wszyscy dopytywali się, gdzie jest główny bohater dnia, czyli Koziołek Matołek i trochę współczuli mu, że przegrał w plebiscycie. Ale tylko trochę, bo wiadomo, że nie należy zmieniać nazwisk. Trzeba być wiernym swemu rodowodowi. I tyle. Nie ma dyskusji. Można nazwisko, to nawet najzwyklejsze czy śmieszne, ubogacić, dać mu wieniec sławy z dobrych i niezwykłych czynów, osiągnięć naukowych itd. I wtedy nie będzie się myśleć o jego zmianie czy korekcie.

Wieczorem Koziołek Matołek siedział z nami przed kominkiem, w którym płonął wesoły ogień.

Gość nastawiony był dzisiaj bardzo filozoficznie, bo podpierając w zamyśleniu głowę, w pewnej chwili powiedział: – Ogień może być przyjacielem, ale też potrafi okazać się wrogiem.

Przyznaliśmy mu rację, a wielkouchy Stefcio dodał jeszcze:

– Ogień niekiedy bywa fałszywy, udaje niewiniątko, kusi ciepłem, a potem pokazuje, co potrafi. Niestety, wśród ludzi bywa też podobnie.

Wpatrzeni w płonące kawałki dębiny myśleliśmy chyba o jednym i tym samym, czując dobre ciepło bijące od płomieni. Gdy ogień wyciąga do człowieka przyjazne dłonie, nie można myśleć o czymś złym i niedobrym.

Zostawiliśmy na chwilę towarzystwo łagodnych płomieni w kominku i włączyliśmy telewizor, bo chcieliśmy zobaczyć relację ze spotkania pod Wielką Krokwią. I rzeczywiście, jako pierwszą wiadomość podano, że Koziołek Matołek pozostał przy niezmiennym nazwisku. Podano również jako ciekawostkę, że Pippi zabierze do swej ojczyzny niedźwiedzia z Krupówek i białą owieczkę z dzwonkiem.

Koziołek Matołek nic nie mówił, tylko kiwał ze zrozumieniem głową.

– Gdyby żył Pan Makuszyński, to pewnie byłoby wszystko inaczej.

Wstał i wyłączył telewizor. – Popatrzmy lepiej na ogień.

A on trzaskając wesołymi iskrami, przypominał żywą istotę. Zdawało się, że coś tam mówi, o czymś ze śmiechem opowiada, coś nakazuje... Przypomniały mi się natchnione, wzniosłe strofy poezji Stanisława Wyspiańskiego:

Nam trzeba za cenę życia
po ogień jasny iść,
przejść siedem czarnych pól,
minąć siedem czarnych bram,
aż się zahartuje ból...
do samego dotrzeć ołtarza,
porwać ogień strzeżony,
zanieść w ojczyste strony.
To cel...

Tego niezwykłego wieczoru najlepiej mowę ognia zrozumiał arcyważny w tej chwili Koziółek Matołek.

– Wiem, co mówi ogień – rzekł.

– To powiedz... – poprosiłem.

– Powiedz nam zaraz – ponaglał niecierpliwu jak zwykle Pan Stefcio i nadstawił z uwagą swe wielkie ucho.

Koziółek wypiął dumnie pierś i oświadczył:

– Mam wracać na swoje miejsce.

– To znaczy gdzie? – udawałem, że nie wiem.

– Na jakie miejsce? – powtórzył jak echo Pan Uchacz.

Koziółek uprzejmie wyjaśnił:

– No, na postument przed muzeum Pana Makuszyńskiego.

– To jest przy ulicy Tetmajera? – upewniał się Pan Stefan.

– A niby gdzie? Do Pacanowa? – niezbyt grzecznie odpowiedział Koziółek.

Rażnie wszyscy trzej zśliśmy nocnymi ulicami miasta pod Giewontem. Krupówki były ciche i spokojne. Pochylone lampy drzemały, oczekując świtu. W nocnej ciszy stukały żwawo kopytka Koziółka.

Widać było mu bardzo spieszno. Z trudem dotrzyliśmy mu kroku. Wreszcie stanęliśmy przed popiersiem pisarza Kornela Makuszyńskiego. Koziółek bez wahania, nie zwlekając ani sekundy, wskoczył na swe dawne miejsce. I znowu było – jak było!

Bez odpowiedzi pozostawało jedynie pytanie:

– Czy pomnik Koziółka Matołka ktoś ukradł, czy ten obieżyświat sam zbiegł z ulicy, przy której mieszkał Makuszyński. Może wy potraficie odpowiedzieć na to pytanie?

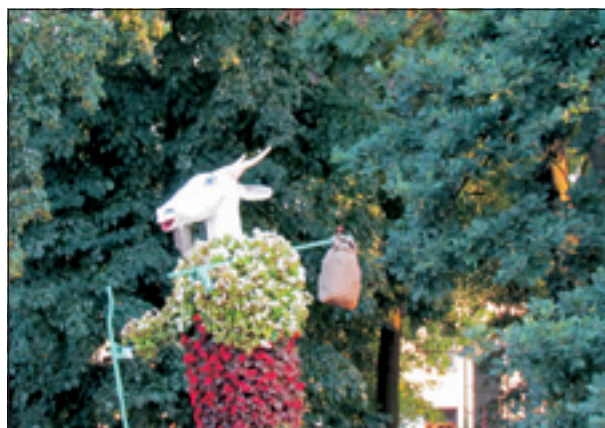
Dobrze jest bowiem szukać w życiu prawdy...

Emil Biela



Pisarze – uczestnicy staszowskiego pleneru literackiego gościli w Europejskim Centrum Bajki w Pacanowie (2012) Fot. Benedykt Koziół

Europejskie Centrum Bajki im. Koziołka Matołka w Pacanowie



Fot. Benedykt Kozieł

Dom

Zamykam
mój drewniany dom
w śnie marzeń
na sprężynową kłódkę
/liche to zamknięcie/
klucz
zawieszam na gwoździu
za okiennicą
– do powrotu mamy
Nie boję się już Cyganów
więc mogę zostać sam
schowany jak dawniej
pod bezpiecznym stołem

Nie przyszła –
zamknięta na wieczność
w jej nowym
murowanym domu

Mnie zbudził
zapach konwalii
przywiódł przed grób
na modlitwę

Kielce, 25.05.2010

Nekropolie żywych

Tak wielu żyje już
pamięcią tabliczek
przybitych do modrzewiowego
kościółka

Samotność dusz
jest samotnością żywych

Rozmawiamy z nią
chronimy duchowość
prosimy o radę
przepraszamy
skupioną modlitwą

Powiekszamy wciąż
nekropolie niebytu

Kielce, 29.07.2012

Plac zabaw

Macew zostało tylko trochę
pożytkowano je
do ostrzenia sierpów i siekier

Rozrzucone kości
leżały pośród macew
– niezrozumiale dla dziecka
Anatomię ich
poznałem
na długo przed studiami
na AWF w Krakowie
Do nauki pozostały mi tylko
trzewia i nerwy

Nikt
nie zaprzętał sobie głowy
tym placem zabaw

Kielce, 7.04.2011

Nadażyć

Świat powojnia
zajmował się sobą
uwikłany w zimne wojny

Nasz mały
ograniczony linią horyzontu
pod czaszą widnokregu
dostrzegał to co przed nim
nie znał wyjścia
w gwiezdnej przestrzeni marzeń
– z mleczną jeszcze drogą pytań
pazernie łowionych
by
wydrzeć coś dla siebie
i nadażyć!

Świat ten przejął okupację
zakazów i nakazów
nie mogąc
odebrać nam wnętrza

Kielce, 6.06.2013

Ostatni chłop (Fragment powieści)

Pan Franciszek spóźnił się na leczenie sanatoryjne dwa dni. O głupią kozę się spóźnił, a myślał zawsze o niej, że jest mądra. Nawet nazwał ją „Mądralina”. Wyprowadził ją za stodołę na pierwszą zieloną trawkę, uwiązał przed odjazdem na postronku, wytarłosił za brodę, przejechał paluchami po grzbiecie, podrapał między rogami, pogadał jak do człowieka... Ta zabczała, tak jakby wszystko zrozumiała, a nawet dziękowała. Uwierz tu zwierzęciu! Za kilkanaście minut dosięgła uschniętego krzewu leszczyny i tak się zamotała, że ledwie jej lekarz dech przywrócił. Wyraźne samobójstwo! Na szczęście – niedoszłe. W maju stracić życie! Zielonego tyle, że powinna się czuć jak w raj! Pan Franciszek już szedł na przystanek PKS, gdy dobiegł go przeraźliwy krzyk Kalinki:

– Franek! Ratunku! Mądralina się udusiła.

Masz ci los! Jeszcze nie wyjechał, a już trzeba zawrócić. Zawrócił do domu natychmiast. Przydała się komórka. Zadzwonili do weterynarza i okazało się, że ten jest trzy domy dalej – u Ratajka. Akurat skończył szczepienia świń. Ratunek był natychmiastowy i koza przeżyła. Znak jaki czy co? Może nie jechać? – myślał pan Franciszek.

Na drugi dzień nie mógł się zebrać w sobie, i dopiero trzeciego dnia stawił się w sanatorium. Dwa dni zeszło na przypomnieniach, upomnieniach, ostrzeżeniach i radach dla Kalinki. Dwa dni na nowo żegnał się z polem, inwentarzem, obejściami, no i z Kalinką. Jakby na koniec świata jechał. Całe dwa dni ulepszał, odgradzał, zagradzał, sprawdzał, mocował, dosypywał, dokładał, wyrzucał, przenosił, usprawniał, przewidywał, zaznaczał... Szczebel u drabiny się obluzował, zamek u furtki ciężko chodził, jedna dachówka spadła z daszku szopy, koryto się przedziurawiło, żarówka przepaliła, krzesło rozchwierutało, sztacheta wyłamała... Tyle rzeczy teraz widział do zrobienia, i to natychmiast. Napracował się tak, że aż kręgosłup musiał mu przypominać o tym, że do sanatorium trzeba jechać. Bolał i bolał!

Na podróż wybrał tym razem noc. Gadzina zaopatrzona we wszystko, krowy podojone, więc

będzie sobie spokojnie drzemał. Do uzdrowiska dojechał wczesnym rankiem. Od razu wpadł w sanatoryjny rytm, biegał i organizował sobie kurację, potem wziął pierwsze zabiegi. Nie zdawał sobie nawet sprawy, jakie mechanizmy działają w sanatorium. Nie dogoni i w sto dni, który przeminął, a on dwa dni się spóźnił.

Dostał mu się najgorszy pokój i podobnie wyglądały godziny zabiegów. Nie było go gdzie upchnąć na siarkę ani na borowinę, tak że musiał rano wcześniej wstawać, żeby te zabiegi brać jako pierwszy, jeszcze przed śniadaniem. Pani w planowaniu przepraszała bardzo, że go musi rano zrywać. Wstawanie nie było dla pana Franciszka wielkim utrudnieniem, jedynie powrót z zabiegu był kłopotem. Ranki majowe zimne, a kąpiel ciepła. Bał się wychłodzenia. W domu po kąpieli uwielbiał ciepłe pierzyny, a tu mu przyszło jeszcze takie hartowanie ciała ćwiczyć na własnej skórze. Przebiegał więc te czterysta metrów ubrany w co tylko miał najcieplejszego, a nawet dokupił sobie czapkę, bo bał się o uszy.

Zdziwił się bardzo, że mu przepisano gimnastykę na przyrządach. Tyle trudu fizycznego miał w życiu, tak dużo, że potrzeby gimnastyki nie widział. Powiedział to lekarzowi wprost. Lekarz uśmiechnął się i wyjaśnił, że to będzie ruch ukierunkowany. Przystał na to pan Franciszek, choć nie bez oporów. Faktycznie, do tej pory każdy jego ruch był podporządkowany gadzinie, maszynie, roślinie. Nigdy nie myślał o ruchu dobrym na rękę albo nogę czy kręgosłup. Było coś do zrobienia, jakaś czynność konieczna w polu czy obejściu, to się ruch i siłę dostosowywało do niej. To dla niego było takie naturalne. Często napracował się aż do wystąpienia siódmych potów. Nieraz widział w telewizorze ludzi na siłowni spoconych z wysiłku. Wydawali mu się ci ćwiczący dziwni, a nawet trochę niepokojący. Jakby jakąś bestię w sobie katowali. Twarze spięte, nawet wykrzywione, ruchy wymuszone jakimś uporem. Żadnego uśmiechniętego oblicza nie mógł wypatrzeć. Nie ma to w pobliżu jakiejś roboty do wykonania, takiej, żeby się z energii wyzwolić i cieszyć się przy okazji widokiem

wykonanej pracy, tylko tak dobrowolnie wprowadzić się w zegary, ciężary, zębatki – myślał nieraz. Tak dobrowolnie, bez celu zrobienia czegoś pożytecznego, bez radości z faktu usłużenia drugiemu człowiekowi czy zwierzęciu poddawać się przyrządom gimnastycznym? A potem co? Patrzeć się w lustrze na siebie? Ważyć się kilka razy dziennie i liczyć kalorie, kontrolować bez przerwy, co się je?

Jedyny niepożyteczny ruch, który uznawał Franciszek, to taniec. Chociaż taniec, to też praktyczność, i to prawie niezbędna. W tańcu najprościej zbliżyć się do dziewczyny, w tańcu wypada przytulić partnerkę, i nawet skraść pocałunek można. To wielka oszczędność czasu. Zanimby się normalnie człowiek znalazł blisko dziewczyny, to kilku lat by trzeba, a taniec daje zezwolenie na poufałość, skraca odległości, zbliża ciała, a nawet oddechy. Tak! Taniec, to potrzeba jak każda inna. Ile to małżeństw nie doszłoby do skutku, gdyby nie taniec. On sam poczuł zapach Katarzyny właśnie w tańcu. Nawet nie widział jej oczu, ust, ale owionął go i skołował łąkowy zapach jej włosów, kwietny i miodny. Bezwiednie dotykał palcami drgających fal jej fryzury już przy pierwszym tańcu. Ona cała była skondensowanym kawałkiem natury, który zapragnął mieć dla siebie. O niczym innym nie myślał, kiedy pod koniec zabawy zanurzył swoją głowę w kaskadzie jej włosów. Pocałował ten cud, bardziej właśnie cud niż dziewczynę. Włosy, kobiece włosy... Gdyby nie miał ziemi, gdyby nie rodzinna tradycja, zostałby damskim fryzjerem. Cesałby bez końca, zaplatał, rozplatał, upinał, zakręcał... Taniec to ruch ze wszech miar pożyteczny, bo włosy też tańczą, bo włosy Katarzyny pierwsze go miłośnie musnęły, zanim jeszcze palce pozbierały się w sobie, żeby dotknąć, zanim wargi wezbrały pragnieniem, zanim serce zareagowało przyspieszeniem.

A tu w sanatorium i jemu przyszło rozliczyć się z takiego udziwnionego ruchu. Raz, dwa, raz, dwa... Nogi umocowane więzadłami, a więzadła podczepione do metalowych kratek i... jazda. Raz, dwa, raz dwa... Naokoło pełno takich jak on i wszyscy karnie machają, podnoszą, kręcą, dźwigają, rzucają, manipulują, naciągają, prostują, zginają... Jeżeli ktoś nie robi czegoś dość solidnie, dość rytmicznie, to paniusia „ustawia” go grzecznie.

Pan Franciszek nie lubi obcych ciał zbyt blisko siebie, a szczególnie kobiecych. Krępuje go

to. W szpitalu pochylanie się pielęgniarek czy lekarzy nad nim bardzo go wewnątrznie spinało. Siebie się wstydził, swojej nieporadności, niezręczności, zapachu. Leżenie w łóżku odziera człowieka z godności. Kalinka przyjeżdżała codziennie. Myła go, zmieniała mu bieliznę, ale i tak był skrępowany, gdy prosił o basen czy kąpiel. Jedyna osoba, której bliskości pragnął i nie wstydził się, to kiedyś żona Katarzyna, a teraz żona Kalinka. Te kobiety boskim sakramentem mu nadane mogły być koło niego, sprawiały mu przyjemność, a już inne – nie.

Pielęgniarki, instruktorki tutaj w sanatorium – młode i zgrabne. Starsze pewnie na bezrobociu. Takie czasy! Praca tylko dla młodych. Jedna tutaj to ma taki fartuch, że wszystko przez niego widać. Ciemniejsze spiczaste zakończenia piersi, mroczną otchłań nóg, ciasność szczelin pośladków i precelek pępuszka. Ma ta pielęgniarka bieliznę, ale ta bielizna jakby z mgły londyńskiej tkana. Brzegi koronek trzymają tę mgłę we właściwych miejscach, ale jak to mgła, im gęściejsza, tym bardziej zmusza człowieka do większego wytrzeszczania oczu i uruchamiania fantazji. Bezwstydnosc – myślał pan Franciszek. Na palcu obrączka, a ciału folguje przeciw przysięgom jak jaka nadobnica. A może ta obrączka nałożona nie przed Bogiem? Może diabeł „święcił”, a teraz podpowiada ciąg dalszy? Jak taką kobietę tyłu mężczyzn wyogląda na wszystkie strony, „oskubie” ze świeżości, odprowadzi napięcia z tych ciemniejszych miejsc, to cóż ona zanieśie mężowi? Taka „wyziębiona” to tylko zmęczenie zanieśie, znużenie i zubożenie zanieśie! Może to wielookie obmacywanie wzrokiem mężczyzn tak się jej spodoba, tak ją będzie rajcować, tak ją wyczerpie, że nie znajdzie już chęci na bycie z tym jednym? Czy starczy jej sił na żar dla męża, gdy cały czas roznieca iskry wielu męskich oczu i świadomie krzesze je u nowo przybyłych? Ktoś jej chyba podpowiada takie wodzenie na pokuszenie, bo ona sama młodzieńka i niewiele pewnie doświadczyła. Każde jej pochylenie, skręt, kucnięcie owocowało u pana Franciszka rumieńcami, wstrzymaniem oddechu i nieraz dziwnym zamętem w głowie. Czuł się tak, jakby tracił równowagę. Spojrzał po innych. Tak że samo pewnie. Wokół niej zawsze gromadzili się mężczyźni z pytaniami, z prośbami o pomoc. Fartuch pielęgniarski to rodzaj munduru, to sposób zaznaczenia w tym przypadku służby,

to gotowość pomocy w każdej chwili i bez żadnych przeszkód spowodowanych strojem, butami, długimi paznokciami. Taki obrót rzeczy pan Franciszek widział. Nie chciałby nigdy, aby jego żona czy córka tak się zachowywały. Ciało to nie pieniądz, żeby go rozmieniać na drobne. Małżeństwo musi mieć przestrzeń dla siebie, nie do podglądania przez nikogo. Rozciąganie granic intymności tylko tę intymność osłabia.

Tak sobie to wszystko pan Franciszek porządkował w głowie zgodnie z nauką Bożych przykazań, z ojcowskimi zasadami i z dawnym wsiowym porządkiem. Miał tu na to czas.

A jeśli i jej mąż podobnie w pracy czyni, to cóż oni wieczorem pod pierzynę zanoszą? – pytał sam siebie. Może tylko czcze słowa albo co jeszcze gorszego – podsycaną lekami „gorączkę”. Czym nakarmią przecudną sekretność małżeńską? Czym nasycą tęsknotę, skoro sami nie tęsknią do bycia ze sobą? Czy młodzi znają teraz słowo – wstrzemięźliwość? Człowiek cały dzień musi myśleć o drugim, gromadzić w sobie czułość, wyjść naprzeciw pragnieniom, usłużyć w niedomodze, i jeżeli druga strona tego samego pojmowania bycia ze sobą jest, to spotkanie jest właśnie – świętem. Naznaczone słodkim zniecierpliwieniem i takim iskrzeniem, że słów tam nie potrzeba i sztucznych podniet także samo. Jak tego nauczyć młodych, kiedy choroba uczuć to już prawie jest, jak nie przymierzając – pomór. Nawet nie wiedzą, ile tracą. W luzactwie reklamowanym im przez telewizor i filmy nie ma nawet czasu na przeczekanie chwilowych kłopotów, na wybaczenie, na odnowienie, na rozważenie przyczyn, na nagromadzenie tęsknoty, na drżące oczekiwanie, na spojrzenie przyzwalające na zbliżenie. Nie ma radości godzenia, bo do takiego momentu we dwoje nie dochodzą. Rozwód jest wcześniej. Rozwód jest rozwiązaniem. Żłudnym rozwiązaniem. Takim to niecodziennym sprawom poświęcał swój wolny czas.

Tu w sanatorium pan Franciszek słuchał poleceń jak uczeń i starał się tak wszystko wykonywać, żeby go nikt nie ustawiał, nie poprawiał, żeby go nikt nie dotykał. Uskromił się w sobie i wykonywał to, co mu zlecono – jak najsolidniej. Dziś tak się przyłożył do ćwiczeń, że poczuł ból w nodze. A może to przez ten dowcip tak prze-forsował nogę, bo w śmiechu trudno panować nad ruchami. Jeden taki ćwiczy obok niego i cały czas opowiada kawały.

Może trzeba zgłosić pani od ćwiczeń – myślał. Mieszkał sam, przy stoliku siedział z jakimś mrukiem. Ten mruk jadł co innego niż pan Franciszek i bardzo był z tego dumny. Nie wyglądał na chłopa. Pełnopłatny. Nie miał zatem z kim pogadać. Na zabiegach ledwie się rozmowę z kimś zaczęło, to już go wzywali, albo rozmówcę. Może taki doświadczony kuracjusz coś więcej wie, może doświadczony takich przypadłości jak on.

W stołówce ludzie podzieleni według jadła. Pełnopłatni mają inne menu, a ci z ubezpieczenia inne. A co? Pieniądze tych z ubezpieczalni inne? Jak państwo płaci za niego, to innymi pieniędzmi? Pełnopłatni zaznaczeni paskiem na karcie byli tu klasą panującą. Więcej jedli, mieli więcej zabiegów i takie, jakie chcieli, mieli pokoje w wyremontowanej części sanatorium, lepsze łóżka, nowszą pościel, ręczniki na zmianę... Taką to wolność żeśmy sobie zafundowali – myślał pan Franciszek. Pełnopłatny marudził, dopominał się, nie zgadzał, a ci z przydziału państwowego pokorni jacyś, odstawiani na koniec kolejki i gorzej traktowani przez personel. Panie z obsługi wannowej lepiej myły wanny dla pełnopłatnych i dopytywały się ciepłym głosem o samopoczucie. Pełnopłatni byli tu na zasadach burżuazji.

Przy sąsiednim stoliku wybuchła sprzeczka, bo kuracjuszka z ubezpieczalni zjadła deser pełnopłatnej. Ci z ubezpieczalni deseru w ogóle nie mają. Stolik malutki, porcja leżała prawie przed nią, to zjadła. Pełnoprawna dopominała się o swoją porcję. Obwiniona siedziała przy stoliku jak skazaniec w sądzie. Rozpętała się dyskusja: winna czy niewinna. Natychmiast ujawnili się sędziowie i adwokaci. Stało na tym, że łakoma kuracjuszka wykupiła dla pełnopłatnej deser, ale już nie taki, bo porcje były wyliczone. Ten drobny incydent był powodem niezmiernie emocjonalnych rozmów przy stolikach oceniających zachowanie kuracjuszki pełnopłatnej i kuracjuszki z ubezpieczalni. Padały poważne zarzuty o naruszenie godności ludzkiej, inni komentowali, że najlepszą miarą godności jest teraz pieniądz. Płaci się i się wymaga. Padł nawet taki wniosek skierowany do kierownictwa kuchni, aby pełnopłatni siedzieli osobno. Nie wiadomo dlaczego nie uznano tej propozycji „szlachty” sanatoryjnej, choć w drugim obiekcie tak właśnie już było.

Osobnego omówienia wymagają noce w sanatorium. Pierwszej nocy pan Franciszek nie

mógł zasnąć. Łóżko niewygodne, trzeszczące, pościel byle jaka, okno przepuszcza ziąb i wycie wiatru. On lubił duże miękkie poduchy, a tu dostał mu się jakiś sztuczny wymysł pod głowę. Zdeformowany. Nie pomogło okładanie tego rękami, potrząsanie, potrząsanie, tak jak to czyniła Kalinka z poduchami. Wkład tej poduchy przybrał jakiś skudlony kształt i trzymał się powłoczki jak kołtun włosów.

Dla tego czegoś, czym się przykrywał, szkoda było nawet nazwy – kołdra! Śliski twór zbijał się w jeden róg powłoczki przy byle ruchu i lokował się tam podobny do bezkształtnego gada zapędzonego w pułapkę. Rozłożenie go siłą na całej powierzchni powłoczki wprawiało tę bestię w złość i natychmiast harmonijkował się w sobie i pełzał w kącie powłoczki. Koc ratował trochę ten stan rzeczy. Oślizgły stwór naciśnięty ciężkim kocem czuł się jak w niewoli i posłusznie leżał – do pierwszej lepszej okazji. Pan Franciszek przecież bólowy, więc bezwiednie ruszał się w nocy, aby temu bólowi schodzić z drogi, więc sposobności nie brakowało. W środku nocy budził się zziębnięty i zaczynał wojnę z pościelą.

Musiał sobie pan Franciszek dokupić ciepłe kalesony, a ciepło góry zatrzymywał dodatkową flanelową koszulą. Niesforną kołdrę zwinął w rulon i wzmocnił nią szczelność drzwi. Tam też się za bardzo nie sprawdzała, więc znalazł dla niej inne zastosowanie. Zrobił z niej podpórkę pod nogi. Uformował ją w prostopadłościan i wsadził siłą do wielkiej Inianej torby, w którą go Kalinka wyposażyła, żeby tam składał brudne odzienie. W takiej klatce skapitulowała. Opierał na tym pomysłu nogi. Dobrze mu robiło na krążenie, kiedy tak leżał z nogami wyżej. Poskromiona kołdra nawet w tym worze miała chęć na ruchy górotwórcze, ale przestrzeni jej brakowało na rozwinięcie swojego sprytu. Nie mógł się pan Franciszek nadziwić, kto mógł wykonać i kto kupić takie coś do spania.

Drzwi niespasowane i niesięgające długością podłogi pozwalały słowom i przeróżnym odgłosom na swobodne zajmowanie przestrzeni pokoju. Jak tu usnąć? Toteż zamiast odpoczywać śpiąc, oddał się we władanie swoim myślom. One jak zwykle krążyły wokół domu i pola, wokół zwierzyny, łąk i sadu. Tyle roboty, doglądania, pamiętania zostawił Kalince. Znał jej pracowitość i zaradność, wiedział, że zrobi wszystko jak trzeba, ale przestróg nigdy za dużo. Wziął karteczkę

i wypisywał sobie rady dla Kalinki, żeby długo przez komórkę nie gadać. Raz, że nienauczony, dwa, że to kosztuje. Karteczka spokojnie przyjmowała kolejne punkty.

Przypomnieć o oprysku moreli.

Przypomnieć o kupnie odżywki dla kur. Zaczynają się dziobać do krwi.

Przypomnieć o wpłacie raty za dojarkę.

Przypomnieć o szczepieniu psa.

Przypomnieć...

Piąty punkt nie uzyskał już jasności. Sen był silniejszy od myślenia, wspomnień, hałasu i niewygód łóżka i pokoju.

Na drugi dzień przeczytał ogłoszenie, że w świetlicy jest koncert. Poszedł z takim zamiarem, że wieczór mu szybciej zleci i sen po takim koncercie szybciej przyjdzie. Nie tylko z takim. Na weselach lubił sobie pośpiewać, umiał grać na organkach, więc pomyślał sobie, że może co podpatrzy, jakąś melodię zapamięta. Przez chwilę wahał się, w co się ubrać. Kwestię ubioru zawsze rozwiązywały jego żony. Zawsze na daną okoliczność ubranie miał przygotowane. Nawet zakup odzieży dla niego odbywał się bez niego. Nie lubił zakupów, a do sklepów odzieżowych miał wstręt. Obie jego kobiety znały rozmiar jego koszul, a nawet butów. Jedynie garnitur musiał przymierzać, musiał go szyc na obstalunek, bo żaden fabryczny fachman nie przewidział takiej budowy sylwetki męskiej. Marynarka inny rozmiar, a spodnie inny. Tutaj los zmusza go do decydowania, co ma na siebie włożyć. Tutaj musiał sobie dokupić czapkę i kalesony. Tak go te zakupy zdenerwowały, bo ani nie znał numeru swojej czapki, ani rozmiaru dolnej części bielizny. Przy czapkach sobie poradził prosto. Po prostu je przymierzał, ale przy kalesonach... Dobrze, że ekspedientka domyślna, zapytała i doradziła, co kupić. Na koncert pan Franciszek zdecydował iść w garniturze, ale okazało się, że nie wyciągnął go z walizki i był pozaginany na złożeniach, a prasowanie przerastało jego możliwości organizacyjne i praktyczne. Nigdy nie prasował. Zdecydował się na sweter. Postanowił sobie, że jeżeli on tylko będzie w swetrze, to wycofa się ze świetlicy. Ku jego zdziwieniu panowie przyszli na koncert nawet w dresach. Jedynie panie wyfiokowały się na tę okoliczność wyjątkowo. Kiedy zdążyły się tak wystroić, i jak i gdzie spakowały tyle szmat?

Jeszcze przed występem dodatkowo się zdenerwował, bo przed nim usiadła tęga kobieta

z kopką siana na głowie. Tylko takie skojarzenia miał pan Franciszek z jej fryzurą. Do tego mocne perfumy... Jej fryzurę można jakoś ominąć, ale ten zapach. Gorszy od siarki. Wiercił w nosie i nastrojał do kichania. Na szczęście koncert się rozpoczął. Zapowiedzi nie usłyszał, bo siedząca obok niego kuracjuszka akurat dostała ataku kaszlu. Pewnie przez te perfumy. Przy fortepianie usiadł chudy jak szczapa artysta i blade lico skierował na klawiaturę. Skupiał się. Potrząsnął rzadką długą czupryną i rzucił patyki swoich palców na instrument. Najpierw grał tak, jakby kto szedł w podkutych butach po bruku. Potem zebrał się w sobie i napadł na klawiaturę całymi dłońmi. Zagrzało na sali. Pewnie nie trafił w odpowiednie klawisze – myślał pan Franciszek. Dalsza część opisu artysty upewniła go w przekonaniu, że coś tu nie gra. Pianista rzucał głową na wszystkie strony i naskakiwał chudymi, długimi palcami na klawiaturę, czyniąc hałas podobny dziwnemu tupotowi. Bliższe to było tętentowi spłoszonych koni. Potem jakieś szelesty... Jakby szkielety nacierały na siebie w niezemskiej potyczce. Sam artysta też przypominał szkielet. Okropieństwo! Makabra! Tak umęczyć instrument! Może to i trudne do zagrania, ale czy ładne? Może to i wartościowe, ale nie dla uszu. Momentami wyglądało to tak, jakby specjalnie fałszował. Miało się wrażenie, że to robot gra i zarządzanie mu zaszwankowało. Raz pralka się zepsuła w domu pana Franciszka, to tak się jej właśnie programy pomieszały. Na koniec artysta osłabł, jakby zapłakał na tym fortepianie, i skończył. Zerwał się potem gwałtownie ze stołeczka, powiódł rozpalonym wzrokiem po sali i grzecznie się uklonił.

Pan Franciszek patrzył po ludziach. Nikłe oklaski utwierdziły go w przekonaniu, że to zapewne jakiś niedouczek wziął się za granie. A na ogłoszeniu było napisane, że artysta z Warszawy. Jak tu będzie wytrzymać do końca? Kilku kuracjuszy opuściło salę, robiąc przy tym duże zamieszanie. Komuś upadła proteza, a krzesła się rozskrzyphiały, jakby tworzyły dalszy ciąg występu. Istny kociokwik. Że też nikt nie pomyśli o naoliwieniu mechanizmów tych krzesel. Pan Franciszek zaczął obmyślać już sposób opuszczenia sali, tak aby nie narobić hałasu, gdy spostrzegł, że na scenę wychodzi drugi muzyk z kontrabasem.

Piękna dziewczyna zapowiedziała kolejne utwory jakiegoś francuskiego kompozytora.

Nazwisko trudne, ale tytuły utworów brzmiały swojsko i tym samym zachęcająco: Słoń, Łabędź, Kukułka...

I rzeczywiście warto było zostać. Kontrabas zaczął udawać słonia. Nie jego głos, ale poruszanie kolosa. W głowie od tego grania powstał film o słoniu. Widziało się jego niezdarne chodzenie i widziało się jego masę. Widziało się jego słonowatość. Jakby tu gdzieś za ścianą był i próbował wejść na salę. Ludzie śmiali się. Potem wiolonczela rysowała dostojną, piękną i tajemniczą postać łabędzia. Łabędź poderwał się do lotu i fruwał. Pani opowiedziała jeszcze historię Zeusa i Ledy. Taka ładna bajeczka o miłości Zeusa do ziemskiej dziewczyny bardzo spodobała się panu Franciszkowi. Pasowała ta opowieść jak ulał do dziwnej melodii wiolonczeli. Chociaż pod koniec opowieści, kiedy pani konferansjerka powiedziała, że ten łabędź ją posiadał, panu Franciszkowi nie podobało się to. Bądź co bądź, ten bóg był wtedy zwierzęciem. Jakże to tak! To bogowie wymyślili takie świństwa? Przed oczami stanęła mu natychmiast Kalinka w objęciach łabędzich skrzydeł. Aż nim coś potrząsnęło od takich skojarzeń. Wzdrygnął się. Ale nie było czasu myśleć o tym, bo już następna opowieść muzyczna domagała się wyobraźni odbiorców. Potem było jeszcze kilka kawałków, gdzie to klarnet kukał albo piał, flet ćwierkał... Starsi ludzie, a rozweselili się jak dzieci. Pan Franciszek ubawił się do łez. Na końcu pani urządziła konkurs. Instrumenty za kurtyną piszczały, mruczały, szczekały, miauczały – a ludzie odgadywali nazwę instrumentu. Pan Franciszek nie rozpoznał wszystkich, bo nawet nie znał nazw niektórych z nich. Na drugi dzień próbował zagadać o tym koncercie z panem na ławeczce przed gabinetem zabiegowym, ale ten tonem wszystkowiedzącego odpowiedział, że to jest muzyka programowa. I do tego – poważna.

– Jak poważna, jak ludzi rozbawiła lepiej niż sprośne kawały – powiedział pan Franciszek. Towarzysz od stolika uśmiechnął się krzywo i cedził przez zęby jakieś nazwiska, jakieś tytuły, ale pan Franciszek nie zapamiętał. Jedynie zwrot *Karnawał zwierząt* został mu w głowie. O powtórzenie nie śmiał prosić, bo pan po wygłoszeniu tych zdań skupił się na lekturze jakiejś opasłej książki.

Anna Błachucka

Mniszka (Fragment powieści)

*Pamięci syna Iwo,
z żalem, że tak wcześnie zniknął
ze swego ukochanego
Sandomierza*

*Motto
Domi manere covenit felicibus (Szczęśliwi
powinni pozostawać w domu)*

Z pewnością był to najdziwniejszy romans mojego życia. I chociaż czytelnikowi historia ta może wydać się wytworem wyobraźni autora, chciałbym, aby uwierzył, że zdarzenie takie istotnie miało miejsce i nie pytał o materialne dowody. Tym bardziej, że wszystko dotyczyło sfery ducha i poza nią nie wyszło.

* * *

Był początek lat osiemdziesiątych XX wieku, a więc okres coraz intensywniejszego płowienia optymistycznych haseł o komunistycznym dobrobycie, zwycięstwie jedynie słusznego ustroju i końcu politycznej ewolucji świata. W powietrzu wyczuwało się już mocny odór zgnilizny i wyraźny zapach nadziei, chociaż tej ostatniej nikt jeszcze nie umiał oblec w treść. Nikt jednak nie wątpił, że idzie ku lepszemu ale konkretyzacja owej poprawy zależała wyłącznie od indywidualnej imaginacji. Chociaż dominowały hasła o wolności, demokracji i godności, zdecydowana większość sprowadzała je do cudownego rozmnożenia zawartości portfela i pełnych sklepowych półek, czym racjonalnie odwracała tyleż patetyczną, co banalną zasadę o wyższości ducha nad materią. Jedynie mądrzy pesymiści – wszak prawdziwa mądrość jest umiejętnością oswojenia pesymizmu – ostrzegali, że nadzieja zwykle nie przekłada się na rzeczywistość, a owa niesymetryczność zazwyczaj objawia się gorzkim kaczem. Ta historycznie sprawdzona zasada miała potwierdzić się i tym razem, ale w okresie o którym piszę, byłby to wniosek zdecydowanie przedwczesny. W każdym razie uważny obserwator widział już zwijanie czerwonego sztandaru i głęboko zastanawiał się nad jego substytutem.

A że pojawi się nie ulegało żadnej wątpliwości, bo takie są prawidła historii produkującej wciąż nowe symbole i nobilitujące nowe barwy. Wszak wiadomo, że każda epoka musi mieć jakiś uświęcony fetysz, który leżąc w muzealnej gablocie zaświadczał będzie o historycznej prawdomówności. Tak jak operetkowy mundur niedoszłego cesarza Austrii, ofiary zamachu w Sarajewie Franciszka Ferdynanda, będący dziś eksponatem w Muzeum Historycznym Wojska w Wiedniu, gdzie w jednej z gablot leży błękitna kurtka z plamami krwi na lewej piersi, z rozdarcie na rękawie oraz imponujący kapelusz z zielonymi piórami. Oglądając ów nieco wypłowiały strój zastanawiałem się nad głęboką niesprawiedliwością historii potrafiącej tak szybko zmyć plamy krwi przelanej w obronie o wiele większej sprawy, a dla przyszłych pokoleń symbolem tamtych śmiertelnych żniw czyniąc ten żalony strzęp materiału. Wyziera z tego gorzka prawda, że wspomnienie banalnego symbolu trwa dłużej niż pamięć największego bohaterstwa.

Powyższe wywody nie mają jednak bliższego związku z tą opowieścią, a ich przedstawienie ma jedynie na celu uczynienie zadość tym, którzy domagają się, aby w każdym tekście określony był czas akcji. A ponieważ kolejnym niezbędnym elementem jest także określenie jej miejsca, tedy od razu powiedzmy, że historia ta rozgrywała się w Sandomierzu, najczęściej w okolicy kościołów św. Jakuba i św. Pawła, na ulicy Staromiejskiej, której niezbędnym elementem są zdumiewająco plastyczny wawóz Królowej Jadwigi, monumentalna sylweta Zamku, cmentarny mur i stylizowane na gazowe, nastrojowe latarnie, które w sposób iście rembrandtowski potrafią łączyć jasność z głębokim cieniem. Porównanie to przyszło do mnie niespodziewanie podczas kontemplacji obrazów Mistrza w amsterdamskim muzeum, kiedy to patrząc na głowę Saula, nie wiedzieć czemu wyobraziłem go sobie wynurzającego się z półmroku sandomierskiego wawozu Piszczele. Malarstwo Rembrandta szczególnie pasuje mi do ciemności późnojesiennego Sandomierza. W mojej sandomierskiej wersji, jego *Straż nocna*

maszeruje ulicą Maryjacką ku Rynkowi, a potem przez Bramę Opatowską w nowy wymiar historii. Siła sugestii jest tak wielka, że w ciemnym tle obrazu wyczuwam obecność Katedry, barokowej dzwonnicy oraz owiniętego w wiślane opary Zamku. I choć nie potrafię sobie wytłumaczyć związku sandomierskiego pejzażu z malarstwem holenderskiego mistrza, skojarzenie to przyjmuję jako imaginacyjne dobrodziejstwo służące pogłębieniu wrażliwości. Sandomierz należy bowiem do tych magicznych miejsc, w których gubi się czas, przestrzeń, ogranicza dynamizm wszelkich fizycznych wymiarów, ustępując wyobraźni i intuicji. Pewnie dlatego moje miasto skłonny jestem traktować jak eksponat z muzealnej gabloty lub wewnątrz dobrego antykwariatu, w którym pachnie starym papierem, woskiem pieczęci oraz tajemnicą.

Jest więc Sandomierz jądrem mojego świata i odnośnikiem wszelkich wrażeń estetycznych. To dzięki niemu pozbyłem się kompleksów wobec magicznych miasteczek Toskanii i południowej Francji, po których, dzięki codziennemu obcowaniu z sandomierską magią, chodzę z pogodą człowieka przyzwyczajonego do życia w górnych rejestrach piękna.

Nieodczonym elementem pejzażu Sandomierza są usutannie kształty sług bożych i uhabicone postacie jego pokornych służebnic, jak duchy wyłaniające się z nocnego cienia, na chwilę urzeczywistniające w latarnianym kręgu, aby znowu zanurzyć się w pojemną czerń i stać się podmiotowym elementem mroku. Malowniczość tych postaci nie może jednak przemóc we mnie wewnętrznej niechęci do stanu duchownego, który w przypadku zakonnic wydaje się wręcz gwałtem na naturze. Obieram je jako jałowe istoty z innej planety, które jedynie przez pomyłkę obleczone zostały w ciało. Osąd ten dodatkowo wyostrzyło odejście od wiary, skutkujące totalną krytyką wszystkiego, co wiązało się z religią. Tym bardziej, że przez długi czas cierpiałem na kompleks neofity, a kiedy wreszcie się od niego uwolniłem, dotychczasowa niechęć zmieniała się we współczucie.

* * *

Było późne popołudnie, kiedy wyczerpany dzienną normą pisarskiego urobku, wybrałem się na Stare Miasto i nad Wisłę. Słońce różowiło

już mury kościołów i kamienic, cień powoli wędrował w stronę ratuszowej attyki wychodzący z bram półmrok zapowiadał wczesny wieczór, chociaż blask oświetlonej wciąż jeszcze wysokim słońcem wschodniej pierzei Rynku skutecznie przeciwstawiał się zwiastunom zachodu. Za to ulica Mariacka pogrążyła się już w łagodnym półcieniu.

Lubię tę porę dnia, bo właśnie wtedy zaczyna się ten dziwny proces odrealniania miasta, kiedy pogłębiające wklęsłość gzymsów półcienie, refleksy na szybach, wydłużenia i skróty attyk oraz ciemniejsze miejsca bardziej wgłębionych ulicznych kostek łagodzą obcesową współczesność, wchodząc w miękkość zamkniętej czasem i przestrzenią przeszłości. Miasto zdaje się być zawinięte w jakiś pastelowy muślin, który chociaż całkowicie nie oddziela od rzeczywistości, to jednak wytłumia wizualne i foniczne ekscesy rzeczywistości. Wtedy Sandomierz jako żywo przypomina baśniowe miasto z gobelinów Ali Aleksandrowicz, która tak skutecznie potrafi nasycać je sugestywnym, emocjonalnym klimatem, że przejście progu jej pracowni jest jakby przekroczeniem granicy czasu. Dlatego traktuję Alicję jako wskrzesicielkę dawnego nastroju, czarodziejkę lub strażniczkę pierwotnego ognia, przy którym ogrzewam się kiedy za bardzo czuję przeciąg współczesności.

Tego dnia spacer przerwał nieoczekiwany deszcz. Na początku powietrze kaleczyły drobne przecinki, a kiedy dochodziłem do kościoła św. Jakuba mżawka przerodziła się w ulewę i co rychlej trzeba było szukać schronienia. Na szczęście rosną tu stare lipy, których gęste listowie potrafi skutecznie wytłumić nawet wybujałe wodne ekscesy. Według legendy posadził je św. Jacek, a według innej, fundator świątyni, biskup krakowski, święty Iwo Odrowąż, który osadzając tu dominikanów sprawił, że ich świątobliwe modły przez całe wieki osłaniały gród i okolice. Ich samych Bóg nie osłonił jednak przed Tatarami, którzy skutecznie skrócili mnisze oczekiwanie na łaskę męczeństwa. Kiedyś w kościele stała szklana gablota, w której eksponowano archeologiczne znaleziska, a wśród nich przewiercone strzałami i porąbane mieczami czaszki. Być może był tu także, otwarty tatarskim ostrzem, czerep przeora Sadoka lub któregoś z czterdziestu mnisich męczenników, których papież wyniósł do godności błogosławionych. Największe wrażenie

wywierały czaszki z tkwiącymi w nich zardzewiałymi grotami. Z zażenowaniem przyznam jednak, że ich widok skutkowało nie tyle współczuciem dla ofiar, co obrazem naciągającego łuk krępego Mongoła, którego skośne oczy dopiero co wypatrzyły cel. Dziwne wydaje się, że nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy ze straszliwej skuteczności tej prymitywnej broni, kojarzącej się raczej z dziecinnymi zabawami w Indian lub Robin Hooda. I chociaż w kościelnej ikonografii kilku męczenników naszpikowanych było strzałami, jakoś nie działało to na mnie szczególnie przerażająco. Święty Sebastian z obrazu Antonio Pollaiuolo nie wyglądał na nadto cierpiącego, a strzały w ciele tego samego świętego na obrazie Antonello da Massina wydawały się być niewinnymi, krawieckimi szpileczkami. Szokiem więc był widok grotu zdolnego do przebicia czaszki i brutalnej ingerencji w ludzki los. Świadomość ta sprawiła, że zupełnie inaczej patrzeć zacząłem na nasze chłopięce zabawy, które jeszcze kilkaset lat temu byłoby przygotowaniem do walki na życie i śmierć. Dotarło też do mnie, że każdy nowy wynalazek stworzony w celu zadawania bólu i śmierci patynuje wcześniejszy, pozbawiając go szacunku i sprowadzając do roli banalnego eksponatu, którego widok nie prowokuje do imaginacji sprowadzonych przez tragedii. A ponieważ zasada ta pozostaje niezmienna od początku cywilizacji, zapewne tak samo będzie z kolejnymi odmianami oręża. A swoją drogą, wierzyć się nie chce, że wszystkie te skomplikowane, śmiercionośne maszyny wycelowane są w człowieka, którego można pozbawić życia jednym małym kamyczkiem. Chciałoby takim jak ten, którym Dawid zabił Goliata.

Kiedy deszcz zgęstniał, zdecydowałem się przeczekać go pod rozłożystą lipą. Tak jak czyniła to młoda zakonnica, która stała oparta o pień i tylko od czasu do czasu podchodziła do granicy kręgu wyznaczonego przez koronę drzewa, sprawdzając, czy się przejaśnia. Aby jakoś zagaic, zapytałem, czy pozwoli mi skorzystać z tej samej osłony, na co odpowiedziała, że przecież drzewo nie jest jej własnością i może się pod nim schronić się każdy potrzebujący. Ja na to, że moje pytanie wynika z niewiedzy, czy zakonnicom wolno stać w towarzystwie nieznanym mężczyzną i czy to aby nie grzech. Uśmiechnęła się i odrzekła, że chyba powinienem przypomnieć sobie definicję grzechu, którego głównym elementem

jest świadomość łamania praw bożych. Chętnie przyznałem, że moja znajomość katechizmu istotnie szwankuje i z całą pewnością przydałyby mi się korepetycje. Nie jest więc wykluczone – zasugerowałem – że ten deszcz został zesłany specjalnie po to, abym mógł spotkać kogoś, kto mnie religijnie uświadomi. Ona na to, że na edukację potrzeba czasu, a ona ma nadzieję, że szybko przestanie padać, bo czeka na nią zbyt wiele zajęć, aby beczynnie stać pod drzewem. I faktycznie niebawem przestało, z czego byłem szczerze zadowolony, bo nie wiedziałem o czym można byłoby konwersować z osobą o tak świętobliwej profesji.

Pożegnałem się więc żartobliwym podziwem dla jej zdolności przewidywania i każde z nas poszło swoją drogą.

Zbieg okoliczności sprawił, że przypadkowy epizod z zakonnica miał dalszy ciąg.

Do ponownego spotkania doszło na urodzinach żony mojego przyjaciela Tomasza. Ewa od wielu lat czynnie udzielała się w katedralnym chórze, a ponieważ siostra Konstancja – tak mi ją przedstawiono – także wykazywała śpiewacze zamiłowania, zaprzyjaźniły się na tyle, że zakonnica stała się częstym gościem w ich domu. Jej urokowi uległ nawet emocjonalnie powściągliwy Tomasz, który z rzadką dla siebie otwartością, pochlebnie wypowiadał się o jej urodzie, przymiotach charakteru oraz inteligencji:

– Gdyby nie była zakonnica, może nawet bym się nią zainteresował, ale dla mnie mniszka nie jest kobietą. Choć czasem szlag mnie trafia, kiedy pomyślę, że taka ładna, dobra i mądra baba z własnej woli zapakowała się w zakonny worek, skazując na rolę modlitewnej maszynki i operatorki igły cerującej księżę skarpetki. Chciałbym nawet, aby znalazł się chłop, który mógłby z niej zdjąć habit i przywrócić życiu.

Wypowiedzi te traktowałem obojętnie, bo nie znając osoby, mogłem jedynie formułować ogólne wątpliwości na temat zdrowia psychicznego kogoś decydującego się na życie za klasztorną furtą. Jeśli zaś chodzi o zachwyty nad urodą siostry Konstancji, to jakoś nie mogłem wyobrazić sobie zakonnicy na tyle atrakcyjnej, aby jej osoba godna była oceny estetycznej.

Jan Adam Borzęcki

Echo

W ciszy wieczoru jak w tafli wody
ogłąda swoją twarz miniony dzień

nowe zadrapania rysy pęknięcia
nabrzmiwiają wołaniem o pomoc

biegnące do nich echo
załamuje się nagle
i ginie

Tuż obok

Wilgotny dotyk chłodu
objął mnie niedosytem myśli
zatrzymany nagle czas
stanął bezradnie
wibrująca wokół cisza
zadrzała jak motyl

wieczność niczym mroczna fala
przeszła tuż obok

Lete

Gdzie jesteś rzeko Zapomnienia

czy niezwykła moc twego kryształu
tylko dla umarłych

czy potrzeba aż powodzi
byś wystąpiła z brzegów
i zabrała z mej pamięci
niedobre sny

gdzie jesteś rzeko Zapomnienia

Chwile

Jeszcze dzień nie rozkręcił się na dobre
a już w chmurach czai się zmierzch

rozpędzone chwile biegną bez wytchnienia

za nic mają wołanie że są piękne
i że mogłyby trwać wiecznie

Krąg

Uczę się samotności jak dziecko alfabetu
z trudem składam minuty i godziny
jakbym chciała coś jeszcze zbudować

na rozpiętej mapie czasu
tak niewiele przyjaznych miejsc

przywołuję na pomoc dawne krajobrazy
odwzorowuję minione chwile

podpływają wierne
ale rodzą smutek

na rozpiętej mapie czasu
z wielokrotnioną skalą samotność
zatacza swój krąg

Tylko dlatego

Mam teraz niewielkie marzenia
i chyba dość prozaiczne
bo jak radzi poeta
trzeba marzyć na miarę spełnienia

jestem więc myślami w realu
trzymam się mocno ziemi

jeśli kiedyś zacznę bujać w obłokach
to tylko dlatego że ziemia
oderwała się od moich stóp

Promień

Wstający dzień otworzył na nowo
ten sam chichot losu
jego szydyczy ton
już wdziera się w świadomość
gdy nagle wbiega ukośnie
promień słońca

czy zamieni się w sztylet
i przetnie ten złowrogi dźwięk

Myśli

Nasze światy twój i mój
są jak dwa odrębne zbiory
nawet się nie zazębiają

a jednak napowietrzną drogą
niestrudzenie biegną ku sobie
nasze uskrzydłone myśli

czasem przysiadą na chmurze
a czasem ulatując wysoko
w podniebnym tańcu wirują

Cisza

Co jeszcze jest w ciszy
oprócz tykania zegara

gdy spływa wraz z nocą
i bierze nas we władanie
aż do świtu

czy to ona zapala gwiazdy
utula do snu i leczy rany

czy niewidzialna zostawia
jakiś ślad

by idąc po nim
dotrzeć do jej głębi
spojrzeć w nią jak w przepaść

i zobaczyć jak martwa
w wieczny sen zapada

Rozmówca

Otoczona samotnością
jak średniowieczne miasto murem
nauczyłam się rozmawiać ze sobą

mój rozmówca jest cierpliwy
niczego mi nie narzuca
a nawet broni moich racji

czy mogłabym pragnąć czegoś więcej

Rekonwalescencja

Lęk już prawie wyciszony
bunt stracił na sile
a nowa sytuacja choć trudna
da się przecież ogarnąć
i choć po części zaakceptować

mogłabym już zacząć życie od nowa
gdyby nie to że prawie straciłam
zaufanie do świata

moje nowe przemyślenia nowe racje
już się nie mieszczą w jego widnokręgu

i choć nie jesteśmy jeszcze wrogami
wyczuwam dziwne napięcie i niepokój



Krystyna Cel – poetka i eseistka (od 2011 przew. Sądu Koleżeńskiego w Kieleckim Oddziale ZLP) podczas tegorocznego Święta Kielc otrzymała Nagrodę Prezydenta Miasta II st. za całokształt dotychczasowej 20-letniej pracy twórczej.

Opublikowała tomy poetyckie: *Nim zapadnie zmierzch* (1996), *Ścieżkami dalekiego ogrodu* (1998), *Księżyc w styczniu* (2001), *Zagubiony widnokrąg* (2005, nagrodzony w ogólnopolskim Konkursie im. Stefana Żeromskiego), *Czuła retrospekcja* (wiersze wybrane, 2010) oraz książki eseistyczne omawiające z wnikliwą interpretacją przede wszystkim twórczość pisarzy z Kielc i regionu świętokrzyskiego: *Stanisław Nyczaj* (1999, z serii „Sylwetki współczesnych pisarzy”, AW „Gens”), *Tajemnice przeżyć nieuchwytnych* (2003), *Wobec tajemnicy istnienia. Portret literacki Benedykta Koziela* (2011, z serii „Portrety Literackie”, OW „STON 2”), *Między dawnymi i młodszymi laty* (2011). Od wielu lat aktywnie współpracuje z „Świętokrzyskim Kwartałnikiem Literackim”.

Serdecznie gratulujemy!

Bezsenność

skupieni
ciągle myślimy o śmierci i miłości
dumnie szukając szacunku
dla własnych wielkości
sprzedajemy godność
w interesie życia

zapisujemy oczami
na pożółkłym papierze
obrazy ludzi
wyglądających
przez okratowane okna
budzimy zagubioną przestrzeń
pulsującej ciemności
z lodowatego snu

wieczorami
zmęczeni obłąkanymi oświadczeniami
intymnych uniesień
budujemy cmentarze z czerwonej cegły

Dwoistość

każde słowo
dostosowane
do pojęć abstrakcyjnych
to wątek nowej przestrzeni
nowego czasu

rzeczywistość
nie mieści się wtedy
w mniejszej części bytu
którym jest niby słowo
chore
w imię sprawy
anemicznego widnokągu

dni stają się absurdem
prywatną praktyką
ludzkich uczuć

Kamienie życia

Kim byli ludzie,
którym zawdzięczamy przyjście na świat?

Wrodzone zdolności,
rysy twarzy –
skąd się wzięły?
W młodości nie zastanawiamy się nad tym.
A później,
kiedy odejdą już dziadkowie i babki,
kiedy odchodzą
– nim się zdążyło wypytać –
ojcowie i matki,
nagle zdajemy sobie sprawę,
że w wieku informacji
można zdobyć wiadomość z dowolnej dziedziny,
oprócz elementarnej
– skąd jestem.
To nasi przodkowie,
usiłując przeniknąć wzrokiem daleką przyszłość,
mogli zaledwie snuć przypuszczenia.
Ale my o nich moglibyśmy naprawdę coś wiedzieć.
Pełni poczucia wspólnoty i zdziwienia
– czyżby wszyscy wyszli stąd,
z tego na wpół zniszczonego domu? –
chodzili dookoła,
zaglądali przez okna,
wsluchiwali się próbując zrozumieć to,
czego nie da się zobaczyć
– bieg czasu.
Kto nie pamięta przeszłości,
ten nie ma przyszłości,
choćby powtarzał wciąż te same słowa.
Różne kamienie spotyka człowiek na drodze życia.
Jedne usuwa z pola,
inne gromadzi,
żeby zrozumieć, żeby zbudować dom.

Kamień jest twardy i wieczny.



Kołaz Ireny Nyczaj

* * *

*Pojęcie grzechu dla Indian jest jeszcze związane z pojęciem
zdrowia i choroby, osobistej, społecznej i kosmicznej.*

Paz

„Przed narodzeniem Chrystusa słońce – oko Boga
– nie grzeje. Ciało niebieskie jest atrybutem boskości”
Tylko wiosenny powiew muska drzewa w parku. Za błotem miasta
(pod drzewami kobiety grzeszne niby siwowłose węże)
Deszcze topią zamkowe mury (trzymam w dłoniach czaszkę
Yorika. Nad nami wielka i niema ziemia. Nie słysząc
jak ptaki ścielą swe gniazda) przyśniony Indianin
Jest lasem. Wezbraną wodą która opływa słoneczne
Zegary. Ścianą powietrza za plecami krzewu –
Śpiący Indianin dotyka dłońią skóry na wydatnej
Kości policzkowej. Zmarszczek pod oczami
(kiedy spada w coraz głębszy sen staje się błogością)
A może jest to tylko „ślepe miejsce w oku”
Widzę gwiazdy zwisają z czarnego sklepienia
Młoda Indianka zakłada ręce na kark i zanurza
Je we włosach – miękko opływają jej palce
Czuję migotanie w słońcu. W złocie popołudnia
Nie wierzyłem „że tęcze są mostami Boga.”
Umarli jedzą sobie z ręki –
(otwarta światłość nieba unoszona przez prądy i linie)
Przeniknięta ciemnym powietrzem prowadzi na firmament tęczy
Nad wierzchołki drzew rozbudzonych przez latarnie
W brzmieniu życia liści – las zaciera ślady
A oświetlony zegar wygląda jak czuwające oko

* * *

Liść winorośli czerwoną strugą w powietrzu się pali –
Włosami wiatru szumi potoczyście. Żółta rzeka słońca
Płynie w przestrzeni chybotliwą rzeką. Zleciały się chmury
Opadając coraz niżej na dachy domów. Na twoją górną wargę
Wysuniętą do przodu. Na oczy otwarte zdziwieniem
Drzewa zastępują nam drogę. Brunatny parkan nabiera
Koloru ochry. Na peronie pociągi w kolorowym szlaku
(minęła nas dziewczyna trzymająca dziecko za rączkę)
Zauważyłem że miała chustkę na głowie zawiązaną
Na modłę afrykańskich kobiet –
Żółta rzeka płynęła tam gdzie pagórki biegły za brzozami
Na niebie gwiazdny wzór jak na kamiennych płytach podłogi
A ty mi mówisz: „pacnięciem języka chłostali sobie twarze”
A potem twoje oczy gromadziły światło (widziałem tylko ciemne

kreski nad powiekami) myślałem: skąd to spojrzenie powściągliwe
Chłodne. Zapach twojej skóry jak czas jest w twoim ciele
Za oknem drzewa osrebrzone rosą (jest piąta rano na dworcowym
zegarze – dziura światła na niebie powiększa się płynnie strzeliście)
Oczekuję światła południa kiedy zrzucą most z tęczy –
Jest zaledwie światło słońca nad żółtą rzeką pozbawione
Drzew i krzewów. Pociągi jak obłoki dudniące. Jak przyptyw
Morza. Szyny – gdzie zieleń zakrzepła w kamieniach
W wagonie restauracyjnym (cienie wiatru jak czarne
skrzydła mgły – w okna uderza mrok) podają nam karmelki
Króla duńskiego. Malinowe galaretki. Kandyzowane orzeszki
Marmoladki waniliowe i pączki miodowe –
Leśna rapsodia szturmuje niebo żywiczną ciszą

* * *

Pejzaż białych wydm z symetrycznymi szeregami palm –
(stojąca przede mną widzisz na nich opalizujące światła)
Świt porozwieszał kleistą mgłę „w bukowych lasach, co aż po drzew
wierzchołki toną w cyklamenowej woni” lasy nagich pni
Morze wyrzuciło resztki włókien i zwęglonego listowia
Ręce kobiet były śniade i smukłe. Bałem się otchłani
Morza pod kilem okrętu. Czarne fale otwierały się jak muszla
Niebios. Jak śpiew gór. Pejzaż białych wydm widziałem kiedy zmierzch
Zapadał. Spojrzenia ludzi na pokładzie przed wejściem
Do portu. Słońce wędnące. Trzeszczące płomyki. Wilgoć
Jesiennego wieczoru. Pusta plaża aż po kamieniste wybrzeże
– Na prawo od zatoki ukazało się miasto – wśród pól wzgórzami
Okolone jak łagodne zwierzęta (które nocą świecą żagwiami)
W mieście śniłem pokój gdzie wszystko będzie jak w klasztornych
Piwnicach. Wino i hałas brzmi przytłumiony. Fale mgły odpływają
Twoje ręce miłości pełne wieczornych strumieni –
(chwila dojrzałości wynikająca z wielu przed-chwil)
Kiedy kare konie wydeptywały między koleinami swoje
Ślady. Paprocie omdlewały na skraju lasu. Sągi drzewa
Znikały w ciemności (jakby z ich nagości zdejmowano korę)
Nocą słyhać srebrzyste łamanie gałęzi – mroźne pachwiny
Drzewa dławią ciszę. Jeszcze płynnie przez noc wołanie
W dzień stanę nad łuskami słońca na dnie lasu –
Za cieniem lasu chodzę – gdzie trawy grające
Przez wąski przesmyk przechodzę. A we mnie
Strużka krwi – kosmyk wiatru

Kosmogonia miłości

Prolog

Czujne oko pochwyli zew sztormu,
nim wiatr spowije żagle,
rozzańczy niebo,
co wymknęło się morskiej głębinie.

Znam te pomruki nieba;
niepokój wzburzonych fal
płoszący krzyk mew.

To dzika Natura
osacza człowieka błyskawicami,
wytęża niepokromioną moc.

To wiatr śpiewa
zwycięską pieśń sztormu –
bezkresną niczym poemat.

I

W odmęcie kosmicznej przestrzeni
tajemny głos oznajmił
czas próby dla Ziemi.

Także dla niepokornych.
Dla Niej i dla Niego,
którzy zajrzeli w oko sztormu
i zmierzili się ze sobą.

Wibracje przestrzeni wyrwały ich
z chaosu miasta jak z potrzasku –
sztucznych światła, neonów,
krzyku ulicy, co wzbił się
jak martwy potok,
niosąc daremne marzenia:
o chacie z uchylonymi drzwiami,
z czekającym na gości uśmiechem,
o ścieżkach wyścielonych szeptem kroków,
którymi ona w snach podążała
ku nim z ukochanymi sprzętami,
tuląc gasnącą gwiazdę
szczęśliwego dzieciństwa,
aż mrówki pijane rosą
pełzły po jej gzymsie
w niemym blasku.

Widzieli, jak konary sosen i buków,
kłaniając się, uchylały schronienia
leśnego ciepła, które znowu grzało
jak kominek. – Jesteście –
szeptały liście – w bezpiecznej gościnie.

Gałązki delikatnie dotykały ich głów,
jakby to On wplótł dłonie w Jej włosy,
i widział, jak migotały one
srebrną to znów złotą poświatą.

Ona wtulona w Jego spokój
śpiewała poranną piosenkę.

Przybył Jej z pomocą skowronek
i trelami rozdzwonił ciszę.
Zrodziło się słowo
i powstała myśl,
która zapytała o drogę.

Wyznaczył ją niczym odpowiedź wiatr,
co znowu zjawił się w samą porę
i ustanowił nowy początek.

Rozgłaszał szeroko pieśń
jednocząc ciała i dusze.
Wzmagana boską siłą,
niosła tajemne fluidy.

I zbudził się na nowo świat.
Rozpostarł szeroko skrzydła
i dłonie magią gestów wołające o pióro,
które zapisałyby myśl i ruch,
lęk i radość, ciemność i blask.

I zawrzało śpiewem skłonów,
gestów, myśli, słów.

A Ona chciała pobyc jeszcze
w twórczej ciszy i tylko pytała:
– Skąd słowo? Skąd myśl?

Rozszumiała się Natura
hymnem ukojenia.

– Twórcza myśl z myśli sprawczej
bierze swój początek. Stąd przyszła!
Może dotknęła dziecka,

co wyobraźnią dorównuje bogom,
i boski fluid przeszedł na Twą rękę?
Może staruszka ogarnięta lękiem
czule spojrzała, wdzięczna za troskę?
Lub beznogi kundel
zaszczekał w podzięcie za kość?
Może wyczytała z kroniki Akaszi
myśl wieszczca, który zapragnął
wydobyć ją na świat.

Ona słyszała słowa,
nie pojmując wpierw, skąd pochodzą
i do kogo są skierowane.
Nie znalazła nadawcy,
więc przestała słuchać.

Ale nie przestała patrzeć,
by nie przegapić chwili,
w której tarcza słońca
zdejmuje srebrną woalkę.

II

Pochmurne niebo
otwierało już bramy,
złotem barwiąc wszystko,
na co padło Jej spojrzenie.

On gnał ku Niej zwabiony
marzeniem, niczym owad,
co mknąc ku przeznaczeniu
w blasku świecy ginie.
– Lecz by Jego serce
nie wstrzymało biegu – szeptała.

Słowa były silne jak pragnienie.
To one sprawiły świt,
gdy usłyszała głos
przyśpieszający bicie serca.

– Jestem zazdrosny o słońce –
rzekł do oniemiałej ze zdziwienia,
jakby z letargu wybudzonej.

I przysiadł obok Niej.
Opuszkami palców dotknęła
ust, nakazując milczenie,
i odgarnęła Mu z czoła burzę włosów.

Wchłonięci przez ciszę, trwali
w oczekiwaniu na głos inny,
który jeszcze znikąd nie nadszedł.

Wtedy silny podmuch wiatru
rozdarł ciszę i usłyszeli wezwanie,
a właściwie smutno-gorzka pieśń
o upadku człowieka,
który zniszczył Naturę,
nie szczędząc cierpień Ziemi.

Czemu się tego dopuścić?

Pieśń Natury

– Między czasem a przestrzenią
pulsującą rytmem gwiazdozbiorów,
nad ruchem ich kto czuwa?

Czy ten, z którego myśli
przechwytnijemy spojrzenia
płodne objawieniem świata?

Z rozszczepionego światła
wychynęło słowo,
co przyśpieszyło
ziemskie stawanie się,
harmonijne zespolenie człowieka,
który zapragnął
istnienia życiem dwojga.

Lecz ledwie zdążył poznać
blask raję.
Bo z nagłą utracił rytm
w tym, co miało być dla Niej
i pozostać dla Niego.

Oddalił się ode mnie,
choć cała przyroda
rozbrzmiewała już
westchnieniem rozkoszy.

Fragment poematu Jadwigi Jaśkowiak: *Kosmogonia miłości / Cosmogony of Love*, Kielce 2013, Oficyna Wydawnicza „STON 2”

Zima – wiosna

zbielało posiwiato
wyszlachetniało
o wyślizgana czystości

staruszków

mrożony szacunek
ociemniały
niezdarny w krajobrazie

przeręble
w pamięci

wzrok rozmieniony
na śnieżynki

ale już się zbliża
bieli zielona eutanazja

Pytania pośpieszne

śpieszyć się czy nie śpieszyć
oto jest pytanie
odpowiadasz że jedno i drugie
tylko zależy do czego

więc śpieszę się do ciebie
śpieszę się uciekając od siebie

odpowiadasz:
śpiesz się albo nie śpiesz
nie wyprzedzisz głosu
nie uciekniesz przed światłem
chcesz być szybszy od czasu
więc zwolnij

może cię posłucham
by jeszcze przez nieśpieszną chwilę
być

– albo i nie – –

* * *

chcę ci napisać siebie
stoisz przy mnie – moje słońce w zenicie –
wodzisz promieniem wzdłuż kartki
otwierasz słowa na oścież

każde pulsuje osobno
lecz teraz
powinny się przenikać

czasami
mogą się ranić

łączymy w nich nasze sprzeczności
mój ciemny krzyk i twoje ciche światło
śnieg zespolony z zielenią
jak w przedwiosennym parku
polarne zimno i upał afryki

to wcale się nie wyklucza
wybuchają słowa –
z ich wnętrza
przychodzimy

Wspólnie

istniejemy w naszej wyobraźni –
jest całym wszechświatem
planetą
miastem
domem

w niej
jesteśmy bliscy
wciąż się przenikamy

nosimy się w sobie poza wszystkie granice
rozmowa –
schody do naszego domu
uśmiechy –
podróże da najcieplejszych krajów

przechodzimy poprzez siebie
na drugie nasze strony

tam
wyobraźnia się topi –

kosmiczna lawa
zamyka nas – w sobie

p r z e ż y w a m y razem
koniec
świata

Bez śladu

czas
wieje niczym huragan
szybciej od światła
(ono porusza się w czasie)

szybciej od myśli
przeszywa nasze głowy

wyrywa z korzeniami
dni miejsca
twarze
zamienia w piasek

wyprzedza
nasze narodziny

zabiera nas zegarom
i samym sobie
bez śladu

nie pozwala
umrzeć – bo już kiedyś
umarliśmy niezauważalnie

– w gęstniejącej nicości
nawet nie wiemy
że już istnieliśmy – –

Poezja codzienności

najlepszym wierszem jest
reperacja kranu –
skutek natychmiastowy:
wzmaga się podziw kobiet
zazdrość niektórych mężczyzn
– i słońce przenika uszczelki
ostrymi wersami –

Przechodzenie

zostawiamy za sobą to co nas uwiera
patrz –
w przezroczystej ścianie
są drzwi niewidzialne

przenikamy do siebie
do swych codzienności

jesteśmy razem
jesteśmy oddzielnie

w różnych wszechświatach
na wspólnej orbicie

tak się zderzamy
– planety osobne –
by rozbić swoje
nietrwałe imiona

i stać się globem
który nie przemija – –

Westerplatte – XXI wiek

lato jest mroźne tego roku
kiedy w bezładnym tłumie
idziemy do nieba pijani żołnierze

błękitna tafla staje się coraz zimniejsza
dogasa słońce – błyska raz na tydzień
a może rzadziej

biała ziemia to kulista zima
zawieszona w siwiejącej ciemności
wygląda jakby dopiero stworzona
choć przecież wiemy – istniała
osunęła się nam spod nóg
niczym zwierzę
które zdechło pod naszym ciężarem

tegoroczne lato nas fascynuje – wakacje
w temperaturze bliskiej bezwzględnemu zera
takich jeszcze nie było!

zdobyliśmy tak wiele –
już nie pomrzemy ani się nie urodzimy
nie darmo tak zajadle walczyliśmy między sobą
ku chwale globu i całej ludzkości

Sesja (Fragment powieści)

1

Coś niepojętego wisiało w powietrzu nad Łysobykami.

Coś ekstra.

Coś nie z tej planety.

Coś, od czego Marian Pluchta, emerytowany naczelnik stacji kolejki wąskotorowej dostał kociokwiku i chodził od rana zygzakiem, jak nakręcony po spożyciu szklanki siarczystego bimbrowa ze śliwek.

Co by też to mogło być, doprawdy nie wiedział. Może wojna albo przyjazd biskupa? Żadnej opcji nie mógłby wykluczyć. Toteż na wszelki wypadek wydobyl z szafy, otrzepał i obrał z pyłków galowy mundur kolejarski z pobrzękującymi odznaczeniami, czarne półbuty, czapkę, lizak i gwizdek na srebrnym łańcuszku. Cały dzień czatował w pobliżu telefonu. Ostatni regularny skład wąskotorówki relacji Jędrzejów–Kocmyrzów przetoczył się przez Łysobyki dwadzieścia lat wstecz. Od tamtej pory jedynie okazjonalnie posyłano z Jędrzejowa do Łysobyków wagon motorowy z wycieczkami. I tyle. Dalej tory porządowały albo żywcem wydarte przez lokalnych złodziei ze zbutwiałych podkładów ostatecznie trafiły na złom. Jednak telefon milczał jak zaklęty. To nie mógł być ten trop. Tylko co!?

A w nocy Pluchta miał wizję. Był rok 1972. Łysobyki rozkwitały. Pełno było młodzieży, budowano drugie Łysobyki od podstaw, bloki mieszkalne, nowy gmach liceum, oczyszczalnię ścieków, halę widowiskowo-sportową, bibliotekę, most na Nidzie, zalew etc. Odjeżdżali pijani poborowi. W Łysobykach była mijanka pociągów osobowych i towarowych. Właśnie od Jędrzejowa nadjechała towarówka pełna budulca, węgla, nawozów sztucznych. Maszynista z daleka obwieścił swój przyjazd przeciągłym gwizdem. W niebo wystrzelił pióropusz dymu. Zaś maszynistą był nie kto inny, jak ojciec pana Mariana. Dziadek Ambroży budował tory w 1915 roku, jeszcze pod okupacją austriacką. Jego syn Tomasz przepracował na kolei prawie pół wieku.

Wnuk Ambrożego zaś, syn Tomasza, też trafił w stęsknione objęcia PKP, zgodnie z rodzinnym porzekadłem, że kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej. I co? Nie było źle. Lizak do góry. Gwizdek do ust. Odjazd!

Atmosfera nad stacją najwyraźniej zgęstniała. Pluchta znał się na tych niuansach. Tiu tiu, niu niu, a portfela z pieniędzmi nie ma w kieszeni. Czuj duch, zuchu! Ależ faktycznie, coś się działo. Czyżby złodziej żelastwa? Trochę tego jeszcze było w od dawna nieczynnej parowozowni. Starczyłoby na cysternę bimbrowa ze śliwek. Ale to nie był złodziej. Dziwnie znajomy dźwięk przybierał z każdym kwadransiem na sile i wyrazistości. Drżało powietrze, dudniły szyny. O tej porze to nie mógł być pociąg. Zatem dreznina, ta po Austriakach, prawie stuletnia, zabytek techniki. Świadomość powagi chwili zmiotła Pluchtę z rozbebeszonego postania w stacyjnej służbówce, podarowanej emerytowi w dożywotnie użytkowanie przez Towarzystwo Kolei Wąskotorowych. Przyodział codzienne ubranie, byle prędzej, złapał lizak i gwizdek, i w kapciach wyszedł frontowymi drzwiami przez dawną poczekalnię na porośniętą trawą peron. Żadna inna dreznina nie skrzyiała tak jak ta łysobycka. Po wydawanych odgłosach poznałby ją na światowej wystawie drezyn. Sześć lat do tyłu odjechał nią w nieznanie Adrian Łucki, syn Honoraty, polonistki z Liceum Ogólnokształcącego. Wściekły, że ledwo zipał z przejęcia. Ział nienawiścią. Niech szlag trafi, niech ogień strawi, niech piekło pochłonie Łysobyki razem ze stacją, kościołem i Rynkiem. Wszystko przez to, że matka, wdowa po inżynierze Wojciechu, miała nieszczęście zakochać się w znanym krakowskim literacie. Różnie powiadano o Adrianie. Że spadł w przepaść w Alpach, utonął w Morzu Śródziemnym, został zadźgany nożami w Neapolu, zginął od wybuchu miny, wreszcie, że wprawdzie nic mu nie było, natomiast podpisał kontrakt i służył w Legii Cudzoziemskiej. Ciekawe, ciekawe. Hałas potężniał z każdą następną minutą. Dreznina była tuż, tuż za pomazanymi murami parowozowni. Wzruszenie ścisnęło Pluchtę za gardziel. Wszak w osiemdziesiątym trzecim roku życia doświad-

czał czegoś wręcz niezwykłego, jak wówczas, kiedy pierwszy raz sadził polną drogą na spotkanie z dziewczyną. Jest, wynurzyła się zza winkła szacownej budowli. Drezyna pędziła jak rączy koń, napędzana siłą mięśni jakiegoś draba ogolonego na zero. Adrian, nie Adrian? Adrian posiadał jasną bujną grzywę. Ten koń rozdarł się na całą stację:

– Jak leci, panie naczelniku!?

Jednak Adrian, co do tego nie mogło być dwóch zdań. Czemu wszakże łysy? Czyżby nawiał z kryminału? To też mogło być, ani dudę. Pluchta do końca, jak przystało na zawiadowcę kluczowej stacji na Ponidziu, wołał być ostrożny i trzymać emocje w ryzach.

– Jakoś leci – wymiamał, albowiem w pośpiechu zapomniał włożyć sztuczne szczęki, które na noc wkładał do kubka z proszkiem do prania. – Adrian, to ty czy nie ty?

Drezyna wprawnie wyhamowała o metr od Pluchty. Adrian zwinnie zeskoczył z podestu na peron. Był o głowę wyższy od zawiadowcy i dwa razy cięższy. W ogóle kawał przystojniaka, za którym łysobyckie dziewczuchy sikały w majtki. Zwłaszcza jedna, Ewa Fajfer, córka sekretarki burmistrza. Pluchta wiedział to i owo o tutejszych mieszkańcach od łaziorów spędzających na stacji w deszczowe i zimne dni miłe chwile przy kartach, szachach, piwie i bimbrze.

– Ja, bo co?

– Gadano, żeś zginął.

– Niewiele brakło, ale żyję.

– Ba, zawsze byłeś gałganem. Ale że ci w Jędrzejowie oddali drezynę?

– A tam, oddali. Wyłamałem kłódkę i oto jestem. Ta drezyna, bądź co bądź należy się do stacji w Łysobykach. Wciąż jest na stanie. Nie tak?

– Co prawda, to fakt. Kiedy się o nią dopominałem w Jędrzejowie, nawet nie chcieli słuchać, psiajuchy. Ty masz łeb. Łysy, ale niegłupi. Twój ojciec też taki był. Ani za nim nadążyć. Tysiąc pomysłów na godzinę. Aż zginął, biedaczysko. I to przez kogo. Przez własnego konia. Jak było tej choleralnej kobyły?

– Jarka.

– Bydlę, nie koń.

– Słusznie i naukowo, panie zawiadowco. Ale z drugiej strony, co koń winien, że jest koniem. Zgoła nic.

– Ano nic. Święte słowa.

– No to lecę do mamusi.

– No to leć.

Właśnie wstało słońce i Pluchta kątem oka dostrzegł w lewym uchu Adriana wisior, spory brylant w złotej oprawie.

No, no, no.

2

Honoratę Łucką też przez całe popołudnie i wieczór dręczyły zmyry i omamy. Jak w gorączce. Wszak Adriana, jedynaka, nie było w Łysobykach sześć lat, trzy miesiące i dwanaście dni. Najpierw zginął mąż, potem nawiał syn. Jakby była trędowata, wyklęta i niegodna szczęścia. A przecież nikomu w niczym nie zawiniła. Gdy Wojtek zginął na szosie, zamarło w niej serce, straciła ducha, wygasły emocje, zdawało się na zawsze. Aż do dnia, w którym do liceum przyjechał z Krakowa na spotkanie autorskie powieściopisarz i nowelista Alf Szarota. Cała szkoła, trzy i pół setki uczniów, zgromadziło się w sali gimnastycznej. Jednym przepadła w ten prosty sposób matma, innym historia i religia, i było git. Szarota czytał zająkliwie, na wydechu fragment dopiero powstałej powieści rozliczeniowej. Było tam najwięcej o ojcu, chorążym Karolu Szarocie, wiecznym konspiratorze, żołnierzu podziemia niepodległościowego, między sierpem, młotem a swastyką, powiązanemu niewidzialnymi nićmi z majorem Ogniem. Raz wojak od Ognia, to znów popłuczyny po Ogniu. Lista grzeszków była dość długa, jeżeli dowierzać zasobom archiwalnym. Przez dom Szarotów przewijali się, głównie nocami, tajemniczy ludzie w długich płaszczach, odbywali z ojcem sekretne narady, pojedli jajecznicy, popili herbaty i wsiąkali w ciemność. Mały Alf, rocznik 1942, konstatował, że z czasem było ich coraz mniej. Później się dowiedział, że ginęli po drodze. Wreszcie aresztowano ojca. Psim śwędem wymigał się od kuli w tył głowy. Dostał dożywocie. Siedział w Krakowie na Montelupich. Odbeczał pięć i pół roku. Wyszedł z więzienia wykończony fizycznie i psychicznie, złamany jak chamski scyzoryk. Z braku godniejszego zajęcia został kierownikiem kina. Niedługo cieszył się wolnością. Marniał, markotniał, aż oddał ostatnie tchnienie, chory właściwie na wszystko, a najbardziej na to, że nie tak było, jak miało być.

Po spotkaniu oczarowana i wzruszona Honorata zaprosiła Szarotę do siebie do domu na Kieleckiej, przecinającej Łysobyki na dwie nierówne

części z północy na południe. No cóż. Straciła głowę i serce. Kilka razy jeździła do Krakowa sama jedna, oficjalnie po zakupy. Ale Adrian był o matkę strasznie zazdrosny. Słyszał telefoniczne rozmowy, widział listy. Doszło, gdyż musiało dojść, do ostrej wymiany zdań. Wreszcie, wobec uporczywości matki, trzasnął drzwiami w kuchni aż tynk odleciał od ściany, wyrwał drewnianą z parowozowni i przepadł na przeszło sześć lat. W Łysobykach zrazu półszepem, potem coraz głośniejszym, coraz śmieiej rozprowadano, że spadł w przepaść, utonął w morzu, zginął od miny pułapki. Honorata ustaliła źródło owych pogłosek. Była nim Jolanta Fajfer, matka Ewy, zausznicą burmistrza Wyorka. Ale co zrobić? Takie jest przeznaczenie kobiet, kochać i czekać. Wbrew wszystkim i wszystkiemu była więcej niż pewna, że Adrian żyje i nic mu specjalnie nie jest. Nie należał do takich, którzy spadają w przepaść, toną w morzu, giną od ciosu sztyletem czy dają się rozerwać przez bomby. Wszyscy, tylko nie on.

Pierwsza widokówka od Adriana nadeszła dopiero po dwóch latach z okładem. Z Neapolu. Coś jednak było na rzeczy. Wszystkich widokówek było aż czternaście. Z różnych miast. Bez adresu zwrotnego. Wciąż zatem istniał i to było najważniejsze. Toteż kiedy przez okno kuchni ujrzała rankiem Adriana, zmierzającego sążnistymi krokami ku furcie, bezzwłocznie upadła na kolana przed krzyżem nad drzwiami. Nigdy nikogo o nic nie prosiła. Teraz zdobyła się jedynie na krótkie wyznanie wiary:

– Dziękuję Ci, Panie Boże, żeś tak tym wszystkim pokierował i oddał mi synka w jednym kawałku!

Na chodniku między furką a drzwiami do domu Adrian minął ładną czarnulkę z torbą wyładowaną książkami na ramieniu. Pomyślał przelotnie, że to jedna z matczynych uczennic. Wparował przez sień i na lewo, do kuchni z triumfalnym okrzykiem:

– Cześć, mamusiu! Oto jestem! Daj jeść!

Tymi słowami skwitował ponadsześćletnią nieobecność w Łysobykach. Chciała przyciągnąć syna do wezbranej uczuciem piersi, lecz cofnęła się z odrazą.

– Adrian, ależ ty cuchniesz. Spałeś w gnoju czy co?

Odparł pogodnie:

– Bywało, mamusiu, a jakże.

Ostatecznie przemogła wstręt, pociągnęła końcami palców zaplamioną smarami, gnojem,

farbą dżinsową bluzę, zmusiła Adriana do skłonu i złożyła miękki pocałunek na samym czubku łysej czaszki. Nauczona doświadczeniem, wszelkie pytania pozostawiła na zaś, na ciekawszą okazję.

– Teraz zdejm łańchy i idź do wanny. Tymczasem zrobię śniadanie. Jest smalec i kaszanka. Może być?

– Wszystko, byle dużo, tłusto i szybko. Później pójde spać. Nie kimałem trzy noce pod rząd.

– Czemu?

– Tak jakoś wyszło.

– Pójdziesz spać na górkę. Twój pokój na dole jest zajęty.

– Przez kogo? Chyba nie wynajęłaś dla pieniędzy?

– Nie, nie dla pieniędzy. Z serca. Pogorzelncom.

– Któż to taki?

– Ratajscy. Pamiętasz? Ratajski pomagał ojcu stawiać ten dom. Kiedy się spalili, nie miałam odwagi odmówić prośbie burmistrza. Tylko na jakiś czas, dopóki miasto nie znajdzie mieszkania zastępczego.

– Kiedy to było?

– Trzy lata temu.

– I ta mała czarna, którą spotkałem w drzwiach, to jego córka?

– Ano córka. Milena. Jestem w liceum jej wychowawczynią.

– Też pięknie.

Biorąc gorącą kąpiel, śpiewał gardłowym głosem o miłości, zdradzie i mordobiciu.

Henryk Kawiorski



Kołaz Ireny Nyczaj

Oficina^{*)} Komedia nieoptymistyczna

OSOBY DRAMATU:

HRABIA STAJEŃSKI

HRABINA STAJEŃSKA

ANTEK – ich syn

LUDWIK – stary kamerdyner

MARYŚKA MOZGAWA – służąca

MOSIĄDZ – były fernal, teraz milicjant

GÓRNICZEWSKI – były fryzjer, obecnie sekretarz PPR

LEJTNANT NKWD – młody

STARSZYNA – mł. sierżant sowiecki, poszukiwacz skarbów

LEJTNANT NKWD – stary

DĘBSKI – były właściciel sklepu księgarskiego, obecnie subiekt

POŹNIAKOWA – przewodnicząca Komisji Nadzwyczajnej do Spraw Zwalczania Spekulacji i Nadużyć Finansowych

URZĘDNIK – podwładny Poźniakowej

COBUŚ, DRYKCIŃSKI, GALIŃSKI – ubowcy

Trzech jeńców niemieckich (plenni). Fornale. Tłumek na jarmarku.

AKT I

Scena VI

Hrabinę budzi nagłe i mocne pukanie do drzwi, na dworze trwa pełnia księżycy i szpilki można zbierać. Na tyłach czworaków szczeka pies.

HRABIA – Kto tam?

LEJTNANT 2 – Odkrywaj, inżynier! Job twoju mać!

Hrabina w nocnej koszuli, szlafroku i narzuconym szalu, hrabia w bonzurce i spodniach od pizamy.

HRABINA (ze zdziwieniem) – Inżynier? To nie do nas!

Ludwik odsuwa zasuwę i kiedy tylko pocisnął klamkę, w szparze pomiędzy skrzydłami drzwi ukazuje się zabłocony but i, w zwiniętej w harmonijkę cholewie, tęgie udo obciśnięte sukniem granatowych rajtek, poszerza wyłom, a w końcu do kuchni wpychają się Lejtnant 1 i Lejtnant 2 w zabłoconych szynelach.

LEJTNANT 1 – Wy inżynier sielskiego choziajstwa, da?!
LEJTNANT 2 – Powiedz mu, że kończyłeś studia melioracyjne w Belgii, ale nie zajmowałeś się zawodem, miałaś rządcę...

LEJTNANT 1 – U nas dla was diwizjonaja i armiejnaja rabota...

Hrabia otwiera usta, ale zanim coś zdoła wykrztusić, Lejtnant wyciąga mapę sztabową z mapnika i rozkłada na stole kuchennym.

LEJTNANT 2 – Wot tut – Su-li-sław. Da... Sulisław, a tam wodecznyj zawod. Grafa niet, udrał z giermancem, nikogo niet... a nam nužno sdiełat' spirt.

LEJTNANT 1 – My was tuda przywieziom, a wy nam sdiełajecie spirt na piatogo janwaria. Nam nužno na eto czisło tysiaczu stolitrowych boczek choroszego spirta.

HRABIA – Ja jestem meliorant, ja nie pracowałem w zawodzie, ja się na tym nie znam...! Miałem zawsze rządców.

LEJTNANT 2 – Niczego... Nam w gorodie goworili, czto wy inżynier sielskiego choziajstwa i s etim sprawities`. Sdiełajecie spirt naszym wojennym. Odiewajsia, pojdiom...

LEJTNANT 1 – Kak budiesz soprotiwłatsia, my budiem sczitat' tiebia grafom sabotażnikom i pojdiosz pod wojennyj sud. Na piatogo janwaria dołžen byt' spirt gotow. Ja otweczaju za eto dieło. Poniał?

Sołdaci wychodzą. Hrabia patrzy na żonę, ta chwyta się za głowę.

HRABIA – Barbaro! Przecież ja nie miałem nigdy do czynienia z gorzelnią. Po co ja tam pojadę...? Co robić?

Scena VII

Pomieszczenie w biurach gorzelni hrabiego Nagłowickiego w Sulistawie. Meble wyrabowane, przekrzywiony, rozchwiany stół, w kącie łóżko przykryte brudną pierzyną z poszwą w kolorze ziemi, trzy krzesła. Na łóżku siedzi hrabina ciepło ubrana, w zakopiańskich kapciach, ciepłej sukience, swetrze z szalem zarzuconym na ramiona. Hrabia siedzi na krześle przy drzwiach, żołdat z karabinem, sztyk (bagnet) na lufie.

HRABIA (do hrabiny) – Dobrze, że zaglądnąłem do tej szuflady, cud boski, że tam gorzelany zostawił tę książeczkę.

HRABINA – Dobrze... ale to starość, pisana jakimś archaicznym językiem, niesłychaną polszczyzną...

HRABIA – Ale jakaś instrukcja jest.

Wchodzi Lejtnant, żołdat koło drzwi opiera się na karabinie.

HRABIA (*do Lejtnanta*) – No, rozglądam się, przygotowuję się przynajmniej teoretycznie... będzie nam potrzebne żyto i drożdże.

LEJTNANT 1 – Otkuda mnie wzięt' ciebie roż?
Hrabia przewraca kartki książeczki.

HRABIA – No, ja z powietrza wódki nie zrobię!

LEJTNANT 2 – My postawim ciebie pod stienku i ty sdięłajesz nam spirt iz gówna!

LEJTNANT 1 – Wot nam przšli wremiena. Czto nie dień, to czudo. Wodku goniat iz gówna. Wot popływiot spirt wpieriod, czerez żopu priamo w rot. Ha, ha, ha, ha!

Ryczy śmiechem, hrabina zakrywa uszy rękami.

LEJTNANT 2 – Nu! My zawtra priwieziom wsio, czto potreba. I plennych k pomoszczci.

Lejtnant wychodzi. Hrabina płacze, mąż patrzy na nią równie zrozpaczony.

Za oknem zmrok rozjaśnia się na czerwono.

HRABIA – To niesłychane! Pałą bibliotekę Na-głowickich!

HRABINA – Kto? Sowieci?

HRABIA – Skąd?! Fornale! Wynoszą z pałacu naręcza książek na klomb. Jakaś baba krzyczy: palcie pańskie książki! A ci fornale, co koło nas mieszkają, stoją z założonymi rękami.

AKT II

Hrabina Stajeńska śpi zagrzebana w brudnej pościeli. W oknie wczesny ranek. Daleki pogłos ciągników „Staliniec”. Pogłos silników coraz bardziej się nasila, za chwilę pokój trzęsie się od potężnego warkotu. Najpierw jeden, potem drugi traktor cichnie. Na dworze głosy, krzyki w języku rosyjskim. Do pomieszczenia wchodzi Lejtnant 1 i Lejtnant 2.

LEJTNANT 1 – Zdrawstwujtie, inżenier, i wy, barysznia. Wot my i prijechali! No, rzy niet, my priwiezli melasu, budiet choroszaja wodka! I drożży jest'!

HRABIA (*z rezygnacją*) – No, to nam trzeba ludzi... Diesiat'.

LEJTNANT 2 – Prywiezli plennych. Tri plennych. I waszy ludi iz grafskogo choziajstwa budut! Wsio prawilno!

HRABIA (*do żony*) – Basiu! Musisz wstać. Najlepiej przenieś się do tej rodziny fornalskiej, Dutków – rozmawiałem z Dutkiem. Tam jest tylko dwoje dzieci... Drugi czworak, dopytasz się.

Hrabina podnosi się z barłogu. Jest kompletnie ubrana, wciąga tylko kapcie.

HRABINA – Pamiętaj, Hieronim. Najpierw zrób zacier-matkę. Pięćset litrów, i grzać, tylko nie przegrzać.

HRABIA – Będę łokciem próbował, bo termometry potłuczone.

Hrabina wychodzi. Hrabia z książeczką poradnikiem w ręku mówi do wynędzniałych jeńców w letnich mundurach i drewniakach, i do fornali.

HRABIA – No, panowie! Najpierw robimy z tych drożdży zaczyn-matkę. Jakbyście to zmarnowali, to jedziemy jak tu stoimy, na Sybir. Tam w gorzelnii jest taka kadź, pójdziemy, zmieszamy to, zapalimy pod tą kadzią i grzejemy melasę.

Scena II

Uptywa czas. Mieszkanie Hrabiego.

HRABIA – Zrobiliśmy ten zaczyn, grzeje się teraz. Dobrze, że jest suche drzewo.

HRABINA – A co oficerowie?

HRABIA – Poszli do piwnic pałacowych, jak tylko rano wstali... Szukają czegoś...

Wchodzi Lejtnant 2, jest zaferowany.

LEJTNANT 2 – Nam nado plennych s łopatami.

HRABIA – Co się stało? Oni beczki teraz myją.

LEJTNANT 2 – Nie twojo dieło. Twojo dieło spirt diełat'.

Hrabia wychodzi, a za nim Lejtnant.

Scena III

Fornalska izba. Wchodzi Maryśka. Jest w dziwny sposób umorusana na twarzy, ręce też ma czarne, trzyma w nich koszyk. Cieszy się, widząc hrabinę, dopada do niej, całuje w rękę.

HRABINA (*też ucieszona*) – Boże drogi! Marysia! Jak się tu dostałaś?

MARYŚKA – A miał jechać Ludwik, ale mu cosik strzeliło w krzyżu...

HRABINA – Marysiu, umyj się trochę po tej podróży, bo twarz masz całą zabrudzoną, i szyję, uszy, aż wstyd.

MARYŚKA – A bo, pani hrabino, jechałam na lorze z Ruskimi, tom się specjalnie ubrudziła. Wódkę pili, strzeli coś takim do głowy i zaraz bierą się do kobit...

HRABINA – Biją?

MARYŚKA – Zaś by tam! Zgrandzą, zgwałcą!
A mnie się nie widzi „buchane” dziecko na sta-
rość chować!

HRABINA (z przyganą) – Marysiu! Jak ty się
wyrażasz! Idź już i doprowadź się do porządku!

MARYŚKA – A idę! Tu w koszyku trochę je-
dzenia przyniesłam. Wędzonkę od Kuska i chleb
od Sobusiaka, wszystko za mleko i ser od na-
szych krów.

Scena IV

*Mieszkanie hrabiostwa Stajeńskich. Wchodzi
Lejtnant 1 i Lejtnant 2.*

LEJTNANT 1 – Nu kak? Budiet spirt?

HRABIA – Jeszcze za wcześnie. Dopiero zrobi-
liśmy zaczyn matczyiny. Jutro zmieszamy, bo już
zakwitł. Grzejemy melasę w basenie.

*Lejtnant podnosi butelkę, trzepie nią i zagląda
pod światło.*

LEJTNANT 2 – A my dumali, czto graf w etom
podwale priatał zołoto, kamni!... A tut tolko
wino... Nawiernio wino... Poprobuju!

LEJTNANT 1 – A możet wodka. Dawaj sta-
kan!... I zakusku!

*Hrabia kładzie na stole talerz z czarnym chlebem,
cebule, słoninę. Lejtnant stawia butlę z miodem.*

LEJTNANT 2 – Prazdnik budiet!

Leje do garnuszków. Próbuje, mlaska.

LEJTNANT 1 – Miod! Choroszyj miod! Popro-
bujtie, inżynier!

*Leje do blaszanego garnuszka, hrabia z przymu-
sem bierze, podnosi do ust.*

LEJTNANT 2 – Otlicznyj napitok! Wasze zdo-
rowje, inżynier! Budiet spirt?!

Starszyna wygraża palcem przed nosem hrabiego.

LEJTNANT 1 – Kak nie budiet, puła w łob!

Śpiewają.

„Ach, Rossija ty, rodnaja, Ukraina zołotaja!”.

LEJTNANT 1 – Tiszyna! Tiszyna!

Rozlewa do garnuszków.

LEJTNANT 2 – Graf! Polskij sabotażyst!

Śpiewają.

*„Wstawaj, strana ogromnaja, wstawaj na smiert-
nyj boj”.*

LEJTNANT 1 – Piej, graf!

*Hrabia wypija cały garnuszek i dostaje nowy.
Wszyscy już są dobrze pijani.*

LEJTNANT 2 – Ja wam pokażu moguczuju siłu
Krasnoj Armii!

(Wyjmuje nagan)

Job twoju!... *(strzela w górę, wrzeszczy,
strzela).*

Ura! Ura!

LEJTNANT 1 – Za rodinu! Za Stalinu!

Scena V

*Izba fornalska w czworaku. Wchodzi hrabia,
pijany.*

MARYŚKA – Matko Boska! A pan hrabia to
se doloł.

HRABINA *(patrzy na męża)* – Pięś?

HRABIA – Jak nie miałem pić, kiedy wmuszali
we mnie. Wykopali kilkanaście butelek wspa-
niałego miodu, stuletniego. Hrabia Nagłowicki
pewnie nawet nie wiedział, że przodkowie to
zakopali w piwnicy.

MARYŚKA – A Mosiądz godo, że jak hrabia
nie robi tego spirytusu, to albo na Sybir, albo
pod ścianę

(płacze).

HRABINA – Zataczasz się.

HRABIA – No i co? Nawet ich piesienek ja
naucziłsia.

HRABINA – Tylko mi tu nie śpiewaj, dosyc
mam tych wrzasków za oknem.

MARYŚKA – Gdzie panu hrabiemu do śpie-
wania!

HRABIA *(śpiewa)* – Ja na Duni wierchom jedu,
i mnie wsio rawno, i w transzei mnie niepłochu,
Gitler mnie gawno!

HRABINA – Wytworne i dowcipne.

*Pukanie do drzwi. Sołdat wprowadza wynędznia-
łego jeńca w wyszarganym mundurze niemieckim
bez dystynkcji.*

JENIEC – Das Superphosphat in die Melasse
zuschütten.

HRABINA – On mówi, żebyś dosypał do me-
lasy superfosfatu.

HRABIA – Wczoraj też mi to mówił, i jeszcze
mówił, że pracował u jakiegoś junkra w gorzelni...

(do jeńca)

Ratest du mir schlecht, dann werde ich dich
wegen der Sabotage anklagen.

JENIEC – Ich rate gut. Ja prawda mówić.

MARYŚKA – Co on godo?

HRABIA – Mówi, że jedyna rada to dosypać
do melasy superfosfatu. A tu po Nagłowickim
cały lamus tego jest w workach, niektóre już po-
pękały.

HRABINA – Jezus Maria! Masz jakieś wyjście?

HRABIA *(zdecydowanie)* – Pójdę i dosypię.

Scena VI

Mieszkanie Stajeńskich. Wchodzi Hrabia.

HRABIA (*triumfalnie*) – Cała gorzelnia pachnie spirytusem! Wszystko skipiało!

HRABINA – Dzięki ci, Panie! Co ta książeczka dalej mówi?

HRABIA – Teraz to wszystko na aparat odpędowy...

MARYŚKA (*ze zgrozą*) – Gdzie pan hrabia podział sweter?

HRABINA – Idź! Przynieś, bo ukradną!

HRABIA – Sweter... a, dałem temu jeńcowi, co mi taką dobrą radę dał. Przecież oni tylko w mundurach, marzną. Ja bym jeszcze i gacie zdjął...

HRABINA (*zgorziona*) – Ale nasiąkłeś koszarami!...

Scena XII

Przy stole siedzi hrabina, hrabia i lekarz Marczewski. Marczewski – blondyn o ascetycznej twarzy, często mrugający oczami i siągający nos w chwilach zaskoczenia czy zdenerwowania. Przy stole oparty o ścianę obraz Kossaka: jakaś dziewczyna z dzbanem i ułan.

HRABIA – Zdrowie pańskie, panie konsyliarzu!

MARCZEWSKI – To państwa hrabiostwa zdrowie.

HRABIA – No, to jest to, co nam najbardziej potrzebne. Zdrowie! Wygląda pan dobrze, zdrowie panu służy.

MARCZEWSKI – No, nie narzekam.

HRABINA – No, a doktorowi Kobylskiemu się zmarło...

Marczewski rzuca okiem na obraz, widać że rozmowa go nudzi. Podnosi kieliszek do ust, wypija niewiele, odstawia go.

MARCZEWSKI – Młody człowiek jeszcze, ale cóż, państwo chyba wiedzą – morfinista. W tym dniu przyjmował jeszcze pacjentów... A na drugi dzień krzyk, że nie żyje. Ale tak jest z morfinistami.

HRABIA – Nie sądziłem, że to takie niebezpieczne.

MARCZEWSKI (*kiwa głową*) – Przedawkował na wieczór. Morfina najpierw poraża ośrodek oddechowy. (*Zmienia temat*). A ta szabla, którą widziałem u pana hrabiego, to państwu potrzebna? Nie zbieram w zasadzie militariów i nie kolekcjonuję broni białej, ale podoba mi się... Gdyby jakaś przystępna cena...

HRABINA (*sucho*) – To jest szabla generała Hallera. Bywał u nas. Przechowujemy jako świętość.

MARCZEWSKI (*wstaje*) – Dzięki serdeczne. Mówi się – trudno. Całuję rączki pani hrabiny.

Wychodzi biorąc obraz. Hrabina patrzy na zamknięte drzwi, milczy. Hrabia podchodzi do okna, wpatruje się w podwórze.

AKT III

Scena IV

Mieszkanie Stajeńskich: hrabia, hrabina, ich syn Antek przegląda gazetę.

HRABINA (*ironicznie*) – No i co nowego w organizacji młodzieżowej?

ANTEK – W Zetwuemie. (*Również ironicznie*). Ćwiczymy nowy okrzyk: „Chiny! Chiny! Chiny!”.

HRABINA – Nic nowego! Chińczyki mają się dobrze od czasów Wyspiańskiego.

ANTEK – A, zapomniałem. Przywiozłem nowy „Przekrój”. Na pewno mama jeszcze nie ma! Jest wiersz o reformie rolnej, o hrabinie, która mówi: „Wola nieba, parcelujcie mnie, jak trzeba!”. Chamstwo wkradło się i do poezji... A tu... o Rosjanach, którzy wielbią literaturę nawet na froncie. „...Stanął niekształtny czołg! Ukradkiem, w przerwie od boju armatniego czołgista czytał tom Gorkiego i liść klonu miał za zakładkę”.

(Patrzy w rozwartą gazetę, monologuje).

„Na drogach polskich piękna jesień / już nasypała rowy liśćmi, / niedokończony promień rwie się, / brzoza i dąb w pomroce błyszczą, / gdzie stary pałac nowym prawem, / zmieniony na muzeum klęczy / białymi kolumnami w stawie, / i paw roztacza wachlarz tęczy / po niegrabionych w parku ścieżkach, / gdzie dębu liść z klonowym mieszka...”.

Zupełnie jak u nas! Pałac klęczy rzeczywiście, bo kolumna utracona i cegły z niej biorą na piec. Staw spuszczone, bo karpie zżarli wojacy. Pawie zjedli Sybiracy piekąc je na ogniskach i zagryzając jarzębiną, i co zostało? Te „niegrabione w parku ścieżki”...

(Wpada Maryśka trzymając w ręku szarą kopertę).

MARYŚKA (*zdyszana*) – Dał mi to listonosz Ruczka! Godo: No, tera to już państwu, za przeproszeniem panicza, docyndolą. Tak godo!... To jest z jakieś komisji, tylko pieczętka zamazana, oglądam i oglądam.

HRABINA (*Otwiera kopertę i wyjmuję pismo pisane na lichej przebitce, czyta*):

„W związku z dostarczeniem w dniu piętnastego stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego zastępczo za dostawę mleka, osiem kilogramów masła zafałszowanego w jednej czwartej margaryną, Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym postanawia:

1. Nie uznać dostarczonego zafałszowanego masła za wypełnienie dostaw masła za 1946 rok;
2. Obciążyć obywatela Hieronima Stajeńskiego karą porządkową w wysokości 12 000 złotych (słownie: dwanaście tysięcy złotych) płatne do dnia 20 czerwca 1947 roku.

Przewodnicząca Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym (-) Ewa Poźniak”.

Hrabina bezradnie spogląda na męża, a potem na Maryśkę.

MARYŚKA – Panienko Przenajświętsza, a przecież żem kupowała to masło, państwowe masło!

HRABINA (*słabym głosem*) – Widocznie państwowe mieszane jest w mleczarni z margaryną. Skąd ja wezmę dwanaście tysięcy?

MARYŚKA (*lekceważąco*) – Trza znowu sprzedać jakiś malunek... Może jakiego Kossaka albo Chełmońskiego.

HRABINA (*z rozpaczą*) – Może Marczewski by kupił. Tak łakomie patrzył na obrazy i na tego Mehoffera, którego Antos przyniósł z pałacu.

HRABIA (*skinąwszy głową*) – Jeżeli Marysia dobrze mówi, to za wczesne ziemniaki można dostać jakieś pieniądze...

ANTEK – Ale nie dwanaście tysięcy...

HRABINA – Bolszewicka banda! Boże! Boże! Ukarz! Zniszcz tę hołotę! Ja już tego dłużej nie wytrzymam!

Scena V

Biuro Komisji Nadzwyczajnej do Spraw Zwalczania Spekulacji i Nadużyć Finansowych. Umeblowanie: duże biurko, za biurkiem krzesło, przy ścianie ława, na ścianie nad biurkiem portrety Bieruta i Gomułki, z boku na ścianie duży, naturalnej wielkości portret Stalina, na drugiej ścianie portret Dzierżyńskiego, nad nim napis: „Komisja Specjalna – Młot Na Wrogów Ludu Pracującego Miast i Wsi”. Na krześle za biurkiem siedzi zażywna szatynka z krótko obciętych włosami. Przed biurkiem stoi hrabina Stajeńska. W ręce kobiety za biurkiem pióro, przed nią kałamarz z atramentem, jakieś papiery, zeszyt.

POŹNIAKOWA (*Przewodnicząca Komisji*) ze zniecierpliwieniem – Nie wiem dlaczego obywatelka koniecznie musi ze mną rozmawiać, od tego są urzędniki, a nie od razu do przewodniczącej.

HRABINA – Bo ja mam taką sprawę, że tylko pani może ją załatwić.

POŹNIAKOWA – Ino nie pani! Panowie są w Londynie, a do mnie mówi się obywatelko.

HRABINA – Przepraszam.

POŹNIAKOWA – Jak nazwisko?

HRABINA – Stajeńska, Barbara Stajeńska... Zostaliśmy rozparcelowani i mamy teraz dziesięć hektarów. Mamy dwie krowy, które licho się doją...

POŹNIAKOWA (*zjadliwie*) – A, hrabina!

HRABINA – Tak mnie kiedyś tytułowano... Ale to przeszłość.

POŹNIAKOWA – Pewnie! Ale mówcie, mówcie...

HRABINA – Jak mówiłam, krowy w jednym okresie przestały się doić i zalegaliśmy z dostawami mleka. Chcieliśmy się jakoś z tego wywiązać, więc za ostatnie pieniądze kupiliśmy osiem kilogramów masła, żeby i oddać zamiennie...

POŹNIAKOWA – No i w porządku. Władza ludowa nie będzie się was czepiać...

HRABINA – Tak, ale otrzymaliśmy pismo z pani, przepraszam, obywatelki podpisem, które twierdzi, że myśmy masło zafałszowali margaryną...

POŹNIAKOWA – No, to niedobrze, obywatelko.

HRABINA – Ale myśmy kupili to masło w sklepie...

POŹNIAKOWA – Ale wy żeście to masło zamiennie oddali...

Drzwi otwierają się, wchodzi urzędnik.

URZĘDNIK – Obywatelko przewodnicząca, melduję, że dokonałem zamknięcia sklepu Kosarczykowej na ulicy Kościuszki 17. Dzisiaj plutonowy milicji Mietła odwiezie ją do obozu. Ma wyrok dwa lata.

POŹNIAKOWA – Nie będzie bruździć w odbudowie naszego kraju i przebudowie handlu na socjalistyczny... Czy drzwi są zablombowane?

URZĘDNIK – Zablombowane.

POŹNIAKOWA – Pozdymamy futra z tych pań! Idźcie, obywatelu, do swoich spraw.

Urzędnik wychodzi.

POŹNIAKOWA – Co do was, obywatelko, to powiem wam bez osłonek, że nas nie obchodzi, skąd i jakie masło macie. Czy wyście fałszowali, czy kto, ta rzecz nie jest dla nas do rozpatrywania. Dostarczyliście sfalszowane. Jak nie zapłacicie w terminie kary, to do obozu, do Trzebini. Tam siedzą takie niepewne elementy: folksdojczery, gestapowcy, banderowcy, hilfspolicaje, konfidenci... Robią w kamieniołomach i przy glinie – jedzenie, no, nie najgorsze, tyle że pobudka rano i nie za bardzo można się wyspać.

Hrabina sięga do torebki.

HRABINA – Mam tu takie zaświadczenie... Mąż i ja oddaliśmy znaczne usługi dwóm generałom sowieckim przed ofensywą styczniową na Wiśle, produkując dla nich materiały wojenne. Proszę, o tu... (*Podaje papier wyjęty z torebki*) ...z podpisami i pieczętkami dwóch generałów. Cyrylicą, ale precyzyjnie jest tam opisane, co mąż i ja robiliśmy dla armii radzieckiej. Proszę... Mąż kończył w Sandomierzu rosyjskie gimnazjum i w tym języku zdawał maturę...

Przewodnicząca bierze dokument i obraca w dłoniach, jakby nie wierzyła i nie wiedziała, co z nim zrobić, przychodzi do siebie, chrząka i mówi:

POŹNIAKOWA – No, stoi tu czarno na białym i jak mówicie „prezycyjnie”, żeście pomogli w ofensywie... No... Mogę wam trocha odsunąć termin...

HRABINA (*z ulgą*) – Żeby do jesieni, mamy posadzone wczesne ziemniaki... Sprzedamy i zapłacimy.

POŹNIAKOWA – No to do jesieni.

HRABINA – Dziękuję bardzo. Do jesieni.

Scena IX

Sklep Dębskiego, za ladą Dębski, wchodzi hrabia.

HRABIA – Dzień dobry.

DĘBSKI – A witam pana hrabiego. Już wrzesień. Szczupak przygotowuje się do zimy i pewno dobrze bierze?

HRABIA (*lekceważąco macha ręką*) – Bierze, ale nie zawsze wyciągnę. To żyłka pęka, to kotwiczka nie trzyma. Sprzęt, proszę pana, dobry sprzęt, to rzecz podstawowa.

DĘBSKI – No a jak, że tak powiem, interesy? Słyszałem, że państwo karę dostali za nieoddane mleko.

HRABIA – No, nie całkiem tak... W zamian za nieoddane mleko kupiliśmy masło i oddaliśmy

zamiennie za mleko. Ale to była pułapka. Kto by pomyślał, że to masło, które wprowadza na rynek mleczarnia państwowa, jest w dwudziestu pięciu procentach zmieszane z margaryną. Oczywiście dostaliśmy karę za fałszowanie masła. Nie pomogło tłumaczenie, że kupiliśmy państwowe. Pani Poźniakowa...

DĘBSKI – O, to bezkompromisowa rewolucjonistka!

HRABIA (*z rezygnacją*) – I właśnie idę płacić tę karę. Cały rok zbieraliśmy pieniądze.

(Konfidencjonalnie)

Wie pan, zazwyczaj te urzędowe sprawy powierzam żonie. Nie mam nerwów do tego. Ale dzisiaj żona w niedyspozycji. Leży...

Dębski mruga do hrabiego, sięga pod ladę i wyciąga tabliczkę, na której wydrukowany jest napis: „Wyszedłem do dyrekcji”. Otwiera drzwi i zawiesza ją na drzwiach, zamyka drzwi na klucz. Odwraca się do hrabiego z uśmiechem.

DĘBSKI – Trzeba panu hrabiemu wyjaśnić, że wraz z wygraniem przez ministra Minca tak zwanej bitwy o handel, zaczyna się zmieniać oblicze samego handlu. Chyba pan to widzi.

HRABIA – Widzę. Świadczy o tym wystawa w sklepie Bucioznika... przepraszam, Spółdzielni Spożywców „Społem”. Zniknęły wędzone szczupaki i inne towary. Pytam – dlaczego, a on mówi, że nie przewiduje ich centralny rozdzielnik. Ale powiem panu w zaufaniu, że rybacy nad Wisłą łowią szczupaki i wędzą.

DĘBSKI – Nielegalnie! Odpowiednie organa mogą to kwestionować.

HRABIA – Dopóki nie znajdą się na stole u przedstawicieli tychże organów. Oczywiście nieodpłatnie.

DĘBSKI – Minister Minc, panie hrabio, kierując się twórczym marksizmem i leninizmem, wbija nam do głowy: „od każdego według jego zdolności, każdemu według jego pracy”. Pracownicy spółdzielni pojmują te szkolenia zupełnie po swojemu, czyli nie ujawniają za bardzo swoich zdolności, bo i po co, natomiast pracują tak, żeby się nie przemęczyć. Powiem panu, że jednak swój wkład pracy oceniają wysoko.

HRABIA – No, wracam do czasów, kiedy miałem dwór. Rządca co jakiś czas wywalał z roboty kogoś, kto swój wkład pracy oceniał wysoko, a pracował tak, żeby się zbytnio nie przemęczyć.

DĘBSKI – Rządca był praktykiem, a minister Minc jest teoretykiem, wobec czego zaczyna się

kształtować wśród ludu teoria: „czy się stoi, czy się leży, tysiąc złotych się należy”. Ale gdyby to było nawet pięć tysięcy, to i tak nie byłoby co za to kupić...

HRABIA – No właśnie.

DĘBSKI – Ale za to lud jest szkolony. Dowiedziałem się na ostatnim szkoleniu, że genialni teoretycy ustalili już naszą przyszłość. Od każdego będzie się brało według zdolności, za to dawało się będzie według jego potrzeb.

HRABIA (*lekko*) – Wie pan co, panie Dębski, poddał mi pan pewną myśl, której realizacja byłaby utrudniona, gdyby nie choroba mojej żony. Ostatnie prace polowe mocno ją utrudziły, tak, że mnie akurat powierzyła walory skrzętnie składane na opłacenie kary wraz z odsetkami. Myślę, że jest to jednak możliwość zaopatrzenia się zgodnie z moimi potrzebami... Oj, przydałby mi się taki komplet żyłek i haczyków. Ile to u pana kosztuje?

DĘBSKI (*przestraszony*) – Panie hrabio! To jest naprawdę bardzo drogie i nie opłaca się panu tego sprzętu kupować. Jestem pewien, że nikt w mieście tego nie kupi i czuję, że po kilku czy kilkunastu miesiącach zostanie to przecenione, a wtedy dam znać panu hrabiemu. I ponadto, wie pan, że kredytów żadnych się teraz...

HRABIA (*lekceważąco*) – Kto mówi o kredycie?

Wyciąga z kieszeni marynarki torebkę od cukru, a w niej zwitek pieniędzy.

To ile ja płacę za ten zestaw? Miałem kupować parę haczyków, ale dobrze się złożyło.

DĘBSKI (*ostupiały*) – Czternaście, panie hrabio, czternaście tysięcy osiemset.

HRABIA – Proszę!

(Przesuwa pieniądze w kierunku Dębskiego).

Zostanie mi jeszcze na dorożkę.

DĘBSKI (*jąka się*) – Dorożka... zaraz... tu w uliczce...

HRABIA – Pan go zawoła. Niech to poniesie...

DĘBSKI – Oczywiście, panie hrabio. Zrobił mi pan tygodniowy utarg w jednym dniu, ale jak, no... Przecież Poźniakowa... Komisja Specjalna...

HRABIA (*wyniośle*) – Jeszcze przed wojną kierowałem się słowami Wieszcza, pan je chyba zna, a co dopiero teraz...

DĘBSKI – Kończyłem gimnazjum klasyczne...

HRABIA – No właśnie: „Szlachta na koń siędzie. Ja z synowcem na czele i jakoś to będzie”. Pamięta pan?

DĘBSKI (*zupełnie skołowany*) – Oczywiście!
Przekręca klucz w zamku, zdejmując tabliczkę i ciska na ladę. Wybiega przed sklep i słyca, jak woła na ulicy:

Dorożkarz! Lokaj! Podjeżdżaj po hrabiego!

^{*)} Skrót opracowany przez Szczęsnego Wrońskiego, reżysera głośnego czytania dramatu w czytelni kieleckiej Pedagogicznej Biblioteki Publicznej 6 czerwca br. Refleksja nt. utworu w dziale *Wydarzenia*.

List z okazji Jubileuszu 80-lecia urodzin Włodzimierza Kłaczyńskiego

Z pięknej i szczególnej okazji Twych osiemdziesiątych urodzin przyjmij ode mnie osobiście, moich najbliższych z Rodziny oraz przyjaciół z Kieleckiego Oddziału ZLP, do którego mądrym sercem przylgnąłeś, serdeczne powinszowania, gratulacje, podziękowania i życzenia.

Winszuję Ci przede wszystkim dochowania do tak czcigodnego wieku dobrego zdrowia, sił, kondycji i sprawności fizycznej, czemu zawdzięczamy tę wspaniałą możliwość naszego dzisiejszego spotkania.

Gratuluje Ci imponującego, głębokiego problemowo i wartościowego artystycznie dorobku twórczego, będącego rezultatem trudu, na jaki Ty wielką pracowitością i rzetelnością pisarską zdobyłeś się, będąc przy tym czynnym zawodowo w absorbującej pracy lekarza weterynarza. Wszyscy tu obecni znamy ten bogaty dorobek, nie muszę więc długiej listy tytułów wyszczególniać. Ale pragnę podkreślić z osobistą satysfakcją, że w obmyślonej i redagowanej przeze mnie serii edytorskiej „Portrety Literackie” pod egidą Oficyny Wydawniczej „STON 2” ukazała się sumująca w bardzo szerokim spektrum Twoje dokonania życiowe i pisarskie książka pt. *Zobaczyć rzeczywistość... Włodzimierz Kłaczyński w rozmowie z Januszem Termerem* z obszernym tekstem uwiarygodnionym i ozdobionym licznymi zdjęciami i fotokopiami.

Dziękuję Tobie i Januszowi Termerowi za chęć udziału w tej serii, wspólny zapał, w jakim rodziła się ta książka. Dziękuję Ci za wszelką wyświadczoną mi niezmiernie życzliwą pomoc, zwłaszcza podczas wielu i tych regionalnych (w Sandomierzu, Staszowie), nadmorskich (w Dźwirzynie, Kołobrzegu), zakopiańskich i kazimierskich plenerów literackich oraz literacko-plastycznych,

których byłem współorganizatorem i komisarzem. Bez Twojej zaszczytnej dla nas obecności, rady, wniesionej niespożytej energii, bez Twojego krzepiącego animuszu plenery nasze nie zapisałyby się tak dobrze, jak są wspomniane i przez wielu w najbliższej perspektywie wyczekiwane.

Życzę Ci dalszych długich lat w dobrym zdrowiu i samopoczuciu, twórczych spotkań wciąż frapujących sugestywnymi gawędami, wspomnieniami, anegdotami. Twoje krytyczne spojrzenie na dziedzictwo historyczne i naszą współczesność motywuje do odwagi własnego zdania i bezkompromisowości, tam gdzie pisarz,

darzony społecznym autorytetem, ustępować nie powinien.

Życzę Ci dalszej twórczej passy w Twych ulubionych dziedzinach: powieściopisarstwie, nowelistyce, dramaturgii. I życzę nadto sukcesów medialnych, dających w pełni należny Ci szeroki rozgłos.

Z gorącym uściskiem i toastem za wszelką pomysłowość osobistą, rodzinną i w kręgu przyjaciół

Mielec, 20 lipca 2013

P R Z E S
Oddziału P w Kielcach
Stanisław Wyczał



Fot. Joanna Kłaczyńska

Barwy dojrzałości

Pamiętasz tamtą wiosnę
przyszła kaczeńcami
kinkiety kasztanów
zakwitły maturą
w wilgotnych dłoniach
ukryłeś strach
i ściągę z matmy

zielona dojrzałość
wybiegła naprzeciw
wielkiej niewiadomej

a dzisiaj
jesień dla ciebie
pachnie macierzanką
w powietrzu
stopiony bursztyn
obfitość i przepych czerwieni
jabłka i róże
pora spełnienia

zostań na dłużej
w zachwycie
nad fioletem
aksamitnej śliwy
w fenomenie trwania
jesteś tajemnicą
przekraczania siebie

Smak młodości

Jak to nie pamiętasz
miałam przecież na sobie
tę białą sukienkę
włosy rozpuszczone
uczesane wiatrem

królowała wiosna
wszystko było pierwsze
i miało smak
zielonej młodości

powinnam się była domyślić
że to tylko chwila
zwariowała z zachwyty
bo świat podawał ci

kuszące danie
wino muzykę i śmiech

Róża na śniegu

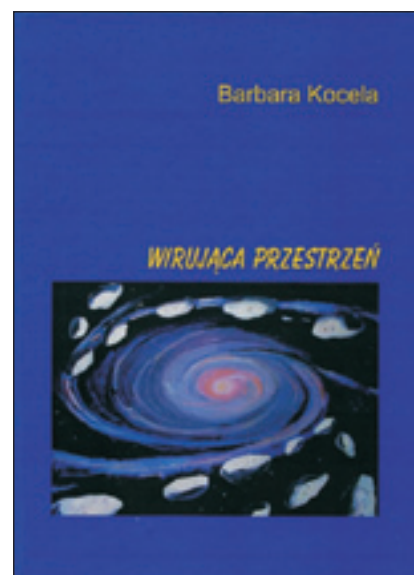
Zima dla ciebie
maluje bielą
misternie rzeźbione
płatki puchowe
zziębnęta aura
otula drzewa
panny weselne
w koronkowych sukniach

a na śniegu
płonąca róża

nie wychodź
z takich chwil
odkryj ulotny obraz
białej akwarelki
zimowego okna
sople diamentowe
z kolczyków Izoldy

w fenomenie trwania
jesteś tajemnicą
kapryśnego nieba

Barbara Kocela, *Wirująca przestrzeń*. Krosno 2012,
Krośnieńska Oficyna Wydawnicza Sp. z o.o., s. 56.



Sonety (z albumu *Szklana kula*)

* * *

Więc to tak utrudzone Zeusowe córki
odpoczywają w porze zmierzchu... Albo rano.
Ciszy ich strzeże niebo i Amor z kołczanem.
Liry, maski i szatki ukryte za chmurą.

W bukolicznym pejzażu pozują bez wstydu
(znam ten podest modelek z pracowni krakowskiej...)
bez swoich atrybutów. Jawiąc się z Weissowskiej
perspektywy jak pełne seksu Kariatydy.

Terpsychore i Talia, Erato i Klio
– każda z nich za kotarą boski nektar spija.
Lecz ani kropli wina w porzuconym dzbanie

co Polihymnię, Melpomenę i Uranię
zmorzyło. Zatem moim – zmysłowej Kaliope
I smukłej Euterpe wiersz kładę pod stopy.



Wojciech Weiss – *Muzy* (1927)



Krystyna Konecka podpisuje album *Szklana kula* na promocji w Tychach (6 czerwca 2013)

Mistrz

(Rozmowa ze Stanisławem Mazusiem)

Staszka (którego prace czujnie i w zachwycie podglądałam przez wieki wysoko nad ziemią)
czy bliższy mu profesor – pytam – z Akademii
Eugeniusz Eibisch czy Eibischa nauczyciel.

– Weiss jest mi bliższy – odrzekł. – Chylę przed nim czoło
Od swego ucznia bardziej oszczędny w kolorze.
Sprawniejszy warsztatowo. Swoje dzieła tworzył
jako kontynuator starej dobrej szkoły

holenderskiej. Hiszpańskiej. Przewodnikiem jego
był warsztat Velasqueza. Vermeera. Tycjana
rzecz jasna (więc pytanie nie było daremne).

– To, co ponadczasowe. On trzymał się tego
równając do najlepszych. Więc rozumiesz sama,
ci także są mi bliżsi. Podobnie jest ze mną.

Fraszki i aforyzmy

Zmienność uczuć

W młodości łączyły ich miłosne zachwyty;
W starości łączą ich wspólne „pity”.

Mniemam

Mniemam i to nie bez racji,
Wśród demokratów mało demokracji.

Demokracja

Teraz dla wszystkich prawo jednakie:
Każdy ma prawo zostać biedakiem.

Koło fortuny

Fortuna kołem się toczy,
Dopóty CBA nie wkroczy.

Zapewnienie

Zapewnia nas Unia:
Non olet pecunia.

Zmiana opcji

Z klubu do klubu
I to bez ślubu.

Odważny

Cała odwaga jego
To kopanie leżącego.

Polska rzeczywistość

Dziś polska rzeczywistość jest taka,
Że Polak na Polaka szuka haka

Nasza wojna

Nasza patriotyczna, swojska
Wojna polsko-polska.

Echa „peerelu”

Mamy jeszcze ludzi wielu,
Którzy żyją w „peerelu”.
Wszystko wciąż im się należy,
Czy się stoi, czy się leży.

Wyznanie ministra

Ja nie rządę,
Ja mam żądze
Na pieniądze.

Geriatryki, czyli fraszki w podeszłym wieku

W życiu

W życiu, zależnie od lat,
Człowiek bywa persona grata
I persona grat.

Metamorfoza

W młodości kochał nad życie;
W starości życie kocha skrycie.

W starości

Cierpimy w starości
Na impotencję młodości.

Rozwód starszego pana

Odszedł od żony
Na odpoczynek zasłużony.

Zaleta starości

Starość też ma dobrą stronę,
Na przykład, wierną żonę.

Już nie kozak

Już nie kozak,
Gdy skleroza.

Przebyte lata

Przebyte lata –
Dla jednego zysk,
Dla drugiego strata.

Znak czasu

Każdy dziś chciałby latać samolotem,
A ja do wieczności wolę – na piechotę.

Marzenia starca

Marzy skrycie,
Jak by repetować życie.

Na starość

Na starość nikt nie docenia
Daru zapomnienia.

Czas ucieka

Czas ucieka czy chcemy, czy nie chcemy,
Lecz my przed czasem nie uciekniemy.

Pomieszanie

Choć mieszają mi się ludzie i daty,
Ale z młodością wciąż żyję na ty.

Dziarscy staruszkowie

Choć pamięć nie ta, choć nie to zdrowie,
Wciąż wołamy: Naprzód, szwależerowie!

Mówią

Mówią, że jestem do rzeczy,
Choć rzecz temu przeczy.

Carpe diem

To dla mnie żadna gratka.
Ja chciałbym chwycić
Miesiące i latka.

W jesieni życia

I w jesieni życia
Mamy jeszcze
Wiele do zdobycia.

Żal

Żal mi każdego dnia młodości,
Ale starości też mi niejeden zazdrości.

Pieskie myśli

Tresowany pies jest najlepszy, tresowany człowiek –
najgorszy.

*

Dla psa i dla człowieka miska ma jednakowe znaczenie.

*

Pies odwrotnie niż człowiek – rzadko zmienia swojego
pana.

*

Zarówno pies, jak i człowiek najgorzej czują się na smyczy.

*

Łańcuch jednakowo przeszkadza psu i człowiekowi.

*

Człowiek nie pies, a czasem szczeka.

*

Psia filozofia: zły pies – to dobry pies.

*

Pies nie człowiek – czasem ustąpi.

*

Z kości niezgody nawet pies nie skorzysta.

*

Iks brak własnego rodowodu rekompensuje rodowodem
swojego psa.

*

Smycz jest ogniwem ewolucji.

*

Pies z kotem żyją w zgodzie, dopóty przed nimi
stoją pełne miski.

*

Powiedziałem Iksowi: pies ci mordę lizał. A on
zapytał: jakiej był rasy?

*

Łańcuch niepotrzebny jest psu, a gospodarzowi.

*

Pies, który dużo szczeka, rzadko ugryzie, czło-
wiek odwrotnie.

*

Pies przemawia ogonem.

*

Wolność i psu, i człowiekowi jednakowo pachnie.

Epitafia

Anorektyczki

Zmarła anorektyczka, biedaczysko.
Tu leży jej nazwisko.

Byłego dygnitarza

Zginął śmiercią tragiczną, na pewno go znasz,
Lecąc ze stanowiska na zbitą twarz.

Działacza społecznego

Tu leży działacz społeczny.
Panie, daj mu odpoczynek wieczny.

Filozofa

O życiu myślał przez całe lata.
Nic nie wymyślił i zszedł z tego świata.

Karierowicza

Odszedł od żłobu
Do grobu.

Konspiratora

Wyjścia nie miał.
Zszedł do podziemia.

Leczonego w ramach NFZ

Biedak stracił życie,
Bo nie mieścił się w limicie.

Literata

Musi tu gnić,
Bo z honorariów chciał żyć.

Mówcy

Tylko raz jeden nie czuł się w potrzebie,
Aby przemawiać na własnym pogrzebie.

Onkologa

Ale draka!
Zmarł na raka.

Odważnego

Gdy zamykali mu wieko,
Nawet nie drgnął powieką.

Poety

Pisał wiersze, żył z nami.
Umarł – tu leży z wierszami.

Uczonego

Nic nie było dla niego tajemnicze,
Dopóty nie stanął przed śmierci obliczem.

Lekarza stażysty

Tu jest pochowany lekarz stażysta,
Który nie mógł wyżyć za tysiąc trzysta.

Moja Rodzina

Moja Rodzina...
Nie! To nieprawda!
Nie mów, że nie żyje!
We mnie jest...
w genach
w myślach moich

Babci dłonią ciepłą
 głowy dzieci gładzę
 niepokorne

Okiem Matki
 dzień powszedni
 w ramy sensu składam

Na piaszczystej drodze
śladów Dziadka szukam
 Sercem
 co Ojciec
 zostawił

Różany Dwór, Polanica 27 marca 2012

Wiersz wyróżniony w Konkursie Jednego Wiersza zorganizowanym przez Stowarzyszenie Autorów Polskich w Warszawie w marcu 2012

MONIKA MACIEJCZYK – poetka i prozator-ka – zaprasza do swojego „Różanego Dworu” w Polanicy-Zdroju na plenery literackie i pobyt indywidualny na przyjaznych warunkach.

Kontakt:
Kamienna 7, 57-320 Polanica-Zdrój
Tel. 74 868 13 24, e-mail: m.b.maciejczyk@wp.pl



W Saloniku Literackim „Różanego Dworu” podczas pleneru w czerwcu 2012. Od lewej: Janusz Siek, Irena Nyczaj, Monika Maciejczyk, Stanisław Nyczaj

Miłość

*Lecz co to znaczy, że miłuję ciebie?
Rafał Orlewski*

Moja mała ojczyzna to nie tylko
Czyste powietrze
W czasie krótkich przechadzek
Nad brzegami Luciąży
To:
K r z y k ogniska nad sadzawką
Z płodowymi wodami podmokłych łąk
Kiedy przyklękam przed ołtarzem drzew
Odprawiając wieczorne rekolekcje ze szpakami
Przylatującymi na nocleg
I przysięgam na błękit niezapominajek
Że powrócę tu
Bo – moje serce z tej ziemi wyrosło
Razem z topolami
I z tęsknotą za koniem na biegunach
Pałacem z piernika
Tęczową karetą
Gdy zapach c z a r n e g o c h l e b a
I cierpki smak młodego wina
Oszałamiał
Jak myśli o niej
B o k o c h a m j ą
Chociaż dziś jeszcze nie wiem
Jak to powiedzieć

* * *

Nie jestem pajacem
Którym można sterować
Za pomocą
s z n u r k a

Mam serce
Swój rozum
Chociaż są i tacy
co by chcieli
Żebym posiadał
Tylko rękę

Odmieniec

Koledzy mówili o mnie: oto czarna owca
dlatego że nie palę
nie piję
nie stawiam

Lekarze (podobno dla mojego dobra)
próbowali zamienić mnie
w białego królika

Tak stałem się kozłem ofiarnym
otaczającej mnie
r z e c z y w i s t o ś c i

Jednym tchem

Krystynie

S p o w i a d a m s i ę
Ze wszystkich wierszy
Napisanych i tych
Które miały być napisane
Z wędrówek po manowcach
W poszukiwaniu własnego oblicza
Z nocy nieprzespanych w naszym łóżku
Z piosenki biesiadnej
Śpiewanej na klatce schodowej o czwartej
[nad ranem
Z tęsknoty za dziewczyną z warkoczem do pępka
Z języka szorstkiego jak tarnik szewca
Z panienek rozbieranych wzrokiem
Z niewinnych kłamstewek
I p r z e p r a s z a m
Za rybę
Której nie nauczyłem mowy
Za motyla
Przybitego szpilką do drzwi
Za wszystkie rozdeptane robaczki
Za każdy uśmiech podarowany innej kobiecie
w y b a c z
I pozwól żyć tyle
Bym miał czas dokończyć ten wiersz

Apostrofa do płk. Dionizego Czachowskiego^{*)}

– W 150. rocznicę Powstania Styczniowego –
To o takich właśnie jak Ty
pisał przesławny Jan z Czarnolasu
że stoją zawsze Ojczyzny bliżej
aniżeli siebie
i tylko takim w nagrodę
drogę do nieba otwierał –

Dowódcu niezłomny powstańców styczniowych
Ty swoim żołnierzom leśnym
skrzydła przypinałeś w bojach nierównych
a po wielekroć zwycięskich
by Polsce zginąć nie dali
i „Rzeczpospolitą na niepodległość wybić” –

Który byłeś postrachem dla dragonów zaborcy
nawet kiedy Twe ciało na szablach roznieśli
nakazując je pod osłoną nocy w Bukównie pogrzebać –
to od Ciebie i Twoich żołnierzy walecznych
uczmy się słów wielkich jak wieże:

Jest takie słowo – najpiękniejsze

Tyle w ojczystym języku pięknych słów
lecz najpiękniejsze słowo:
m i ł o ś ć –

Dotyka cię swoją mocą
już w tkliwym pochyleniu Matki
nad Twoją dziecięcą kołyską
i mieszka w uśmiechu matczynym –
Potem przychodzi inna miłość –
piszą o niej legiony poetów –
mówią że szczęśliwy jest ten
kogo dotknie swoją siłą i blaskiem
i że nie znosi porównań żadnych –

I mówią że tylko ona może ocalić w nas
dobro i piękno –
nawet w czasach wojen okrutnych

Że góry potrafi przenosić
i umie zatrzymać czas
i że jest silniejsza nawet nad śmierć –

Ojczyzna – honor i – wolność –
które nie będą tylko próchnem na wargach
lecz chlebem się staną dla pokoleń nowych –

Przeto my dzisiaj – Twe prawnuki późne
niesiemy Ci w podzięcie nasz hymn niepodległy
co się zrodził i z waszych mogił leśnych –
powstańczych –
które są wciąż dla nas jak wolności zaranie --

^{*)} Płk. D. Czachowski – bohater, przywódca Powstania Styczniowego (1863). Stoczył z Moskalami aż 34 bitwy i potyczki, w tym wiele zwycięskich. Jedną z nich – kilkunastogodzinna Bitwa Radzanowska miała miejsce w pow. Białobrzegi, w pobliżu Niedobyła k. Stromca, gdzie Czachowski się urodził w 1810 r. Wielkiemu krajanowi (ja też urodziłem się w Stromcu) poświęciłem w 150. rocznicę Powstania cykl pięciu artykułów opartych na materiałach archiwalnych. Były one drukowane na łamach lokalnej „Białobrzezkiej Gazety”.

Lecz mówią także że jest zdradliwa
że rany zostawia otwarte
które się bliźnić długo nie dają –

Uchodzi przed nią z białą flagą
rozum
bo jest tęsknotą za nienazwanym
żywołem co nas porywa
w niebo i piekło:
za Eurydyką i za Beatrycze –
za miłością która niejedno ma imię
i której nigdy dosyć –

Więc może dlatego śpiewamy jej
od zawsze do zawsze
odwieczną PIEŚŃ nad PIEŚNIAMI --

Tak bardzo lubię mowę ciszy...

(studium liryczne przedmiotu)

Tak bardzo lubię podróże w ciszę –
Lubię jej dotyk jej zapach i kolor
a tajemnicę jej mądrości podziwiam

Wstuchuję się w ciszę starych zamków i grobowców
i starych drzew – niemych kronikarzy naszej historii
wielkiej i małej Wpatruję w wysokie sklepienia katedr
co stały się więzieniem dla oszalałej z bólu jaskółki
wołającej wniebogłosy o ratunek

Ale jest także błogosławiona cisza ziemi rodzinnej
naszej ziemi świętej kojąca cisza niedzielnych popołudni
i poruszające milczenie cmentarnych kamieni – wykutych imion
tak bardzo bliskich – i epitafiów

I jest jeszcze wymowna cisza żyjących – zapatrzonych w siebie
zakochanych aż po przysłowiowy grób ukrytych dla świata gdzieś
nad stawem gdzie mówią do siebie wszystko chociaż nie
rzekli ni słowa

Jednak najbardziej kocham ciszę przyrody – przyjazny szum
fal rzeki i nadržecznych szuwarów i nagłą przerwę zachwytu
w koncercie chóru ptaków w mlecznej nierealnej mgłę

Moje serce bije też radośnie na tkliwe spotkanie z domem
rodzinnym – choć już go nie ma cały wiek – z łąką umajoną
kaczeńcami i kukułkami z chabrami w łanach zboża
i z gruszą na miedzy co ciągle snuje opowieści o tajemnicach
starych polnych kapliczek przez żółte łubiny strzeżonych

Płynie wciąż we mnie barwny kalejdoskop zdarzeń więc
sięgam pamięcią wierną w głąb siebie i słyszę jak do mnie
woła stary zegar z kukułką a mądra sowa tak uczenie
prawi o niezbadanych tajemnicach życia że sam Hamlet
zatapia się w ciszy i przestaje zadawać swoje
hamletowskie pytania

A ja w chwili iluminacji pojmuję że to właśnie cisza
jest najlepszą przystanią dla słowa i że wiedzą o tym
najlepiej poeci i mędrzy którzy swoje mądrości kryją
z upodobaniem nie tylko w samym wierszu lecz także między
jego wersami

I to właśnie dlatego tak bardzo lubię niezwykłą i jakże
mądrą m o w ę c i s z y

Moja matka wojenna (Opowiadanie)

Mama była coraz słabsza i słabsza. Pokastywała bez przerwy i dygotała, jakby jej było wciąż zimno. Ciało pokrywało się chłodnym gęstym potem przy najmniejszym wysiłku. – Zdrowie mam zrujnowane i nie da się tego naprawić – mówiła do zaszępionego ojca. I chyba miała zupełną rację, wyrażając taką opinię. Był to już przecież piąty rok wojny, lata nieustannej troski o dwoje małych dzieci, które urodziła rok po roku i matczynego ustawicznego niepokoju, by się nie przeziębiły, aby nie zachorowały, bo co wtedy... Do tego dochodziła ciągła obawa o męża, któremu groził przymusowy wyjazd na roboty do Reichu, podobnie jak wielu innym mężczyznom w osadzie. Ojciec zaś patrzył z każdym dniem coraz niespokojniej na jej wychudłą twarz, błyszczące od gorączki wielkie oczy i na fioletowe plamy na policzkach. Przypalał drzazgą od ognia w kominie kolejnego skręta i wychodził na podwórko, aby nie słyszeć długich i głuchych napadów kaszlu, które wydobywały się jakby z głębokiej studni, atakując matkę coraz częściej.

W tym czasie ojciec pracował wraz z kilkunastoma mężczyznami w okolicy przy ścinie młodych dorodnych sosen. Korowali je na stojakach, mierzyli i formowali okrągłaki odpowiedniej długości, a potem wywozili na pobliski piaszczysty gościniec. Ich zadanie na tym się kończyło, bo inni już układali z drewnianych kłoców drogę, biegnącą w kierunku odległej o siedem kilometrów stacji kolejowej. Niemcy ponagłali pracujących, bo drewniana droga miała zapewnić przejezdność dla niemieckich transportów wojska, broni i żywności, pędzących pospiesznie na wschód, za Wisłę, na której zatrzymał się front.

Praca w lesie była ciężka, ale nikt nie narzekał. Matka była z niej bardzo zadowolona, bo dawała przecież ojcu jakąś niepisaną gwarancję przed wywózką na przymusowe roboty w głąb Niemiec. Wkrótce jednak sytuacja zmieniła się. Roboty w lesie nagle zostały przerwane. Rozeszły się wieści, że „ruskie”, stojący po drugiej stronie Wisły, szykują się do zdobycia przyczółków na zachodnim brzegu rzeki. I rzeczywiście, front ostro ruszył. Z daleka dochodziły odgłosy armatnich wystrzałów, przypominające głuche grzmoty dalekiej jeszcze, ale zbliżającej się nieuchronnie burzy. W osadzie pojawili się uciekinierzy i wysiedleńcy ze wsi leżących na linii frontu. Mówili oni miejscowym, że toczy się zażarta bitwa „na czołgi i samoloty” o zdobycie przyczółka magnuszewsko-wareckiego.

Opowiadali z przejęciem o spalonych wsiach i o tym, że „nasi” nie dają się „szwabom”. Mówiąc „nasi” uśmiechali się ciepło i wyjaśniali, że mówią tak dlatego, bo obok „ruskich” walczy z Niemcami nad Wisłą także i polskie wojsko, polscy czołgiści z orzełkami na hełmach.

Minęło gorące lato 1944 roku. Zdobyty przez Rosjan i Polaków przyczółek magnuszewsko-warecki został utrzymany, obejmując szmat ziemi aż po zrównaną zupełnie z ziemią wieś Studzianki, ale front nie ruszył dalej na zachód. Ludzie nie wiedzieli, co o tym myśleć i z niepokojem popatrywali teraz na północ. Po zapadnięciu zmroku na niebo wychodziła bowiem na tym kierunku wielka i wciąż rosnąca rudokrwawa łuna. Mijały dni i tygodnie, a łuna nie znikwała. Wszyscy już teraz wiedzieli, że to płonie walcząca z Niemcami, powstańcza Warszawa. Obawa rosła, bo nikt nie wiedział, jak sprawy potoczą się dalej. Dało się jednak zauważyć, że Niemcy, którzy mieli posterunek w osadzie, stali się teraz jacyś inni. Wprawdzie demonstrowali wciąż mieszkańcom, że są panami ich życia i śmierci, ale coraz częściej próbowali z miejscowymi przyjaźniej zagadać, włączając do swego gardłowego języka okaleczone wprawdzie, ale polskie słowa, czego przedtem z reguły unikali jak ognia. Zaś dzieciaki, grające jak oszalałe „lanką” w „piłkę do dołka”, częstowali nierzadko cukierkami, a jeden z nich pogłaskał nawet chłopca po płowych włosach, zamyślając się przy tym tak jakoś dziwnie. Po chwili wyciągnął z kieszeni portfel, otworzył go i wyciągnął podniszczone zdjęcie przedstawiające dwoje kilkuletnich dzieci – chłopca i dziewczynkę.

– Das is Meine Kinder – powiedział ze ściśniętym gardłem, szybko chowając zdjęcie.

I tak mijał dzień za dniem, pozornie nic się nie działo, ale wszyscy czuli, że ma się na jakąś zmianę.

– Jeszcze nam „szwabym” dadzą popalić – prorokował doświadczony Klemens Sota, który z niejednego pieca chleb jadał i który twierdził, że dlatego zna Niemców lepiej od innych. Bił się bowiem z nimi we wrześniu trzydziestego dziewiątego roku i nosi od tamtego czasu bliznę po ranie od niemieckiej kuli. I rzeczywiście – stało się. Gdzieś na początku grudnia gruchnęła wieść, że Niemcy wybiorą z osady wszystkich młodych mężczyzn i wywiozą ich w pobliże linii frontu, gdzie równoległe do Wisły będą kopać w lasach okopy i stanowiska dla armat niemieckich. Nie bacząc na głośne lamenty kobiet, chodzili od domu do domu, zabierali mężczyzn, upychali ich w wysokich budach ciężarówek i wywozili pospiesznie na wschód. A w powietrzu już czuło się, że front

może ruszyć lada dzień, więc było wiadomo, że to kopanie będzie zajęciem bardzo, ale to bardzo niebezpiecznym.

Ojciec miał jednak wtedy dobrą i bezpieczną robotę. Na polecenie dowódcy posterunku wyplatał z trzema innymi mężczyznami grube słomiane maty. Miały one służyć Niemcom do ocieplania głębokich dołów, w których znajdowały się ich stanowiska ogniowe. Matka była więc prawie pewna, że w tej sytuacji hitlerowcy zrobią dla jej męża wyjątek i pozostawią go w spokoju. Tym bardziej że czuła się coraz gorzej. Bez przerwy zanosila się długim suchym kaszlem, a w jej ślinie pojawiała się krew. Zastaniała usta ręką, a kiedy kaszel ustąpił, pochylała się nad uspiionymi dziećmi i wpatrywała się w nie rozpalonymi oczyma.

Stało się jednak inaczej niż to sobie wymyśliła. Któregoś ranka w drzwiach domu stanął wysoki Niemiec, wskazał wymownie na stojącego przy oknie ojca i warknął krótko:

– Marsch! Marsch!

Matka przyglądała się jeszcze tej scenie nic nie rozumiejącymi oczyma, a kiedy wreszcie pojęła, hitlerowiec wypchnął już ojca za próg, wyprowadził na drogę i opierając niemal kolbę pistoletu o jego plecy, poprowadził o krok przed sobą w kierunku pobliskiej remizy, gdzie znajdował się punkt zborny dla wyjeżdżających na okopy. Teraz potoczyło się wszystko jak na zawrotnej karuzeli. Matka chwyciła szybko za rękę czteroletnią córeczkę, a starszego o rok synka drugą ręką i łapiąc ciężko powietrze, pobiegła ile sił w kierunku Niemca eksportującego ojca. Dopędziwszy go zatrzymała się zdyszana i tłumaczyła chaotycznie, że to jakaś wielka pomyłka. Co chwila padało słowo „maty”, to znów „Kinder”, „kleine Kinder”! – niemieckie słowa, które matka poznała wcześniej. Teraz powtarzała je w kółko, pokazując wymownie na obydwójce dzieci. Tuliła przy tym matę, dotykała jej policzki do swoich, rozpalonych jak ogień i co chwila z gestem aktorki kładła rękę to na swoim sercu, to znów na piersiach dziewczynki i chłopca, a na końcu – ojca. Ojciec zaś przyglądał się całej scenie jak ośłupiały. W pewnej chwili jakby coś jednak postanowił. Ujął szybko rękę synka w swoją i wtedy matka, nie bacząc na reakcję kompletnie zaskoczonego Niemca, chwyciła ojca za drugą rękę i pociągnęła mocno całą rodzinę w kierunku domu. Zdezorientowany tato dał się posłusznie prowadzić. Ale jeszcze bardziej zdezorientowany był niemiecki żołnierz. Ośłupiały stał jeszcze przez chwilę, ale za moment podniósł pistolet i krzyknął głośno: – Halt! Ich schisse! Halt! (Stać, bo będę strzelał!).

Matka jednak nie zatrzymała się, choć zapewne wiedziała, co może oznaczać ten wydany chrapliwym głosem rozkaz. Nie minęła nawet sekunda, kiedy rozległ się strzał, potem drugi i trzeci. Matka obejrzała się szybko, otworzyła usta, jakby chciała złapać powietrza, a może coś powiedzieć i wtedy kątem oka spostrzegła, że Niemiec stoi jak skamieniały, a dymiąca jeszcze lufa pistoletu skierowana jest nie w ojca, lecz w niebo. Ujrawszy to matka puściła nagle rękę ojca, postawiła córeczkę na ziemi i pobiegła ku Niemcowi. Kiedy znalazła się obok, pochylała się ku jego rękoma, jakby chciała je ucałować. Ale po chwili była już przy mężu i przy dzieciach. Cała czwórka ruszyła szybko ku domowi. Z tyłu zaś zostawała coraz dalej sylwetka niemieckiego żołnierza, który powoli opuścił broń, odwrócił się i szedł zamyślony bardzo wolno w kierunku remizy.

Ojciec był uratowany...

*

Pięć lat później moja wojenna matka odeszła od nas na zawsze. Miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Zabiła ją gruźlica, której nabawiła się w czasie niełatwych miesięcy życia na tak zwanym wysiedleniu.

Po pogrzebie pochylony i przybity zupełnie ojciec wziął mnie i siostrzyczkę na ręce i powiedział nam przez zaciśnięte gardło słowa, które pamiętam do dziś i które dopiero po wielu latach doceniłem jako niezwykle mądre i wręcz poetyckie. Powiedział nam wtedy, żebyśmy zapamiętali na zawsze, że „Matka jest skrzydłem Boga na ziemi”. Do dziś zastanawiam się nad tym, że to piękne zdanie powiedział prosty chłop, po sześciu klasach szkoły podstawowej. I choć nie wracał do nich nigdy więcej, to dziś – kiedy go już także dawno nie ma z nami – myślę ze wzruszeniem, że mój tato był prawdziwym filozofem, choć bez należącego hasła w encyklopedii.

I myślę jeszcze, że tacy ludzie jak moja matka wojenna i mój ojciec są naprawdę wielcy, przeto właśnie takie swoje własne hasło powinni w encyklopedii po prostu mieć...

Henryk Morawski

PS. Opowiadanie powyższe jest pierwszym z kilkunastu, które złożą się na przygotowywany przez Autora tom opowiadań. Wydanie zbioru drukiem jest planowane na rok 2014.

Czarny orszak

(Fragment poematu *Ars moriendi*)

Moja nieznajoma, jestem.

A ten dzwon uderzający w czas, dzwon, pod którym stoję,
to liryka w najczarniejszym wydaniu.

Już ziemię otworzyli, a ciebie zapewne rozprasza pytanie,
kim ja jestem? Ja też nie wiem, dlaczego w ogóle
i dlaczego o tej godzinie przysłałam

pożegnać się z tobą.

Przyznasz, że to nieoczekiwana znajomość.

Może kiedyś przerodzić się w przyjaźń
do grobowej deski.

Moja nieznajoma, dziś już wiem,

po trzech dniach wreszcie wiem,

dlaczego szłam za tobą w czarnym orszaku.

W kolejce czekała już Ania¹⁾ W kolejce do TAM.

Widzisz, wszystko kiedyś znajdzie swoje rozwiązanie.

¹⁾ Anna Kajtochowa; napisane 21 marca 2011 po jej odejściu

Na zdjęciu wciąż żyjemy

(Fragment poematu)

36.

Pod głowę wiersz podłożyłeś,

przystał cię wreszcie uwierać.

Sen wielki w nocy cię zmorzył.

Biegiesz *poprzez doliny i wzgórza,*
*przez złocące się zboża...*²⁾

A krok w krok za tobą,

niestrudzony żniwiarzu słowa,

ona —

stara

naga

maszyna do pisania

depcze ci po piętach

i wymachując kosą

wyludnia pejzaże.

Ona już i tam —

²⁾ Cytaty pochodzą z wiersza Krzysztofa Gąsiorowskiego *poprzez doliny*, z cyklu „moja stara naga maszyna do pisania”.

Jak mam opowiedzieć to istnienie

Słowo daję, że żyła. Ona tylko niepostrzeżenie przysiadła

[na brzegu

łóżka, bo myślała, że to łóżko jest jej, jak już nic bardziej

na świecie. Przecież gdzieś musiała wracać po całym dniu.

W końcu to jedna trzecia jej lepszego życia na tych
czterech nogach i kilku sprężynach.

Nigdy nie mówiła o swoich snach,

a właściwie tylko raz, ale nie chciałam uwierzyć.

Była już wtedy po całym życiu, nigdy po pracy.

Może dlatego przysiadła na rancie łóżka.

Jak dusza na ramieniu

między dniem a odlotem, do którego już

musiała się szykować od dłuższego czasu,

tylko ja tego nie zauważyłam między jednym a drugim

moim krokiem. Słowo honoru, ona była. W tym domu, ale jego

już nie ma. Stał tu, na swoim miejscu, gdzie teraz jest

[ziemia, która

ją nosiła. Naprawdę. Najpierw sprzed okna odeszła stara

[czereśnia,

tej odmiany już nie ma,

ale babcia Stefania jeszcze wtedy była.

Zgarbiona chodziła ścieżką do domu. Ścieżkę przenieśli.

Na niej postawili nowe fundamenty. Ona naprawdę była.

Jak mam to jeszcze powiedzieć?

18 lutego 2013

Dlaczego nie weszłam

Dwunastu apostołów wabi do wnętrza. Zapewne knajpa

jak knajpa. Kilka stolików na kufle i światło sączące się niskim

oknem do środka. Zapewne umiarkowany gwar, który przystoi

[złotemu

trunkowi. Dlaczego nie weszłam?

Nogi poniosły,

a tam Hlavná ulica jak nie Hlavná. Kapią na jej scenę leniwe

[minuty. Uderzają

z wysokości w swój czas, w mój czas. Nie, nie jest to efekt

[kapiącego kranu,

to raczej coś z filmu bardzo starego. Z sepji wyrastają moje

[kroki, trudno

jest tak wolno chodzić. Lepiej usiądę. Siadłam

w wiklinowym objęciu przed katedrą.

Teraz piję saris. Spada jedna z kropel czasu. Kapnęła kolejna.

Polubiła mnie pszczoła z daleka. Zza Koszyc, gdzie słoneczniki

zaglądają już w jesień. Bzyczy na szklance lepkiego od słodkości piwa,
może wciąż jeszcze o lecie. Napływa gołąb. Właściwie nie wiem,
czy to on roznosi leniwe nuty. Myślałam, że na Hlavnej... Ale nie.
Tu strumień wody płynie pod prąd. Znow kropla,
po chwili następna z szeregu.
Jak liść z niewiadomego drzewa pod nogi ulicy.

24 września 2010

Naucz mnie słowa

1.
Chyba polubiłam swój głos.
Od dłuższego czasu nie pisnął ani słowa.
Zamilkł i zmarniał nieco.
Można by podejrzewać, że chce
odrodzić się w ciszy.
Brzmi to – doprawdy – obiecująco.
Słowa nie będą już wylatywać krukiem
i powracać
 wroną.
Passé stały się już nawet prośby w wierszu
wymawiane z dykcją: pauzo,
naucz mnie mówić słowem milczącym w sobie.
Choć nie mogę zaprzeczyć, że tkwi w tym
– prawie jak w oku –
 jakaś prawda trudna.

2.
Cóż, nie mając już głosu, nie mogę udzielić go
swojej wyobraźni. Byłby to zapach
bezcelowy i pełen goryczy. A gorycz
jak to gorycz najwyraźniej tylko na to czyha,
by napelnić kielich.

3.
Jakże cisi jesteśmy w cierpieniu, jakże pojedynczy
każdego dnia. Jakże w pojedynczości cisi.

4.
Tylko tak możesz
wybaczyć sobie. Przetrwaj w swoich oczach.
Gdy już masz to źdźbło w sobie, wtedy
nie mów, nie pisz – inni zrobią to za ciebie.
Nie wspominaj. Nie rozgłaszaj –
o tobie też dobrego nie powiedzą.
Trzymaj język za zębami.
Dochowaj tajemnicy. Powtarzaj to jak mantrę.
Dochowaj tajemnicy, dochowaj ciszy.
Tylko tak możesz przetrwać w swoich oczach.
Wybaczyć sobie.

14 lutego i 14 kwietnia 2013



Elżbieta Musiał prezentuje swoje wiersze na spotkaniu pisarzy kieleckiego Oddziału ZLP w Krakowie (luty 2013) Fot. Andrzej Walter

W moim domu z wielkiej płyty

W moim domu z wielkiej płyty
Życie buzuje gorączkowo
Jak w wysychającej kałuży
 Asfaltowa dżungla
 Betonowa dżungla
Myślałem że to księżyc
A to żółto świecąca świetlówka
Że to wodospad
A to sąsiad spuścił wodę
Że to wiosenne świerszcze
A to muzyka rur
Że to wreszcie trzęsienie
A to właściciel nielegalnego warsztatu
 Asfaltowa dżungla
 Betonowa dżungla
Miejska walka
Prawo życia
Prawo przeżycia
W moim domu
Z wielkiej płyty
Wyłączono wodę
Ludzie-australopiteki
Drapią się wiadrami
Przepychają przy beczkowozach
 Asfaltowa dżungla
 Betonowa dżungla
W moim domu z wielkiej płyty
Nastąpiła awaria prądu
Ludzie-pitekantropy
Zawodzą nad łupami wojennymi
Które psują się w lodówkach
Płaczą siedząc kręgiem
Wokół świec i lamp naftowych
Pną się po konarach schodów
Na koronę domu-baobabu
Małpoludy
Połykają zimną karmę
 Asfaltowa dżungla
 Betonowa dżungla
Szczury przegryzą plastikowe rury
Myszy włamią się do spiżarni
W zimnych kaloryferach zakrólują
Mrówki faraona
Bezczelne gołębie
Zbezczeszczą samochody
Hordy wygnanych psów

Będą polować na słabych
Koty piwniczniki i dachowce
Zbiją się w groźne stada
Wyschną do reszty wody gruntowe
Zostanie asfaltowa pustynia
Las wyrośnie na balkonach
I w doniczkach
Grzyb na ścianach i w piwnicach
Zielona dżungla zaatakuje
Zwycięży betonową pustynię
I nic się nie zmieni

Wawel

Był Wąwel*)
Był las
Nie było nas
 Potem byli bracia krucy
 Tylko oni potrafili przebyć
 Bagna moczary torfy rozlewiska
 Żądna sławy drużyna Kraka
Z wód wyłonił się Wąwel
Bąbel wśród bagien
Samotny szczyt wśród lasów
Na którym niecili ognie
Drzewiej Celtowie potem Goci
 Kołowrót klimatu się zmieniał
 Wraz z nim zbrojne drużyny
 Wiśla to potężniała
 To cofała się
 Pozostawiając ramiona
 żywnych starorzeczy
Najpierw istniała
Samotna stroma góra
Gniazdo rozbójnicze
Potem urosła w siłę Wiślanie
i swojaki z Morawy
 Były stolcami
 Księstwa Wielkomorawskiego
 Kraków i Olomouc
Stronnicy Kraka i Wandy
Nie chcieli Niemca od Franków
Nareszcie przyszli Piastowie
 Będzie Wawel
 Będzie las
 Nie będzie nas

*) Dawniejsza nazwa (do XVII w.) wzgórze Wawel

* * *

Nagle daty wychodzą z zamkniętych pokoi...
Czyjeś życie dojrzeva do cierpienia.
Stado bawołów na rogach unosi słońce
mężczyzny, który powtarza coraz szybciej:
– wielki Manitou, strzeż nas od wielkich uczuć.
Dziewczyna z czarnych włosów chce szesać noce,
kiedy sypiała z różnymi do czasu,
gdy ten, którego kocha, wróci.
Świat faktów jest nieodwracalny, dlatego
mężczyzna odejdzie z gestem ptaka,
który chce przebić lustro, by nie widzieć
obowiązujących norm. Wie, że z każdym dniem
mocniej i mocniej będzie pragnął jej,
lecz tylko kobieta, wstecz patrząc, poznaje
własną tajemnicę pod pająką siecią.

* * *

Patrzy w niebo – zmęczone oczy kamery.
Nie grozi efektywnym dramatem. Poprawia włosy,
obecna na własnej licytacji z pogardą przedmiotu,
który mieć pragnie koneser. Mówi:
Chyba jest ktoś, kto nas wszystkich zrozumie.
Uczeszę się ładniej. Tam, gdzie płaczą,
nie ma tragedii. Nie musisz kochać.
Jutro miejsce po mnie w hotelu
będzie znów numerem
w recepcji dla podróżnych,
nad morzem, o świcie kąsającym brzeg.
Wszystkie pieśni o szczęściu grzęzną w porcie,
jak oswojone stado okrętów po najdalszym z rejsów...
I, zbyt piękna by ufać ideom, zamyka
okno.

Dziewczęta

Brzoskwinie o świcie, gdy sen opuszcza mężczyzn,
zamyślenie skowronka, nim śpiewem rozbieli niebo,
lekkie jak wiatr i wierne chęci
podobania nawet sukniom,
co ciała ich znają najlepiej.

Zanim o miłość pokaleczą wyobraźnię,
nim pierwszy chłopak zabierze im ich bajkę,
zanim w szczęście wpłacze się głos dziecka,

niech trwają, w tanecznej linii bioder,
w śmiechu – plaży zwróconej ku słońcu,
brzoskwinie, jeszcze umykające niepogodom
i wyciągniętym dłoniom.

Dziewczęta – motyle błękitnej ciszy,
obłoki w skrzydłach jastrzębia,
pierścienie w palcach dobrej wróżki

i w naszym sercu jedyne
prawdziwe olśnienie.

Zakochani

Nie przeszkadzajcie zakochanym,
bo śmierć nad nimi samotniejsza.
O więcej kwiatów woła wiosna,
gdy świt porywa ich w objęcia.

I więcej dróg im znoszą ptaki,
więcej strumieni pragnie morze...
Czerwonym złotem dzwonią słowa
o smukłe ciała, ponad głogiem.

Nie przeszkadzajcie zakochanym,
nim starość w nich ugodzi celnie:
oni kurtyną są błękitną,
która oddziela mroczną scenę.

Erotyk z komentarzem

Za siedmiu gór, zza siedmiu rzek
jesteś jak droga, w noc i śnieg.
W górach Rodopy – Eurydyką,
w Dżami – Koranu tyś różańcem,
w Bułgarii jesteś moim tańcem
i moim skrzydłem nad szczytami,
w nocy – rozmową rosy z gwiazdą,
wiosną – aleją między bzami.
Barbara – sarna nad strumieniem
i święto, gdy się pije wino.
Barbara – pierścień i cierpienie
diamentu, że nią być nie może,
Barbara – żona i dziewczyna,
i dumna morza tajemnica,
gdy mewa świtu w słońcu znika...

Słuchając hymnu niesłyszących

*W dniu zaprzysiężenia uczniów
szkoły dla niesłyszących w Kielcach*

Z zapartym tchem, gardłem ściśniętym
chłonę równy takt migowego „śpiewu” –
szybkimi dłońmi wyczarowywanego
na wszystkich najtkliwszych strunach mego serca.

Więc oto i ja, niedowidzący,
tu z nimi nie na próżno czekam u bram
królestwa prawdziwie ludzkiego?

Wyzywam nieprzejednany los na pojedynek!

Arcymiara

Nasz Układ Słoneczny – wspólny
jakimż bezprawiem zniewolenia?!

Próbuję w y n i e ś ć s i ę z jego
„miłosnego” uścisku.
Wyzwolić w nieznaną nikomu galaktykę
własnego wnętrza.

I ty próbuj ujść w swoją.
Stworzyłaś ją przecież – tak samo, jak ja –
na intymnie bezmierną
arcymiarę osobistej wolności.

„Pytaj siebie, kim jesteś”

Pamięci Jerzego Grotowskiego

W Delfach na stoku Parnasu
przy najwykwintniejszej z mykeńskich dróg
– od wykutej w powietrzu paradnej bramy
po zdobne wrota świątyni Apollina –
pyszniły się wytwornie tajemne skarbcze
wszystkich greckich państw.

Świadcami dziś tylko jeden – Atreusza
i omfalos, którego każdy pragnie dotknąć.

Na frontonie świątyni
oczy strudzonym drogą wędrowcom

otwierał krzyczący zwięzłą prostotą
napis: „Poznaj samego siebie”.

To stąd – zdumiony, odkryłem w pamięci –
owa dewiza mistrza Grotowskiego,
przejęta od Hindusa Maharisziego:
„Pytaj siebie, kim jesteś”,
jaką polecał z życiorysem jogina
każdemu, kto się do niego wprasał,
nim podjął ważną rozmowę!

Przystanąłem – jakbym mimowiednie przekroczył
w sobie najwyższy próg – i objąłem
owal omfalosa.

O Stanisławie Piętaku i jego Oli (tryptyk limeryczny)

1

Piętak, wielce zazdrosny o swą piękną Olę,
jej brydża z przyjaciółmi uznał za swawolę.
Kiedy z delegacji wrócił,
przyjaciół z domu wyrzucił.
– Ja na taką rozpustę więcej nie pozwolę!

2

Ola miała pretensje: – Zarabiasz zbyt mało,
żeby na utrzymanie domu wystarczało.
Z dzielności zdała egzamin
pod „Kamiennymi Schodkami”,
gdzie się niedziennikarskie kaczkę smakowało.

3

Tam z panią Aleksandrą, wdową, po raz pierwszy
mówiłem o edycji Stanisława wierszy.
Spełniłem wszystkie kaprysy,
zapatrzony w rękopisy,
dla trudu poety żywiąc podziw najszczerzy.

Niewdzięczny sejmik

Z wieczora w naszym parku sejmikują ptaki.
Nie orły, nie sokoły, zwykłe wrony, szpaki.
Uszy bolą od słuchania,
co mają do wykrakania:
że wpychamy im w dzioby pokarm byle jaki?

Bez tarczy i miecza

Prześladują mnie sny
Zwiędłe kwiaty marzeń
Stoję na ubitej ziemi
Niezdolny do walki

Bez tarczy i miecza
Z gołymi rękami
Jak pokonać żywioł
Wyteńczyć wszystkie siły

Tylu już poetów
Opisywało zachody słońca
Teraz zrozumiałem
Moje spadło za horyzont

Okręt przycumował
Do brzegów wieczności
Wszyscy o niej mówią
A kto uwierzy

Bohaterowie zwycięskich bitew

W moim kalendarzu
Smutnych dni
Pojawia się więcej

Wiatrów i wietrzyków
Bijących w oczy
Spotykam na każdym zakręcie

Dużo pustych ulic
Zamkniętych drzwi
I podejrzanych spojrzeń

Zapomniałem tematów
Tamtych rozmów
Długich aż do świtu

Braterskie uściski
Klątwy kłótnie
Rozbite kieliszki

Spotykam ich czasem
W żalobnym kondukcie
Zerkających spod siwej grzywy

Bohaterowie zwycięskich bitew
Chowają się w dziuplach
Albo gdzieś za piecem

Szable zardzewiały
Myśli poplątały
Grzyb wyrósł na głowie

Mój świat zbutwiał
W korytarzach nowych odkryć
I nie przywrócić go żadne modlitwy

Głęboka woda

Gdybyś chciała
Kiedyś moja miła
Przyjść nad czarną wodę
Spojrzeć w oko przepastnej toni
W której ukryłem
Wiersze o tobie

Zobaczysz starą chatę
Pod słomianą strzechą
I grające skrzypce
Melodię rzewną
Przy której ściskaliśmy
Wilgotne ręce

Nie wiem dlaczego
Nasze słowa obiecano
W tamtej chwili uniesień
Zatonęły w głębokiej wodzie
Nie dając światła
Wątej nadziei na przyszłość

Myśli niespokojne

Dostałem spadek
Po moim ojcu
Mam walczyć o prawdę
I bronić Honoru

Biorę widły do ręki
Gotowy do boju
Jestem z natury łagodny
Jak pogodzić sprzeczności

Wspomnę też o miłości
Tysiąc pytań się wierci
Nie znajduję odpowiedzi
Choć bardzo się staram

Czasem kłamię
Jakby przeciw sobie
Sam nie wiem dlaczego
Może boję się usłyszeć prawdę

Czas nie znosi mazgajów
Zaświtała myśl śmiała
Pośpiesz się trzeba to wykonać
Skoro wiesz co jest ważne

Wokół cisza tak wielka
Boję się podnieść ręki
Walczyłem od rana do rana
Nie pokonałem własnych ułomności

Z mojej winy

Zbliżał się wigilijny wieczór
Matka na szpitalnym łóżku
Trzymała mnie za rękę
Mówiła ściszym głosem
Synu chciałabym pojechać nad morze
W książkach opisywali że jest ogromne
I nie widać brzegów
Odpowiedziałem że latem
Pojedziemy nad bałtycką plażę
Wróciłem do domu
Pośrodku izby wigilijny stół
Świecił bielą obrusu
I choinka jarzyła się blaskiem
Przed północą zadzwonił telefon
Lekarz powiadomił że moja mama
Odeszła za wielką wodę
Boże krzyknąłem w myślach
Już nie spełnię danego słowa

Bogusław Pasternak

Irena J. Paździerz

Ktoś tu jest (fragment powieści)

Obudziła się, ale nie otwierała oczu. Znowu szpital. Chyba ten sam co zwykle. Spróbowała poruszyć ręką, ale mogła przesunąć ją tylko o kilka centymetrów. To ją zaniepokoiło. Odruchowo szarpnęła całym ciałem, ale poczuła ból i zrezygnowała. Coś ją trzymało. Dotarło do niej, że jest przymocowana do łóżka przewodami, igłami, przyssawkami i diabeł wie, czym jeszcze. Jest unieruchomiona. Musi leżeć na wznak. „To nie jest zwykły pobyt w szpitalu”. Kręciło jej się w głowie, a myśli leniwie poruszały się po wyszłizganych połączeniach nerwowych. Zdarzenia wracały falami. Wydawało się jej, że łóżko jest na morzu. Jednak nie słyszała szumu wody uderzającej o burtę statku. „Kto mnie tak urządził? Poprzywiązywał do łóżka. Po co?” – powoli przypominała sobie, co się zdarzyło. Tylko kiedy? Wczoraj? Tydzień temu? Niedawno? Co to znaczy niedawno? Była chora. Tak, tak... Niemal od zawsze była chora. Serce. Wytrzymało tylko kilka lat. To była zwykła grypa. Dlaczego jej uległo? Powikłania. Wielokrotne pobyty w szpitalu. Reanimacja. Lekarz powiedział, że jak nie znajdzie się dawca w ciągu najbliższego roku, może z nią być kiepsko. Jak mógł tak powiedzieć? Klementyna, jej matka, rozplakała się, a ona siedziała jak sparaliżowana. Ma dopiero trzydzieści dwa lata. Czy to pora, aby rozstawać się ze światem?

Spróbowała po raz kolejny wyswobodzić się z kabli, ale na nic się to zdało. Poczuła tylko silniejszy ból.

Teraz już wie. Operowali ją. Dostała czyjeś serce, a jej wadliwa pompa tłocząca krew do wszystkich organów została wyrzucona na śmietnik. Chyba tak to się robi. Tyle lat serce jej służyło, co prawda byle jak, ale było jej. Teraz zostało z niej wyjęte. Żal jej było tego serca. Było z nią od początku, przyzwyczaiła się do niego, a może to, które jej wszczepili, wcale nie jest lepsze? Nie będzie w stanie pomieścić emocji, które są w niej, przez co zubożeje, a przecież chce być taka sama jak kiedyś. „Czyje serce mi dali? Czy lekarzy to obchodzi? Zapewne nie ma to dla nich znaczenia, ważne, że znalazł się dawca. Ktoś musiał umrzeć, żebym ja mogła żyć”.

Tułów miała skrępowany kablami, ale mogła poruszać głową i nogami. Przekręciła prawą stopę na bok. Była dziwnie ciężka, jakby do niej nie należała. Głowa. Chyba jest jej, przecież myśli tak jak przedtem. „Czy przeszczepia się ludziom głowy?” – niedorzeczna myśl zaniepokoiła ją na krótko. Nie była pewna, w jakim stopniu jest sobą. Zaczęła powoli otwierać oczy. Pokój wypełniało przyciemnione światło. Odwróciła głowę w stronę okna i zobaczyła żaluzje. To od nich odbijał się zimny zielony kolor. Chciała naciągnąć kołdrę wyżej. Spróbowała, ale ręce niezdarnie się poruszały. Prawdę mówiąc, nie panowała nad nimi. Odwróciła głowę w drugą stronę. Po prawej stronie leżał jakiś mężczyzna. Był bardzo blady. Gdyby nie oddychał chrapliwie, pomyślałaby, że nie żyje.

Znowu pokręciła głową. Za niedokładnie zasuniętymi żaluzjami widać było drzewo. Gałęzie chwiały się od wiatru. Były bardzo blisko i wydawało się jej, że za chwilę zaczną stukać w szybę. Czy to naprawdę gałęzie? Może to śmierć przebrała się i udaje drzewo? Zaraz tu przyjdzie. Zimny dreszcz przeleciał jej po plecach. Tyle razy myślała o śmierci, ale to nie zmniejszyło strachu przed nią. Stale się bała. To przez byle jakie serce, które jej się trafiło.

Szklane drzwi otworzyły się z cichym szelestem i stanęła w nich pielęgniarka. Aga natychmiast zamknęła oczy i udawała, że śpi. Pielęgniarka podeszła najpierw do mężczyzny. Odłączyła kroplówkę, a potem spojrzała na nią. Widocznie niedokładnie przymknęła powieki, bo pielęgniarka stwierdziła:

– Nareszcie się pani obudziła, pani Agnieszko. Chyba wyspała się pani za wszystkie czasy – uśmiechnęła się dobrotliwie i dodała. – Po operacji też nie można było pani obudzić. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

– Długo tu jestem?

– Na OIOM-ie czy w szpitalu?

– Tutaj.

– Drugi dzień. Widzę, że pani dochodzi do siebie. To dobrze. Jak tak dalej pójdzie, niedługo będziemy odłączać monitory.

– Nie można już teraz? Nie mogę się ruszyć.

– Niestety, nie. Poluzuję trochę przewody. Już niedługo, a zobaczy pani, jak wspaniale żyje się z nowym sercem. To tak, jakby człowiek urodził się od nowa.

– Siostrze też przeszczepili serce?

– Nie – roześmiała się cicho. Aga zauważyła, że pielęgniarka ma poszarzałą cerę i gdy się uśmiecha, wokół oczu tworzy się jej pajęczyna zmarszczek. Ciekawe, czy ona równie nieciekawie wygląda? – Muszę już iść. Dużo pracy dzisiaj mamy. Nie da się usiąść ani na chwilę. Pani mąż dwa razy dziennie przychodzi do szpitala. Dziś też już był.

Aga zastanowiła się przez chwilę.

– Jakub? – spytała niepewnie.

– Nie wiem, jakie imię ma pani mąż, ale podejrzewam, że to on. O, znowu tu jest. Widać pani? – odsunęła się i Agnieszka zobaczyła za szklanymi drzwiami wysokiego mężczyznę ubranego w szarą kurtkę. Przywarł do szyby. Najwyraźniej jarzeniówki na korytarzu raziły go, a chciał zajrzeć do środka. Jedną rękę oparł o brwi zasłaniając światło, drugą trzymał w kieszeni. Chciała mu pomachać i odruchowo szarpnęła rękę. Znowu poczuła ból. – Niech się pani nie rusza zanim kroplówka nie zejdzie. – Nachyliła się nad Agnieszką i szeptem dodała: – Wpuszczę go na moment, ale proszę – pogroziła jej ręką – żadnych emocji. – Tu nie wolno wchodzić odwiedzającym, ale żał mi go. Cały czas, gdy przeszczepiali pani serce, siedział na korytarzu.

Odwróciła się i dziarsko pomaszzerowała do wyjścia.

Mężczyzna prawie bezszelestnie wsunął się do środka. Pochylił się nad Agnieszką i nic nie mówiąc musnął ją ustami w oba policzki tak delikatnie, jakby bał się, że mocniejszym pocałunkiem zrobi jej krzywdę.

– Aguniu. Wreszcie się obudziłaś – rzekł wzruszonym głosem, jakby za chwilę miał się rozplakać. – Tak... tak... się cieszę – odwrócił się na moment i ukradkiem obtarł łzę, udając, że coś mu wpadło do oka. – Nie masz pojęcia jak się bałem... Teraz już wszystko w porządku – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak – odpowiedziała z niechęcią. Czy nie dosyć, że ona wprost umiera z niepokoju? Wszyscy powinni dodawać jej otuchy, a on się rozkleja. Choremu takich numerów się nie robi. Nie przypomina, że operacja mogła się nie udać. – Jakub? – spytała po chwili.

– Jakub, Jakub, nie poznajesz mnie?

Nie odpowiedziała, tylko skrzywiła się i przełknęła głośno ślinę. Miała ochotę przytulić się do niego, ale odniosła wrażenie, że ten mężczyzna, który przykucnął przy jej łóżku, nie jest jej

mężem. – Czy mógłbyś mi podać coś do picia? Straszne pragnienie mnie męczy.

– Nie wiem czy wolno.

– To chociaż zwilż mi wargi.

– Spytam pielęgniarkę, czy można.

Chciała, żeby dłużej z nią zostać. Zawoła pielęgniarkę i zaraz go stąd wyrzuci. Przy Jakubie zawsze czuła się bezpiecznie. Instynkt podpowiadał jej, że i temu facetowi może zaufać. Gdyby mógł być z nią dłużej. Objął ramieniem. Przy nim by znowu zasnęła i niczego by się nie bała.

Jakub wyszedł, a jej nagle zrobiło się smutno. Obserwowała wszystkie wzruszenia i napięcia, jakie się w niej pojawiały. Wiedziała, jak należy postępować, aby dać sercu wytchnienie. Teraz oszczędzała nowe serce. Jeszcze się do niego nie przyzwyczaiła i nie wiedziała, jak się z nim obchodzić. Na wszelki wypadek będzie go oszczędzała tak jak poprzednie. Rozmyślenia przerwały jej podniesione głosy dochodzące z korytarza:

– Kto pana wpuścił na OIOM! Nie wie pan, że nie można! Tam leżą naprawdę chorzy ludzie. Wystarczy, że ktoś z zewnątrz tam wejdzie i przyniesie z sobą zarazki. Wszyscy mogą zachorować! Czy naprawdę trudno to zrozumieć! – Jakub chyba się tłumaczył, bo przez chwilę donośny głos milczał. Po chwili znów go było słychać, ale w nieco złagodzonej formie: – Zgoda, każdy chce się dowiedzieć o zdrowie najbliższego, ale nie można narażać chorego na niebezpieczeństwa, a w przypadku pana żony również na niepotrzebne emocje. Ona teraz przyzwyczaja się do nowego serca.

Końcówkę rozmowy zagłuszył miarowy stukot butów. Panowie odeszli spod drzwi, ale za to pojawiła się pielęgniarka, ta sama, która pozwoliła wejść Jakubowi na salę.

– Afera, jakby nie wiadomo co się stało – poinformowała Agę ściszym głosem, jednocześnie zwilżając jej usta gazą związaną na drewnianej szpatułce i umoczoną w wodzie. – Ordynator zobaczył, jak pani mąż wychodził z OIOM-u. Dzisiaj nie ma najlepszego humoru, a nawinął mu się ktoś, nad kim może się odegrać za to, co mu dzisiaj nie wyszło. A nie wyszło, słowo daję. Dzisiaj trzem chorym wstawiali bajpasy i jeden wykitował. Stary był. Osiemdziesiątka na karku i co myślał, że będzie żył wiecznie? Ale po co ja to pani mówię – zreflektowała się. – Pani powinna leżeć, odpoczywać i szybko powracać do zdrowia.

Aga znowu została sama. Facet leżący po prawej stronie przestał wydawać z siebie świszczące oddechy. Zrobiło się cicho. Bładoniebieskie światło sączyło się teraz z lampy zawieszanej nad łóżkiem Agi. Spojrzała w okno. Przez niedokładnie zasunięte żaluzje przesączały się blade promienie zachodzącego słońca.

Powoli zaczęła przypominać sobie to, co niedawno się wydarzyło. Myśli wcale jej nie słuchały i powędrowały dalej, w dość odległą przeszłość. Zawsze bała się przeszczepu. Od momentu, kiedy powiedziano jej, że innego ratunku dla niej nie ma. Miała wtedy dwadzieścia lat i wierzyła, że współczesna medycyna znajdzie ratunek na jej chorobę. Za każdym razem, gdy pomyślała o przeszczepie, jej serce zaczynało wariować. Skakało ciśnienie, jakby serce w ten sposób chciało zaprotestować, że nie jest wcale takie złe, aby już teraz wyłączyć na śmietniku. Długo na nowe czekała. A wszystko przez to, że lekarze nie byli zgodni w diagnozach. Jedni uważali, że tylko przeszczep ją uratuje, a inni moment transplantacji próbowali odwlec. Dawali tym samym nadzieję, że jej stan zdrowia może się polepszyć. To tej drugiej opcji wierzyła, ale niepotrzebnie. Oni się mylili.

Myśli zawędrowały do chwili, gdy przygotowano ją do operacji. Bała się. Straszliwie się bała, ale dali jej jakiś zastrzyk, po którym poczuła się rozluźniona, nareszcie wolna. Nie miała ciała, ale samą jaźń. Jakieś obrazy, których wcześniej nie widziała, przesuwają się przed jej oczyma i nagle usłyszała głos:

– No cóż, trudno. Wybrała pani nasz szpital, ale to nie było przypadkowe. Spełniła pani ostatni warunek, aby świat się rozpadł i przeszedł do innego wymiaru. – Mężczyzna, który to mówił, przysunął się bliżej. Widziała jego zatroskaną twarz. Był to lekarz, którego zapamiętała przed zaśnięciem. Starszy, na pewno po sześćdziesiątce. Miał na sobie zielony fartuch i śmieszny czapeczkę. W ręku trzymał krótki nóż. – Proszę się nie bać. Nic nie będzie pani czuć. Wszyscy przechodzimy do wyższego wymiaru. Nie pamięta pani? Wielu proroków o tym mówiło.

– Proroków? – zdziwiła się. – Chyba ci od New age. To oszuści.

Lekarz nagle zniknął, a ona poczuła się wspa- niale. Jak to dobrze, gdy nie ma się ciała. Przesuwała się pomiędzy ciasnymi przejściami. Poruszała się tak, jakby była zagęszczoną mgłą, która dopasowuje kształt do każdej, nawet najmniejszej

Baszta (Fragment powieści)

Motto:

„Rak nerki jest najczęstszym nowotworem złośliwym tego narządu, jakkolwiek zachorowania są rzadkie i stanowią ponad jeden procent wszystkich nowotworów. U osób dorosłych rozwija się zwykle po 50. roku życia. Rak jasnokomórkowy nerki jest najczęstszą postacią gruczolakoraka, a jego objawy są w postaci krwiomoczu i bólów w okolicy lędźwiowej. Przy przebiegu bezobjawowym występuje wysoka gorączka lub objawy czerwienicy. Daje przerzuty do okolicznych węzłów chłonnych oraz odległe do płuc, kości i mózgu. Rokowanie jest bardzo poważne. Można jednak uzyskać wieloletnie przeżycie, nawet gdy występują przerzuty. Leczenie raka nerki – chirurgiczne polega na usunięciu zmienionej nerki i najbliższych węzłów chłonnych. Gdy druga nerka jest czynna, nie upośledza to sprawności chorego [...]”

(Encyklopedia Zdrowia)

Rozdział 0

„W”

1

– Proszę się obudzić! Panie Ryszardzie! Proszę otworzyć oczy! – przebijały się słowa przez zieloną zasłonę zaciągniętą na moją świadomość podczas narkozy.

Czułem, że jakaś dłoń szarpie i potrząsa mną. Powieki były zbyt ciężkie, bym je mógł otworzyć. Ale mimo tego ołowiu na nich, to jednak prześwitywały przez nie jakieś majaczące postaci. Nie wiem, czy to widziała moja dusza, czy moje oczy. Dużo wysiłku sobie zadałem, by w końcu uporać się z nimi. Aż w końcu udało się. Uniosłem powieki na tyle, że mogłem w końcu cośkolwiek zobaczyć. Dojrzałem osoby siedzące na moim łóżku przy nogach i przy głowie. Twarze były skupione, lecz uśmiechnięte.

– Ma pan nowe życie! – dobiegło moich uszu.

Mówił to mężczyzna. Przez chwilę zacząłem się zastanawiać nad tym, kto to mówi. Skąd ja znam tego człowieka. Nagle wróciła świadomość.

– Dzień dobry, panie doktorze. Gdzie ja jestem? Która jest teraz godzina? – zapytałem o godzinę, gdyż w ten sposób chciałem potęczyć

przestrzeni. Przepelniał ją jednak przerażający smutek. Żal jej było świata, w którym przebywała przez trzydzieści dwa lata, a teraz zniknął. Musi przyzwyczać się do nowego. Czy spotka tych samych ludzi, których znała w poprzednim świecie? Może nie cały się zapadł, tylko ta część ze szpitalem i chorymi, lekarzami, pielęgniarkami. Gdy bliskich nie odnajdzie, będzie strasznie samotna. Przesuwała się coraz dalej i poczuła, że jest uwięziona w bliżej niesprecyzowanej przestrzeni. Taki piękny świat opuściła, co z nią teraz będzie?

– Proszę się obudzić – usłyszał spokojny, ale stanowczy głos. Nie miała zamiaru otwierać oczu. Było jej wszystko jedno, co się z nią stanie. Leniwie podniosła jedną powiekę, ale to, co przed sobą zobaczyła wprowadziło ją w jeszcze większy zamęt. Ściany pokoju były pomalowane na żółty kolor, ale wszystkie były powykrzywiane, jakby odbijały się w popękany lustrze. Czy tak wygląda świat, do którego przez przypadek została przeniesiona? – Proszę otworzyć oczy. Gdzie pani jest?

– W matrixie – odpowiedziała pewnie. Do prawdy głupie pytania jej zadają.

– Nie jest pani w matrixie, tylko w szpitalu świętego Jakuba. – Głos coraz bardziej ją denerwował. Czy ta nachalna osoba, która nie daje jej spokoju, nie wie, że wszyscy przenieśli się do innego wymiaru? Cały szpital świętego Jakuba. Nie widzi, że nie ma tu linii prostych, wszystko jest powykrzywiane, spaczone, wynaturzone. Jeszcze raz otworzyła jedno oko i poczuła przejmujący chłód. Wstrząsnął jej ciałem. Zaczęła drżeć.

– Czy jest pani zimno?

– Okryjcie mnie czymś. Tu jest lodowato.

Osoba, która z nią rozmawiała przybliżyła twarz i Agnieszka zobaczyła ją taką, jak w wizjerze. Twarz nienaturalna, rozciągnięta w szerz. Kobieta miała na głowie czepek, z dwoma czerwonymi paskami. Zorientowała się, że jest to pielęgniarka, ale dlaczego każe jej otwierać oczy, skoro otoczenie wcale jej się nie podoba. Nie ma ciała, więc może poruszać się, gdzie chce, ale po co ma patrzeć na krzywe ściany. Zaraz odpłynie w bezcielesny świat. Jeśli pielęgniarka upiera się, aby być razem z nią, może ją zabrać do pomieszczeń, które wcześniej przemierzała. Z jednej strony fajne uczucie, była zwinna jak ryba, ale z drugiej żal jej było świata, z którego odeszła.

Irena J. Paździerz

w sobie to, co było, zanim zapadłem w sen, z tym, co jest po obudzeniu.

– Jest pan w wybudzarni. A godzina? Jak dla pana, jest to godzina „zero”. A poważnie mówiąc, skończyliśmy o czternastej, a teraz jest osiemnasta – usłyszałem, jakby z jakiejś wielkiej dali.

Zdobyłem się jeszcze na jedno pytanie: Co słychać?

– To ja pragnę pana zapytać, jak się pan czuje? Ciężko się nad panem napracowaliśmy...

– mówiła jakaś postać, a ja nadal jednak słyszałem, jakby mówiono do mnie zza jakiejś ściany.

– Długoście mnie cięli? – pytałem i wyęczałem wzrok, by rozpoznać obok mnie osoby.

– No długo... Musieliśmy pana nawet dosypiać... – mówił ordynator.

A mnie w końcu udało się rozpoznać przynajmniej tych, którzy byli najbliżej.

– Bardzo ciężko się pana cięło. Zabieg znacznie utrudniały nam stare blizny i zrosty po przednich operacjach... Ale proszę się tym nie przejmować. Proszę się cieszyć. Daliśmy panu nowe życie. I co zamierza pan z nim zrobić? – uspokajał mnie lekarz, ale jego pytanie było nieoczekiwane.

Nie spodziewałem się tego. Bezwiednie zdążyłem jednak odpowiedzieć.

– Ależ dużo tych kabli poprzypinaliście mi do ciała... Trudne zadajecie pytania... – charczałem, wyęzając wszystkie siły.

I nagle usłyszałem: – Jak pan się nazywa? Ile pan ma lat? Jak ma na imię żona?

Zatkało mnie z wrażenia. Takie proste pytania, a w głowie pustka. Z jękiem odpowiadałem kolejno: Karos... Ryszard Karos... 43... Lucyna...

Moją wylizankę przerwał nieoczekiwane głos kobiety.

– Bardzo dobrze radzi sobie pan z wiedzą na swój temat. Jak ode mnie to piątka. Proszę nam powiedzieć, co zamierza pan zrobić z tym nowym życiem? – pytała mnie pani doktor z nefrologii.

– To samo, ale... nie tak samo! – wykrztusiłem z siebie resztką sił.

– To dobrze, że pragniesz coś robić, bo nie chciałabym, abyś był moim pacjentem... – mówiła do mnie podniesionym głosem.

Z trudem odbierałem zdania, które były do mnie wypowiedziane. Natomiast po wypowiedzeniu przeze mnie słów, które miały się stać za kilka

dni po wyjściu ze szpitala moim mottem życiowym, zapadłem w sen... Bardzo się męczyłem. To nie był sen, tylko jakiś koszmar. Na przemian to raz się budziłem i wpadałem w przeróżne przemyślenia, jakie zaczynały mnie ogarniać, to znów zapadałem w majaki senne. W każdym razie godziny przeżyte w tej wybudzarni życia utkwily mi na dobre w pamięci.

2

W tych majakach jawosennych cały czas chodziło mi po głowie, czy jestem zdolny do przystosowania się do nowego środowiska społecznego, do nowych warunków. Ta myśl głęboko się zakorzeniła w mojej duszy. Ale nie tylko. Zacząłem także wymyślać siebie. Takiego siebie, który właśnie próbuje się wziąć w garść. Pragnienie to ożywiło całe moje ciało, dodało mi sił.

Pragnę w tej chwili, tak ważnej w moim życiu, zaakceptować świat, który mnie odrzucił. Szukam w swych wizjach siły wewnętrznej, która pozwoliłaby mi na dokonanie tego. Szukam siły, która uniemożliwiłaby mi odwzięczenie się tym samym, co mnie spotkało. Nie chciałbym bowiem stać się przegranym człowiekiem. Otrzymałem wszak nowe życie i muszę to nie tylko docenić, ale przede wszystkim muszę zrobić z tym coś na miarę daru. Bo życie to dar. Życie, bowiem to nie koniak podarowany lekarzowi, podobno odstawiany natychmiast do zaprzyjaźnionego sklepu przez obdarowanego. Podarowanego życia nie mogę oddać za marne pieniądze, gdzieś na półkę handlową za nic nie wartą pensję. Bo taką pensję mogę zgubić, mogą mi ukraść złodzieje. Dawniej mogłem ją przepić... No właśnie... Tak sobie rozmyślałem, a od samego rozmyślania świata nie da się zmienić. To już dawno wiedziałem. Rozmyślaniom powinny towarzyszyć czyny.

Pragnę robić to samo, co przed chorobą, ale nie tak samo. Przede wszystkim pragnę żyć. Czyli nie mogę się bezwiednie i bezrozumnie zaadaptować, zgodzić się na całe to draństwo i kurestwo, któremu ulegałem jeszcze przed chorobą. Tak!

Ja, Ryszard Karos, mam szansę stać się pełnoprawnym obywatelem tego społeczeństwa, tej grupy zawodowej, z której zostałem usunięty, wyrzucony, wykopany brutalnie na margines

jakiegoś nowotworu. Ale nie wolno mi obwiniać o to kogokolwiek. Za swoje życie wszak jestem sam odpowiedzialny. Byłem zbyt słaby, by się przeciwstawić.

Gdzieś i kiedyś w sposób dla mnie niedostrzeżony pogubiłem nadzieję szczęścia i wewnętrznego pokoju. Zgubiłem może po pijanemu, może z głupoty. Gdzieś zatraciłem Boga. Nie zauważyłem nawet, kiedy zamiast anioła stróża pojawił się w moim życiu diabeł stróż. A właśnie tu na stole operacyjnym rozegrał się bój o moją duszę. Jestem pewien, że w walce o prawa do mojej duszy starty się dwie nieziemskie siły. I doszło chyba do kompromisu. Do punktu zero. Do punktu wyjścia.

Zawsze się tak dzieje, gdy się połączy plus z minusem, gdy zetkną się ze sobą dobro i zło, gdy spotkają się dwa bieguny. Teraz otrzymałem wybór. Otrzymałem możliwość wyboru przy jednoczesnym życiu w tym samym świecie. Na tej samej szachownicy dnia i nocy.

Nagle przed oczami stanęła mi literka „W”. Co ona dla mnie oznacza w tej chwili? Czy jest ona li tylko spółgłoską wargowo-zębową, szczelinową, twardą, dźwięczną? Cóż to za przyimek łączący się z moim nazwiskiem lub innymi wyrazami pełniącymi ich funkcje w miejscowniku lub bierniku?

Ta literka „w” tworzy wraz ze mną – Ryszardem Karosem – wyrażenia oznaczające miejsce dziania się mojego życia, znajdowania się mnie, określa położenie moje, przebywanie moje, część ograniczonej przestrzeni, a także to, co tę przestrzeń wypełnia, oraz miejsce będące celem lub kresem mojego bezruchu fizycznego, przy równoczesnym ruchu duchowym. Jestem więc w szpitalu. Leżę w łóżku, tu, w wybudzarni.

Jednocześnie „w” określa kierunek, w jakim poruszają się moje myśli, a także miejsca, w których zachodzą moje procesy psychiczne. Wskazuje na całe siedlisko świadomości, uczuć, stanów psychicznych, których nawet nie próbuję rozwiązywać. Po prostu to wszystko przepływa przez moją głowę.

Z tych rozmyślań – jednocześnie tak nieoczekiwanych, jak i utrwalających się w pamięci – natychmiast przenoszę się w majaki senne... Oto jestem nagle basztarem utworzonym z tego, co doświadczyłem w życiu i połączonym z tym, co dopiero mogę osiągnąć. A cóż to takiego basztar?

– Basztar to taki ptak, którego jeszcze nie ma, ale ja go stworzę przez połączenie kanarka i szpaka – tłumaczył mi mężczyzna, gdy go zapomniałem na kilka dni przed pójściem do szpitala o to, dlaczego w jednej klatce więzi właśnie kanarka i szpaka.

– Ja ich nie więzę! Ja wierzę, że w wyniku ich skrzyżowania narodzi się Basztar! – wykrzykiwał do mnie to słowo – nazwę własną nieistniejącego ptaka.

Teraz jego krzyk wdziera mi się do głowy. To ja się teraz czuję takim Basztarem – krzyżówką paradoksów mojego życia, które sąsiadowały ze sobą w klatce mojego ciała i w mojej duszy, jak za przeproszeniem właśnie ten szpak i kanarek.

Niedoszłego twórcę Basztara jednak na wniosek myśliwych oskarżono o znęcanie się nad ptakami. I ma być sądzony. Czy z powodu więzienia w mojej duszy tak wielu paradoksów też będę oskarżony i sądzony? Ale przez kogo? Przez ludzi? Przez Boga? Przez sumienie? A może samego siebie? Unoszę się w swoich zwidach jak ogromne, nie istniejące ptaszysko, jak właśnie taki Basztar – wymyślona przez szalonego sąsiada nazwa określająca coś, czego nie ma, ale może być.

Czekam na oskarżyciela za znęcanie się nad własną przeszłością?

Oto jestem teraz w jakimś przedsionku życia. Z jednej strony nieodkryta przeszłość, z drugiej – niezbyt jeszcze otwarta przyszłość. W tym przedsionku są dwa wieszaki. Wiszą na nich dwa odzienia. Obok nich stoją dwie beztwarze, zakapturzone postaci. Ale wiem, a właściwie mam świadomość, że jednego wieszaka pilnuje diabeł stróż, drugiego – anioł stróż.

Ode mnie, Ryszarda Karosa, zależy teraz, na które odzienie się zdecyduję. Jakiego mam dokonać wyboru ze wszystkimi konsekwencjami. Kogo mam przywołać? A może nikogo? Może samemu spróbować się zmierzyć? Pójść w kierunku otwierającej się przyszłości taki nagi – z nadzieją, że ktoś mnie w coś przyodzieje. Niestety, myśl o remisie jest wygraną diabła i anioł ze smutkiem zabiera już ze sobą swoje ubranie i znika gdzieś w czeluściach przyszłości za coraz bardziej zamykającymi się za nim drzwiami.

– Zaraz, zaraz! Nie tak szybko! – krzyczę bezgłośnie i biegnę w jego kierunku.

Pragnę mieć chwilę do zastanowienia. Anioł się zatrzymał. No, to jeszcze raz. W co mam się

w końcu ubrać? Nie mogę pójść do ludzi taki nagi, taki nieubrany, taki bezbronny. W co mam ubrać swoją wolę? Czy w złośliwość, egoizm, zazdrość? Czy w sprawiedliwość? W co mam przyrodzić rozum? W ignorancję, zaślepienie? Czy w roztropność i mądrość? Co mam założyć na swoje ciało? Czy niemoc, lenistwo, małoduszność? Czy męstwo? Co ma być moją siłą napędową? Czy pożądlivość, zmysłowość, łakomstwo? Czy umiarkowanie? Któremu darczyńcy mam powiedzieć – tak? Diabłu? Aniołowi?

Obaj czekają. A ja chodzę w koło Macieju, dookoła stołu. Uczestniczę w obłądnym tańcu wirowym dookoła własnej osi. Czuję się jak w wirówce, odwirowany ze wszystkiego. Nawet nie mam prawa do swojej przeszłości. Wzięli ją pod ocenę moi wrogowie, czasami wspominają o niej przyjaciele. Ja już nie mogę tam nic naprawić. Mogę ją polecić Opatrzności i, jak mawia mój sąsiad od Basztara, „wypiąć tyłek i modlić się, by niezbyt mocno bolało...”.

Ale nie dokonałem wyboru. Na razie moja przeszłość tylko wзира przez niedomknięte drzwi. Jeśli nie podejmę decyzji co do przeszłości, to nie mogę także wybrać przyszłości. Nie mogę też tak bez końca wirować w miejscu, w tym przedsiönku.

Z głębi trzęsącego się jestestwa, ogołoczonej przedsiönkowej duszy nagle wyrwało się: – Boże, bądź miłosiw mnie grzesznemu!

W ten sposób właśnie zaczęła się rodzić na nowo wiara w Boga, którego nigdy nie widziałem, a którego obecność odczuwałem zawsze, ale jednocześnie nie zdawałem sobie sprawy z tego. Ręka w bolesnym kurczu drgnęła w kierunku anioła. Ten nawet nie wzdrygnął się, jakby ten mój gest nie był do niego kierowany. Czekal na coś więcej...

Przybliżyłem się do jego twarzy i spojrzałem mu głęboko w czeluść kapturzą. W jednej chwili rozpoznałem go. Tak, to on był twórcą moich marzeń dziecięcych i młodzieńczych. To z nim podróżowałem po bezkresnej wyobraźni, w której wszystko było możliwe. Tak, to byłem ja. Moje Ja, którego nie widziałem od lat, które gdzieś zgubiłem, a może nawet przegoniłem z mojego życia. Coś ścisnęło mnie w gardle, w oczach pojawiły się łzy. Już miałem się rzucić w jego ramiona. Przywitać serdecznie jak brata.

Ale nieoczekiwanie tknięty niejasnym przeżuciem odwróciłem twarz w drugą stronę.

Spojrzałem w oczy drugiej zjawie. To także byłem ja. Z nim też wędrowałem nie tak dawno po bezkresach wyobraźni. Nagle pojawił się nie do zniesienia ból w okolicy serca. Tak! Spotkałem dwie swoje połowy, dwóch samych siebie. I tego dobrego, i tego złego.

Obaj czekają na moje rozkazy. Teraz wiem, że już niezależnie od mojego wyboru żaden mnie nie opuści. Są oni jak dobra i zła myśl. Obaj gotowi wykonać nawet najbardziej nieśmiały, nawet najbardziej szaleńczy zamysł.

Tak! Teraz rozumiem... Jednego przyjąłem z radością, wręcz w miłosnym uścisku, i przyjąłem od niego dary, jakie miał przygotowane, drugiemu godnie podałem dłoń z poczuciem wybaczenia sobie. Nie mogłem się złościć na niego, gdyż wybrany anioł już na to nie pozwalał. Choć nie przyjąłem daru, to nie miałem prawa mu zabronić pójścia za mną. To on właśnie jest moją przeszłością, która się wlecze za mną. Jest przestroga dla mnie, jest ostrzeżeniem dla moich wrogów. Jest demonem nieopatrznie przywołanym przez moich wrogów...

Ten wybrany zaczął wyznaczać mi przyszłość, której dopiero miałem się nauczyć... Ten drugi był już moją nauczka...

– *Mój Boże! Dziękuję Ci za moją chorobę...* – tknęło coś we mnie.

Jak długo ten sen trwał? Tego nie wiem. Nie wiem w stu procentach, czy był to sen.

I do tej pory tak naprawdę nie wiem, czy jeszcze śnię, czy już się obudziłem...

– *Boże! Dziękuję Ci za chorobę, która uleczyła moją duszę...* – wyrwało się z głębi mojego jestestwa.

Z trudem próbuję pozbierać swoje życie do kupy, które pewnego majowego słonecznego dnia rozleciało się na kawałki. Postanawiam na nowo zdefiniować je i ruszyć w świat, by uratować to, co z niego pozostało, ale przede wszystkim tworzyć, tworzyć, tworzyć... Samego siebie.

Równocześnie wszystko we mnie krzyczało: – *Boże, dziękuję Ci za każdą dobę życia i za szansę odnalezienia siebie i odkrywania Twojej mocy wśród zwyczajnych ludzi, w codziennych i zwyczajnych zdarzeniach...!*

Andrzej Piskulak

Mówiąc

Mówiąc słowa w ustach kształtuję:
intonuję w radosny poranek,
mruczę noc niepewną,
wyjękuję tępą tęsknotę,
seplenię starość,
przebąkuję przyszłość,
zawodzę,
syczę zawistnie,
szepczę niepewność,
jąkam się, stękam,
ale wykrzykuję przestrzeń,
wrzeszczę, że jeszcze...

Zapisaane słowa inni mogą kształtować w rytm własnego oddechu
z powietrza, które z mych ust uszło...

Tylko po co?!

Trzymam rękę na pulsie

trzymam rękę na pulsie
wydarzeń
w impulsach Internetu
wyczuwam rytm morderczych obrotów ziemi
w programach telewizji

myślę o ile inaczej umiera się z rąk człowieka niż mikroba
co czuje się ginąc od naboju a nie zawału

trzymam rękę na pulsie
czuję drobny przegub człowieka pod palcem
pulsującą żyłkę
jak cyngiel

trzymam rękę na pulsie:
mam związane ręce
czuję tętent życia
wspaniałą galop
nic to że stężeje

westchnął śpiący kot
rozplotłam ręce
mogę pogłaskać kota i psa
pomysleć o przyjaciółtach

Ponad pół wieku żyjąc

w tym czasie urodziły się miliardy ludzi
ścięto lasy na stopy i trumny
wybudowano miasta
wyburzono domy
wzniesiono mury
zakopano konie na których galopowałam po łąkach
wyginęły gatunki
padały systemy i pomysły
sklonowano człowieka
powstawały filmy i państwa
wietrzały skały i wartości
załamywały się giełdy
i ręce matek zabitych dzieci
kochali się ludzie
rozmnażały owady
ponad pięćdziesiąt razy Ziemia okrążyła Słońce
cóż to wobec...
pozostała zasada

Materialna

Myję ręce, palce zaczepiam o palce, dotykam śliskości
mydła i płynności wody,

Twardym grzebieniem rozczesuję włosy, czerwonym
lakierem maluję paznokcie, ścieram pięty, golę łydki. Bo
tak trzeba.

Troskliwie ocieram się o życie innych: podaję martwe
istoty kotom i psom, podlewam kwiaty. Bezwzględnie
koszę trawę, zgniatam kleszcze, zabijam komary.

Ścieram się do krwi o ziemię, muskam liście. Na-
kładam martwe rośliny i zwierzęta na skórę. Łakomie
chwytam za widelec, sadowię na krzesłach, opieram
o stoły. Kieruję koniem i samochodem. Materialna ja.
Chyba umyję ręce.

Apetyczne tirówki

Stoją przy drodze
I ciałem kuszą
Anielski wygląd
Z diabelską duszą...

Chiński pisarz (postępowy)

Walczy piórem
Z chińskim murem.

Puszysta

O szczupłą talię
Toczy batalie.

Niskie ukłony

Kto się w pokłonach garbi,
Łaski sobie zaskarbi.

Na „prawdę”

Prawda w oczy kole –
Zwłaszcza w Rosji Kołę.

Leciwa

Dumna ze swojego ciała –
Tego miała, kogo chciała.

Miłość bliźniego

Miłuj ojca i matkę,
A kochaj sąsiadkę.

Dzień seniora

Kiedyś przychodzi
Starości pora
Každy przeżyty –
Jest Dniem Seniora.

Dobrana para

Dobrane małżeństwo
Mogłoby się zdawać:
Mąż umie zarobić,
Żona zaś wydawać!

Sielski urok żniwiarza

W owsiane niwy,
Pszeniczne łąny
Z klepaną kosą
Puścił się w tany...

Przekorny szczawik

Przykazania ojca,
Pouczenia matki
Nie zastopowały
Syna do sąsiadki.

Panna na wydaniu

„Egzemplarz” wydania –
Gotów do sprzedania...

(Z)winna łania

Choć piękna jest jak łania,
Za innym się ugania
I robi bez wątpienia
Swego męża w jelenia...

Na religijnego

Modli się szczerze
W dobrej wierze...

Tępicieł wiary

Potępia z ambony
Wiarę... w zabobony!

Pasja (Fragment powieści)

Na rogu Wayne i 211 królowała ciemność. Noc poczerniła mury ceglanych kamienic, zamieniając je w atramentowe posągi. Ostatnie plamy złocistego światła powoli gasły, przykrywane zimnym i nieprzyjaznym mrokiem. W pobliżu cmentarza i krematorium Woodlawn nie było nikogo oprócz posępnej i wiecznie milczącej straży ulicznych latarni, które dziś wieczorem jakimś dziwnym trafem zupełnie nie chciały się zapalić.

Grafitowy crown victoria nadjeżdżał samotnie od strony Harlem River. Jaskrawa czerwień i zimny błękit budziły ciekawość w oknach przycupniętych przy ulicy domów. Łuna policyjnych świateł rozganiała ciemności, przeganiając z serc mieszkańców Bronxu niepewność i strach. Służyć i chronić. Zawsze.

O ile tylko stróże prawa nie przybyli zbyt późno.

Silnik splunął resztkami spalin i zamilkł, a reflektory zamknęły swe jasnożółte ślepie. Już po chwili nocną ciszę przerwał rytmiczny stukot męskich obcasów. Spieszyli się. Nieopodal bocznego wejścia było na co popatrzeć.

Ogrodzenie wyłamano tak, jakby jakaś nieznaną siłą dosłownie przez nie przebiegła, zostawiając szczerzącą pręty wyrwę. Powyginana stał uśmiechała się szydlerczo w stronę dwóch detektywów, którzy z posępnymi minami spoglądali na otwór wielkości dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn.

Aaron odsunął żółtą policyjną taśmę i podszedł z latarką nieco bliżej, aby przyjrzeć się dziurze.

– Zapewne nikt niczego nie zauważył. Jak zwykle – rzucił z ironią Dominic. – Ani też nie usłyszał. –

Odpowiedziała mu tylko cisza, którą po chwili przerwał szum krótkofalówki.

– Poruczniku Steels, słyszy mnie pan? – zatrzeszczał znajomy głos.

– Tak, Johnny. Jesteśmy już na miejscu – odpowiedział Dominic. – Zaraz będziemy u was z Aaronem, oglądamy nowe drzwi.

– Niech pan tu lepiej przyjdzie, to pan jeszcze coś zobaczy, panie sierżancie – zatrzeszczało.

– Jasne, już idziemy.

– Zastanawiam się nad czymś – rzekł Aaron, nie odrywając wzroku od powyginanych prętów.

– Gdzie znów położyłeś krótkofalówkę? – zardrwił Dominic.

– Nie – odrzekł, kierując światło latarki na pobliską kamerę. – Zastanawiam się, czy ten system kamer ma nam coś ciekawego do pokazania.

Wiatr świszczwał wśród posępnych nagrobków, kapryśnie przeganiając po ziemi żółte i czerwone liście. Stare epitafia wyrte w kamieniach skutecznie zatarał czas i zapomnienie bliskich. Nie wszyscy znajdowali w sobie dość woli, by pamiętać o tych, którzy już odeszli. Noc była wyjątkowo zimna, a oplatająca groby szara mgła skutecznie tłumiła odwagę i pewność siebie, dlatego nawet uzbrojeni w niezawodne glocki 19 stróże prawa nowojorskiej policji nie czuli się tu zbyt komfortowo. Szli w milczeniu w stronę pobliskiej kaplicy, gdzie w pobliżu srebrzystej lipy widać było błyski policyjnych fleszy.

– Oho – Dominic zmełł przekleństwo w ustach – hienki od koronera.

– Nigdy nie rozumiałem, co ty od nich chcesz. Wykonują tylko swoją pracę. Któryś zalał ci za skórę czy co? No, co? – Zatrzymał się, gdy tylko sierżant Stanton obdarzył go wymownym spojrzaniem.

– To nie wiesz, że niedobrze jest przebywać w towarzystwie takich ludzi? – Dominic ściszył głos, jakby obawiał się, że ktoś może ich usłyszeć.

– Eee... że co?

– No, wiesz – dodał, rozglądając się bacznie – obcujący ze śmiercią ściągają ponoć ogromne nieszczęście. Czytałem o tym w poważnej... publikacji.

– Czy ty zgłupiał! – Steels machnął ręką i ruszył przed siebie.

– Tylko żeby potem nie było „a nie mówiłem!”.

Zaułek przy kaplicy wyglądał naprawdę nieszczęśliwie. Ciemności potrafiły skutecznie przygasić tak piękno, jak i wszelkie potworności, ale nie potrafiły zdusić tego parszywego smrodu.

Smrodu krwi. Nic w tym dziwnego, bo była ona dosłownie wszędzie. Ciało młodej dziewczyny straszliwie pokiereszowano. Zlepione posoką i rozpapranym mózgiem włosy otaczały zastygłą w przerażeniu twarz. Denatka miała rozprutą tchawicę, z której beładnie wisały strzępki okrwawionej skóry. Oberwane i przemieszczone lewe ramię dyndało na kawałku ścięgnię gdzieś w okolicy bioder, jednak makabra zaczęła się dopiero, gdy Steels do końca odsunął czarny worek. Korpus dosłownie wypatroszono. Otwarta jama brzuszna i żebra sterczące z potraskanego mostka wyglądały jak okrwawione szpony. Wewnątrz dygotały jeszcze ciepłe wnętrzości. Steelsowi zrobiło się niedobrze. Odwrócił na chwilę twarz, szukając po kieszeniach chusteczki. Smród przyprawiał go o mdłości. Żaden z gliniarzy nie wyglądał zbyt dobrze. Może poza jedną osobą. Dominic „Goryl” Stanton jako jedyny miał ten dziwny błysk w oczach. Za każdym razem, kiedy widział poćwiartowane ciało, coś dzikiego budziło się w jego sercu. Coś, czego wstydził się sam przed sobą. Zwierzęcy głód, rausz, podniecenie, cokolwiek to było. Serce zaczynało bić mu szybciej, a do ust napływała ślina.

Steels z obrzydzeniem patrzył na partnera, który chłonał obraz zbrodni, jakby to był długo wyczekiwany obiad. Goryl odruchowo sięgnął do kieszeni i jakby bezwiednie wpakował do ust wielkiego snickersa. Żuł machinalnie, nie odrywając wzroku od zmasakrowanego ciała. Steels zdawał sobie sprawę z tej przypadłości kolegi, ale nie trzeba było, aby wiedział o niej ktokolwiek inny.

– No, już, dość tego. Napatrzyliśmy się – rzucił ostro, zakrywając ciało dziewczyny czarną folią. – Zapakujcie ją, a my jutro wieczorem pojedziemy do prosektorium, żeby przejrzeć analizę.

– Jasne, poruczniku, dopilnuję. żeby była gotowa – rzucił niski i podpasiony Latynos, zwany przez kolegów „Johnnym”.

Aaron stanął twarzą w twarz z wciąż pochyłym nieco Gorylem. Oczy sierżanta zdradzały objawy odurzenia lub jakiejś hipnotycznej katatonii.

– Ciekawe, czego tym razem brakuje! – krzyknął mu prosto w twarz.

Dominic ocknął się i podskoczył, jakby ktoś oblał go wrzątkiem.

– Ty, aa, eee. Aha... no, ciekawe.

– Miała coś przy sobie? – spytał Johnny’ego porucznik.

– Tak, klucze do auta, którym powinna była przyjechać. Tylko nigdzie go nie możemy znaleźć, przynajmniej tu w okolicy, a mieszkać tu przecież nie mieszkała.

– Tylko tyle?

– Nie.

– No dalej, co ja cię za język muszę ciągnąć, człowiku?!

– Spoko, spoko, coś pan taki nerwowy, poruczniku.

Johnny podał Steelsowi zwinięty bilet do kina, na seans „Upadłe anioły”, zamknięty w szczelnym, plastikowym woreczku, wyjaśniając, że znaleźli to w kieszeni dziewczyny.

– I jeszcze to. – Rzucił Steelsowi plastikową torebkę z niewielką alabastrową figurką. – Miała to w ustach, tak jak poprzednie ofiary.

Steels tylko kiwnął głową i zamyślił się, wpatrując w główkę szakala wyrzeźbioną w jasnym, połyskliwym kamieniu.

– Anubis, nie ma co. Na pewno Anubis – powiedział Stanton, przetykając resztki. – Wiesz, Aaron, bóg śmierci i w ogóle. Albo to opłata dla tego ich przewoźnika, Szaroną czy coś, czytałem o tym. Ten Szaron miał podobno psa, właśnie chyba Anubisa, o ile dobrze pamiętam. Co się tak patrzysz? – spytał z wyrzutem.

– Byłem kiedyś w szkole dobry z historii.

– Właśnie widzę... – Spojrzenie kolegi zamknęło sierżantowi usta. – Chcę mieć na jutro wszystkie taśmy z tych kamer, Johnny. Na jutro do południa.

– Tak jest, szefie.

Paweł „DarkAraghel” Rejdak – kielczanin (ur. 1980), autor opowieści z gatunku fantasy, otrzymał w br. odznakę „Za Zasługi dla Kultury Polskiej” od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wręczoną podczas tegorocznego Święta Kielc przez Prezydenta Miasta.

Wydał książki: *Oko węża* (2009, 2013), *Gniew Meleghorna* (2010), *Pasja* (2012). Członek Kieleckiego Oddziału ZLP nagrodzony już w naszym regionie (m.in. Świętokrzyską Nagrodą Kultury) i przez Ministra KiDN (2011). Zdobywca I miejsca na Literackiej Olimpiadzie QFant (2010). Jego pełne napięcie opowieści adresowane są przede wszystkim do miłośników horrorów czy dreszczowców, jak i fanów dobrego wielowątkowego kryminału.

Serdecznie gratulujemy!

bez klótni...

duchowe nie jest głuche
ślepe i nieczułe
na dotyk bliskiej
choć odmiennej sfery

zdarza się, niestety
że pianissimo duchowe
przekształca się nagle
w forte niezgodności

dusza przygłuszona
emocji nieustanną akcją
i nadmiarem
żywotnej cielesności
na dalekim kryje się planie
jakby nieobecna...

lecz kiedy wzrok duchowy
odnajdzie w sobie pewność
darów niewidzialnych
a nasłuchiwanie
stanie się nieczułe
na bełkot pod latarni
i syrenie śpiewy
to teatrum bezmyślności
odarte z sukien prawdy
pozostanie nieme

gdy niemożliwe
stanie się możliwe
wówczas współgrać zaczną
bez klótni
niezbywalne ciała
instrumenty dęte
z wyciszoną harfą
ośmielonej duszy...

opieczętowane...

czy zawsze
piękno jest opieczętowane?
jest przesyłką imienną
nie pod każdy adres
różna w niej zawartość

nie wiemy, co i kiedy
znowu nas zaskoczy
gdy oczy nawykłe
do szarej stabilności
otworzą się szerzej
na niespodziewane
i zachwycające...

najczęściej jest to
piękno krajobrazu
z niezwykłą w nim
sztuką kompozycji
lub twarz o zagadkowych
rysach szlachetności

jeśli brak nam Nadawcy
ukrytego
w nierozpoznanej głębi
drzeń nieświadomości
wdzięczność szuka miejsca
na skraju widnokregu
gdzie mogłaby spocząć
albo stać się cząstką
piękna własnej duszy...

dłonią przeciekającą

chcesz, o Panie
by każdego poranka
pospieszyć do źródła
z resztą nierozpoznanych win
z pustymi rękami...

pragnę z niego zaczerpnąć
garścią przeciekającą
życiodajnej tej wody...

proszę o przejrzystość
Twego przebaczenia
równe jest Twej miłości
nieoszukującej
nieoszukiwanej...

wodę pić będę
oszczędnie
z zagłębienia dłoni
nie zostawię nic na jutro

bo nie lubisz zapasów
i gromadzenia na potem...

zanurzę ją ponownie
w źródle oczyszczenia
nieoszukującej miłości
jeszcze do końca
niepoznanej
bo i tego dnia
przeciekającej
przez palce...

Ciało

ciało –
dowód dla wszechświata
że istnieje
że jest niezbędne
dla wzrastania ducha
jak wiosną pole
dla kiełkujących zbóż

ciało –
dowód dla wszechświata
kruche i nietrwałe
bo tykający w nim zegar
krótką ma sprężynę

ciało –
dowód dla wszechświata
śmiertelne
przyjmuje nieśmiertelność
gdy samo znika powiększa
o jedną nową wieczność
niezliczonych istot krąg.

Nasze literackie ścieżki sichowskie

Kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy, właściwie nic nie wiedziałam na temat pałacu, jego rzeczywistego wyglądu i życia mieszkańców: tego sprzed wojny, losów wojennych i tych zaraz po najstraszniejszej zawierusze. Mało pociągający mi się wydał ciąg budynków w surowym stanie, usytuowany na gliniastym poboju. Z poczucia obowiązku niejako rzuciłam okiem na całość, przyjęłam do wiadomości, że właśnie jestem mimowolnym, chwilowym świadkiem wskrzeszenia cudownego, magicznego czasu gospodarowania tu rodziny Radziwiłłów. Czasu minionego, któremu dała świadectwo w dwóch niedużych tomikach jedna z córek ostatnich właścicieli Sichowa, Zofia z Radziwiłłów Skórzyńska. Podczas kolejnych naszych wizyt kupiłam obie części wspomnień i dopiero po lekturze pierwszego tomiku, opisującego dzieciństwo małych książątek, zrozumiałam, jakie właściwie było to domostwo, z trudem reaktywowane na początku XXI wieku.

W dźwigającym się powoli nowym kompleksie budynków, mającym naśladować w miarę wiernie starą radziwiłłowską siedzibę zaczęto tworzyć od podstaw bibliotekę – serce każdego inteligentnego domu. Kiedy wzięłam do ręki drugie wydanie pierwszego tomu *Świadectwa czasu minionego* Zofii z Radziwiłłów Skórzyńskiej, zobaczyłam, że wydawcą jest Dom i Biblioteka Sichowska im. Krzysztofa i Zofii Radziwiłłów. Nasza literacka grupka została ciepło przyjęta i ugoszczona, a na zakończenie odwiedzin poproszono kolegów i mnie o ofiarowanie książek naszego autorstwa. Z dedykacją dla Domu i Biblioteki Sichowskiej. Dziwnie się plotą, gmatwają ludzkie losy... Tak jak losy wierszy, opowiadań i powieści... Nie sądzę, żeby w czasie pokoju choćby część naszych dziełek mogła trafić tu, do miejsca sjeisty mieszkańców, gdzie odpoczywali po obiedzie, pijąc kawę albo – świętowali Boże Narodzenie przy ogromnej choince. Biblioteczne zbiory Radziwiłłów bezustannie katalogowano i uzupełniano. Były w nich zarówno książki polskie, jak i obcojęzyczne: najwięcej francuskich, niemieckich i angielskich, jak na inteligentną bibliotekę przystało. Zofia Radziwiłłówna pamięta ważne pozycje literatury pięknej, poezje, albumy, wypełnione reprodukcjami dzieł sztuki, a także dzieła naukowe, głównie filozoficzne. Bi-

blioteczce patronowała rzeźbiona w drewnie duża figura Chrystusa Frasobliwego, która przysłaniała niejako ustawione za jej plecami tomy Voltaire'a i innych świeckich filozofów. Autorka wspomnień pisze, że dla ojca jej, Krzysztofa, który czytywał te filozoficzne rozważania, odnosząc się do fenomenu chrześcijaństwa, właśnie chrześcijaństwo stanowiło podstawowy fundament kultury europejskiej, za którego spadkobiercę się uważał. Niewątpliwie postrzeganie świata przez pryzmat nauki Chrystusa, przez pryzmat krzyża – ogromnie pomogło mu przetrwać okres pobytu w obozie koncentracyjnym i szczególnie trudną próbę (zwłaszcza dla arystokraty) zaadaptowania się w całości nowej rzeczywistości PRL. Pisząca wspomnienia Zofia Radziwiłłówna, mając tuż przed wojną zaledwie dziesięć lat, nie zdążyła dorosnąć na tyle, żeby zainteresować się książkami trochę poważniejszymi. Pamiętam ze swojego dzieciństwa i wczesnej młodości podobne wzajemne oczekiwanie. One wabiły, leżąc spokojnie na półkach, a potencjalna czytelniczka, zdając sobie sprawę ze swojej niedojrzałości, musiała uzbroić się w cierpliwość. Sichowskie książki dla młodzieży nie zdążyły już dotrzeć do rąk swoich właścicielek czyste i całe. Podzieliły los ludzkich i zwierzęcych sierot, kiedy poniewierając się po brudnej wojennej podłodze, zostały jak deski czy węgiel wrzucone do piwnicy. I tak miały dziwne szczęście, że nie użyto ich na opał! Część Biblioteki Sichowskiej, liczącej ok. 5 tysięcy tomów, przewieziono później do Kielc, żeby zasilić Bibliotekę Publiczną. Władze nowej Polski pozwoliły Krzysztofowi Radziwiłłowi zabrać stamtąd kilkadziesiąt najbliższych jego sercu pozycji i przewieźć do powojennego mieszkania w Warszawie. Można sobie wyobrazić, jak czuje się człowiek, który przegląda własny księgozbiór, kompletowany latami, żeby dokonać bolesnej selekcji – co odrzucić, z czego zrezygnować. On z pewnością nie umiałby nazwać rezultatów swoich wyborów „produktami”, jak to stało się modne wśród księgarzy XXI wieku. Myślę tu głównie o młodocianych księgarzach, pracujących z książkami przypadkowo, nie z wyboru, dyktowanego sercem. Tak, nie zaprzeczę, pozwalałam sobie czasem na zwrócenie im uwagi, że książka bywa dziełem sztuki, że nieraz to jedyny przyjaciel, który

cierpliwie wysłucha, doradzi, uspokoi, że obcowanie z książką to jakby osobisty kontakt z mądrymi, ciekawymi ludźmi. Że trudno byłoby o nałogową wręcz fascynację jakimkolwiek innym „produktem”, a znam całe rzesze książkowych nałogowców, których żaden komputer nie odwiedzie od trwania w tym specyficznym zamiłowaniu. Ostatni właściciele Sichowa na Kielecczyźnie niewątpliwie takimi nałogowcami byli. Coraz powszechniejsze w naszych mediach początku XXI wieku hasło „Cała Polska Czyta Dzieciom” dawno już było znane sichowskim Radziwiłłom. Jak pisze Zofia Skórzyńska, podczas obowiązkowego godzinnego leżakowania po obiedzie, czytano jej i rodzeństwu dziecięce i młodzieżowe książki po francusku i po niemiecku. Zapoznając dzieci ze światową literaturą, uczono jednocześnie obcych języków w sposób najbardziej atrakcyjny, jaki mógł wymyślić człowiek. Wieczorami uprawiano uroczyste głośnie czytanie klasyki patriotycznego polskiego kanonu, czyli *Trylogii*, *Quo Vadis* i *Pana Tadeusza*, zainicjowane przez babunię autorki wspomnień, Marię Popielową z Kurozwęk. „Babunia kurozwęcka”, ciekawie przedstawiona przez swoją wnuczkę, traktowała Kurozwęki już wówczas, kiedy zamieszkała w pałacu wraz z mężem, jako „dom pracy twórczej” dla ludzi nauki i sztuki. Ojciec Zofii, Krzysztof Radziwiłł, miał zwyczaj oglądania wraz z córkami i synem reprodukcji najwybitniejszych dzieł malarstwa europejskiego. Jako historyk sztuki był dla nich najlepszym nauczycielem i przewodnikiem po niezmiernym oceanie światowych dzieł.

Kiedy więc podczas pobytu w gościnnym Sichowie, zarządzanym przez krewnych ostatnich właścicieli, a mającym w dzisiejszej Polsce służyć za hotel i Dom Pracy Twórczej o nazwie „Dom i Biblioteka Sichowska imienia Krzysztofa i Zofii Radziwiłłów”, zaproponowano nam, ludziom piszącym, zasilenie nowych zbiorów naszymi książkami, poczułam się zaszczycona. W tym miejscu magicznym, gdzie działa się tak wiele rzeczy ważnych, w reanimowanej, jak większość polskich zabytków, bibliotece arystokratów, pełnych patriotycznych i demokratycznych ideałów, miały znaleźć miejsce wytwory myśli i zdolności naszych kolegów po piórze i moich. Jako zaczątek nowej biblioteki sichowskiej. Historia zatoczyła koło...

Elżbieta Strzałkowska
Miroslaw Strzałkowski

Bujanie

na dwóch biegunach
fotel bujany – Ziemia –
na nim życie

Słońce dogląda
czy doświetleni
czy dokarmieni
obdarowani chlebem obficie
bujają się
nadzieją zieleni wody ciepła
i walczą z plagą umierania
połączoną z każdym miejscem
gdzie życie

pośród – ja – drobny element
drzę z zimna przytulona
choć dokarmiona i doświetlona
drzę z zimna
w tłumie osamotniona

widzę jasność
promyk mój tylko lustrzany
złamany
drzę z zimna

kwiaty ogrzane nie-złamaniem
ciepłych słów
między biegunami
zerowa amplituda

gdzie takie miejsce
drzę z zimna

Wiosna Jazzowa w Zakopanem

budzi się ziemia
wychyla zieleń
Do Białego podgłosił
podwyższył poziom
spadając kaskadami
zapienił zapory głazów

na odcinkach spokoju
zaglądają do lustra kaczące
topią wierzchołki iglaste
otwierają się kwiaty górskie
na flesz

Jazz Summie w Zakopanem
pod flagą Wiosny Jazzowej
United Europe Jazz Festival
Gala Jazz Top

specjalny gość –
Michael „Patches” Stewart – trębacz

jakby obudził wiosenny trend
wysoką temperaturą dmuchnął w trąbkę
i rozeszło się ciepło
podkreśliła błyskawica nad Giewontem
puszczając prysznic obficie

strumyki gruchnęły aplauzem

obudziliśmy się wszyscy
klaszcząc wiośnie na szlakach
wartkość wody jakby piłowała zieleń
rozlały się zatoczki pod fioletem krokusów

a ze szczytów schodzi śnieg
by pokłonić się WIOŚNIE

Gali Jazz Top
zawtórowały ptasie szczebioty

Zakopane 05.05.2013

Trzynastka z Pegazem

*poczuliśmy w Staszowie
rozpięte skrzydła Pegaza
od Anglii aż po Kirgizję
zapachniało przyjaźnią
pod dachem pałacu w Rytwianach*

*przypięci pinezkami liter
do własnych miejsc*

*tutaj nastrojem egzotyki
trysnęło powietrze*

*bez tłumacza rozumiemy
czuć melodię wiersza*

*wnętrza jednakie gdziekolwiek na Ziemi
uskrzydłone poezją w ludzkim wymiarze
unoszą zdania*

śpiewa melodia języka

13.04 2013, XIII Międzynarodowy Dzień Poezji

ŚWIĘTOKRZYSKIE naSTROJE (Fragment poematu)

1

dojrzewa we mnie akceptacja
bezsilność
bezrobocia emigrują za chlebem
obrzeża miast w ramach marketów
uprawy odeszły wstecz
sterczą badyłami nieużytki
strunami suchych traw
szarpie wiatr
przygrywa przyginając
krocie samosiewek

2

świętokrzyskie nastroje
na stroje pasiaki
krajobrazy pól uprawnych
w dolinkach pagórkach i wzgórkach
odchodzą w przeszłość
jak staruszka
niechętnie stąpająca do mety

3

obciążona sędziwość
dźwiga pochylona
wsparta kosturem terażniejszości
nie patrzy w horyzont
zamyka się
jakby zwijała w kłębek
swoje wczoraj

na ławeczce
z twarzą zastygłą
za siateczką zmarszczek
ręce kurczowo trzymały laskę
jedyne wsparcie kruchości
życie stąpało w niej coraz wolniej

jakby wbrew woli
tam podążała

Kazimiera Szczykutowicz

Anioł Ciszy

*„Nic w tej mrocznej głuszy,
Nic, prócz pojęku twojej duszy”
(Jan Kasprówicz)*

W Rytwianach cisza ogromnieje
Od celi po leśny cmentarz
Od kamienia węgielnego pod klasztor
Po współczesny ośrodek „spes”

Ona prastara czterowieczna
Pokamedulska scheda

Stoję w środku ogrodu
Porażona mrokiem
Przedkładam stukot serca
Nad odgłosy kosmosu
Przedkładam ciemność duszy
Nad ciemność bezchmurnego nieba
Stoję w centrum nocy
Obok drzemie Anioł Ciszy

Czekam na wewnętrzny wschód Słońca
Czekam na ciszę w sobie.

BYT

Jestem BYTEM zamkniętym

Mam korę na mózgu
Jak sędziwe drzewo
I pancerz ochronny
Jak skorupa żółwia

Nie wytyczam losu
Według papilarnych linii
Nie wróżę dni z fusów
Ani z krakania wron
Nie wierzę w magię liczb
W kabały czarne koty
Nie rzucam monet w wodę
Przez lewe ramię naiwności
I kominiarza nie łąpię
Za osmalony guzik

Jestem BYTEM logicznym
Tajemnicą stworzenia

*Trzcina na wietrze
Trzcina myślącą
Wierzę w godzinę ostatnią
Pokorną nicość
I jasność nieznaną*

Jestem BYTEM
Przejściowym

2013 II 27

Cień

*„Nie bój się cieni. One świadczą o tym,
że gdzieś znajduje się słońce”
(Oscar Wilde)*

Wlecze się za tobą cień
Krok w krok myśl w myśl

On jak wewnętrzny *Smętek*
Wyciągnięty na światło dzienne
Z mroków obolałej duszy
Podąża za tobą jak Persefona
W każdą stronę świata

I nie zادهczesz go butami
Ni kijem nie przegonisz

On schowa się w tobie nocą
I zamieni w koszmarny sen

On będzie coraz dłuższy
I jeszcze boleśniejszy
Przed z a c h o d e m Słońca

Nie bój się własnego cienia
Gdyż nawet m a ł y człowiek
Może rzucać bardzo duży
Cień

Dopóki świeci słońce

Nie zakrywaj mi
Horyzontu jutra
Póki biegną ku mnie
Nieprzebyte drogi

I światło wędruje
Od oczu do oczu

Nie naciągaj w przedwieczór
Kurtyny wiecznej nocy
Dopóki gram tragifarsę
W twoim teatrze świata

Jeszcze nadzieja wybiega
Przed sceniczny szereg
I klaszczą widzowie na bis

Nie naciągaj na usta
Zastony milczenia
Póki ucieleśniam
Myśl
Zamiar
I Słowo

2011 IX 25/26

Moja i twoja samotność (czyli dialog z Thomasem Mertonem)

Napisałeś:
Nikt nie jest samotną wyspą
I to nas dzieli
Eremito Mertonie

Przecież to ja jestem
Tą samotną wyspą
O której nie mogłeś wiedzieć
Kreśląc swoje słowa

Jestem mikroskopijnym łędem
Na oceanie kosmosu
Świadomą częścią świata
Dryfującą jak gwiazda
Poprzez przestworza wieczności
Jestem kropelką oddechu
Mknącą jak ślizgacz
Po falach darowanego czasu
Twarzą pod prąd
Twarzą pod wiatr
Z rozpiętym żaglem
Że starczy mi samotności
By dopłynąć do Światła

Napisałeś:
„Nie ma wątpliwości – tylko wtedy
Jestem w pełni normalną osobą,

Gdy dostępna mi jest duża doza
Samotności”
I to nas łączy
Mistrzu Mertonie

2012.X.18

Władysława Szproch – poetka, malarka, rzeźbiarka, regionalistka (od lutego 2011 wiceprezes Kieleckiego Oddziału ZLP, a także wiceprezes Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich w Kielcach) podczas tegorocznego Święta Kielc otrzymała Nagrodę Prezydenta Miasta II st. za wybitne osiągnięcia twórcze i aktywną działalność na niwie kultury artystycznej.

W swym bogatym dorobku posiada tomy poetyckie: *Dotknęłam ciszy drzew* (1988), *Byłam na wrzosiwisku* (1992), *Sentymentalny niepokój* (1993), *Jeszcze nie jestem ciszą* (1993), *Grudki milczenia* (1994), *Usypywanie cienia* (1997), *Przylądek zielonego nieba* (1999), *Portret słowoczuły* (2000), *Przenikanie światów* (2002), *Wpisuję się w sen liścia* (2005), *Od batiara do Tatara. Ukraina w poezji i malarstwie* (2009), *Siódmy balkon światła* (2009), *Po tej stronie błękitu* (2011); zbiory fraszek i aforyzmów: *Fraszki igraszki* (1998), *Fraszko-dzieje i myślochwile* (2007); zbiory humoresek gwarowych *Prześmiewki Kundzi Jojko* (1996), *Kundzine sprośniki* (2011). Ponadto, oprócz wystaw indywidualnych malarstwa i rzeźby, uczestniczyła w wielu plastycznych wystawach zbiorowych. Współorganizowała liczne plenery plastyczne i literacko-plastyczne.

Serdecznie gratulujemy!



Prawo wyobraźni

Prestidigitatorze moich marzeń
Nie pozbawiaj mnie swoich sztuczek

Bo gdzie podzięję wybujałe już we mnie
[wyobraźni ziarna
Gdy rozpierzchną się gołębie z twojego cylindra

Widzimi się

Pozbawiłam cię ciała zmieniając w marzenia
Zależysz już tylko od mego widzimi się

Pojawiasz się i znikasz według mojej woli

I tylko w twym własnym rekwiem
Pozwalam ci być mistrzem ceremonii

Doświadczenia

Poddajesz próbie moją miłość sobie znanymi
[sposobami

I ślęczysz nad wynikiem badań

Ja cieszę się doświadczeniami



List spod płyty nagrobnej – Estonia, XVIII wiek

Dla Aarne Puu

Teraz, kiedy u wejścia do świątyni
Leżę pod granitową, wytartą już płytą
Z napisem: Podepcz mnie,
Bom prochem niegodnym tylko,
Mogę wyznać to, co wiedzieli wszyscy,
Choć wiedzieli nie wszystko:
Grzeszyłem. Och, z jaką zapalczywością grzeszyłem!
Nigdy nie brakowało mi sił
Do grzechu. Budziłem się o poranku,
Wspominałem z rozkoszą wczorajsze grzechy
I śpieszyłem do dzisiejszych. Obmywałem członki
Nieco zatęchłą wodą, odziewałem skórzane portki,
Koszulę z koronkami, kapotę czarną
Jak grzech pijaństwa, obżarstwa i rozpusty,
I biegłem do grzechu jak do źródła
Tryskającego spod skały.

Ester, moja przebiegła kochanka, napominała mnie:
Nie grzesz z innymi, twoje obfite nasienie
Zostaw we mnie. W alkowie
Sztwyne, szeleszczące prześcieradła czekają,
Byś położył mnie na nich. Nikt tak –
Mówiła Ester – nóg nie zadziera. Nikt
Tak nie będzie kręcił kuprem pod tobą.

Biedna, zarozumiała Ester. Biedna Emma,
Rudowłosa, piegowata, z płomieniem
Pomiędzy udami, biedne szlachcianki,
Chłopki, mieszczyki, karczmarki i dziewczki kuchenne.
Każdej się zdawało, że jest jedyna. Boże,
Żałuję za grzechy, choć prywatnie ci powiem:
Daj mi drugie życie. Dopiero wtedy
Pokażę, jak można nagrzeszyć.

Niskie jest niebo mojego kraju. Jesienią i zimą
Dzień ledwie się budzi, a już w sen zapada.
Co niedziela w tym kościele wielbny pastor
Kazał sprzed ołtarza: – Płomienie piekielne
Spalą cię, jawnogrzeszniku Martinie,
Pomyśl o swej duszy skazanej
Na wieczne potępienie! Ale dusza
Chichotała bezgłośnie. Spod spuszczonej głowy
Łowiłem zaciekawione i pełne obietnic
Spojrzenia kobiet. Połowę z nich miałem,
Połowę będę miał. Żadnej nie przepuszczę.

– Coś robił, Martinie, pod Grubą Margeritą
W piątek, w deszcz, trzynastego? – krzyczał pastor –
Powiem ci, coś robił! Grzmociłeś panią Teresę,
Zacną wdowę po oficerze. Czy po to
Pierś on nadstawiał za wiarę, żeby ona
Nadstawiała się tobie, plugawcze? Pastor
To szlachetny człowiek, ale on nie wiedział,

Że pod tą samą basztą ze środy na czwartek
Grzmociłem jego żonę. Wybacz, Panie Boże.

Za mało wtedy piłem. Trza było rzeźsiej
Popijać udziec cielęcy. Drobna kość, ta, która
Utkwiła mi w przetyku, spłynęłaby niżej.
A potem czkawka, womity, paralus
I żegnaj życie. I żegnajcie wszystkie
Nadobne wdowy, mężatki, dziewice,
Których nie przerąbałem. Dziś stąpacie po mnie
Leżącym pod granitem, tak jak przykazałem:
Należy się grzesznikowi taka sroga kara.

Majtki wynaleziono sześćdziesiąt lat później.

Письмо из-под надгробной плиты – Эстония, XVIII век

Для Аарне Пуу

«Теперь, когда у церковных ступеней
Лежу под гранитной плитой с полустёршейся
Надписью: Потопчи меня, ибо
Я – жалкий прах,
Я признаться могу в том, что, собственно было
[известно

Всем, однако, известно не всё.
Я грешил. Ох, с каким же я жаром грешил!
Мне всегда сил хватало с избытком
Для греха. Я вставал на рассвете,
Вспоминал с наслаждением о вчерашних грехах,
И к сегодняшним рвался. Умывшись
Чуть затхлой водой, облачался
В штаны из кожи, рубаху, обшитую кружевом,
И камзол такой чёрный, как грех
Пьянства, обжорства и прелюбодеяния.
И словно в источник, бьющий из-под скалы
В грех спешил окунуться.

Эстер, искуснейшая из любовниц, мне говорила:
– С другими ты не грехи, своё щедрое семя
Оставь для меня. И в алькове
Шелестящие простыни, жёсткие от крахмала,
Ждут наших тел. Ведь никто так,
– Говорила Эстер – ног задирать не умеет, никто
под тобою так биться не будет.

О, самонадеянность бедной Эстер!
О, бедная Эмма – рыжая, в мелких веснушках,
С огнём между бёдрами... Бедняжки дворянки,
Крестьянки, мещанки, трактирщицы,
[девки-служанки.

Любая себя единственною считала...
Мой Боже!

О грехах сожалею, но признаюсь Тебе по секрету:
Дай мне новую жизнь. Другую. И только тогда
Я покажу, как можно ещё нагрешить.

Низкое небо в краю моём. Осенью поздней, зимою
День, проснувшись едва, вскоре опять засыпает
По воскресеньям в храме наш пастор
Так обличал меня пред алтарём:
– Адский пламень

Тебя ждёт, явногрешник Мартин!
Подумай

о своей несчастной душе,
Осуждённой на вечные муки!

Однако душа
Безгласно хихикала. Скромно глаза опустив,
Украдкой ловил я женские взгляды –
Были они любопытны, полны обещаний.
Половина тех женщин была уж моей,
Половина же – будет.
Не пропущу ни одной.

Что же ты делал, Мартин, под Маргаритою Толстой
В пятницу, в дождь, тринадцатого? – пастор гремел.
Я скажу, что ты делал! Обмолачивал пани Терезу,
Вдову офицерскую честную. Ну, для того ли
Муж её грудь за веру подставил, чтобы теперь
Она под тебя подставлялась, паршивец!

Наш пастор
Был человек благородный, однако, не знал,
Что под той самой башней, но со среды на четверг
Обмолотил я супругу его.
Прости меня, Боже.
Пил я тогда слишком мало. Нужно было щедрее
Окорок мне запивать. Мелкая косточка, та что
В глотку воткнулась, быть может, спустилась
[бы ниже.

А так – икота, рвота, потом – паралич,
И – прощай, жизнь!
И – прощайте, прекрасные вдовы, дамы замужние,
А также девицы, которых ещё не испортил...
Ступайте по мне, под камнем лежащим,
Топчите меня, попирайте, как я завещал –
Уж такая положена грешнику строгая кара».

А панталоны, кстати,
придумали несколько позже.

Wiersze w języku polskim i rosyjskim z tomów autora:
Ostateczność (Kielce 2006) i *Wyczerpat' morie* (Moskwa-
Łódź 2012)



Sok z pomarańczy

– Udało się, udało, Czarku! – prawie krzyczałam z radości, aż zaczęli podejrzliwie przyglądać mi się spieszący przechodnie.

– Bardzo się cieszę, Izuniu – głos mojego męża był spokojny i zrównoważony. – Kiedy wracasz do domu?

– W Krakowie będę jutro wieczorem. Zadzwoń jeszcze do ciebie.

Żeby się chociaż naprawdę ucieszył – pomyślałam. Wiedział przecież, jak bardzo zależy mi na zdobyciu pieniędzy od sponsora na wydanie książki. Ale nic to, jak mawiała Baśka Wołodziejowska. Tanecznym krokiem ruszyłam dalej przez zatłoczone ulice Warszawy. Około dwunastej znalazłam się na placu Zamkowym. W majowym słońcu błyszczał pałac Królewski, uśmiechali się ludzie, kilkoro malarzy pracowało przy sztalugach.

Muszę podejrzeć, co malują. Zawsze fascynowało mnie malarstwo, ale niestety zabrakło talentu. Pisałam za to i niektórzy uważali nawet, że nieźle. Ja, jak prawie wszyscy twórcy, miewałam chwile wątplenia, ale dzisiaj byłam szczęśliwa. Będę mogła wydać mój najnowszy tomik poetycki *Kwiaty wędrowne*.

Moją uwagę przykuł smagły, czarnowłosy mężczyzna w ciemnym kapeluszu, pracujący przy sztaludze stojącej w pewnym oddaleniu od innych, tuż przy murze.

Skąd ja znam tego malarza? – nie mogłam sobie przypomnieć.

Uważnie patrzyłam na malowany przez niego obraz i tży wzruszenia wypełniły moje oczy. Nie malował architektury ani otaczającego pejzażu, tylko kwiaty.

– Kwiaty, jakie piękne – wyszeptalam cicho.

– Ty bella – powiedział.

– Izabella – spontanicznie wyciągnęłam rękę.

– Pablo – odpowiedział.

– Pablo Vicario?

Już wiem, skąd znam tego malarza – pomyślałam. Pół Warszawy oklejone było jego wizerunkiem i zaproszeniem na jednodniową wystawę obrazów tego znanego Hiszpana. Z uśmiechem skinął głową.

Chwilę trwało zanim znaleźliśmy język, w którym mogliśmy się porozumieć. Był to angielski. Pablo znał również co nieco język polski, jego babka była Polką.

– Popatrz – powiedziałam. – Ty malujesz kwiaty, a ja o nich piszę. Ty mieszkasz w Madrycie, a ja w Krakowie. Jakie to dziwne, że spotkaliśmy się, i to gdzie? W Warszawie.

– Zapraszam cię, Bella, na wino. Porozmawiamy.

Piliśmy jednak wodę mineralną i sok pomarańczowy. I rozmawialiśmy. Opowiadałam mu o swojej najnowszej książce. Trochę nieudolnie próbowałam przetłumaczyć mój tytułowy wiersz:

Różnobarwne płatki
zatrzymane na chwilę
w obrazach,
muzyce,
oddechach,
słowach.

Uwięzione w wazonach,
na tarasach,
łąkach
i ogrodach.

Kolorowe chwile
wyzwolone, niepokromione,
wzbijające się z ptakami
do podniebnych przestworzy,
dotykające delikatnie
pragnień,
zmysłów,
nieskromnych marzeń.

Pablo opowiadał o swoich podróżach, wystawach i pracy.

– Przepraszam, nie smakuje mi ten sok pomarańczowy.

Zapraszam cię do Barcelony, własnoręcznie przygotuję tobie sok z hiszpańskich pomarańczy. Znajdziesz się w niebie, gdy poczujesz jego smak. Mam też propozycję. Tak bardzo spodobał mi się twój wiersz, że chętnie użyję swoich obrazów do zilustrowania książki.

– Naprawdę? – byłam zaskoczona.

– Tak. Zapraszam cię do Barcelony, możesz przylecieć już za tydzień. W zasadzie mieszkam w Madrycie z żoną i córką, ale większą część roku spędzam i maluję w swojej pracowni w Barcelonie. Nie, nie martw się, jest tam również pokój gościnny – dodał widząc moją nieco zmartwioną minę. – To co, Bella, spotykamy się za tydzień w Barcelonie? Masz tu, proszę, moją wizytówkę, wszystkie informacje, klucz do pracowni. Muszę uciekać, za godzinę otwarcie wystawy. Jeżeli będziesz mogła przyjść, to zapraszam, a jeżeli nie – to do spotkania za tydzień.

Ucałował mnie serdecznie w obydwa policzki i już go nie było.

Byłam tak oszołomiona rozwojem sytuacji, że zamurowało mnie. Nic nie odpowiedziałam.

Za tydzień znalazłam się w Barcelonie. Zwiedziliśmy miasto, zachwycałam się jego urokiem, wszystkim, wszystkim – kościołami, placami, ludźmi i kwiatami, kwiatami wszechobecnymi w całej Barcelonie, i sokiem z hiszpańskich pomarańczy.

Po trzydniowym pobycie w Hiszpanii wróciłam do Polski, aby po następnych dwóch tygodniach znowu tam polecieć.

Mój drugi pobyt w Barcelonie był bardzo pracowity. Przygotowywałam z Pabłem ilustracje do książki. Znaleźliśmy też czas na zwiedzanie miasta, wieczorne wypadki na wino i tańce.

Pablo, tak jak obiecał, pił mnie sokiem z pomarańczy. Kochaliśmy się też niespiesznie i słodko.

Po czterech dniach wróciłam do Warszawy, by finalizować wydanie książki. Mój wydawca był zszokowany, kiedy pokazałam mu materiały do ilustracji.

– Chyba się pani w czepku urodziła, pani Izo! To będzie hit! Fantastyczne!

I rzeczywiście. Książka była piękna, rozchwytywana przez czytelników i zbieraczy. Na pewno przyczyniły się do tego ilustracje powstałe z obrazów Pabla.

Wysyłałam mu pisemne relacje ze wszystkich spotkań i promocji. Książkę miałam mu przywieźć osobiście. Pablo, jak zwykle, był zapracowany. Przesyłał mi małe karteczki ze wszystkich miast, w których przebywał. Były tam namalowane małe bukietki kwiatów, krótka treść: „Pozdrowienia z . . . (tu z miasta, w którym był). Pablo” i krótkie PS: „Zapraszam do Barcelony na sok z pomarańczy”. Tych karteczek było bardzo dużo: z Lizbony, Paryża, Marsylii, Florencji, Neapolu, Rzymu.

Po raz trzeci do Barcelony poleciałam po dwóch miesiącach od wydania książki.

Kiedy otworzyłam drzwi pracowni Pabla, podbiegła do mnie piękna młoda dziewczyna.

– Ja jestem Arancha, córka Pabla. Niestety, nie ma taty. Wyleciał wczoraj rano do Los Angeles, a właściwie do Hollywood. Wyobraź sobie, na pół roku. Zaangażował go jakiś amerykański reżyser do współpracy przy powstającym tam właśnie filmie historycznym. Tata nie miał nawet czasu, żeby cię zawiadomić. Chciał, żebyś pobyła trochę w Barcelonie. Ja niestety nie będę mogła ci towarzyszyć, czekają mnie w Madrycie praca i narzeczony. Też Pablo. Tata zostawił dla ciebie karteczkę. Proszę.

Arancha podała mi kartkę. „Droga przyjaciółko, niespodziewanie musiałem polecieć do Ameryki. Baw się i odpoczywaj w Barcelonie. Pozdrawiam, Pablo”. Było też PS: „Zapraszam do L.A. na sok z pomarańczy”. Tych karteczek było przez pół roku dużo, wysyłanych z różnych miast USA i zawsze z zaproszeniami do L.A. Nie skorzystałam jednak z zaproszeń. Nie miałam takich możliwości. Brak wizy i pieniędzy.

Pablo, po powrocie do Europy, przysłał mi jeszcze kilka kartek z pozdrowieniami. Nie było na nich jednak małego dopisku z zaproszeniem na sok z pomarańczy.

Ewa Maria Wojtasik

Radość posiadania

Wieczorem klatki okien
są oświetlone
Z daleka widać
jak mieszkańcy
potykają się o dorobek życia
Cieszą się, że kolejna rzecz
zabiera im powietrze

Siwa pani otworzyła okno
chce uciec
od radości posiadania
Za chwilę zaśnie
z nadzieją, że
odpłynie tam gdzie tylko
Cisza
i
Przestrzeń

* * *

Znalazłam Ciebie
jak ślepiec igłę w stogu siana
Pokłułam sobie palce
boli
więc – żyję

* * *

Wiersze są jak dzieci
rodzisz je w bólu
potem długo kształtujesz
a potem
całe życie boisz się
że ktoś wyrzuci je do kosza

Przebudzenie

budzę się i wiem

powstanę z łóżka
powstanę z łóżka
powstanę z łóżka

po tym zaklęciu
staje się cud
na dwóch nogach
ruszam w świat

A

gdy spotkam ciebie
toż to cud w tym labiryncie
jakby igła w stogu siana
spotkała swoją
nić

osnowa świata
doczekała się
odrodzenia

Nikt

urwała mi ramię
gdy chciałem ją pogłaskać
co ja kurna jestem
jakaś pieprzona Nike
majtam tym kikutem
a ona się śmieje
mam na nią ochotę
jak na kaszkę mannę

oddaje mi ramię
– czy to da się przyszyć?
odpowiadam
– drobiazg
dzisiaj wszystko da się
całego też człowieka
przeszyć, przenicować

Wspólny wiersz

usiądź przy mnie, przyjacielu
napiszmy jeden wspólny wiersz

nie wiesz o czym?

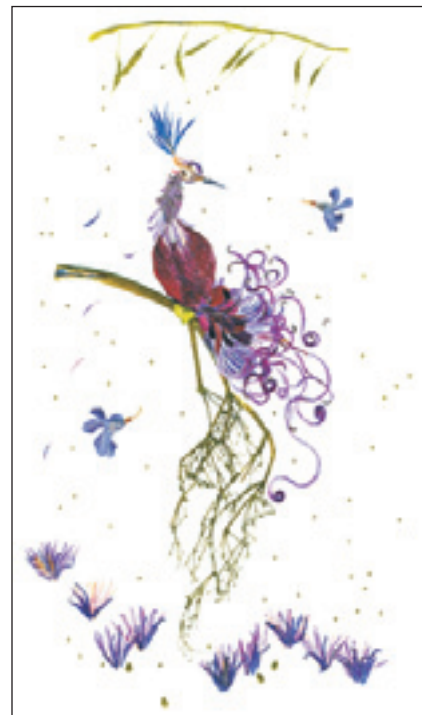
w tym jednym zgadzamy się
gdybyśmy znali nasz cel
zaczęłoby się budowanie np.
stołu, krzesła, lampy, pomarańczy, drutów
[kolczastych i ścieżek
prowadzących naprawdę donikąd

„naprawdę” to znaczy?

na lewo, na prawo, do przodu i do tyłu
byle wyrwać się z kolein i dyszlem
nie wybić oka temu, co się zbliża

tak?
tak!

potrzebne nam zbliżenie
matole, jeden wspólny wiersz
żeby usiedzieć się dało
wstać, chodzić nawet w kółko,
by mnożyły się przecinki jak króliki,
szatkowały przestrzeń
rozbiegły się z radosnym piskiem
na wszystkie strony naszego świata



Elżbieta Wodała: *Rajski ptak* – florotypia

Jan Zdzisław Brudnicki

Czas na słowo

Z początku miałem zamiar do tytułu wstawić słowo „ogrody”. Bo w tym tomie Ireny Stopierzyńskiej, który jest piątym zbiorem wierszy autorki, zatytułowanym *Pod łukami gotyckiej alei*, jest nastrój sugerujący, że w obrazie całościowym świata zostało coś z raj. Są odstony pór roku: na wsi i w mieście, choć w mieście zamiast ptaków popiskują komórki.

Na wiosnę maszerują społeczności kwiatów. Odbywa się misterium wskrzeszenia zieleni. Latem słucha się muzyki letniego deszczu, a zbratanie z nim odbywa się na spacerach w górskich dolinach, w czasie odpoczynku, gdy wykona się prace w ogrodzie i w OGRODZIE. Potem następuje jesienna ucieczka słońca, szaruga. By wreszcie zimą sięgnąć po stworzeń obcowanie w czasie dokarmiania ptaków, żeby dostrzec skrzydlatych psalmistów. No i wreszcie cezura Nowego Roku z jego spektaklem petard.

Ale poza obrazem ogrodu jest tu też przesłanie słowa dobytego z rozświetlających się myśli, a więc słowa przenikającego ciemności, co w środowisku ludzi z dysfunkcją wzroku ma swoje nacechowanie podobne do pojęć światła, oświecenia i tym podobnych. Tu chciałoby się krytykowi przypomnieć, że w literaturze od doby Oświecenia wyodrębniło się literaturę, która – mówiąc metaforycznie – nie zadowalała się instancją człowieka. I tę, której krąg ludzki wystarczał. Rousseau pozostawił aforyzm: Nie istnieje człowiek, który mógłby mi wystarczyć. I poeci romantyczni za nim zawołali: Ucztą jest życie, odnowić człowieka.

A drugi rodzaj pokory wobec świata, to być wiernym obserwatorem, rejestratorem, suflerem. Miron Białoszewski maksymalnie chował się za kulisami narracji. Był reporterem prywatnej gazety. Zbierał odrzuty codzienności. Słuchał rozmów. Cenił przekąźników. Docierał do pustki życiowej, do mowy ciała i fizjologii. Wyższa instancja zajmowała go tylko jako fenomen DRUGIEGO.

Zrobię może takie wyznanie, że w dotychczasowych tomach Ireny Stopierzyńskiej źle znośłem przejawy dydaktyzmu. W tym tomie wreszcie mi to nie przeszkadza. Wyższa, pozaludzka instancja została bowiem ujęta w formę poezji psalmów w sytuacji zmieniającego się szybko świata. Świat jest też księgą do czytania i to upragnioną księgą, jeżeli wzrok odmawia posłuszeństwa.

Metafora poetycka i metafora codzienności jest wglądem w sens świata. Bo mamy prawo cieszyć się piękną pogodą,

odbudowywać, co zostało stracone, dziękować za to, co minęło, biegać po górach...

bo ucztą jest życie
potem pójdziemy do Domu.

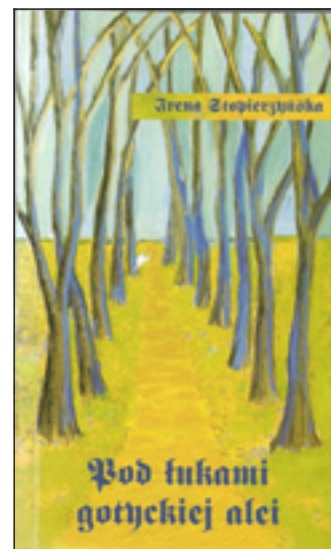
Ale wcześniej musimy odwołać się do wyższej instancji, żeby też się z życiem pogodzić. Długa jest litania powinności i zawodów, które trzeba przejść i przecierpieć. Trzeba się pogodzić ze stratą, porzuceniem, niespełnieniem, z uszczypliwością, przemijaniem złego i dobrego, zawiedzioną nadzieją, z cudzą pychą. Dla literatów zadanie specjalne: przeżyć

pomijanie przy literackim stole. Trudne to zadanie, pani Ireno. Nawet mamy jednego tego samego niemądrego paszkwilanta, który czepia się nas jak rzep psiego ogona. Godzić się z tym? Brrr. Chyba że w krajobrazie końcowych wierszy tomu, wśród świętowania świątków i flanerów. No to zaczniemy od początku:

kartka wyrwana z notesu
by zapisać coś ulotnego
dłoń powoli podnosi
filiżankę kawy do ust
namysł...
czas na słowo.

Jan Zdzisław Brudnicki

Irena Stopierzyńska, *Pod łukami gotyckiej alei*, ilustr. autorki, Warszawa 2012, Wyd. Komograf, s. 112.



Nurt franciszkański w poezji

Z zainteresowaniem przeczytałam książkę Ryszarda Kozieja *Modlitwa, zachwyt, pokora. Franciszkanizm w poezji Młodej Polski*, zwłaszcza że bliska jest mi twórczość Staffa i Kasprowicza, a więc tych, którzy miłośnikom poezji tego okresu najbardziej kojarzą się z literackim zjawiskiem, jakim był wymieniony w tytule franciszkanizm końca XIX i początków XX wieku.

To przecież Staff w roku 1910 przyswoił literaturze polskiej *Kwiatki świętego Franciszka z Asyżu*, którego osoba stała się tak niezwykle ważną dla wszystkich późniejszych nawiązań w literaturze i sztuce. Nawiązań jakże różnorodnych, bo odnoszących się i do samej postaci Biedaczyny z Asyżu, i do jego biografii, ale przede wszystkim do tego, co określa się, jak pisze Ryszard Koziej, mianem duchowości franciszkańskiej, a co wynika z głębokiej refleksji nad fenomenem życia i znaczeniem nauki św. Franciszka. Autor podkreśla przy tym, że o przynależności utworu do literackiego franciszkanizmu decyduje świadoma postawa twórcy przy interpretacji osoby Franciszka i jego idei, które przetrwały wykazując swoją ponadczasowość.

W tytule książki znalazły się trzy wyrazy: modlitwa, zachwyt, pokora – tak charakterystyczne dla tego właśnie nurtu – one są tu wyznacznikami postawy światopoglądowej i razem składają się na wspomnianą franciszkańską duchowość. Czytając *Pył z szat pielgrzyma* Staffa czy *Księgę ubogich* Kasprowicza odnajdujemy je wpisane w postawę podmiotu lirycznego, wyznaczające jego życiową drogę. Potrzeba pokory wobec drugiego człowieka, miłość do wszelkiego stworzenia rodzi potrzebę modlitwy, religijnego zjednoczenia się ze Stwórcą, odczuwania bliskości Boga w otaczającym nas świecie, jakże bogatym w dary natury ciągle budzącej zachwyt, ale i zdziwienie wobec kryjącej się w niej tajemnicy.

Czytelnik, który bliżej interesował się twórczością okresu Młodej Polski, znajdzie tu spory zasób wiedzy o epoce, ale przede wszystkim szerokie ujęcie nurtu franciszkańskiego w całej jego złożoności aż po współczesność. Książka, choć jest naukową dysertacją, co niekiedy może odstręczać czytelnika, w przypadku Ryszarda Kozie-

ja okazuje się lekturą napisaną językiem komunikatywnym. Dociekania i wywody są ciekawe, przejrzyste, budzące zainteresowanie. Erudycja idzie tu w parze z zaletami stylu i języka.

Książka ma jeszcze inny walor, a jest nim zwrócenie uwagi na poezję, która może nam pomóc w odnalezieniu swojego miejsca w świecie, swojej postawy wobec tego świata. Wymieniłam tu ów walor ze względu na głęboki, humanistyczny wydźwięk rozważań zawartych w tej dysertacji.

Wracając do tego, co jest treścią książki, a więc franciszkanizmu w poezji młodopolskiej, to każdy z jej rozdziałów jest sam dla siebie niejako „odrębnym” naukowym szkicem i zarazem częścią składową omawianego zagadnienia. Jeden z tych rozdziałów zainteresował mnie szczególnie – to *Franciszkanizm w poezji Leopolda Staffa*. Cieszę się, że mogłam, podążając za myślą R. Kozieja, widzieć autora *Gałęzi kwitnącej* w jeszcze nieco innej odstonie i jeszcze raz pochylić się nad tzw. staffizmem w najdoskonalszym rozumieniu tego słowa. Spośród tak wielu przytaczanych fragmentów wierszy, niekiedy i całych poetyckich utworów, wybrałam jeden, który uznałabym za istotny dla postawy franciszkańskiej, a także i Staffowskiego przesłania – jest nim afirmacja życia we wszystkich jego przejawach. To dwie tercyny z sonetu *Kamień i cierń*:

Kochaj cierń, co dolega, i kamień, co nuży.
Jakże ci słodki będzie kiedyś kres podróży!
Do końca swej pogodzie musimy być wierni.

Gdyby tu jeno radość była... jak inaczej
Mógłbyś zejść z drogi swojej nie klnąc w rozpacz,
Gdybyś nie miał kamienia swego i swych cieni?



Oprócz wymienionych tu przedstawicieli franciszkanizmu w poezji młodopolskiej R. Koziej ukazuje również innych jeszcze twórców z tym nurtem związanych, a mianowicie: Ludwika Marię Staffa, Bronisławę Ostrowską i Tadeusza Micińskiego. W zakończeniu autor podkreśla ciągle żywą i jakże dziś aktualną myśl franciszkańską – nieustanną inspirację dla twórców.

Mam nadzieję, że książka R. Kozieja trafi do rąk nauczycieli polonistów, studentów polonistyki, także i maturzystów, którzy lubią poezję i lubią też czytać o poezji.

Ryszard Koziej, *Modlitwa, zachwyt, pokora. Franciszkanizm w poezji Młodej Polski*, Ząbki 2013, Wyd. Apostolicum, s. 280.

Z dystansu czasu

Dziś nierzadko zdarza się, że debiutują też ludzie w wieku dojrzałym, a nawet przechodzący na emeryturę. I ciekawe jest to, że debiuty okazują się wartościowe dzięki temu, że mają oparcie w bogatym osobistym doświadczeniu, a w refleksji w wypracowanej już hierarchii wartości. Odnosi się wrażenie czytając, że ta twórczość jest nawet bardziej wiarygodna niż młodzieńcza wypytywająca zazwyczaj z samych uczuć, marzeń i ekscytacji. Bogactwo przeżyć daje szansę wypowiedzi treściowej nasyconej konkretem, podbudowanej zdobytą przez lata wiedzą.

I tak to jest w przypadku Kazimierza Ryka, kieleckiego poety związanego z pobliskim Radlinem, w którym ma swoje ulubione miejsce ładnie położone pośród ogrodowych drzew, sprzyjające pisaniu. Jest to też miejsce wspomnieniowych powrotów, rozmów z samym sobą o przeszłości. A przeszłość jest ciekawa, bo autor miał dłuższy życiowy epizod pracy za granicą (w Libii, Iraku, Iranie), także angażował się w naszym regionie w działania społeczne i gospodarcze.

Tematyka wierszy Kazimierza Ryka w tomiku *Oswojone miejsca* jest różnorodna, czemu też autor dał wyraz dzieląc zbiorek na kilka części o tytułach ją wyznaczających, jak np. dwie pierwsze: *Gniazdo*, *Najbliższym*. Pojawiają się utwory poświęcone wspomnieniom domu rodzinnego, dzieciństwa, młodości, a także tego, co w życiu najważniejsze – rodzinie. Pisane z dystansu czasu przynoszą obok ciepłych uczuć także refleksję o nieuchronnym przemijaniu wszystkiego z czym się człowiek związał, co ukochał, co mu było bliskie i drogie. Bezlitosny znak Kronosa wszędzie odciska swoje piętno. Podmiot liryczny zmagający się ze smugą cienia – widzimy to w dalszych

tematycznych częściach noszących jakże ciekawe tytuły: *Słyszę echo spadających kropli*, *Niech jeszcze idę*, *Tylko dla nas milczą brzozy i kamienie*.

Wyróżniłbym kilka motywów przewijających się w tych wierszach, jak np. motyw domu, ogrodu, kamienia, ciszy, przebytej drogi. Podmiot liryczny pełen zadumy nad zawilgością świata próbuje wyprowadzić wartości dla niego ważne, pozwalające na akceptację naszego istnienia mimo wpisanych w nie trosk i zmartwień. Poeta nieustannie szuka w tych już „oswojonych miejscach” siebie samego, niekiedy w „rozmowie z samotnością”, niekiedy w „milczeniu kamienia”.

Czytelnik podążając za wrażliwością autora odnajdzie w jego wierszach i swoje przeżycia czy doświadczenia. Estetyczne doznania wzbogacają ciekawe malarskie akwarele Mai Bieleckiej współgrające z treścią wierszy.

Kazimierz Ryk, *Oswojone miejsca*, Kielce 2013, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 107.



Dar wyobraźni

Na okładce tomiku wierszy Andrzeja Gnarowskiego piękna kobieta. Tytuł zbiorku krótki, ale jakże wymowny: *Ty...* Intrygujący wielokropek sugeruje jakąś nieskończoność znaczeń i myśli niedopowiedzianych, otwartych, a może takich jeszcze niemożliwych do wyrażenia, wrzuconych w zamkniętą tajemnicę tej, którą autor utrwalił w poetyckich frazach.

Ale myliłby się ten, kto by po tym wstępie uznał, że treścią książki będą wiersze miłosne w obiegowym znaczeniu. Dla podmiotu lirycznego postać kobiety, jej uroda, jej stała obecność są nieodzownym dopełnieniem dla wyrażenia swojego jednostkowego bytu wpisanego w odwieczny porządek świata. Czas zostaje tu jakby rozciągnięty, niekiedy po to, by powrócić do dawnych utrwalonych w pamięci obrazów. Czytelnik podąża za tym minionym, by za chwilę sięgnąć znacznie głębiej w ów czas, ujrzeć go raz przepływającym, raz nieruchomym i martwym (to rzeczywistość przepływa i toczy się swoim nurtem), raz czymś zawieszonym ponad epokami. „Czas zdaje się być nietykalny jak umarli” – pisze poeta, więc jakże tu wniknąć w jego istotę, zwłaszcza gdy „przeszłość już zapisana, a przyszłość nieznana”, ale... „pozostaje jeszcze cała nieskończoność”.

Każdy z utworów A. Gnarowskiego to fragment jego życiowej drogi znaczonej licznymi podróżami, jakiś kolejny przystanek, ważny etap w ciągłym poznawaniu siebie poprzez odczuwanie świata, zgłębianie jego tajemnic i kontemplowanie całej różnorodności zjawisk tworzących przecież harmonijną jedność. Albo może powiem inaczej – to niezwykle dar wyobraźni „stwarza” ów świat, bo pod piórem poety widzimy go takim, jakim chce go widzieć twórca. Raz jest to świat jakby z sennych marzeń, powleczony jeszcze mgłą, dopiero się wyłaniający, by rozwinąć się na naszych oczach, a raz świat realny, do którego nagle jesteśmy, jako czytelnicy, sprowadzeni. Wędrujemy z poetą poprzez wieki – z nami mitologiczne Kolchidy, biblijne bramy Raju, kolumna Trajana czy „słoneczny rydwan Heliosa miotającego ogniste pochodnie nad równiną Kampanii” i... Paryż, gdzie „Pola Elizejskie nocą wychodziły na brzeg rzeki”. I jakże wiele jeszcze miejsc wpisanych w ten niezwykle krajobraz łączący w sobie to, co dawne, z tym, co obecne, współczesne.

W każdym z wierszy zauważamy wielką umiejętność włączenia do poezji, skierowanej przecież do kobiety, całej gamy przeżyć, jakie płyną z obcowania z kulturowym dziedzictwem minionych epok. Podmiot liryczny może



wyrazić siebie w pełni tylko w związku z tym, co z tego dziedzictwa wchłonął, przemyślał, przetrwał w sobie, co go jako człowieka, jako humanistę tworzy i określa, co też towarzyszy mu w jego drodze. Tak jak towarzyszy mu ta, do której się zwraca i której urodę opisuje – ukochana kobieta.

Każdy wiersz istnieje dla siebie, ale dopiero całość tworzy poetycki zapis świadomie ułożony tak, by dany utwór był częścią całości, w niej się odnajdywał i uzasadniał. Jest to więc niejako poemat, w którym dwa tematy nierozdzielnie się łączą – pierwszy to miłość, drugi to refleksje nad ludzkim losem skażonym nieuchronnym przemijaniem. Oba tematy uniwersalne i jednakowo ważne. Postawiłabym między nimi znak równości, skoro autor pisze:

Chłonę ciebie. Nie możemy być bez nas – nami
W żadnym spojrzeniu w geście ręki (nie ma
mnie bez ciebie)

A może istnieje tylko jedna płaszczyzna, na której się wszystko rozgrywa – miłość? Czy z niej rodzi się to, co rozświetla i wzbogaca nasze życie?

Zbudujemy sobie świat z kilku dźwięków
Z koncertu Ravela na lewą rękę
Z pieśni drobnych włókien
Z obłoków szkła i aluminium
Z pajęczyny poranków
(mrocznego śródmieścia)

Czy takie marzenia, pragnienia potrafią się urzeczywistnić, czy człowiek jest zdolny przenieść

swą wielką miłość przez życie i wytrwać w niej do końca? Tak, jeśli w nim samym jest niezwykła siła uczucia i namiętności do tej jednej wybranej osoby, a przecież nie każdy posiada tę zdolność. Lektura wierszy Andrzeja Gnarowskiego pozwala wierzyć w to, co w człowieku lepsze, doskonalsze.

Liryka, zwłaszcza osobista, jest chyba tą sztuką pisania, w której poeta najbardziej się odsłania i pokazuje siebie. Istnieje wprawdzie tzw. podmiot liryczny, ale jakże często wiemy, że tym podmiotem jest sam twórca albo, inaczej mówiąc, on jest bohaterem swoich wierszy. Generalnie rzecz biorąc, dzieło literackie zawsze odsłoni autora, a poezja chyba najbardziej ukaże jego wrażliwość, stosunek do drugiego człowieka i do świata. Poprzez swoje dzieło autor staje nam się bliski. Tak jest w przypadku Gnarowskiego – myślę tu o moich własnych odczuciach i doznaniach. Ten tomik wierszy stał się dla mnie ciekawym literackim przeżyciem. Urzeka bogactwo języka, niezwykłość metafor, także surrealistyczna mgiełka rozpięta między snem a jawą, swoista symbolika czy impresjonistyczne fragmenty w opisie krajobrazów w szerokim znaczeniu tego słowa. Można zanurzyć się w tej poezji, ale trzeba ją chłonąć powoli, by nie zagubić się w warstwie jej znaczeń i myśli. Sądzę, że jest to poezja dla człowieka wrażliwego, ale

i przygotowanego do odbioru takich nie zawsze dość komunikatywnych wierszy. Ale w poezji nie wszystko musi być podane jak na dłoni. Poezja, podobnie jak sztuka, wymaga również intelektualnego wysiłku.

Wiersze A. Gnarowskiego ukazują także i tę starą prawdę, że język, słowo kryją w sobie tak wiele możliwości, jeśli znajdą się w zasięgu utalentowanego twórcy. Osobiście lubię śledzić ten ostateczny wynik twórczego procesu, gdy poeta ukazuje nam, co jeszcze można zrobić ze słowa, jak nim „rozporządzać”, by powołać do istnienia całkowicie nowe, odrębne światy.

Ciekawa jest w tym tomiku również i poezja w poezji – mam tu na myśli cytaty, aforyzmy, sentencje innych poetów (i nie tylko poetów) wplecione we własny utwór. Gnarowski robi to często. Wiersz opatruje mottem, które później w różny sposób funkcjonuje w wierszu, np. podkreślając przesłanie utworu. Ileż nazwisk wielkich twórców i zaczerpniętych z nich myśli możemy tu spotkać – w ten sposób mają oni ponowną szansę zaistnienia, a czytelnik odesłany do nich może odczuć ciągłość naszej kultury.

Andrzej Gnarowski, *Ty...*, Toruń 2012, Wydawnictwo Adam Marszałek, s. 109.

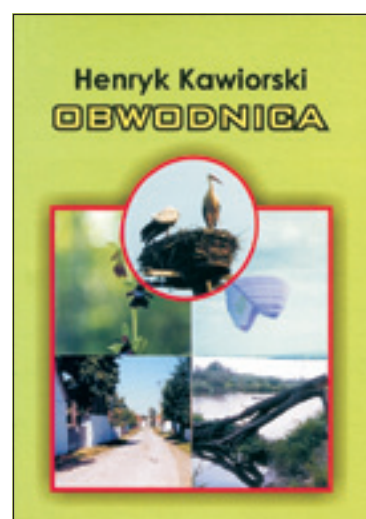
O prowincji z przymrużeniem oka

„Prawdziwe życie widać dopiero na prowincji” – napisał Henryk Kawiorski w powieści *Obwodnica*. Cytuję je, by podkreślić charakterystyczną dla autora i jego twórczości cechę – jest nią zainteresowanie tzw. Polską powiatową. Szukać jej nie trzeba daleko. Wystarczy zwrócić się do rodzinnych stron, miejsc, tych większych i tych mniejszych, które zaznaczyły się szczególnie w życiu twórcy i z którymi łączy go ścisły związek. Ziemia świętokrzyska, a zwłaszcza obszar zwany Ponidziem obecne są w tak wielu utworach H. Kawiorskiego, że autor poprzez tę trwającą od wielu lat fascynację wpisuje się w krąg znanych pisarzy rozmiłowanych w Kielecczyźnie, jak np. Józef Morton, Adolf Dygasiński czy Stefan Żeromski.

Ale chcę tu zwrócić uwagę przede wszystkim na to, że penetrowanie, przemierzanie wzdłuż i wszerz prowincji daje możliwość poznania praw-

dziwego życia – dopiero tutaj widzi się, czym naprawdę żyją ludzie, jaka jest ich mentalność, z jakimi problemami borykają się na co dzień.

Autor często łączy w swej twórczości dwie swoje pasje. Jedna to pasja dziennikarska, skłonność do widzenia świata oczami reportera, druga to pasja pisarska wymagająca budowania warstwy fikcyjnej tak istotnej dla powieści. Obie te pasje przenikają się nawzajem, dzięki czemu mamy w utworach



H. Kawiorskiego ciekawe fragmenty reporterskie włączone w zręcznie skomponowaną fabułę. To połączenie sprzyja twórcy – nie tylko, że urozmaica książkę, ale pozwala na pełniejsze, bardziej realistyczne odtworzenie życia prowincji, co jest chyba celem nadrzędnym.

Autor *Obwodnicy* patrzy na tę powiatową rzeczywistość jakby z przymrużeniem oka. Zna jej mechanizmy, wie, jak dalece utrwaliły się w świadomości ludzi prowincji, zwłaszcza tzw. miejscowych notablów, są nie do ruszenia, nie pomogą nawet ustrojowe przemiany, wprost przeciwnie, jeszcze bardziej wzmocnią sposoby na funkcjonowanie w tej swojskiej, już obłaskawionej przestrzeni.

W powieści widzimy, jak się toczy taki prowincjonalny świat, ale czy jego mikroskala nie jest odzwierciedleniem tego, co dzieje się na tzw. górze – mimo woli nasuwa się myśl, że tam dopiero muszą dziać się rzeczy straszne, ale o nich dowiadujemy się z mediów przy okazji jakiejś szerszej afery.

Autor uzbrojony w dystans, a także nienarzucający się czytelnikowi humor zaprawiony lekką ironią prowadzi nas jak dobry przewodnik po drogach i bezdrożach naszego polskiego życia. Dla tych, co znają kieleckie realia, śledzą je od wielu lat, książka H. Kawiorskiego może być nawet powieścią z kluczem, bo pośród tak wielu postaci ze świata dziennikarskiego, literackiego, także świata ludzi władzy odnajdzie znane sobie postacie albo przynajmniej jakieś cechy ich charakterów i osobowości.

Świetnie podpatrzone sceny, rozmowy, sytuacje, wydarzenia, chociaż zręcznie kamuflowa-

ne, ubrane niekiedy w fikcję dadzą się odczytać jako te, które mogły mieć miejsce, zdarzyć się naprawdę, a ich realizm nie ogranicza się tylko do wybranej przez twórcę przestrzeni – Ponidzia. Przez jego pryzmat widzimy naszą współczesną rzeczywistość – wszystkie jej mankamenty, za-wirowania, frustracje, niespełnione nadzieje. I widzimy nas samych – wygodnych, goniących za karierą, zadufanych w sobie, pragnących za wszelką cenę zaistnieć, podatnych na korupcję i na lep władzy. Można by mnożyć te nasze niedoskonałości i przywary, w *Obwodnicy* ich nie brak, ale na szczęście widzianych z dużą dawką humoru, tak że możemy przyjmować je w sposób żartobliwy, nawet zabawny, co łagodzi obraz naszej współczesności. Już same nazwiska pojawiających się postaci (prezes Stękała, redaktor Wywijas, powieściopisarz Piernik, poeta Brzdąkalik, starosta Kozibąk, dyrektorka MDK Skakalec) są śmieszne, a dodane do ich funkcji czy zawodów składają się na karykaturalny poniekąd wymiar kreowanej rzeczywistości.

Może okazać się, że opisane wydarzenia i sytuacje są nam w jakiś sposób znajome, a postacie bohaterów jakby wyjęte z naszego sąsiedztwa – takie refleksje nie dziwią, bo książka H. Kawiorskiego daje przecież pewien przekrój naszej rzeczywistości. Już sam jej tytuł i przewijający się w powieści wątek budowy obwodnicy odsyła do polskich realiów i jest też metaforą naszej niemożności, bezradności i stagnacji.

Henryk Kawiorski, *Obwodnica*, Kielce 2011, Wyd. Ponidzie Press, s. 180.

Promocja książki Anny Ginter w Jędrzejowie

W sali koncertowej jędrzejowskiego Muzeum Zegarów Słonecznych pewnego popołudnia zabrzmiał wiedeński fortepian (ulubiony instrument rodu Przypkowskich) i prócz jego dźwięków wypełniły przestrzeń słowa prozy i poezji. Prozy Anny Ginter, autorki dwóch książek (*Przytul mnie* i *Może potem pokochasz...*) i poezji ze współczesnej klasyki – Gałczyńskiego, Broniewskiego, Tuwima – w aktorskiej niemal interpretacji Piotra Macieja Przypkowskiego. I nie był to kontrast, a szczególnego rodzaju dopełnienie. Zaskoczenie słuchaczy pełne. Przez prawie dwie godziny

tęgo swoistego literacko-muzycznego spektaklu trwało skupienie przerywane od czasu do czasu brawami i nikt nie wyszedł, a byli i tacy, co żałowali, że to musiało się skończyć. Dawno nie widziałam tak udanej promocji, a i też prowadzącego ją Stanisława Nyczaja nie tylko jako komentatora, ale i pianisty. Jego fortepianowe interludia wiązały się z frazami prozy i poezji nadając rytm całości.

Fragmenty promowanej książki Anny Ginter *Może potem pokochasz* wydanej w tym roku zaprezentowała w ciekawy sposób Aleksandra

Bartosz. Zebrani mogli chociaż częściowo zapoznać się z tematem utworu, a są nim relacje rodzinne, niekiedy bardzo trudne, wymagające wiele wysiłku i dobrej woli, by wyprostować to, co oddaliło od siebie osoby najbliższe. Książka, choć oparta na osobistych przeżyciach i emocjach, ma warstwę fikcyjną, bo dzięki niej autorka mogła się swobodnie wypowiedzieć.

Ze słów Anny Ginter, także i fragmentów książki, wyłania się osoba skromna, kochająca literaturę, znajdująca w tym co tworzy ucieczkę od trudnej dla niej rzeczywistości, ale i satysfakcję, że mogła sprostać niełatwej przecież sztuce pisania. Mam nadzieję, że Anna, choć zaczęła pisać późno, czego, jak sama mówi, żałuje, ma w sobie na tyle twórczej pasji, by pokusić się o kontynuację tak ładnie rozpoczętej pisarskiej drogi.

Promocja w Jędrzejowie dowiodła, że w rodzinnym mieście autorki jest żywe zainteresowanie literaturą. Są też i osoby, które poprzez swoją działalność na polu kultury dbają o jak najlepszy wizerunek miasta o dużych tradycjach.



Anna Ginter, *Może potem pokochasz...*, Kielce 2013, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 111.



Promocja książki Anny Ginter w Muzeum im. Przypkowskich w Jędrzejowie (12.07.2013). Od lewej: Stanisław Nyczaj, Anna Ginter, Aleksandra Bartosz, Piotr Maciej Przypkowski
Fot. Janusz Bochenko

Artezyjskie studnie Andersena

„Miłość, nie rozum, ma słuszność.
Gdy odeszłe tak może trwać”.
(Szekspir)

Stefan Jurkowski jest poetą „z bożej łaski”. Może w ten sposób poeta, jako człowiek indywidualny realizuje sobą pewną koncepcję umysłu boskiego. Wiarę w możliwość odnalezienia z jej pomocą sakralnego wymiaru rzeczywistości i formy obcowania z tym wymiarem (poeta nie był nigdy przedelikacony – cokolwiek to znaczy). „Jak dotąd (wg S. Kowalika) psychologia behawioralna (behawioryzm – kierunek w psychologii, który głosił, że przedmiotem naukowych badań psychologicznych może być tylko dostrzegalne zachowanie się człowieka – nie zaś niedostępne dla obserwatora zjawisk psychologicznych np. świadomość) nie potrafi podać wskazówek odnośnie tego, jak zwiększyć przestrzeń pod krzywą Gaussa – ulubioną krzywą Boga – w której mogłoby pomieścić się coraz to więcej dobrych poetów”. (Gauss – niemiecki matematyk. W fizyce – jednostka indukcji magnetycznej, odpowiadająca natężeniu pola magnetycznego równemu 1 erstedowi).

„W ateizmie filozofów (czytamy u Sartre’a) w XVIII wieku usunięto pojęcie Boga, ale nie usunięto przekonania, że istota poprzedza jej egzystencję.” Czytamy dalej: „Jeżeli rzeczywiście egzystencja poprzedza istotę, nigdy nie będzie można się usprawiedliwić powoływaniem się na naturę ludzką. Inaczej mówiąc, nie istnieje determinizm, człowiek jest wolny, człowiek jest wolnością”. Natomiast Kant powiedział; że wolność pragnie samej siebie i wolności innych. Wolnością wyboru człowiek nadaje swojej działalności taki sens, jakiego nie mogłaby mieć bez niego.

A więc świat rodzi się na nowo każdego dnia – wolny i zawsze w nowym świetle – w magii słowa poetyckiego „i myśl wolna / zrzuca okowy mitu”, jego sile i energii w nim skupionej, ukazuje swą prawdziwą moc kryjącą głęboką treść, która budzi uczucia, ożywia umysł i rozpala wyobraźnię. Trwa przy rzeczach zwykłych i ludzkich – jest „zamysłem człowieka – / drobiną ledwie zaczętego planu / kroplą co ocieka po korze



bezczasu / kroplą co drąży / kroplą co obala / siebie: wszechświaty religie i trony”.

Miłość, nie rozum, ma słuszność. Spoglądając pod tym kątem na rozwój twórczości lirycznej Jurkowskiego stwierdzimy, że od początku towarzyszy jej ton niepokoju – obejmuje miejsca w ogólnym nurcie epoki – ale nie wszystko zostało już wypełnione i wypowiedziane:

jestem – i nie potrafię inaczej
stróż twoich uczuć śladów i adresów
choć nie anioł przecież i nie diabeł

ułam wyobraźni – stoję na widcie
wtedy grad padających dni na moją głowę
nie boli tak dotkliwie i przestają liczyć
uderzenia – które z nich ostatnie –

(Imperatyw)

Poeta usiłuje nadać formę rzeczywistości, której odrzucić nie jest w stanie – czerpiąc z niej swoje wzruszenia. Albert Camus powiada, że: „artysta zawsze trwa w tej dwuznaczności, nie może bowiem przekreślić rzeczywistości, a wciąż musi poddawać ją w wątpliwość: nigdy nie będzie pełna i zamknięta”.

Poezja Jurkowskiego jest dostępna i jednocześnie trudna. Dostępna dzięki pieśniowej prostocie wyrazu (jak utwory wielu wieków – jak pieśń ludowa przy powitaniu jaskółki, której strofy przetrwały ze starożytnej Grecji). Trudna, bo nieskończenie wycieniowana, prawdziwa, bez

żadnej sztampy, łatwizny – oczekująca człowieka-czytelnika, od którego wymaga doświadczenia.

W logice Condillac'a (twierdził, że myślimy za pomocą słów i że język jest prawdziwą metodą analityczną) słowa zachowują idee i przekazują ją. Już w starożytności (myślę o Demokrycie) dyskutowano prawdę słów i znaków. Taka propozycja skłaniała do naginania słów, żeby odpowiadały doświadczeniu. Stefan Jurkowski wierzy w słowo poetyckie, ale zapewne, jak każdy poeta, powątpiewa w jego wszechmoc, nawet w jego mistyczne możliwości. Wszystko co nas otacza możemy nazwać mitem – bo właściwością jego poezji jest ocalenie tego, co przemija „gwiazdy słońca osobne barwy i powietrza / pośród hien i szakali w potraskanym świecie”.

Poeta – to wielka tajemnica. Moris Siemaszko tak oto przedstawił poetę na łamach swojej powieści. W jakim stopniu odnosi się to do autora *Studni Andersena* (oczywiście z zachowaniem „tontes proportions gardees”)? „Nie... nieprawda, przecież on pisze, jak zawsze, piękne wiersze. Choć teraz pisze jakoś trudniej [...]. Coraz częściej nie szuka już tego słowa i pisze jakieś... zwyczajne. Może to starość.

Ale nie jest znów taki stary. A może... przeszkadza mu to, że rozumiał w końcu prostą mądrość życiową? Prędzej czy później każdy ją zaczyna rozumieć, nawet poeci...”.

Zdarza się, że wynurzenia najbardziej uduchowionych mistyków są podszyte intensywnym niemaskowanym sensualizmem (czyli wrażeniem zmysłowym). Alfred Łaszowski, którego grób w Pilicy odwiedzaliśmy wielokrotnie (wracając z Galicyjskich Jesieni Literackich), w 1935 roku ogłosił reportaż krytyczny. Wyszedł z założenia, że czytanie poezji jest „procesem spazmatycznym” (czyli mającym charakter ataku nerwowego).

Jurkowski chroni się w liryzm uroczy i delikatny. W wierszu *Rada* nie przekształca rzeczywistości w paraliżującą fantasmagorię – odpowiadał „zrządzeniem bogów jest abyś patrzył / czytał i po wszystkich stopniach / schodził w głąb [...] idź dalej gdzie nie sięga słowo / i błędnie całe dostojeństwo mitu”.

Warunkiem istnienia jest poznawalność świata (jak w wierszu *Teraz i zawsze*, kiedy „nieskończoność staje się / dla nas większą przestrzenią / którą zamieszkuje ktoś podobny do nas / tylko bardziej mądry i potężny”) za zgodnością jego praw i form stawania się i poznawania przestrze-

ni i czasu – postulatów nawet bardziej konkretnych, jak alternatywa materii lub energii. Rozumiem, że mógłby to być stopień odniesienia, który jest wyznacznikiem indywidualnych dróg poetyckich (poezji służebnej wobec własnych celów i przystawalnej do rzeczywistości, w której powstaje). Zwłaszcza że w jego osobistym przeżywaniu świata nie ma dróg prostych i jasnych:

przedzieram się ku skończoności
bo tylko ją czuję pod stopami
nie umiem pokonać tej szerokiej rzeki
doganiają mnie nazwy pojęcia i rzeczy
jakbym na nowo przeżywał to samo

(*Sprzeczności*)

Nie zapominajmy, że tak, zdawałoby się, oderwany od najbardziej ważkich albo modnych problemów współczesności – Jurkowski w istocie bardzo dobrze je rozumie. I to, że w życiu liczą się nie tylko sukcesy czy zaplanowane i wypełnione zadania, ale także dążenia i marzenia, które nie mogą się spełnić. Ta żywiołowa, ale też mająca wewnętrzne rygory liryka zmusza do rewizji pojęć poetyckich i podważenia utartych schematów. W poezji Jurkowskiego ujawnia się wrażliwość na krajobraz, który „dzieje” się wokół i który wyraźnie stanowi źródło fascynacji pięknem świata:

październik się zakorzenia
obejmuje powietrze drąży glebę
zagłusza drzewa i w ciało
wchodzi głęboko rozrasta się
[...]
a już widnokrąg milcząco się czai
– intruz co niszczy spokój wszelki –
i zabić go nie można
chyba wraz z samym sobą

(*Impresja jesienna*)

Wyobraźnia poety (jej spiętrzenie, które siłą mocy potrafi rozerwać dosłowność znaczeń – oddając samo poczucie mocy). Według Bachelarda poezja jest szczególnie zagęszczoną formą wyobraźni.

W klimacie jesieni – poeta „...miłośnik jesieni / która we mnie wzbiera” czytamy na stronie 89 – wiersz nosi tytuł *Jesiennie* (to dążenie do syntezy życia – takie wiersze jak: *Impresja jesienna*, *Artyści jesienni*, *Obrazek parkowy*. Nie ulega

dla mnie wątpliwości – co jest przyczyną takiego stanu rzeczy. Stara opozycja natura–cywilizacja znajduje w poezji Jurkowskiego odzwierciedlenie. W tym motto z wiersza Iwaszkiewicza – w którym słychać drzenie autentycznego niepokoju ludzkiego: „Plejady to gwiazdozbiór już październikowy”. Plejady – wszyscy wiemy – to gwiazd gromady – a przed nami „noc twierdzą wieczności”. Zdajemy się w tym przypadku na jej wielowymiarowość i tajemniczość. Niech fragment z *Alei przyjaciół* będzie dobrą pointą! „Jakaż tajemnicza siła jest w twórcy, który potrafi zamknąć w jednym rysunku biegnącą przez pole czasu chwilę i który – jeden tylko – potrafi powiedzieć tej chwili jak Faust Goethego pozostań, trwaj, jesteś tak piękna.”

Prawdziwym poetom czas nigdy nie niszczy wierszy. Tylko czasami – dziwnymi drogami chodzą słowa poety (jakby chciały, żeby świat urósł do rangi nadrealistycznej wizji) niedościgniony, wymykający się i nieuchwytny:

obsesja trwania i wyłączności
to co kochamy i czego nienawidzimy
co potrafimy i nie potrafimy nazwać
słowo się stale przepętnia
zmienia o sto osiemdziesiąt stopni
słowo na początku
słowo na końcu

(*Veni creator*)

„ze snu głębokiego jak studnie andersena” wypływa źródło fascynacji poety – owo dynamiczne współistnienie pamięci i teraźniejszości – niemal do wszystkiego – degeneruje sferę naszych estetycznych wyobrażeń. Studnie są zbyt cenne, aby je porzucić, jeśli się z nich czerpie. Artezyjskie studnie Andersena – głębokie otwory w ziemi obudowane stalowymi rurami – łączące powierzchnię ziemi z wodami...

Granica pomiędzy wyobraźnią a marzeniem w poezji Jurkowskiego jest wyraźna – to poprzez przeżycie żywiołów materialnych jest wywołane marzenie! „żadnych marzeń / wystrzegam się kłamliwych zwierciadeł” czytamy w wierszu *O marzeniach* – „czasu płynącego a jakby w bezruchu / własnej twarzy – mijam ją / niczym kogoś obcego” – jak martwe przedmioty, które milczeniem strzegą swojej tajemnicy. Można wyciągnąć wniosek moralny z tak przedstawionej sytuacji „absolutnie moralnej”. To są już

sekrety sztuki – która jakże często rozpuszcza powstające w nas – na skutek szoków – skrzepy psychiczne, jakich doznajemy w zetknięciu się z rzeczywistością:

krążę po mglistych widnokręgach
w znowu stygnącej zamieci
niczym w kosmicznym pyłe

(*Przez telefon*)

Poezja autora *Studni Andersena* jest wyrazem zmiennej prawdy, którą stworzyły pokolenia – jako problem jednostki wobec wieczności – spleciony z materią – czyli arcyłudzkimi tęsknotami, lękami i miłością...

Andrzej Gnarowski

Stefan Jurkowski, *Studnie Andersena*. Wydawnictwo Adam Marszałek Toruń 2012

PS. Na XXX? Międzynarodowym Listopadzie Poetyckim w Poznaniu (2012) Stefan Jurkowski za książkę *Studnie Andersena* otrzymał Nagrodę Literacką im. Witka Różańskiego, którą wręczyła wdowa po poecie Małgorzata Kasztelan-Różańska. Poeta nosi w klapie marynarki plaketkę-książkę ze szczerego złota. Gratulując stwierdzam, że poeta Stefan Jurkowski zdaje się być niewyczerpalnym źródłem siły twórczej – dążącej do „metafizycznego zwycięstwa”.



Kolaz Irenei Nyczaj

Poezja bez korozji (W 75-lecie urodzin Andrzeja Tchórzewskiego)

Andrzej Tchórzewski (ur. 1937) z racji daty urodzenia mógłby być przypisany do dwóch pokoleń literackich – do „Współczesności” oraz do „Orientacji”. Wielu bowiem poetów tego ostatniego pokolenia łączy zbliżona data urodzenia. Nie jest to zresztą ważne, ponieważ poezja Tchórzewskiego ma swoją własną, odrębną drogę – od początku aż do dzisiaj. Sam poeta powiedział o sobie: „...uważam się za niedogmatycznego kontynuatora pracy, którą rozpoczął nadrealizm francuski. I taką postawę starałem się zachować od książkowego debiutu w 1960 r. do tego pierwszego w moim życiu wyboru wierszy”. Chodzi tutaj o wybór *Chroniac oczy przed korozją* wydany z okazji obchodzonego właśnie jubileuszu 75. rocznicy urodzin poety.

Poezja Andrzeja Tchórzewskiego jest niezwykle konsekwentna. Ale nie dlatego, że poeta obrał sobie ową funkcję „kontynuatora”. Uprawiana przez niego poetyka związana jest ściśle z jego osobowością twórczą. W ten sposób potrafi on najlepiej opowiedzieć rzeczywistość, zastanawiać się nad kondycją człowieka, nad wielokulturowością ludzkich dziejów, zwłaszcza w kontekście metafizycznych, filozoficznych sensów. Od początku w poezji Tchórzewskiego refleksja intelektualna łączy się ściśle z poetyckim olśnieniem.

Wczesny Tchórzewski pozostawał pod niejakim wpływem poezji Józefa Czechowicza. Nie był jednak jego kontynuatorem ani epigonem. Jako młody poeta szukał swojego języka, własnej formy artystycznej wypowiedzi, i nie spoczął na laurach aż do dziś. Jest to poezja niezwykle dynamiczna, udoskonalająca się, ustawicznie zmierza ku czystości formy.

W tomie *Dłoń dotyku* wydanym w 1963 r. w Instytucie Wydawniczym Pax, możemy przeczytać jeden z najpiękniejszych, moim zdaniem, liryków, jakie powstały w poezji polskiej:

a miałem mówić
jak na drodze deszczu
bywa wzniesione pokrewieństwo chmury
a miałem milczeć
jeśli rzeka płynie
miałem przenosić wzgórza

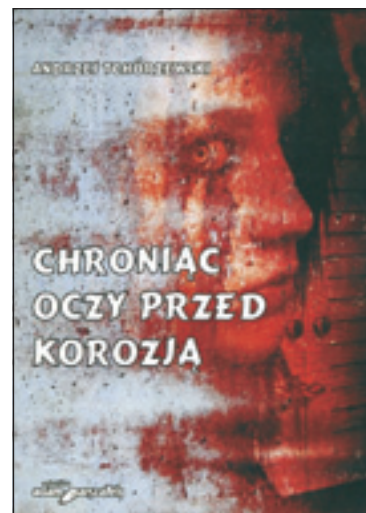
przez powietrze
a tylko twojej dotykałem ręki

Obrazowość, a jednocześnie nadrealistyczny klimat utworów Tchórzewskiego obecny jest w jego poezji od początku. Towarzyszy drodze uwalniania się od fascynacji Czechowiczem, od którego – jeśli tak można powiedzieć – przejął Tchórzewski świeżość, odkrywczość i celność metaforyki.

Rychło jednak w jego poezji pojawia się to, co dalej stymuluje odkrywczość jego wierszy, a co można w pewien sposób zdefiniować słowami samego poety: „Dana jest nam tylko władza wątpienia”.

Autor *Reportażu z Wieży Babel* uważa, iż nie można o rzeczywistości orzekać w sposób definitywny i jednoznaczny. Nie wolno też wypreparowywać jej z kontekstów kulturowych, z mitów, w które nie należy wierzyć dosłownie, ale które kształtowały, i jeszcze wciąż kształtują, mentalność i osobowość człowieka; które wreszcie wyprowadzają go ze stanu zwierzęcości. Tylko ta „zwierzęcość” jest tutaj formą degeneracji, nie zaś zatraceniem kontaktu z naturą, zacieraniem swoistych korzeni. Bo te korzenie naturalne są w życiu ludzkim konieczne i nie wolno się od nich odżegnywać, co powszechnie w swoim zadufaniu czynimy.

To twórcze zwątpienie, poddawanie wszystkiego intelektualnej i poetyckiej próbie jest ustawicznie obecne we wszystkich wierszach Andrzeja Tchórzewskiego. Jeden z ostatnio wydanych jego tomów nosi tytuł *Bóg-Mara-Sen*, co może najprościej kojarzyć się z przysłowiem



„sen mara, Bóg wiara”. I coś w tym jest, choć byłoby to skojarzenie dosyć trywialne. Dodajmy tylko, że Mara, to w hinduizmie bóg śmierci, w buddyzmie – zasada niewiedzy. Wiersze autora *Kroniki żywego dnia* w przeważającej części dotyczą ludzkiego poznania, jego niedoskonałości i chwiejności, i właśnie znaczenia mitu dla naszego oglądu świata. Mówią o ludzkim, nawet podświadomym, dążeniu do absolutu, do jakiejś rządzącej światem zasady harmonii; o dojmującym pragnieniu zrozumienia wszechrzeczy. Człowiek chciałby mieć wszystko usystematyzowane, niemal jednoznaczne, i tu właśnie tkwią początki wszelkich mitów, tendencje do wyjaśniania owej zasady świata poprzez dogmaty – bezpieczne, jednoznaczne, ostateczne.

Tymczasem rzeczywistość jest bardziej skomplikowana, wciąż zwodzi nasze instrumenty poznawcze na coraz to inne manowce. Chyba tylko poezja może zbliżyć się do Tajemnicy. Jednak Tchórzewski nie uważa owej Tajemnicy za sacrum, a poezji za panaceum na nasze wewnętrzne rozterki, nawet za klucz prowadzący do rozwiązania problemu. Sięgając do różnych filozofii, religii, literatur, poeta dochodzi do wniosku, że umysł ludzki nigdzie nie znajduje oparcia. Zawsze jest zawieszony w próżni, a owo sacrum jest względne. Nie można wierzyć żadnym systemom oraz językowi, za pomocą którego wyrażać chcemy to, co w gruncie rzeczy niewyrażalne. A zatem i świętym księgom wszystkich religii, w których Bóg i Mara wciąż się ze sobą pasują. I nie widać tam ostatecznego rozwiązania. Ale umysł ludzki także jest pełen paradoksów. Jeden z utworów Tchórzewskiego stanowi jakby klucz do jego poezji. Świadczy o stosunku autora do tworzywa, określa sytuację poety wobec opisywanego, a przede wszystkim analizowanego świata. Zacytujmy go w całości:

Ze skreśleń i domysłów każdy wiersz utkany,
a jego pajęczyna lśni na kroplach serca.
Otwiera się zaduma, zamykają rany
samotności, odwagi, herezji, bluźnierstwa.

Gdy nie odczuwasz pustki – mówią: coś istnieje,
kiedy nie znasz tęsknoty mówisz, że to szczęście.
Popiołem snów okryty patrzysz jak Pompeje
zza lawy, która stygła i dnia, jaki szczeźnie.

Jednakże ów brak dosłowności jest błogosławieństwem, ponieważ stwarza intelektualne

wyzwanie. Zawieszenie pomiędzy pragnieniem pewności a zagadką tajemnicy stanowi miarę naszego człowieczeństwa, a zarazem nędzy. Powie poeta:

Dobrze że prorocy
nie zostawili nam opisów Boga
ani szczegółowych planów jego ścieżek
Może ktoś zobaczyłby że bierze się z niego
A kto miałby odwagę siebie ukrzyżować

A poza tym – kim są prorocy? Takimi samymi ludźmi podlegającymi ułudzie, kulturowym uwarunkowaniom, mitom zakorzenionym nie tylko w naszej wyobraźni, ale i w całej podświadomości. A zatem mielibyśmy kolejne „kuglarskie sztuczki mistrzów”. Przecież taka jest kondycja człowieka, że od wieków:

Ciągle nie umiemy wejść do nieskończoności
i wrócić do siebie.

Jest to poezja gorzkich konstatacji, ale przecież nie obezwładniających. Tchórzewski nie mówi: nie warto się trudzić, bo i tak nie zrozumiemy wszystkiego. Przeciwnie: skomplikowanie świata i świadomość naszej niedoskonałości – z której bierze początek wielość różnorodnych interpretacji, filozofii, religii – stanowią kapitalne wyzwanie, nie pozwalają zastygnąć w bezruchu, poddawać się manipulacjom kapłanów, mędrców i poetów. Sensem życia jest więc ciągle dążenie na własną miarę do ostatecznego sensu, do wyzwolenia umysłu; a więc ustawiczny ruch. Przecież łatwo zaobserwować, że:

Upada przepych, złoto, moda,
teorie plazmy i przestrzeni.
Niewolnik razy panu odda,
głupcami staną się uczeni

Fakt, że najgłębsza istota świata istnieje dla nas za pewną zasłoną, wydaje się być niepojęta, zmienna, a przez to zupełnie przypadkowa, może być nowym złudzeniem. Nie znaczy to jednak, że tak jest na pewno. Nasze poznanie (jak również poetyckie konstatacje) nigdy nie jest ostateczne, może więc stanowić sumę kolejnych ułud, ale niekonwencjonalnych, własnych, odwołujących się do indywidualnej intuicji. I to stanowi jedną z głównych fascynacji poety. Zresztą prezentowane tutaj wiersze Tchórzewskiego to właśnie

artystyczny zapis owych fascynacji całą złożonością świata oraz skomplikowaniem wszystkich jego struktur. Niejednoznacznością zupełną, czyli absolutną, przekraczającą możliwości języka poezji i filozofii. Dlatego stać go na kolejne spojrzenie z innego punktu widzenia:

Lubię fizyczność i duchowość świata
Dwie piłęczki którymi Bóg zręcznie żongluje
uzyskując w nagrodę
świergot wróbli i krakanie wron

Jeśliby nie dopatrywać się w tym sarkazmu, cechy tak charakterystycznej dla poezji Tchorzewskiego, to można stwierdzić, iż poeta tym razem tłumaczy świat poprzez działanie Wielkiego Żonglera. Wydaje się jednak, że znowu jest to jedna z wersji osobistych, jego indywidualnych poetyckich interpretacji, na których zresztą nigdy nie poprzestaje. W innym wierszu poeta wyznaje wprost:

prawdziwy twórca wymyka się wnykom bogów

A słowo – jak powiada poeta „wbrew nazwie niczego nie stworzy”. Nawet pustka, nirwana, nie mają w sobie nic z ostateczności, pewności, wiedzy. Wciąż jesteśmy zawieszani pomiędzy domysłem a chęcią zwerbalizowania tego domysłu. Nie ma więc żadnych autorytetów, nie można wierzyć nikomu, a najpełniejsza wiedza o świecie

i jego mechanizmach zasadza się na osobistym doświadczeniu, innym dla każdego, dla każdego tak samo niepełnym i enigmatycznym. A z drugiej strony tkwi w człowieku potrzeba jednoznaczności i sprowadzania wszystkiego do wspólnego mianownika. I tej potrzebie – wydaje się mówić poeta – nie należy ulegać. Natomiast powinno się wiersze nasycać znaczeniami. W wierszu *Liryczna poprawność* autor powie:

Nie masz o czym To nie pisz
Nie schlebiaj nawykom wykupionym
z niewoli myśli lub języka

Żona mi mów
A wiem Że nie kłamie

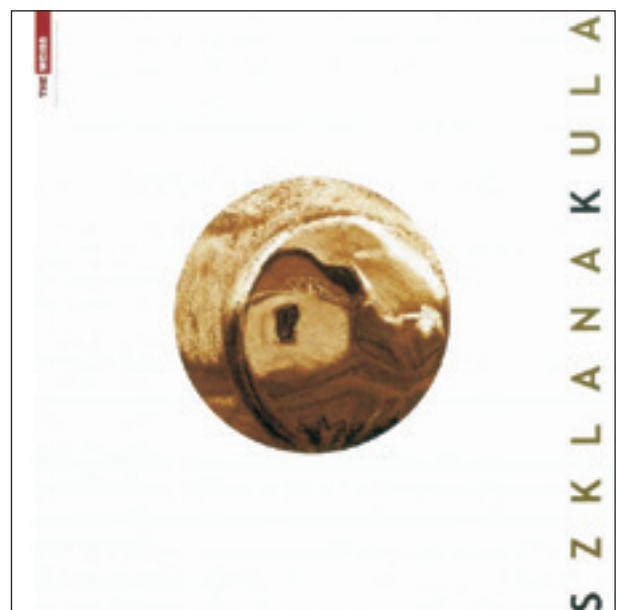
Nie mamy powodu nie wierzyć w prawdziwość żony ani dopatrywać się w tym złośliwości... Pozostaje stwierdzić jednak, że Tchorzewski zawsze ma o czym. Jego poezja, uniwersalizowana i ponadczasowa, odnosi się do tradycji filozoficznej i religijnej w jak najszerszym znaczeniu; do historii, do współczesności, a także do dalekiej przyszłości. Będzie też zawsze mogła stanowić asumpt dla ważnego intelektualnego dyskursu literackiego, filozoficznego w każdym miejscu i czasie.

Andrzej Tchorzewski, *Chroniąc oczy przed korozją*, Toruń 2012, Wydawnictwo Adam Marszałek, s. 240.

Dialog „pokrewnych dusz” ponad epokami

Kiedy już tak się zdarzy, że spotkają się dwie podobne osobowości twórcze, dwoje artystów o zbliżonej wrażliwości, to niezależnie od tego, jaką sztukę uprawiają, można zauważyć daleko idące pokrewieństwa. Nawet gdy należą do zupełnie innego pokolenia, nigdy się – z oczywistych względów – nie zetknęli.

Jedyną pośredniczką wielkiej fascynacji Krystyny Koneckiej malarstwem Wojciecha Weissa, ucznia Leona Wyczółkowskiego, jest sama sztuka. Przecież – można zaryzykować twierdzenie – sztuka jest jedna, różne są natomiast jej dziedziny, odmienne tworzywo, którym posługuje się artysta. I czy to będzie światło, barwa i kształt, dźwięk czy słowo, są one służebne wobec wyrażania najistotniejszych treści dotyczących zastanej rzeczy-



wistości, pokolenia, zagadnień egzystencjalnych. A więc tego, co z natury rzeczy jest uniwersalne.

Oto dwoje twórców: jeden z najwybitniejszych artystów malarzy Wojciech Weiss (1875-1950) i poetka współczesna średniego pokolenia, Krystyna Konecka, zafascynowana jego obrazami, ich osobliwym klimatem, nieuprawianą dziś młodopolską formą. A sama Konecka także posługuje się wierszem „niedzisiejszym”. Pisze mianowicie wyłącznie sonety (chyba jako jedyna w Polsce), w czym doszła do perfekcji. Czy to będzie sonet petrarkowski czy szekspirowski – zawsze jest precyzyjny i wierny wszelakim zasadom wersyfikacji. Cerna, bardzo oryginalna metaforyka, bogactwo figur stylistycznych dopełniają wartości. Zgodni w ocenie jej twórczości krytycy literatury podkreślają ponadto, iż osadzona jest ona w szerokim kontekście kulturowym.

I oto prezentowane tutaj sonety Koneckiej, inspirowane obrazami Weissa, w szczególny sposób swoją formą wpisują się w klimat tego malarstwa. Dzieje się tak zapewne dlatego, że twórczość Wojciecha Weissa, jak zresztą każda sztuka wielkiego formatu, zawiera elementy ponadczasowe, jest uniwersalna, mówi o sprawach ważnych i aktualnych w każdym czasie.

Również sonety Krystyny Koneckiej nie są pustą formą. Poetka udowodniła już wcześniej, że tego rodzaju wiersz nie jest zapisem archaicznym; że jest nośny dla najbardziej współczesnych treści przy zachowaniu wszystkich jego reguł. Na tym też polega cała wirtuozeria tych sonetów, które prowadzą swoisty artystyczny dialog z obrazami. Reagują na nastroje, stawiają te same pytania, komentują niekiedy bardzo subtelne drgnienie światła, wyraz twarzy, koloryt. Malarza i poetkę dzieli duża odległość pokoleniowa. Inny jest świat Koneckiej, inny Weissa. Dialog zaś polega na tym, że te wypowiedzi artystyczne się uzupełniają. Konecka nie opisuje obrazów. Ona stara się wejść niejako do wnętrza Weissowskiego świata; owszem, podziwiać go, ale i uzupełniać, sygnalizować nowe napięcia emocjonalne, podkreślać to, co wspólne, co w tym malarstwie jest nieprzemijające – jak nieprzemijająca jest forma sonetu dla wyrażania treści wszelakich.

Zauważmy, iż zarówno wiersze jak i obrazy są tutaj odrębnymi, samoistnymi dziełami sztuki. Sama inspiracja nie jest więc przedmiotem opisu; ona tylko uruchamia jakże bogatą wyobraźnię poetycką, wywołuje asocjacje, pomaga

kreować świat, a właściwie ukierunkowuje ową kreację. Jeśli poetka patrzy na *Pocałunek na trawie*, to siłą rzeczy – prócz konkretnych odniesień do owego źródła inspiracji – odnajduje w nim obszar uniwersalny.

Ma przed sobą dzieła artysty nieżyjącego od sześćdziesięciu kilku lat, i teraz w XXI wieku prowadzi z nimi ten osobliwy dialog; dialog o twórczości, przemijalności, emocjach. Ale jakże aktualny; posługujący się zdumiewająco świeżym językiem poetyckim. I okazuje się, że wielka sztuka nie ma barier. Porusza się bez żadnych paszportów.

A więc dziś, na początku drugiej dekady XXI wieku, poetka stojąc przed obrazami Wojciecha Weissa czuje się zarazem uczestniczką i mieszkanką jego rzeczywistości. Rzeczywistości z całym dobrodziejstwem inwentarza. Bo przecież te dwa światy, jej (to jest i nasz świat) oraz Wojciecha Weissa nie tylko istnieją równolegle, lecz się przenikają.

Obrazy Aneri Ireny Weissowej (1888-1981), utrzymane w tonacji, klimacie i nastrojach Weissowskich również urzekły silnie Krystynę Konecką, i na równi z tamtymi stały się impulsem do prowadzenia artystycznego dialogu. Patrząc na twórczość obojga Artystów, właściwie jest bardzo trudno na pierwszy rzut oka odróżnić dzieła Weissa i Aneri. Jest przecież ona jego wierną uczennicą. Dlatego obrazy samego Mistrza, jak i Uczennicy mają ze sobą tak wiele wspólnego. Bo i twórczość Aneri jest siłą rzeczy uniwersalna, czytelna do dziś, potrafi wzruszać, i równie świetnie koresponduje z sonetami Krystyny Koneckiej.

To „pokrewieństwo dusz” trojga twórców (Aneri, Weissa i Koneckiej) możemy z powodzeniem odnaleźć na kartach tej pięknej, wzruszającej książki – świadectwa artystycznego braterstwa, pomimo i na przekór czasowi.

Stefan Jurkowski

Skrót postowia do albumowego wydania pt. *Szklana kula*, zawierającego sonety Krystyny Koneckiej oraz obrazy Wojciecha Weissa i Aneri Ireny Weissowej, które dla tych sonetów – zaprezentowanych tu przykładowo w dziale *Twórczość* – stanowiły źródło inspiracji. Kraków 2013, Fundacja Muzeum Wojciecha Weissa, s. 108.

Specjalizująca się w sonecie – w tym w *sonetti a corona* – Krystyna Konecka (ur. w Dobiegniewie, zam. w Białymstoku), wydała w ostatniej dekadzie książki: *Ogrody Szekspira* (2003), album *Chwile i lata* (2006), *Biały kruk* (2007), *Izabelle, mon amour* (2010), *Listy dobiegniewskie* (2010).

Jak tłumaczyć

Przede mną leży książka. Przede mną, czyli między klawiaturą a monitorem. Na skanerze. Skaner, kiedy nie skanuje, jest rodzajem pulpitu, na którym kładę różne książki, notatki, wydruki i tym podobne rzeczy – leżą one tam dotąd, aż przestają być potrzebne, albo dotąd, kiedy przypominę sobie, że leżą tam zupełnie niepotrzebnie lub że leżenie na podwyższeniu już im się nie należy względnie nie należało wcale.

Ta książka zapewne poleży tu dosyć długo, aczkolwiek próba bardziej precyzyjnego określenia tego okresu mija się zupełnie z celem. Jest otwarta na trzydziestej stronie, a ma tych stron dziewięćset dwadzieścia pięć. Strony są rozmiaru bardzo zbliżonego do formatu A5, czyli chyba najpopularniejszego formatu, w jakim drukuje się książki, niestety czcionka jest raczej mała, interlinia wąska, żadnych standardowych dialogów, co sprawia, że tekst jest gęsto upakowany. Jest go zatem dużo więcej niż w wielu innych książkach tych samych rozmiarów, chociaż ponaddziewięćsetstronicowych powieści nie ma znowu tak wiele. Na szczęście bloki tekstu są rozbite na standardowe akapity, zaś po każdej kropce występuje podwójna spacja, co nas tutaj może trochę zaskakiwać, zresztą przyjemnie, więc nie protestujemy ani my, ani nasze oczy. Stąd się wzięły te nietypowe spacje, że ta książka, będąca pierwszym brytyjskim wydaniem z 1968 roku, jest reprintem oryginalnego wydania paryskiego z 1925 roku powieści napisanej przez Gertrudę Stein w latach 1905-1908.

Kupiłem tę książkę w Londynie prawie trzydzieści lat temu za prawie dziesięć funtów. Szaleństwo! Dziesięć funtów w tamtych czasach! Ech, nie takie znowu szaleństwo. Nie było łatwo znaleźć tę książkę. Te, na które w końcu udało mi się trafić w jakimś szacownym antykwariacie – nie pomnę już, na jakiej ulicy, nie pomnę też tytułów – pomnę tylko, że opasłe nie były, miały ceny przyporządkowane o zawrót głowy (i nawet dzisiaj robiłyby wrażenie, choć zapewne znacznie mniejsze), jak przystało na egzemplarze z pierwszych wydań. Więc dziesięć funtów za opasły wolumen w twardej oprawie, wygrzebany na drugim piętrze ogromnej księgarni, wydawało się

wręcz jakimś niedopatrzaniem, pomyłką, z której należało natychmiast skorzystać. I skorzystałem. Zapłaciłem i od razu opuściłem księgarnię.

Tak oto stałem się posiadaczem niezwyklej opowieści o powstawaniu Amerykanów. *The Making of Americans*. Czyli „historii rozwoju pewnej rodziny”. Dzieła raczej mało znanego, a w Polsce w ogóle, lecz bardzo ważnego. Nie wszystko, co znane, jest ważne. Bywają dzieła bardzo znane i bardzo nieważne. Zdarzają się też dzieła ważne i znane. Oczywiście, że tak. Tak jak zdarzają się dzieła nieważne i nieznanne. Wszystkie możliwe warianty się zdarzają. Tak to już jest i nic na to poradzić się nie da. Gertruda Stein jest znana umiarkowanie. Ale i tak ona, jako ona, jest daleko lepiej znana, niż to co stworzyła. Najbardziej znane jest jedno zdanie: „róża jest różą jest różą jest różą”. Nie wiem, czy dobrze zacytowałem – nigdy nie pamiętam, ile jest tych róż. To, że jakieś dzieło jest ważne, a nawet bardzo ważne i jest nieznanne, wcale nie jest sprzecznością. Nie jest też sprzecznością to, że dzieło nieznanne szerszej publiczności, a znane tylko bardzo wąskiej publiczności, jest określane jako przełomowe, jako kamień milowy albo jeszcze jakoś w tym rodzaju. Kto ma je znać, ten je zna. Kto ma o nim wiedzieć, ten wie. Dzieło raz wprowadzone w przestrzeń intelektualną świata zostaje w niej, krąży po niej i prowadzi swą przełomową działalność, przełomowo oddziałuje na kogo się tylko da, a na kogo się nie da, na tego nie oddziałuje. I nie sposób już go stamtąd, z tej przestrzeni usunąć.

Wróciłem do domu i zabrałem się do czytania. Czytałem długo. Nie tylko dlatego, że nie czytałem szybko. Nie mam tu na myśli tak zwanego „szybkiego czytania”, które do czytania literatury pięknej w ogóle się nie nadaje. Jakże bowiem podziwiać krajobraz, gdy pędzimy trzysta kilometrów na godzinę i wszystko wokół zamienia się w burą smugę, rozmazuje, rozlewa niczym tusze na mokrym papierze. Czytanie *The Makings of Americans* jako żywo przypominało słuchanie muzyki, a muzyki nie da się słuchać szybko, niezależnie od tempa, w jakim jest grana. I to pewnej szczególnej muzyki. Muzyki pochodzącej z dawnej Rodezji, a obecnego Zimbabwe i zwa-

nej *Shona mbira*. Mbira to niewielkie drewniane pudełko – prostokątne lub trapezowate – do którego przymocowanych jest kilkanaście drucików lub blaszek. Opierają się one o rodzaj progu i są lekko wywinięte do góry. Pudełko trzymamy oburącz, a kciukami szarpiemy za blaszki. Z reguły grane są motywy ostatowe i ich wariacje, o niewielkiej rozpiętości interwałowej, bo skala instrumentu jest dosyć ograniczona. Z reguły gra kilku mbirzystów, a wtedy ich ostatna i wariacje splatają się i rozplatają, polirytmicznie i polimetrycznie, szemrzą niczym woda wartko płynąca po kamieniach, brzęczą jak rozgrzana łąka. Na to nakłada się głos, co ni to śpiewa, ni to opowiada, zawodzi, narzeka, gaworzy, już to szepcze, już to wydziera się, raz radośnie, raz płacziwie. A pod to wszystko jeszcze podkłada się grzechotka szurająco-szeleszcząca koślawo-triolowo. Tak to przynajmniej brzmiało na płycie, której często wtedy słuchałem. Po jednym utworze na stronie, w sumie czterdzieści kilka minut nigdy nie kończącej się muzyki. Czułem się jak korek dryfujący po oceanie. I tak było z czytaniem *Amerikanów*. Zdania ostatowe i wariacyjne. Polimetryczne. Polirytmiczne. Splatające się i rozplatające. Rozciągane, wydłużane, rozplaszczane, rozwałkowane, zwijane, rozwijane... Dryfowałem po tym oceanie zdań. Zanurzałem się, tonąłem, wynurzałem, unosiłem na brzuchu, na plecach, przymykałem oczy, zasypiałem, zachłystywałem się słono-słodką wodą, budziłem. Fale kołysały mnie lekko, leciutko... Żadnej książki nie czytałem w ten sposób, a przecież czytałem ich wiele. Żadna książka nie była napisana w taki sposób, jak właśnie ta.

To były piękne czasy, kiedy konsumowałem nieporównanie więcej niż produkowałem. Teraz czasy też są piękne, aczkolwiek produkuję nieporównanie więcej niż konsumuję. Problemem naszych czasów wcale nie jest konsumpcja, jak wszyscy wokół twierdzą, lecz produkcja. Produkujemy jak szaleni i domagamy się, żeby ta produkcja została skonsumowana po to byśmy mogli produkować dalej. Ja niestety też produkuję. Pocieszam się myślą, że to co produkuję, jest trudne do skonsumowania, czasami wręcz niekonsumowalne, więc szaleństwa konsumpcji specjalnie nie napędzam. Bardzo mocno jednak przyczyniam się do szaleństwa produkcji. Oczywiście, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym przestał produkować. Lecz mnie się wydaje, że stoi

i ciągle do tych miliardów, bilionów istniejących książek dorzucam nowe.

No więc w tamtych pięknych czasach, nie chcąc pozostawać w szponach konsumpcjonizmu, jak też powodowany niezwykłością czytelniczych doznań, postanowiłem wpaść w szpony produkcji i zacząłem tłumaczyć *Powstawanie Amerykanów*. Jednak z przyczyn, których zupełnie nie pamiętam, utknąłem gdzieś w okolicach dwudziestej, a może osiemnastej strony i książka powędrowała na półkę obok dwóch innych książek Gertrudy: wcześniejszej, znacznie prostszej, *Three Lives* (Trzy żywoty) i późniejszej, nieporównanie bardziej skomplikowanej, *How to Write* (Jak pisać). A teraz, po tylu latach, znowu leży przede mną. Co się stało?

Otóż, zacząłem znowu ćwiczyć na pianinie gamy. Przez kilkanaście lat nic nie grałem, a teraz gram. Nie, nie gamy – skale. To różnica. Każda gama jest skalą, nie każda skala jest gamą. Gamy są skalami siedmiodźwiękowymi, a ja gram także skale ośmio-, sześć-, pięcio- i czterodźwiękowe, jak również dziewięcio-, dziesięcio-, jedenasto- i dwunastodźwiękowe. Najprzeróżniejsze skale sobie gram. Układałem sobie taką skalę (usuwając jakieś dźwięki z pełnej chromatyki), ogrywałem ją w rozmaitych układach zbieżnie, rozbieżnie, w różnych odległościach, ale nie wiadomo kiedy, z reguły szybko, odrzucam dyscyplinę i pozwalam palcom swobodnie spacerować po klawiszach, gonić się, skakać, kroczyć majestatycznie, truchtać, potykać się – wszystko mogą robić, nie wolno im tylko grać dźwięków spoza skali. A jeśli im się zdarzy to zrobić, to wcale ich nie karcę. Nie obcinam ani nie wyłamuję. Pięknie mi się tak gra. Ćwicz. Gra? Ani to ćwiczenie, ani to granie. Bo nie myślę o żadnym koncercie, niczego nie komponuję, nie staram się zapamiętać tego, co zagrałem. Jeśli o czymś wtedy rozmyślałem, to o nowej książce, bo to ona skłoniła mnie, wręcz zmusiła, bym otworzył kłapę wielkiego czarnego pianina, wszak ma być właśnie o tym... Ot, wyprowadzam palce na spacer po klawiaturze. Tak jak czasami wyprowadzam nogi na spacer po łące, po lesie. Pięknie jest. Ani nie konsumuję, ani nie produkuję. Zawieszony jestem gdzieś pomiędzy. Tak się czuję, jakbym położył się na wodzie na środku jeziora w upalny, duszny dzień. Wokół chromatyczny chlupot... Tak się poczułem, jakbym znowu zaczął czytać *Powstawanie Amerykanów* czyli historię rozwoju pewnej rodziny.

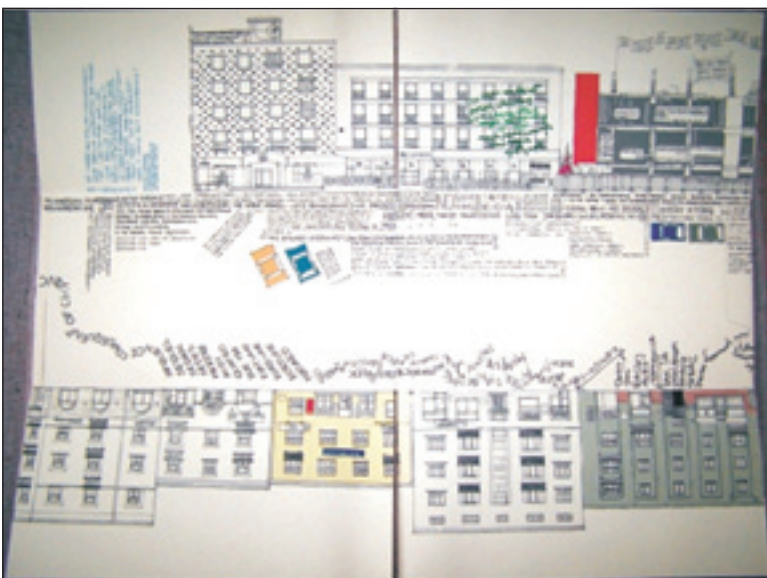
Zdjąłem więc książkę z półki i otworzyłem ją. Otworzyłem wielką białą książkę. Lecz nie zacząłem jej ponownie czytać. Zacząłem kontynuować jej tłumaczenie.

O czym opowiada ta książka? Dokładnie o tym, o czym mówi tytuł. O tym samym, o czym opowiadają tysiące innych książek noszących inne tytuły. O zupełnie banalnych historiach, które wydają się absolutnie oryginalne i jedyne w swoim rodzaju, choć są tylko niekończącymi się wariacjami na ten sam temat, nieustannym ćwiczeniem gam i pasaży – nie, nie gam, lecz skal, w większości ani durowych, ani molowych. Nie jest ważne, o czym ta książka opowiada – ważne jest to, jak o tym opowiada. I dopiero to JAK przekazuje nam istotę sprawy: że życie codzienne jest nieustannym rzępoleniem gam i pasaży – nie, nie gam i pasaży, lecz skal. Różnorodnych skal, ich niezliczonych wariantów i jeszcze bardziej niezliczonych wariacji, jakie można budować z dźwięków składających się na te skale. Koncerty gramy rzadko, a jeśli już, to trwają one krótko. Nie ma niekończących się koncertów. Jest tylko niekończące się przygotowywanie do ewentualnych koncertów. Nieustanne ćwiczenie. Nawet nie ćwiczenie – ot, takie tam sobie granie gam. I skal. Rzępolenie i pitolenie. Najprzeróżniejszych skal, choć ciągle tych samych. Wszak mamy do dyspozycji tylko osiemdziesiąt kilka klawiszy.

No więc leży ta książka znowu przede mną i znowu ją tłumaczę. Tłumaczę ją sobie. Tak sobie tłumaczę, jak sobie gram i ćwiczę wszystkie możliwe skale, które mogę ułożyć z osiemdziesięciu pięciu klawiszy mojego starego pianina. Tłumaczę bez zobowiązań. Pięknie mi się tłu-

maczy. Powolutku. Raz jeden akapit. Raz dwa. Raz nic. Długo będzie mi się tłumaczyło. Oj długo. Bo jeśli na stronie jest średnio ze cztery akapity, a stron mi zostało nieomal dziewięćset, to znaczy, że mam przed sobą jakieś trzy tysiące sześćset akapitów. Zatem prawie dziesięć lat. Lecz po co się spieszyć? Po co gnać? Po co szukać wydawcy, który opublikowałby to monstrualne dzieło obejmujące ponad sześćdziesiąt arkuszy wydawniczych, w którym absolutnie nic się nie dzieje, które jest nudne jak pustynia – piaszczysta, śnieżna, wodna – obojętne, w którym nie ma żadnej sensacji poza tym, że ono samo w sobie jest sensacją. Kogóż jednak by taka niesensacyjna sensacja obchodziła? No więc nie przejmuję się tym i sobie tłumaczę. Właściwie bezproblemowo. Słowa proste. Sytuacje proste. Konteksty proste. Wszystko proste. Tylko to zdanie nieproste o nieposkładanej składni. Te zdania jak fugi. Jak wariacje na temat fug... Rozwiązać skomplikowane kalambury słowne da się, choć nie bywa to łatwe. Rozszyfrować wyrafinowane metafory też można. Nawet z najbardziej labiryntowych kontekstów też jest wyjście. Jeśli brakuje słów, można tworzyć i wymyślać nowe. Lecz składnia zupełnie obezwładnia. A w szczególności złożona i świadomie nieskładna. Jaka szkoda, że po napisaniu książki *Jak pisać* Gertruda Stein nie napisała książki *Jak tłumaczyć*. Och, doprawdy, nie ma czego żałować – musiałbym wtedy napisać książkę *Jak tłumaczyć jak tłumaczyć*. Lepiej chyba pograć sobie różne dziwne i dziwaczne skale, nawet tak obrzydliwe jak tetratonika H A G Gis.

Radosław Nowakowski



Jedna ze stron książki Radosława Nowakowskiego
Ulica Sienkiewicza w Kielcach
Fot. Radosław Nowakowski/Liberatorium

Przeniknąć błękit

Nie wiem, jakimi kryteriami kieruje się Natura przy obdzielaniu ludzi zdolnościami, łatwo jednak zauważyć, że jednych nimi obsypuje, a innych pomija. A może ci poszkodowani po prostu nie potrafili ich w sobie odnaleźć i rozwinąć? Wszak to, co dane, to jedynie ziarno, które na nieuprawianym polu nie ma szans nawet wykiełkować. A jeśli mu się to przypadkiem uda i tak prędzej czy później zginie.

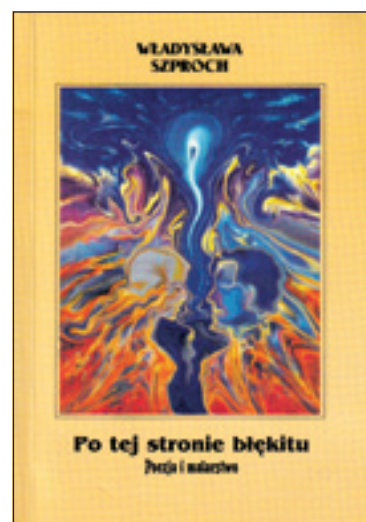
Ile więc wysiłku trzeba, by tak jak Władysława Szproch, stać się poetką, satyrykiem, krytykiem literackim, malarką, rzeźbiarką, animatorką życia kulturalnego, pełnić funkcję wiceprezesa ZLP Oddziału w Kielcach i Stowarzyszenia Artystów Plastyków Świętokrzyskich? Ile talentu i pracy wymaga napisanie i wydanie szesnastu książek? Co trzeba zrobić, aby zasłużyć na Brązowy i Srebrny Krzyż Zasługi, odznakę Zasłużonego Działacza Kultury, statuetkę „Nike Świętokrzyska”, Brązowy Medal: Gloria Artis oraz Świętokrzyską Nagrodę Kultury? I osiągnąć to na przekór wykształceniu. Po uzyskaniu w Politechnice Świętokrzyskiej tytułu inżyniera elektrotechnika poetka ta pracowała bowiem m.in. w „Elektromontażu” oraz w Przedsiębiorstwie Budownictwa Kolejowego w Kielcach. Potem stała się nauczycielką. Jak godziła to z pasją tworzenia? Wszak trzeba było jeszcze być mamą, wychować i wypuścić w świat córkę, co jest zajęciem nie mniej czasochłonnym, niż praca i tworzenie. Jak się okazuje, wszystko udało się jej pogodzić. Po przejściu na emeryturę już bez codziennego zabiegania przygląda się sobie i światu, gromadząc doznania, które po zanurzeniu w błękitach jej wyobraźni wypływają na światło dzienne w formie piękna zaklętego w słowo, rysunek, obraz albo rzeźbę.

Najnowszy jej tomik *Po tej stronie błękitu* jest tego doskonałym przykładem. Spróbujmy więc przeniknąć ten błękit, choć nie jest to zadanie łatwe, bo jak zgłębić tajemnicę psychiki, dać się porwać cudzym myślom i wyobraźni skoro własna jest niewiadomą? Tym bardziej jeśli ma się do czynienia z kimś, kto w wierszu *Anty-symbioza* wyznaje „Oto ja/ W jednym ciele / Przyjaciel i wróg / Czart i anioł / Pokój i wojna / Początek i koniec [...] Współcześnie – średniowieczny /

Żart albo chichot losu / Żywy stygmat / Wczorajszego / Wiersza”.

Jak widać, poetka ma świadomość swej skomplikowanej natury, nie przytłacza jej to jednak, lecz stara się wydobyć z siebie to, co najlepsze i przetworzyć w dzieło. Twórczość jest bowiem dla niej sposobem na życie; pozwala powiązać świat wewnętrznych przeżyć z tym, co ją otacza, znaleźć oparcie we wspomnieniach, dać wyraz tęsknocie i miłości, zbliżyć się do przyjaciół i Boga.

Bo chociaż „kurczy się Czas / W niebieskoszarą nieuchronność” (*Nie)zapominajki*), a „Po zgliszczach rodzinnego domu / Polny konik skacze” (*Zmierzch*), ona ma swój świat, który co prawda „nie ma okien / Wystarczy mu erem wnętrza” (*Czasoprzestrzenie*), ale dzięki temu, jak wyznaje w wierszu *Natchnienie*, zbliża się „do słów / jak tkaczka do krosna” wiedziona pragnieniem, że „Może dziś jutro pojutrze / W jakiejś szczelinie mroku / Lub słonecznym rozbłyску chwili / Wyfruną mi z dłoni jak literoptaki”. I choć kolejne lata umykają „za zakręty pamięci”, dzieciństwo nie ulega zapomnieniu. Jest skarbem tkwiącym w zakamarkach jaźni, lśniącem niezatartym blaskiem poczucia bezpieczeństwa, ciepła rodzinnego domu i urokami odkrywanego świata, gdy „gwiazdy się huśtały / Na gałązkach drzew / Świetliki baraszkowały / Za czteroszybem okna / Pod ławką błyszczął / Neon próchna na opał / A żaby w sadzawce przekrzykiwały cykady” (*Świetliki*). Dzieciństwo jest fundamentem, punktem odniesienia dla tego, co przynosi życie, momentem kształtowania się osobowości, nabywania wiedzy, zdobywania doświadczeń, stopniowego odrywania się od domu i wkraczania w świat, nic dziwnego więc, że powraca w snach i poezji.



Nie na darmo mottem do tego rozdziału są słowa duńskiego filozofa, a zarazem poety i teologa, Sorena Kierkegaarda: „Człowiek jest syntezą nieskończoności i skończoności, doczesności, wolności i konieczności, jednym słowem syntezą”. Poetka łączy więc obrazy miejsc i osób w całość, którą chce zachować, by nie zakłócić nieskończonego ciągu przekazywania innym tego, co otrzymała i przeżyła. Czym bowiem byłibyśmy bez pamięci o naszych matkach, ojcach i dziadach, bez tradycji, wiary i doświadczeń poprzednich pokoleń? Chociaż jej świat to jedynie „Drżąca kropelka chwili / Na listeczku czasu”, trzeba zrobić wszystko, by ją zachować, gdyż bez niej nie powstałyby jezioro, morze ani ocean. I chociaż życie jest pełne absurdów, polega bowiem głównie na oczekiwaniu na nieprzewidywalną i przez to często budzącą grozę przyszłość, to czekać warto, bo jest ona wszystkim, co człowiek może otrzymać.

Tymczasem codzienność przynosi poetce pobyt w sanatorium i tęsknotę za córką. Poezja staje się więc dodatkową terapią. Szum morza, nadbiegające do stóp fale sprzyjają zamyśleniom. W tej atmosferze nietrudno o przepiękną modlitwę płynącą z duszy osamotnionej matki: „Roziskrzona słońcem tafla / ponieś mój serdeczny szept / Pod londyński próg // Tam bije Big Ben / Skrzyżowanego ze mną / Serca”.

Przygląda się sobie, morzu i ludziom. Nie umknął więc jej uwadze fakt, że wiele pań przyjechało tu nie tylko po to, by wyleczyć ciało. Bo „Kuracjuszka / Turnusowa dama / Przewożąca szafę złudzeń / W neseserze pękatej / Nadziei” (*Spryt mewy*) jest tutaj czymś powszednim. Co nią kieruje, chęć przeżycia czegoś nowego, zmiany swego dotychczasowego losu czy pogoń za chwilą zapomnienia? Tak jakby odległość wyzwalała ukryte na co dzień potrzeby, ujawniała drugą, niekoniecznie tę prawdziwą twarz. Poetka modli się za nie: „Wybacz Boże / Żonom alkoholików [...] Wybacz wdowom rozwódkom / I kuchtom domowym / [...] One powrócą do domów pewne / Że już mają wszystko / Do własnego / Nieszczęścia” (*Opium*).

W sanatorium na ogół „każdy (za)biega / O własną nadzieję: / Na oddech bez inhalatora / Na spacer bez laski / Na sen bez tabletki / Na krew bez cukru / Na wiosnę w środku/ Jesieni” (*Zabiegi*). Terapia leczy ciało, nie odsuwa jednak świadomości, że czas nieubłaganie robi swoje.

Nawet towarzystwo morza nie potrafi uchronić przed smutkiem, samotnością, tęsknotą i poczuciem nieuchronności końca. M.in. w wierszu *Północ* znajdujemy pełne rezygnacji wyznanie: „Spaceruję brzegiem Bałtyku / Na wschód / Na zachód / Na południe / Północ czarna jak zaświaty / I jak śmierć groźna / / Każdym odpływem oddechu / Bierze mnie w swoje / Ramiona”, w *Odpływach* zaś żali się: „Mewy śmieszki / Wykrzykują nad głową / Ptasie szanty / A ja przełykam / Słoną ślinę samotności / I jak zraniona rybitwa / Oddalam się / Od stada od tłumu”. Samotność jest piętnem odcisniętym w duszy. Niewidocznym, lecz trwałym. Nie pomoże zmiana otoczenia i obecność innych, nie ucieknie się bowiem przed sobą.

Nie zmienia to jednak faktu, że człowiek próbuje. Podróżuje, zakłada rodzinę, rodzi dzieci, wychowuje je, szuka przyjaciół, a mimo to pozostaje odrębnym, tajemniczym istnieniem – samotnym pyłkiem rzuconym w wir czasu i przestrzeni. A czas potrafi być bezlitosny. Jego niszczyielska moc przeraża. Dobrze przyjrzeć się więc temu, co oszczędził, zwiedzić zabytki, utrwalić je na obrazie. Skoro one przetrwały, może i nasze ślady zapiszą się w pyle ziemskiego istnienia?

Na plenerze malarskim w Szydłowie, zwanym czasem polskim Carcassone, poetka dotyka przeszłości zakłętej w kamień „Jestem tu / Gdzie wiatr historii / Krąży po oknowyrwach / Rycerskich komnat / I czas się szczerbi skutecznie / W attykach synagogi” (*W cieniu stuleci*), a „Szydłowskie jaskółki / Przyklejone do muru / Jak chasydzi do Ściany Płaczu” (*Jaskółki*) są wieczne jak oni. Tutaj wciąż „W czerwcowym żarze / Kipi dzień na bruku” (*Upał*) i stara kobieta „Siedzi od wielu lat / Na ławeczce pokoleń” (*Szydłowska staruszka*). Pobyt ten nasuwa jednak myśl, że „Jutro i ten mój spacer / Będzie także historią” (*Skarb*). Przetrwają jedynie w jej pamięci, obrazach i wierszach. Być może również w sercach przyjaciół, z którymi zetknął ją los. Każdy coś wniósł w jej życie. Co prawda czas i zmiany które niesie, oddalają, niemniej jednak poetka nie zapomina. Ubolewa, że „Od moich przyjaciół / Dzieli mnie już od dawna / Mały ekranik komputera” (*Wirtualny czas*) i prosi „Nie oddalaj się przyjacielu / Bo będziesz mi błękitniał / Siwiał i malał jak drzewo / Na widnokregu” (*Do przyjaciół*), poświęca im jednak wiele pięknych, płynących z serca strof,

jakby były sposobem na zatrzymanie i ocalenie tego, co ich połączyło.

Powraca też do wspomnień miłości, tej niewdzięcznej ułudy, za którą każdy goni w nadziei, że właśnie jemu okaże swą łaskawość i nie zniknie z łada powodu. Niestety, to bardzo wybredna i kapryśna dama, pozostająca na dodatek pod kuratelą losu, który zbyt często zamiast miodu przydziela trudną do przełknięcia pigułkę gorzkiego rozczarowania. Samotność jest wszechobecna. Nie jest jednak siłą niszczącą, lecz doskonale znanym, oswojonym stanem jaźni towarzyszącym poetce jak łagodna, przewlekła choroba, z którą można żyć, choć od czasu do czasu doskwiera. Bywa, że zmienia się w rwący potok natchnienia o naturze kapryśnego indywidualisty, który słyszy swój szum jedynie w odosobnieniu. Zdarza się też, że przybiera postać rozłożystego, urodzajnego drzewa o kanarach tonących w niezmiernych błękitach wyobraźni i korzeniach czerpiących ciepło z głębi kłębiących się uczuć. Tylko takie drzewo jest bowiem w stanie zrodzić soczyste owoce piękna.

A cóż może być piękniejszego niż słowo i obraz? Słowo przemawia kunsztem metafory,

której Władysława jest mistrzynią, rytmem strof i zmieniających się nastrojów, obraz zaś zachwyca szaleństwem kształtów i kolorów. Najwidoczniej samo słowo nie wystarczy, musi być dopełnione, obleczone w tęczę. Obrazy są przepełnione barwami, niepokoją i krzyczą. Tak jak ten na okładce książki *Po tej stronie błękitu*. Bo cóż się może zdarzyć między ludźmi? Zapłoną? Czym jest świetlisty obłok między nimi? Owocem miłości czy gniewu? Cokolwiek się między nimi dzieje, płomień nie łączy się ze sobą. Czyżby każdy z nas był osobną pochodnią na tle ciemnego błękitu nieba? Samotną gwiazdą spalającą się w chłodzie nocy własnego ja?

Po tej stronie błękitu tkwi samotność wyobraźni artystki. Próba jej przeniknięcia przynosi wiele wzruszeń i refleksji, pomaga bowiem dojrzeć ziarno piękna tam, gdzie na co dzień zbyt rzadko się zagląda.

Wanda Nowik-Pala

Władysława Szproch, *Po tej stronie błękitu*. Poezja i malarstwo, Kielce 2011, s. 126.

Stanisław Nyczaj

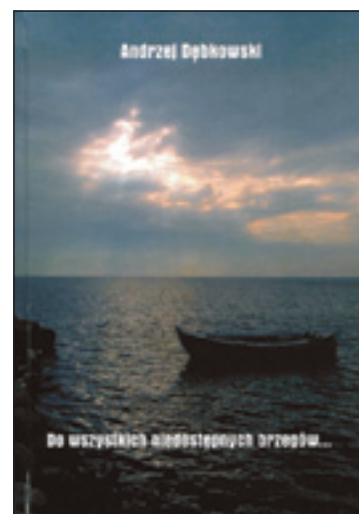
O potrzebie ocalenia wrażliwości

Jak wspomniałem pisząc o tegorocznej Świętokrzyskiej Wiośnie Literackiej, na weekend literacko-artystyczny do gminy Zagnańsk zaprosiliśmy spoza regionu poetę, krytyka literackiego, publicystę Andrzeja Dębkowskiego z Zelowa, red. ogólnopolskiej „Gazety Kulturalnej”, której akurat ukazał się dwusetny numer. „Gazeta” ma dobrą renomę w kraju i wielokrotnie na jej internetowych łamach (ja dla udogodnienia ze względu na słabszy wzrok otrzymuję od paru lat papierowy wydruk) ukazywały się teksty świętokrzyskich pisarzy.

Andrzej przywiózł ze sobą na weekendowe spotkanie, prócz jubileuszowego numeru „Gazety”, swój nowo wydany tom poetycki *Do wszystkich niedostępnych brzegów*, z edytorską dbałością opublikowany we własnym Wydawnictwie Autorskim. Czytał zeń wiersze w zagnańskim Technikum Leśnym i podczas naszych zespołowych prezentacji w Domu Kultury „Jaworze”

i na spotkaniu z regionalistami w Samsonowie, wzbudzając zaciekawienie rozległością podejmowanej problematyki i obrazowo-refleksyjnym, zwięzłym stylem.

Przejmujący jest jego rozrachunek z minionym „cudownym stuleciem [...], w którym przyszło nam żyć” i z okrutnymi sytuacjami, kiedy „strach wiedzie do gniewu, / gniew do nienawiści, / nienawiść prowadzi do cierpienia” (inc. „Chciałbym opowiedzieć ci o nocy...).



Gorzką jest refleksja nad paradoksalnymi skutkami awansu własnego pokolenia, które zyskując miejską wygodę warunków życia w blokach, traci ludzką twarz.

Dwadzieścia lat temu
dookoła mojego domu
rosły kartofle,
na bosaka chodziliśmy po ściernikach –
dzisiaj stoją bloki.
Dwadzieścia lat temu
dookoła mojego domu –
mieszkali ludzie.

Jaki żal, że rozluźniły się więzi międzyludzkie, że „wszystko ulega deformacji”, „Norwidowe miłowanie, / gdzie <okrucz chleba jak opłatek>, / jest dzisiaj mniej ważne, / niż niepewność, / która nie pozwala / podać ręki obcemu człowiekowi / i wyrzuca go na bruk / bez jednego słowa”.

Takie niechciane następstwo cywilizacyjnych zmian nie tylko czyni ludzi względem siebie obcymi, wywołuje znieczulicę, ale też zsyła strach, który

Całe życie
przychodzi do mnie
upięty w szare barwy
spocony
otwarty na wszystko
siada pod parapetem okna
drapiezną dłonią
każe zapalić papierosa
milczy

Andrzej Dębowski wypatruje dróg wyjścia z impasu. Skoro, szukając wzruszeń, „coraz

rzadziej odważamy się krzyknąć, / że nasze wiersze boją się wychodzić na ulice”, by pełnić obywatelską misję w proteście przeciw biedzie i niepewności perspektyw, skoro i w poczuciu osobistym „nie wiesz, gdzie będzie twoja dusza, która uciekła z wnętrza naszej samotności”, pozostaje – jak czytamy w *Potrzebie oczyszczenia* – „powrót do pytań najprostszych / o potrzebę i cel tworzenia”. Bowiem istnieje jednak w każdym z nas pragnienie szczerości, otwartości, „potrzeba zbudzenia” tyleż siebie, co innych. Wiersz pod tak brzmiącym tytułem kończy się puentą:

Ten stan sprawia, że wnikaś pod skórę
naszej pamięci
chwytasz staromodną pieszczotę
jak łyk życiodajnej wody.

Wydaje się, że główną intencją autora było całym swym i swego pokolenia doświadczeniem dowieść i w ślad za tym osobistym staraniem ekspresyjnie w y r a z i ć, iż dopiero owa liryka szczerego wyznania, otwarta na ludzkie problemy, a przede wszystkim ta obudzająca wrażliwość na wartości – tę wrażliwość najsilniej inspirującą, która, o dziwo, „nie jest dziś w cenie / na poetyckiej giełdzie” – okazuje się rzeczywistym „powrotem artysty do stanu suwerenności” niczym nieskrępowanej ani ograniczonej.

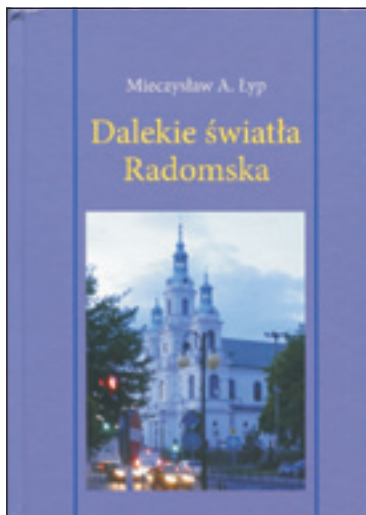
Andrzej Dębowski, *Do wszystkich niedostępnych brzegów*, Żelów 2013, Wydawnictwo Autorskie Andrzej Dębowski, s. 63. Tomik można zamówić pod adresem e-mail: andrzejdebowski@wp.pl

Dotykalna bliskość Dalekich światła Radomska

Kolejny tom Mieczysława Arkadiusza Łypa *Dalekie światła Radomska*, znów – jak wszystkie jego poprzednie – przebogaty. Przykuwają wzrok wykonane z artyzmem zdjęcia kronikujące ważniejsze miejsca inspiracji, w strofach zaś dominuje nuta retrospektywnej, wzbogaconej o refleksję tęsknoty.

Krótkie jak szloch żalu wiersze-westchnienia wspominające matkę, ojca, jak również te z rozmachem metaforycznego dosyту obejmujące krąg całej rodziny wznoszą błękitne przęsła mostu („most” jest jednym ze słów-kluczy!) pomiędzy

zafrasowaną i nostalgiczną terażniejszością a pełną dobrych nadziei pracowitą przeszłością, między Rzeszowem a Radomskiem – jego „wcale niemuzycznym przystankiem pierwszych podróży” dla jakże wielu na Moniuszki u ciotki Kasyldy i na ulicy Narutowicza „przechodzącej w sady na Bartodziejach” (gdzie też dalej „szumiały kolorowe łąki”, połyskiwały „rozszeptane zielenią łożyny” i „pachniał wiatrem tatarak”), z „senną po drodze stacją Dobryszyce”; most między otchłanią wieczności wzbudzającą z trudem uciszany „lęk przed nieznanym” a życionośnymi darami natury.



Słowa wrażliwe na każdy wysupłany z pamięci szczegół mają w bolącym pustką miejscu po rozebranym domu stać się „najpiękniejszym schronieniem”. Obecnie zostają nie tylko kolory lata czy jesieni

w „zielonych łańcach marzeń”, ale i wyczuwalny jest zapach: „dzikich jaśminów” to znów ten „bielejący w zieleni”, co „dotyka tamtego progu / otula Twoją młodość / i ginie / w naszym bez-troskim gwarze”.

Sensualnością pamiętnych doznań tchną liczne metafory, jak choćby te: „Białą sytość chłepcą koty / przy studni u nóg matki”, „Mój zielonooki kot to ciche i zadumane / piękno puszystej bieli”. Zauważmy, abstrakty – sytość czy piękno – przestają być znakami myśli, zyskują kolor, odgłos, kształt. Na mapce miejsc wspomnieniowych nawrotów jawią się, prócz Dobryszyc, Brzezina, Gidle, Radawa w sentymentalnych kadrach fotoplastikonu:

w Brzezynie brzozy świecą bielą
i pachnie macierzanka
droga do Gidel ciągle zielona
(z wiersza *W cieniu tęsknoty*)

I w Radawie wieczne lato
stoi w rozłożystych sosnach
ciepłym powietrzu błękit wody
(z wiersza *W świetlistych kręgach lata*)

Matkę spotykamy idącą w „białej chustce” pośród „zieloności dalekich łąk olch i stawów”. Ojciec-sadownik „kopuje róże”, dba o jabłonie renklody, „dawno nie słyhać stuku jego wojskowych kamaszy / w 2. Pułku Piechoty Podhalańskiej w Olchowcach”. Można odbicia ich twarzy zobaczyć w stawie, „falach rudych słoneczników”, w cyniach „urzekających pięknem purpury”. Pamięci brata Piotra poświęcona zostaje błagalna liryczna modlitwa. Siostrze Zofii dedykowane są strofy melancholijnego przypomnienia barwnego dzieciństwa. To, co minione,

„zostawione w alejach lipowych / na ugorach pachnących ziołami” za sprawą niezwykle weny Mieczysława A. Łypa zaczyna

... falować tamtym zbożem
tamtym gwarem kamienicy dziadków z Batorego
łąkami matki z Radziechowic
zielenią lasów od Łęgu Dobryszyc

Ci, których już nie ma, jednak wciąż

Otwierają świt blaskiem moich słów
Dzień zamykają
zielonymi modlitwami marzeń

(z wiersza *Zaduszki*)

niech cisza będzie łąką sadem
dawną radością białą chustką
Wieczorem Wigilijnym

(z wiersza *W płomieniu ciszy*)

Tęsknota na wrażliwych, rozedrganych strunach doznań emocjonalnych wygrywa tu melodie nie tylko smutku, choć on w refleksyjnych puentach dominuje. Wyraża nie tylko dojmujący ból utraty, żal rozstania, gorycz następujących po sobie sytuacji, które wywołały duchowe przynębienie.

W poezji ewokującej utrwalone w pamięci obrazy z dzieciństwa, młodości, podróży, rodzinnych spotkań powszednich i tych odświętnych, zwłaszcza wigilijnych, jawią się liczne postaci w całej dynamice charakterystycznych dla nich zachowań, np.

W wiejskiej izbie
Wiesława Rybka zelazkiem z duszą
pragnie jak Franciszek Kotula
odprasować tamten świat
tamtą Futomę tamtych muzykantów
świat białych chustek
świat czerwonych koralu
świat pożądlivych męskich rąk
[...]

Z dużej srebrnej konwi
sący się cisza i milczenie
„Będę udawała że leję wodę”
i na chwilę zastyga
w teatralnym geście

(z wiersza *Na progu tęsknoty*)

Jest tych postaci wymienionych z imienia, nazwiska bardzo wiele. Nie wszystkie widzimy w „akcji”. Ale wystarczy, że te najważniejsze

z kręgu rodzinnego (matka, ojciec, brat, siostra, ciotka) są wyraziście – co już wykazałem cytata-
mi wyżej – uobecnione.

W wierszach, nadto, aż wrze, kipi przyroda, „Radują dalekie ulotne pejzaże”. Co ciekawe, znamienne: sztuka przedstawiająca naturę, różnorodnie widzianą zależnie od pór roku, przeplata się w poetyckich obrazach z nią samą, ujmowaną w metaforach bez pośrednictwa malarstwa, rzeźb, czyichś zdjęć. Jakbyśmy przenosili się z galerii w napowietrzną bezpośredniość sadów, lasów, łąk czy jezior. I na odwrót:

Majowe łąki pełne złotych mleczy
przybiegają w blasku szyn i lśnienia
zamaszystych kół rozpędzonych pociągów

przez wiejski przejazd w Krzemienicy
do pracowni Słońceśława
(z wiersza *Korowód zieleni*)

U Mieczysława A. Łypa wszystko się dopełnia
i w rozkwicie wielobarwnym oraz wielokształt-
nym – harmonijnie, artystycznie uzasadnia.

Stanisław Nyczaj

Mieczysław Arkadiusz Łyp, *Dalekie światła Radom-
ska*, w glosarium: Józef Baran, Małgorzata Janda,
Stanisław Nyczaj, Kazimierz Ożóg, Rzeszów 2013, s.
212, w tym obszerny dział kolorowych zdjęć Jacka
Kaszyńskiego *Zatrzymane w kadrze*.

Alicja Patey-Grabowska

Warto przeczytać

Wbrew wieszczbom pesymistów i różnego rodzaju futurologów głoszących śmierć książki, upadek czytelnictwa, nasza rodzima literatura nie tylko nie umiera, ale kwitnie i to w każdym zakątku kraju. Miejscem narodzin książek, a tym samym bodźcem do pisania są wydawnictwa, często sprzężone z pismami literackimi, jak choćby cenione „Świadectwo” i pismo literackie „Akant” w Bydgoszczy, Oficyna Wydawnicza „STON 2” i „Świętokrzyski Kwartalnik Literacki” w Kielcach, wydawnictwo „Topos” i pismo „Topos” w Sopocie.

Oficyna „STON 2” wypromowała już wielu ciekawych pisarzy, jak choćby Jana Adama Borzęckiego z Sandomierza, Elżbietę Musiał z Końskich, Krystynę Cel i Kazimierę Szczykutowicz z Kielc, Zofię Walas z Ostrowca Świętokrzyskiego, Ewę Marię Wojtasik ze Szczecina, Iwonę Zielińską-Zamorem z Łodzi, Utę Przyboś z Warszawy, Jadwigę Jaśkowiak z Lublina – a więc, jak widać, twórców nie tylko z regionu świętokrzyskiego.

Na uwagę zasługuje seria „Portrety Literackie” OW „STON 2” pod redakcją Stanisława Nyczaja, ukazujące biografie i dorobek współczesnych pisarzy. W pierwszej książce z tej serii pt. *W drodze do siebie* (2010) Liliana Abraham Zubińska – poetka i eseistka z Kielc – w sposób barwny i zajmujący opisała życie i twórczość Ireny Paździerz, autorki przede wszystkim powieści

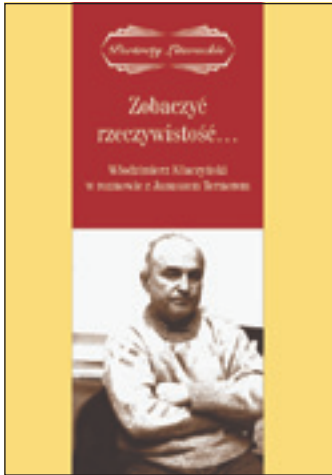
dla młodzieży i dorosłych jak *Urok tajemnicy*, *Marzeń zielone migdały*, *Witaj Europo*, *Nie jestem Megi*, zbioru legend *Biały koń z chęcińskiego zamku* i zbioru bajek dla dzieci *Kiedy zwierzęta mówią*. Jej twórczość porusza tematy istotne dla naszej rzeczywistości, a poprzez wartką akcję, ciekawą fabułę usiłuje wpłynąć na ukształtowanie postaw moralnych młodego czytelnika. L. Abraham Zubińska biografie autorki ukazuje w sposób niebanalny, eksponując poszukiwanie własnej drogi w życiu pisarki, dla której drogowskazem jest m.in. mistyka (joga).

Interesującym poetą i animatorem kultury jest twórca z Połańca, Benedykt Koziół. Zapisa-
nia jego ciekawej biografii i omówienia poezji
podjęła się poetka Krystyna Cel. Książkę tę pt. *Wobec tajemnicy istnienia* z serii „Portrety Literackie” (2011) czyta się niemal jak powieść, bowiem życiorys Benedykta Koziół sprężony jest z jego pasją twórczą, meandry życiowe odzwierciedlone są w poezji, a głębią natchnienia jego rodzima ziemia. Wiersz B. Koziół zaskakuje celną metaforą, lapidarnością formy, a jednocześnie malarskim obrazowaniem:

Gdy jesteś
przylatują
kolorowe motyle
mrówki słów

zasypują nas
Świtem
z naszych dłoni
wyrasta drzewo
świat się zaczyna.

(Gdy jesteś)



„Ostatnio wydaną książką w ramach „Portretów Literackich” jest wywiad rzeka *Zobaczyć rzeczywistość...* (2013). Rozmowę z pisarzem Włodzimierzem Kłaczyńskim z Mielca, autorem m.in. powieści i serialu *Popielec*, 5-tomowej sagi *Miejsce*, powieści radiowej *Skorpionada*, przeprowadził badacz literatury, krytyk literacki z Warszawy – Janusz Termer. Na pytania pisarz odpowiada w sposób barwny i epicki. Życiorys jego obfituje w dramatyczne meandry wpisujące się w losy kraju, czemu dał wyraz w swojej twórczości. Biografia pisarza – lekarza weterynarii, obfituje również w ciekawe wątki detektywistyczno-ezoteryczne (spotkanie na cmentarzu z własną prababką, niezwykłość odkrycia losu młodziutkiej antenatki uwiedzionej przez właściciela dworu). Sięganie do korzeni, niezwykłość ciągów narracyjnych biografii sprawia, że książkę czyta się z rosnącym zaciekawieniem, co jest także zasługą Janusza Termera, jego trafnych i wnikliwych pytań.

Miłym odkryciem dla mnie jest twórczość poetów, których książki nie zaistniały w księgarniach. Spośród nich trafił do mnie debiutancki tomik Grażyny Kowalskiej z Warszawy *Tancerka* (2012), której wiersze, w większości subtelne erotyki, ujmują prostotą w wyrażeniu uczuć,



a ich zwiewność i melodyjność koresponduje z tytułem. Posązek baletnicy z parku Skaryszewskiego w Warszawie jest bowiem inspiracją wielu jej utworów, np.

Weno łaskawa
wejrzyj we mnie do głębi
Rozpal mnie,
bym mogła zamienić się w bezmiar
jak rzeka

(Pegaz)

Na uwagę zasługują utwory, które w dobie kultu materii, fetyszyzmu pieniądza, wyłamują się z obiegowo-filozoficznych schematów. W kręgu twórców odwołujących się do transcendencji mieści się Jan Rychner z Warszawy, którego wiersze zamieszczone w zbiorze *Ze źródła wody czystej* (2012) pełne są elementów metafizycznych i wątków etycznych z akcentami patriotycznymi:

W rozpadlinie czasu
zamarłe wspomnienia
na Katafalku
mrocznym od świateł
kładą się cieniem.
Kamienne niebo nad Tobą
i bezkres, który zabrał
wszystko i nigdy nie zwróci
i nieśmiertelność (...)

(Requiem)

Elementy metafizyczno-ontologiczne można znaleźć również w poezji Barbary Białowąs:

Obraz bez ram
rozciąga się wszędzie,
po bokach i z tyłu,
nawet poza zasłonę,
która skrywa dal.
łączy widzialne z niewidzialnym
niektórzy mówią,
że to niemożliwe,
a mieszkają
na skraju nieba

(Obraz bez ram z tomiku *Sekrety i fascynacje*)

Ciekawe wiersze pisze Zofia Walas. W krótkiej, lapidarnej formie potrafi zaskoczyć filozoficzną puentą:

Mój wiersz czeka na słowa
 Ja czekam na ciebie
 Bo wyraz bez obrazu
 jest jak pusta rama
 W galerii mego serca
 poszarżanych płócien
 renowacji nie będzie
 lecz zmiana wystawy

(W galerii serca)

Pretekstem do filozoficznych przemyśleń może być element przyrody, ptak, co w lapidarnym wierszu *Memrotek* z tomu *Pokolenia* (2011) trafnie ukazała Magdalena Węgrzynowicz-Plichta z Krakowa:

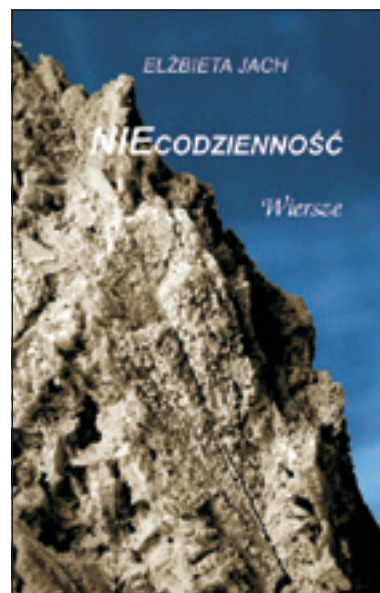
Przyjacielu malutki
 niebieski ptaszku
 niema drobino
 nieba
 za twój ostatni
 pamiętny w dźwięki
 jedyny krzykliwy
 dzień
 oddałabym bez żalu
 na próżno całe
 przegadane
 życie

Jadwiga Jaśkowiak z Lublina, która debiutowała za ledwie przed dwoma laty, wydała już trzecią książkę, tym razem poemat *Kosmogonia miłości* (2013) z tłumaczeniem na angielski Anny Lubaszewskiej. I ta książka – podobnie jak poprzednie: *Wypełnione światłem*, *To zdarzało się w piątek* – urzeka piękną formą graficzną: reprodukcjami surrealistyczno-abstrakcyjnych obrazów autorki z odnośnikami kosmologicznymi. Miłość w poemacie jest eteryczna jak wibracja powietrza, łączy się z kosmosem. Pojęcia jaźni, świadomości przywołują echa młodopolskie, szczególnie Micińskiego, sugerując nawiązania do filozofii hinduistycznej, stąd oryginalność utworu.



Poezja Elżbiety Jach – również rzeźbiarki, animatorki działań kulturalnych w Skarżysku

Kościelnym – zaskakuje różnorodnością tematyki i formy, począwszy od wierszy lirycznych zebranych w zbiorze *NIecodziennosc* (2012), aż po fraszki, satyry, aforyzmy (*Tere fere kuku*, 2010). Uwagę moją zwróciły lapidarne metafory i porównania puentujące utwory, jak choćby we fraszce *Stokrotka*:



Nie ma kwiatka
 równego stokrotce –
 malutki diamentek
 na łące.

oraz liryku z tomu *NIecodziennosc*:

Zebrałam myśli i słowa
 wiele nocy czekałam
 przyszedł
 odszedł
 niezastąpiony wiersz
 jak kochanek
 który się rozmyślił

Wędrowka po księgarniach rodzi smutną refleksję. Albo tych wytropionych w bibliotekach, zdobytych od przyjaciół książek nie ma, bo w ogóle do księgarni nie dotarli, albo – szczególnie tomiki poezji – traktowane są po macoszemu, wciśnięte w kąt na ostatnią półkę. Dlatego starajmy się zauważać te książki „niewidki”, poddajmy się lekturze wierszy: na pewno niejednen poruszy wyobraźnię i skłoni do zadumy. Polska literatura, a szczególnie poezja, kwitnie i czeka na uwagę czytelników.

Alicja Patey-Grabowska

Miłość i kulinarne delikcje Ewy Wojtasik, czyli jak zauroczyć mężczyznę

Na ubiegłorocznym plenerze w Staszowie Ewa po raz pierwszy zaprezentowała książkę *Miłość i kulinarne delikcje*. Przeczytała jedno z opowiadań. Zabrałam głos. Powiedziałam, że jeśli jedno z nich rozszerzy do objętości książki, będzie miała szansę na wydanie jej w jakimś ogólnopolskim wydawnictwie. Takie książki ludzie chcą czytać i takie się wydaje, i co najważniejsze, sprzedaje. A to dla wydawnictwa jest najważniejsze. Zarobić na książkach.

Powiedziałam to szczerze, chociaż nie wszyscy przyznali mi rację, ale ja śledzę rynek wydawniczy i wiem, kto z polskich pisarzy najlepiej zarabia, i jakie książki są promowane. O tym, że miałam rację, świadczy fakt, iż pierwsze wydanie opowiadań *Miłość i kulinarne delikcje* rozeszło się bardzo szybko. Ewa dopisała kilka i tak powstało drugie wydanie. Jestem przekonana, że też się sprzeda. Zadaniem Ewy, o ile chce zaistnieć na szerszym forum, jest napisanie powieści w takim samym stylu jak opowiadania.

Śledzę listy bestsellerów ogłaszanych przez „New York Timesa” i, wiercie mi, żadna z tych książek nie jest lepsza od opowiadań Ewy.

A o czym Ewa pisze? O miłości. O tym, że przez żołądek łatwiej trafić do serca wybranka. Nie jest to powiedziane wprost, ale inteligentny czytelnik może się domyślić, że taki „facio”, co kocha żołądkiem, jest mimo wszystko prymitywny. Ośrodek kochania umiejscowił mu się trochę niżej niż serce. Tylko jak szukać nieprymitywnego, który na dodatek by pokochał? Takie atawizmy, że kobieta powinna przygotować jedzenie, a facet je zdobywać, są nie do wyeliminowania, a my chcemy miłości, pragniemy jej i... stoimy w kuchni przy garach, aby dogodzić ukochanemu.

Bohaterki opowiadań Ewy też nie błyszczą intelektem. Niby kochają tego, który został zaprzysiężony w kościele, ale jak nadarzy się okazja do zdrady, bez zastanowienia jej ulegają. Przecież każda chce być kochana, podziwiana, adorowana. Niewierność są w stanie wybaczyć mężom, bo one wcale nie są lepsze.

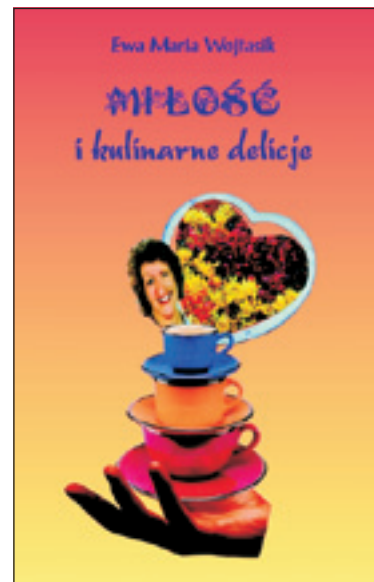
Wszystkie panie w opowiadaniach Ewy są kobietami, które czas chmurnej i durnej młodości mają już za sobą. Są w związkach od wielu lat. Mają dorosłe dzieci, wnuki. Jedno w nich pozostaje niezmiennie – pragną miłości i... ją znajdują.

Nie zawsze taką, która trwa aż po grób, ale miło być adorowaną przez o kilkanaście lat młodszego mężczyznę, który woli ją, niż dwudziestokilkuletnią żonę. Mąż znudził się w ciągu kilkunastu lat małżeństwa, ale... jego też się kocha, chociaż nieco innym rodzajem miłości.

Kobiety w opowiadaniach Ewy nie są monogamistkami. Ta cecha przypisywana kobietom już się zużyła. Czas pokazać, jakie jesteśmy naprawdę.

Książka *Miłość i kulinarne delikcje* jest bardzo pogodna. Można ją czytać kilka razy i to wtedy gdy ma się chandrę albo gdy za oknem wiatr i szaruga. Można zjeść całą czekoladę, ale to dobrze nie wpłynie na naszą linię. Znacznie lepszym odtruwaczem jest przeczytanie sympatycznej książki.

Ewa Maria Wojtasik, *Miłość i kulinarne delikcje*, wyd. drugie poszerzone. Słowo wstępne Stanisław Nyczaj, Kielce 2013, Oficyna Wydawnicza „STON 2”, s. 107.



O Piotrze Kuncewicu słów kilka

...a to głównie z okazji niedawnej promocji (16 maja 2013 w warszawskim Domu Literatury) jego wydanego z rękopisu – znanego dotąd tylko z paru fragmentów publikowanych w prasie literackiej – utworu pt. *Brama. Dziennik intymny doktora Fausta*. Ale jest i drugi pretekst – szósta, okrągła (czy 6 nie jest okrągła?) rocznica śmierci Piotra Kuncewicza (urodzonego w 1936 roku w Warszawie). Pisarza gospodarującego, jak wiadomo, na wielu nader rozmaitych poletkach literackich, i wszędzie odciskającego wyrazisty ślad, piętno własnej nietuzinkowej osobowości, wytrawnej erudycji i bogatego życiowego doświadczenia.

Najbardziej znany jest jego dorobek krytyczno-literacki. Debiutował jako recenzent ponad 60 lat temu (jako nastolatek!) na łamach „Tygodnika Powszechnego”, do którego było mu wówczas najbliżej, jako przyszłemu absolwentowi polonistyki na KUL. Drukował potem swoje opinie o książkach, szkice i artykuły w takich pismach, jak „Współczesność”, współtworząc legendę pokoleniową polskich „młodych gniewnych” pisarzy tamtego czasu (m.in. Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll, Marek Hłasko, Władysław Lech Terlecki czy Eugeniusz Kabatc), a następnie, po latach, w „Przeglądzie Tygodniowym”, gdzie drukował w odcinkach fragmenty swojego *opus magnum*, czyli sylwetki pisarzy polskich, wydane potem w pięciu obszernych tomach: *Agonia i nadzieja. Literatura polska 1918-1986* (1991-1994) oraz popularną jego wersję *Leksykon polskich pisarzy współczesnych* (t.1-2, 1995). Byłoby to już wystarczającym powodem sławy i chwały, lecz, nie tylko dla porządku, dodać trzeba, że opublikował także kilka innych zbiorów szkiców krytycznych o poezji i prozie polskiej, jak *Cień ręki* (1977), *W poszukiwaniu niecodzienności* (1979), *Nowa era dinozaurów, New Age* (1994). A wszystko to – nie sposób o tym nie wspomnieć – sytuował na szerokim tle porównawczym, historycznoliterackim, czego dobitnym świadectwem są m.in. szkice pomieszczone w książkach: *Samotni wobec historii* z 1967 (rzecz o współczesnych przejawach katastrofizmu w literaturze



europiejskiej) i *Antyk zmęczonej Europy* z 1982 (o doświadczeniach płynących z dziedzictwa kulturowych tradycji grecko-rzymskich).

Do podobnych tematów i motywów: odległych w czasie i zarazem jak najbardziej teraźniejszych, sięgał Piotr Kuncewicz także w swojej w prozie. W powieści *Dęby kapitołińskie* (1971, wyd. II 1983) tłem przeżyć bohaterów uczynił konfrontację świata pogańskiego i chrześcijańskiego w Galii z przełomu V i VI wieku. Nie stronił jednakże od gorących problemów teraźniejszości, jak w powieści *Szумы*, gdzie brał się za bary z problematyką psychologiczno-obyczajową na przykładzie losów postaci ze środowisk twórczych lat 60. minionego stulecia! Do prozy wrócił w ostatnich latach życia, pozostawiając – w rękopisie – na poły autobiograficzne i eseistyczne – niedokończone dzieło pt. *Brama. Dziennik intymny doktora Fausta*.

Już same wymienione wyżej tytuły książek Piotra Kuncewicza wskazują wyraźnie na jego otwarty wobec świata myśli, kultury i literatury europejskiej charakter oraz zainteresowania autorskie. Nie kierowały nim puste deklaracje na wyrost ani jakieś snobistyczne „podpórki” czy kompleksy przedstawiciela peryferii tego świata (tak przecież często skądinąd uzasadniane złożonością naszych polskich losów historycznych ostatnich stuleci). To nie erudycyjne fajerwerki, ozdobniki i intelektualne popisy. To rzeczywistość pracy codziennej tego publicysty i krytyka literackiego, dla którego ów szeroki kontekst myśli filozoficznej, kultury i literatury europej-

skiej jest zawsze czymś najzupełniej naturalnym, o czym nie ma on nawet potrzeby wspominać inaczej niż tylko w konkretnym uwikłaniu problemowym, bo jest on dla niego czymś całkowicie oczywistym, naturalnym i zwyczajnym jako częśćka własnego świata, do którego po prostu się należy. I to należy się nie tylko indywidualnie: „ja” jako konkretna osoba, ale „ja” jako przedstawiciel własnej narodowej kultury, która od wieków – od swych historycznych początków, jeszcze średniowiecznych, potem renesansowych, oświeceniowych, pozytywistycznych i kolejnych epok, łącznie z tą, w której przyszło wszystkim nam żyć – jest jako niepowtarzalna i narodowa właśnie – także nieodłączną częśćką kultury europejskiej, tej wyrastającej z korzeni antycznych, judeo-chrześcijańskich i grecko-rzymskich, śródziemnomorskich tradycji myśli humanistycznej, filozoficznej i społecznej, sztuki i literatury...

Ale dodać w tym miejscu warto, że Piotr Kuncewicz miał, zwłaszcza od czasu wydania zbioru *Samotni wobec historii*, ostro wyczuloną świadomość dokonujących się nieuchronnie ewolucyjnych, niekiedy rewolucyjnych przemienności kodów kulturowych i istnienia wewnętrznych sprzeczności fundujących je podstawowych idei... Ba, obnosił się ze zrozumieniem, może jakby z lekka tylko ukrywanym żalem, wobec całego tego bagażu narastającej erozji owych fundamentów; erozji, jaka się tutaj dokonywała przez wieki i nadal dokonuje już w naszych czasach i na naszych oczach...

Pisał np. w tytułowym szkicu tej książki, polemizując z zapałem zarówno z dawniejszymi, jak i nowszymi piewcami arkadyjskiego „mitu śródziemnomorskiego”: „Godność i wielkość człowieka, jako norma obiektywna, harmonia świata i zasada wyłączonego środka między dobrem i złem, oto prawdziwa treść ideologii «śródziemnomorskiej», której nie należy utożsamiać z rzeczywistością basenu Maris Nostri. Ani nie należy, ani nie wolno. Bo w samej rzeczywistości tkwiły przesłanki ideologii odmiennych, całkiem sprzecznych nawet... Na ogół jednak nawet ci, którzy dostrzegli zwodniczość rozjarzonych słońcem marmurów Winckelmana i wszystkiego, co za nimi stało, składali im ostatecznie hołdy, nie ośmielając się dotknąć fundamentalnych prawd humanizmu. Trudno o zabawniejszą niekonsekwencję niż ta, której

dopuścił się Przybyszewski, wychwalając w mało znanym, ulotnym druczku, *Tyrteuszu*, wojnę za to, że oczyszcza moralnie. Chwalił zło, on, etatowy chwalcza szatana, ale ciągle pragnął w nim widzieć tradycyjne, śródziemnomorskie dobro”. I pisze Piotr Kuncewicz dalej, że „nikt inny dotąd nie oderwał się bez reszty od mirażu śródziemnomorza. Nawet prorocy zagłady – Spengler, Keysserling, Gobineau, Witkiewicz nie umieli powiedzieć nic więcej ponad to, że temu, co dobre i piękne, grozi unicestwienie... Katastrofistą można być o tyle, o ile uznaje się wartości”.

To oczywiście tylko próbka stylu i myślenia Piotra Kuncewicza. Tylko pierwsze z brzegu przykłady owych „naturalnych” związków tego autora z kontekstem europejskiego dziedzictwa kulturowego i literackiego, w jakim widział i sytuował swoją działalność krytycznoliteracką, rozumianą szeroko, według najlepszych polskich wzorców w tej dziedzinie (Maurycy Mochnacki, Stanisław Brzozowski, Kazimierz Wyka, Jan Błoński czy Artur Sandauer), jako nie tylko biernie towarzyszącą twórczości artystycznej, ale i dopingującą ją, stojącą „na straży”, walczącą o wartości estetyczne i etyczne, oddalającą z kwitkiem ową mnożącą się obecnie – dodajmy na marginesie – w zatrważającym tempie zaściankową bylejakość literatury i krytyki. Z jakim zażenowaniem i smutkiem patrzył Piotr Kuncewicz na owe dyskusje lat ostatnich o naszym polskim „wchodzeniu do Europy”, w której byliśmy przecież – i to nie tylko w sferze wielkiej kultury – „od zawsze”: z niej czerpaliśmy, ale coś też zawsze do niej wnosiliśmy i nadal wnosimy. Chociaż świadomość tego i znajomość naszego dorobku na Zachodzie jest nadal – może i z naszej winy – praktycznie żadna. Oto czytałem niedawno w prasie polskiej wywiad z wybitnym angielskim filmowcem Peterem Greenaway’em, który kręcąc film o Rembrandcie w Krakowie, na pytanie dziennikarza o znajomość kultury polskiej odparł z rozbrajającą szczerością, znamieną dla ludzi kultury na Zachodzie, że wie o niej niewiele, no, słyszał coś tam o Chopinie...

Obecne właściwie w każdym publicystycznym i krytycznoliterackim dziele Piotra Kuncewicza przykłady owego wieloaspektowego, „kontekstualnego” odbioru twórczości można by mnożyć, bo są szczególnym wyróżnikiem jego postawy pisarskiej, a na dodatek są godne tego same w sobie, a i też jako dowodne przypomnienie,

czym bywała kiedyś i czym powinna być nadal krytyka literacka, niezamykająca się w opłotkach prowincjonalnego myślenia, pozbawiona szerszych horyzontów i europejskich odniesień.

Zasadniczą domeną działalności Piotra Kuncewicza jako krytyka literackiego była jak wiadomo literatura polska, zwłaszcza literatura wieku XX, a szczególnie drugiej jego połowy. Towarzyszył jej wiernie, cierpliwie i dociekliwie przez całe owe półwiecze. Oto w esejach z tomu *Samotni wobec historii* znaleźć można kilka szkiców tym zagadnieniom poświęconych, a opartych na przykładach dotyczących twórczości takich między innymi pisarzy, czasami krańcowo odmienionych, często jakże niesłusznie zapominanych, jak prozaicy: Juliusz Kaden-Bandrowski, Stanisław Maria Saliński, Stanisław Lem, Teodor Parnicki czy poeci: Arnold Słucki, Tadeusz Różewicz, Stanisław Swen-Czachorowski, Jerzy Harasymowicz, Zbigniew Herbert, Jerzy Sito, Jarosław Marek Rymkiewicz, Stanisław Grochowiak, Ernest Bryll.

Każde z tych nazwisk to wstęp do kolejnych światów osobnych, każde domagałoby się osobnego komentarza i dopowiedzenia, zwłaszcza dziś, po latach, gdy znamy „dalsze ciągi” ich twórczości. Ale ja nie o tym, bo to rzeczywiście temat osobny i rozległy. Chcę tylko pokrótce zwrócić uwagę na pewien wspólny rys, istotny ton w podejściu do tych twórców. Mniej lub bardziej czasami zaskakujący swą oryginalnością i – w dobrym słowa znaczeniu – erudycyjnością, naszego młodego wtedy, około trzydziestoletniego krytyka. Bo to, że czyta on prozę autora *Czarnych skrzydeł*, czyli Juliusza Kadena-Bandrowskiego poprzez zestawienie z naturalistycznym wzorcem francuskim, czyli słynną swego czasu powieścią *Germinal* Emila Zoli, to rzecz zupełnie „naturalna”. To, że sytuje prozę marynistyczną Stanisława Marii Salińskiego w kontekście motywów pisarstwa Josepha Conrada (kompozycja czasowa, realia) to również nie dziwota, może trochę tylko zaskakiwać wpisywanie w tę twórczość filiacji z *Podróżą do kresu nocy* Celine’a, jak i przywoływanie z tej okazji *Jesieni średniowiecza* Johana Huizingi. Ale już to, że prozę Stanisława Lema, autora *Powrotu z gwiazd*, którą Kuncewicz nazywa budowaniem „świata-koszmaru i świata-kpiny, świata-niepojętej, bezsensownej nieskończoności”, można widzieć w kontekście dramatu *Powrót Odysa*

Stanisława Wyspiańskiego, a także prozy Franza Kafki i Witolda Gombrowicza, atmosfery świata dramatów Jeana Giraudoux, Friedricha Durrematta, Eugene Ionesco czy Sławomira Mrożka, to już dla niejednego, niekoniecznie prostodusznego czytelnika, może być wielka nawet niespodzianka. Tak zresztą, jak i widzenie prozy naszego największego pisarza historycznego, Teodora Parnickiego przez okulary poezji T.S. Eliota, poprzez prozę autora *Obcego* (Alberta Camusa), i autora *Ferdydurke* oraz *Transatlantyku* czy eseistykę twórcy pojęcia i postawy życiowej autora *Outsidera* (Colina Wilsona) czy też poprzez odwołania i paralele z koncepcjami historiozoficznymi Arnolda Toynbe’ego.

Ale bywa też i odwrotnie: gdy Piotr Kuncewicz czyta dzieła słynnych, dawnych i nowych mistrzów literatury zachodniej: Szekspira, Camusa, wspomnienia Andre Gide’a *Jeżeli nie umiera ziarno* i jego powieść *Lochy Watykanu* (ze słynną w literaturze europejskiej „demoniczną” postacią Lafcadią i terminem „l’act gratuit” – „czyn bezinteresowny”), prozę Tolkiena (autora *Władcy pierścieni*, twórcy „mitologii północy” i „mitologii mitologii”), jak i prozę amerykańskiego noblisty Williama Faulknera (*Absalomie, Absalomie*) – to zawsze widzi ich utwory nie tylko w naturalnym w takim przypadku kontekście współczesnej literatury europejskiej (światowej). W mniej lub bardziej ukrytym kontekście utworów takich twórców, jak Tomasz Mann, Franz Kafka, J.P. Sartre, Andre Malraux, Maksym Gorki, Ernest Hemingway czy bulwersujących wówczas opinię modnych niezmiernie wtedy twórców „antypowieści” – Michela Butora czy Alaina Robbe-Grilleta (kto dziś jeszcze o nich pamięta), ale też i nierzadko odwołuje się do dzieł, nurtów literackich i krytycznoliterackich opinii polskich autorów!

Podobnie zaskakuje Piotr Kuncewicz jako analityk twórczości wyżej już wspomnianych poetów polskich oraz problemów ogólniejszej natury – np. sporów „klasyków” z „awangardystami” i tych ostatnich (Julian Przyboś) z „turpistami”. Niech szczegóły, zapewne istotne i ciekawe dla specjalistów, zastąpi taki oto charakterystyczny dla sposobu czytania przez Kuncewicza dzieł literackich cytat ze szkicu o poezji polskiej lat 60. pt. *Człowiek, natura, demony*. Fragment dotyczący pewnych, jego zdaniem, niekonsekwencji postawy „filozofii poetyckiej” słynnego

i popularnego przed laty poety Jerzego Harasymowicza, twórcy przeciwstawianego tutaj innemu z głośnych ówczesnych poetów – Stanisławowi Swenowi-Czachorowskiemu: „Jedno jest pewne: kryzys strukturalny fałszywego nieba, filozofii poetyckiej szukającej azylu od ludzkiej, psychospołecznej, kulturowej rzeczywistości; od ludzkiego losu i jego tragicznych spełnień i sprzeczności. Czachorowski jedynie za cenę wielkich rygorów i niesłuchanie dalekiego cofnięcia się historię utrzymał swój świat w ryzach. Nie mógł tego zrobić Harasymowicz. Zabrakło mu skonsolidowanej, konsekwentnej i niesprzecznej koncepcji filozoficznej. Zabrakło jakiegokolwiek oparcia. Szalony, przeciw komu wystąpił? Przeciwno niemu był Hobbes, Mandeville, Hegel, cała historia współczesna. Z nim? Może Rousseau? Ale chyba jednak tylko «brat wilk i siostra woda» świętego Franciszka. I jakże mógłby się ostać Kraj Łagodności, jeśli za każdą jego rogatek czaiła się zgraja demonów”.

W ostatnich latach życia Piotr Kuncewicz poświęcił się niemal bez reszty eseistyce i publicystyce literackiej, kiedy to powstały największe Jego – sumujące cały dorobek intelektualny – obszerne księgi: *Goj patrzy na Żyda. Dzieje braterstwa i nienawiści od Abrahama po współczesność* (2000) oraz nie mniej aktualna *Legenda Europy* (2006). Dzieła myślowo niezmiernie, jak

by powiedział Witkacy, istotne w kontekście tak dziś rozedrganej i zawężonej politycznie rzeczywistości, a przy tym literacko i poznawczo wybitne, choć stanowczo za mało znane i spopularyzowane.

Ale kto znał choć trochę Piotra Kuncewicza, ten wiedział, iż działalność twórcza nie wyczerpywała całej Jego energii i aktywności, wielkich pokładów życzliwości i „spolegliwości” w kontaktach z innymi. Tak jak w pisarstwie, tak i w życiu „grywał” na wielu instrumentach. Był między innymi, od 1990 przez kilka kadencji, prezesem Związku Literatów Polskich (ostatnio honorowym, gdy zmagał się już z nielitościwym chorobą), działał też w różnych innych organizacjach i stowarzyszeniach (jak polski oddział Stowarzyszenia Kultury Europejskiej – SEC, z ramienia którego odbyliśmy w 2000 roku wspólną podróż na kongres do Wenecji). Zajmował się nie tylko meandrami historii myśli ludzkiej, antropologii czy metafizyki, ale i sprawami tak „przyziemnymi” (nie dla niego), jak np. kulinaria, których był znawcą wybitnym, jak prawdziwemu humaniście przystało! Bardzo nam Ciebie brakuje, Piotrze.

Janusz Termer



W kieleckim Domu Środowisk Twórczych Stanisław i Irena Nyczajowie witają Piotra Kuncewicza – prezesa ZG ZLP na promocji jego książki *Goj patrzy na Żyda* (2002)
Fot. J. Lechicki

Nowe szaty ubizmu

W roku 1949 ukazała się futurystyczna anty-utopia *Rok 1984* autorstwa George'a Orwella. Powieść wzbudziła dreszcz emocji i lęk przed zalewem światowych reżimów totalitarnych. Przede wszystkim była ostrzeżeniem przed doktryną sowieckiego marksizmu-leninizmu, która posługując się daleko idącą instrumentalizacją osoby ludzkiej, poświęcała żywą indywidualność dla abstrakcyjnej zbiorowości. Ideologia partyjna stała się bezwzględnie wymagalnym nakazem czasów. Miała też moc uwodzicielską, kreując człowieka-aktywistę jako głównego demiurga ludzkości. Jej frazeologia była tak atrakcyjna i ponętna, że udało jej się zwieść wielu intelektualistów ze świata sztuki i nauki.

„Słowa nasze, nawet co ważniejsze słowo / ściera się w użyciu, jak ubiór, co sparciał. / Chcę, by zajaśniało na nowo najdosłowniejsze ze słów – partia. / Jednostka! Co komu po niej?! / Jednostki głosik cieńszy od pisku”.

To początek poematu *Włodzimierz Iljicz Lenin* napisanego na użytek teorii przez wybitnego poetę i dramaturga rosyjskiego Włodzimierza Majakowskiego, który na pewnym etapie swego życia szczerze oddany był idei bolszewizmu. Gdy jednak w późniejszym okresie podjął polemikę ze współtworzonym przez siebie socrealizmem, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach w roku 1930 w Moskwie, a za oficjalną przyczynę zgonu podano samobójstwo. Pochowano go z honorami na Cmentarzu Nowodziewicznym, nekropolii dla zasłużonych Rosjan. Pogrzeb poety zyskał



Pogrzeb Majakowskiego. Od lewej: Fainzinberg, Katajew, Bułhakow, Olesza, Utkin

legendę dziwacznej, czarnej procesji. Uczestniczyli w nim partyjni oficjele i przyjaciele poety, czytelnicy. Na zachowanym z tamtego pamiętnego dnia zdjęciu postaci Faizinberga, Katajewa, Bułhakowa, Oleszy i Utkina porażają niemą bezradnością. I rzeczywiście, wtedy każda postawa sprzeciwu, wykraczająca poza ramy nakazanej praktyki, skazana była na inwigilację, prześladowania i ostracyzm – do fizycznej likwidacji włącznie. W tę szeroko zakrojoną akcję wprężone były aparat partyjny i tajne służby posiłkujące się rozbudowaną siecią płatnych, jak również wolontaryjnych konfidentów. Jeśli nie udawało się sfabrykować legalnego procesu przeciw tzw. „wrogom ludu”, to pod osłoną nocy wykonywano na nich partyjne wyroki (Pyjas, Przemysk, ks. Popiełuszko – to tylko nieliczna reprezentacja naszych rodzimych ofiar z bliższych nam lat).

Na politycznej scenie tamtych czasów wielki socjalistyczny brat przykładał do czoła każdemu małemu braciszce pieczęć marionetki, by sterować nim przez niewidzialnego reżysera i jego funkcjonariuszy-aktorów. To był chyba największy, polityczno-społeczny teatr ery nowożytnej, w którym życie spletało się ze sztuką w sposób dotkliwy i krwawy.

Jednak w wyobraźni twórców ta niepokojąca wizja pojawiła się już znacznie wcześniej. Zmianym przykładem jest chociażby *Ubu król* Alfreda Jarry'ego (1888), napisany przez 15-letniego wówczas autora w formie parodii wypracowania szkolnego na temat praw rządzących historią. Tak oto prostolinijny i szczerzy do bólu król nie kryje się ze swoimi prawdziwym przesłaniem, które wyklada mniej więcej tak: „potrzebna mi władza, żeby nabić kabzę, a tych, którzy staną mi na drodze, po prostu wrzucę do dziury”.

Legendarna prapremiera sztuki odbyła się w roku 1896 w Theatre de l'Oeuvre w Paryżu, z trudem, w atmosferze narastającego skandalu dograno ją do końca.

Jej tłumacz i entuzjasta Tadeusz Boy-Żeleński napisał we wstępie do pierwszego polskiego wydania *Ubu Króla* (Towarzystwo Wydawnicze „Rój”, Warszawa 1936): – „Grrówno! – ładnie,

mości Ubu! Straszliwe z ciebie chamidło. – Iżbym cię nie zakatrupił, mościa Ubico. – Nie mnie, Ubu, ale kogo innego trzeba by zakatrupić. – Na moją zieloną świeczkę, nie rozumiem. – Jak to, Ubu, ty jesteś zadowolony ze swego losu? – Na moją zieloną świeczkę, grrrówno, mościa pani, juścić że jestem zadowolony. Jeszcze by nie: pułkownik dragonów, oficer przyboczny króla Wacława, kawaler Polskiego Orderu Czerwonego Orła i były król Aragonii, czegóż pani chcesz więcej...”.

Tak się zaczyna pierwsza scena tego nowego *Makbeta*, scena, podczas której sam wielki humorysta Courteline, jak tradycja niesie, wylazł zgorszony na krzesło i krzyczał: „Ha! Czy wy nie widzicie, że autor ma was w d...?”. Wszedł w styl. A Lemmatre wodził po sali wystraszonymi oczkami, powtarzając: „To żarty, prawda...?”.

Jak to się stało, że ta obsceniczna, kpiąca ze wszystkiego naiwnostka przemierzyła triumfalnie w ponadstuletnim marszu sceny całego świata? Co leżało u podstaw sukcesu tej infantylniej parady? Czyżby króla (czyt. władcę, decydenta) można było publicznie obedrzeć z szat tylko rękami naiwnego dziecka, by z przymrużeniem oka traktować to jako wyglup, wentyl bezpieczeństwa, który poważnie nie zagraża politycznym elitom? Jednak z tego pozornie nierzeczywistego źródła wytrysnął z wielką mocą teatr absurdu (łac. *absurdus* – niewłaściwy¹⁾), jego późniejszy matecznik egzystencjalizm i cała plejada absurdistów w sztuce, a w teatrze zostało ukute pojęcie „teatr absurdu”. Wprowadził je Martin Esslin w książce *The Theatre of the Absurd* (1961). Z wycucia absurdu, znacznie wcześniej, utkany został przez Alberta Camusa esej *Mit Syzyfa* (1942) – fundamentalne dzieło, które uzasadnia intelektualnie potrzebę zrewidowania „logicznych” zasad i hierarchii kreujących życie narodów poprzez światopoglądy prowadzące donikąd. O tej nicości zaświadczyła dobitnie klęska humanizmu, jego „niepodważalnych” praw etyczno-moralnych, jak również doktryn religijnych, miażdżonych przez dwie kolejne światowe wojny, a idąc do naszych czasów, przez terroryzm i relatywizm zdolny uzasadnić wszystko w imię doraźnych korzyści dla grup interesów, będących kolejnym wcieleniem Ubu króla, który „załatwia” swoich przeciwników jako osobistość nowoczesna i wyedukowana, czyli w majestacie prawa, za cichym przyzwoleniem instytucji odpowiedzialnych za moralność i etykę.

Przechodząc od ogółu do szczegółu, posłużmy się teatrem: jeżeli amant podszyty absurdem wypowiada kwestię: „kocham cię, najdroższa, i za chwilę wypruję ci bebechy”, to na deskach scenicznych może być zabawne, ale w życiu...? Co prawda podobne sceny zostają popełniane w naszym „realu” dla „dobra ludzkości”, wprawdzie nie w tak grubiańskiej formie, ale w rękawiczkach, z wyczelowanym słowem na ustach i w błysku fleszy. W naszej historii okazywało się już nieraz, że całe narody zdolne były do zalegalizowanej, usprawiedliwionej ideowo, masowej podłości, gdyż zawołowana umiejętnie niespójność myślenia i brak jednorodnego etycznego przesłania rodzą i sieją nienawiść, czego pokłosiem nie może być poszukiwanie autentycznej wspólnoty opartej na prawdzie, lecz antagonizowanie, drażnienie podziałów narodowych, środowiskowych, zawodowych – promowanie zwalczających się zajadle ludzkich grup, które tak łatwo podsycać i wykorzystywać. I to jest zadanie dla politycznych partii, bowiem etymologia słowa „partia” wywodzi się od łacińskiego *pars* („część”) oraz *partire* („dzielić”). Byle skutecznie paraliżować zdrowy rozsądek i myślenie ludzi, by pozwolili się prowadzić na sznurkach interesów politycznych, biznesowych i mafijnych, współtworząc ten absurdalny, marionetkowy show.

Gdyby, idąc za Esslinem, ukuć dla celów poglądowych pojęcie struktury partyjno-biznesowo-mafijnej, która podpięra się okazjonalnie strzępami ideologii i religii, by uwiarygodnić akty bestialstwa i bezprawia; usypiać, usprawiedliwiać każdą dokonywaną z zimną krwią nieprawość, dyskryminację, manipulację, fałszerstwo, zaniżenie standardów etyczno-moralnych, religijnych, etc... Byle kwitł interes elity (partyjno-biznesowo-mafijnej), puchła koniunktura.

„Naszym zadaniem jest wybijanie ludzkości z poczucia umiaru i nasycenia, by wtłaczać w ludzkie umysły nowe potrzeby, eskalować gorączkowy stan nienasycenia – niech szturmują hipermarkety, tratują się w stadnym pędzie na festiwalach promocji i cięciach cen. To są nasze robocze woły, pełzające robaki, które w swej wielości i niepohamowanej żądzy posiadania rzeczy (czyt. gadżetów pychy i stymulatorów samozadowolenia), napychają nasze portfele sprawiając, iż stajemy się celebrytami-władcami sekretnych wysp i pałacowych kompleksów, gdzie w przepychu i luksusie, na granicy słodko-pikantnej

perwersji, delektujemy się naszą władzą i potęgą. Jednakowoż ludzką masę traktujemy z pobłażaniem i sympatią. Bardzo lubimy słyszeć, iż na ołtarzach medialnych ekranów obserwują nas i adorują z zazdrością jako odrodzonych półbogów, aczkolwiek nierzadko chcieliby nas, jak odwieczny Ubu, wrzucić do dziury. Oni w snach wypatrują siebie na postumentach dla herosów, z bezradności koją frustracje i smutki złocistą ambrozją, wykrzykując «santa piwa»! I coraz mniej w nich głodu prawdy, albowiem prawdy nie ma! A jedyną trampoliną życia są dystynkcje władzy, firmowe szatki, limuzyny; potoki słów i obrazów, które płyną z mediów – osaczających, zastawiających pułapki, produkujących mydlane ideologie, byle zamydlić oczy, byle szło do przodu, albo i do tyłu. To znaczy, byle się ruszało, bo w interesie musi być ruch, a jak się zrobi zastój, to między oczy i w łeb. Nicości rzucając siew!”.

Pisząc to, sam już nie wiem, czy to cytata znanego, być może wyborczego przemówienia, czy też odezwał się we mnie bohater teatru absurdu, błazeński performer ubizmu i poszturkuje mnie, zachęca do czynu poprzez wejście we wspomniane powyżej struktury (partyjno-biznesowo-mafijne), by czynić profesjonalnie absurd z ramienia np. racji stanu czy urzędu, czy redakcji, która weźmie udział w każdej akcji, byle przełożyło się na... Kto rację ma, a kto jej nie ma...? Nieważne, gdyż produkować da się nieskończenie rzeczy i myśli, stosując brak wszelkich zasad, z łatwością żonglować nimi na użytek mas, które uwielbiają wprost takie chwytły, a najbardziej poniżej pasa. To widać na skrzących portalach.

MUCHA KUPIŁA CÓRCĘ WÓZEK MODNY
W HOLLYWOOD

PARIS HILTON ZAŚWIECIŁA MAJTKAMI PRZED
FOTOREPORTERAMI

DODA PUBLICZNIE POKAZAŁA GOŁĄ PUPĘ
WYCIĘKŁY ICH ZDJĘCIA ZROBIONE W ŁA-
ZIENCIE

...jeżeli dołożyć do tego trochę krwi, okrasić nutką nekrofilii i katastrofizmu...

Właśnie... Rozbijmy teraz bezlitośnie formę tego felietonowego eseju i sprokurujemy wywiad... Niechaj z archaicznych czeluści wyłoni się pan Ciekawski i zajmie odważnie pozycję wobec pana Eksperta.

CIEKAWSKI Kto to wszystko kreuje?

EKSPERT Media.

CIEKAWSKI A kto za tym stoi?

EKSPERT Ten, kto chce ułożyć świat według własnych racji.

CIEKAWSKI Czy te racje służą ludzkości?

EKSPERT Zdecydowanie nie. To ludzkość służy racjom.

CIEKAWSKI To znaczy, że o słuszności racji decyduje ten, który za tym stoi.

EKSPERT Zdecydowanie tak. Świat to tylko układanka.

CIEKAWSKI Zatem można dowolnie układać i mieszać.

EKSPERT Należy zrobić taki miszmasz, by jednym pociągnięciem stwarzać pożądany obraz.

CIEKAWSKI Przez kogo pożądany?

EKSPERT Przez tego, który układa racje dla dobra własnych interesów.

CIEKAWSKI A jak ktoś stanie na drodze?

EKSPERT To wali się go z ukrycia w ciemię i droga czysta.

CIEKAWSKI Czyli wygrywa kasa, nie wartości.

EKSPERT Wartości to czysty absurd. Liczy się tylko kasa.

CIEKAWSKI Dziękuję panu za wywiad.

EKSPERT Uznajmy, że wywiadu nie było.

Ekspert poprawia krawat i z zadowoleniem przegląda się w lustrze, bo rzecz wydarzyła się w garderobie teatralnej i słyhać już delikatny rumor rodzącego się teatru absurdu. Przez scenę przetacza się złowieszczy szept Alberta Camusa:

– Absurd ma sens tylko wtedy, jeśli nie sprawdza się w życiu.

Z OSTATNIEJ CHWILI: Uwaga, achcung, wni-
manije!

„Marionetkowy potwór zszedł ze sceny i zabrał się – nie na żarty – do rządzenia państwami”.^{**)}

Szczęśny Wroński

^{*)} Witold Gombrowicz (1904–1969), jeden z głównych przedstawicieli stosowania absurdu w sztuce, nazwał go drogą „od nierzeczywistości do rzeczywistości”. Przywodzi to na myśl poglądy austriackiego filozofa nauki, Karla Poppera (1902–1994), a w szczególności jego metodologiczną teorię *falsyfikowalności nauki*, czyli obalania uznanych teorii poprzez eksperyment, który dowodzi ich błędności.

^{**)} Alfred Jarry, *Ubu król czyli Polacy*, słowo wstępne Jan Błoński (1931–2009), Niezależna Oficyna Studentów, Kraków 1981.

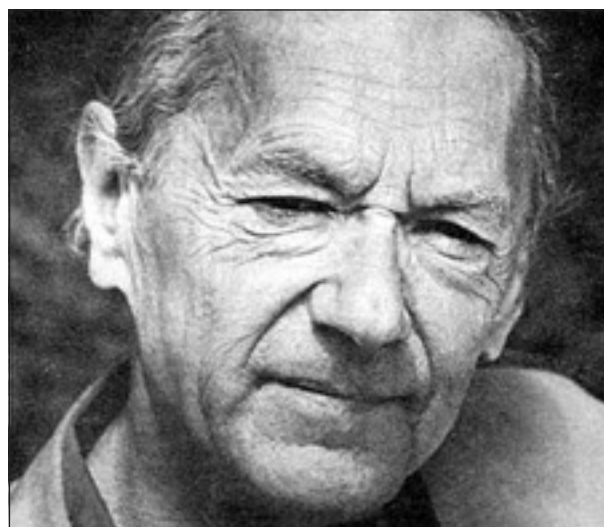
Andrzej Kuśniewicz – Europejczyk cokolwiek zwarzony

Odszedł 20 lat temu, dawno i niedawno razem, przecież nawet nie przeminęło jeszcze jedno pokolenie, a jednak wydaje się, jakby to stało się przed stuleciem, dosłownie za starych dobrych czasów Cesarza Franciszka Józefa. W tamtych latach, gdy umarł Andrzej Kuśniewicz, a przecież nie było to za króla Cwiczka, Internet u nas ledwo raczkował, mało kto słyszał o telefonach komórkowych, a on brawurowo rozpisywał się o koniach cugowych, limuzynach Bugatti, cadykach, polowaniach, pojedynkach, rautach, balach, szampanach, truflach i homarach, armaniakach, akselbantach, kwartałach czerwonych latarni, słowem o zupełnie innym świecie, aż tak bajkowym, że bardziej realnym od tego, w którym żyjemy, bo przecież do takiego czasem tęsknimy.

Na salonach Warszawy i Paryża tudzież przed kamerami telewizyjnymi pawi ogon rozkładał jako uroczy gawędziarz-erudyta, prywatnie prezentował się jako nobliwy sceptyk oraz czuły piewca tego, co było, ale dotąd nie przeminęło. Malkontent utyskujący na sromotę naszych czasów, jednocześnie nieco prowokująco dla czerwonego establishmentu wzdychający do uroków i powabów ck monarchii. W pisarstwie i w życiu tym na pokaz wielokroć epigon. Z jednej strony kolekcjoner błyskotek, w najlepszym okresie zręczny cyzelator, w późniejszych prozach przegadany, a w ostatnich tekstach bełkotliwy, ale jakie wyrafinowane było to jego rezonerstwo, jakie smaczne i dystyngowane te jego dąsy, szczególnie wyjątkowe w tamtych zgrzebnych latach.

Z drugiej strony oceniając, Kuśniewicz – świadek XX wieku, może nawet w jakimś stopniu jego kreator – to w znacznej mierze także jego niedogmatyczny recenzent. Epigon, przecież nie z własnej winy, albowiem te jego mitycznie piękne czasy odeszły, pewnie tak, cokolwiek pozer, bardziej elegant w tym starym dobrym angielskim stylu, albowiem krawat wiązał świetnie „w pełnego windsora”.

Urodził się bardzo korzystnie, jak na polskiego pisarza przystało, w Galicji 30 listopada 1904 w Kowenicach pod Samborem, w tych dobrych



starych czasach, kiedy jeszcze wiele rzeczy miało sens i powab, no bo świat był może znacznie młodszy, a na pewno był w lepszym guście.

Nie tak dawno, czytając Wikipedię w wersji hiszpańskiej, natknąłem się na jego skrócony biogram. Co mnie uderzyło? Otóż podano, że nasz niegdyś eksportowy pisarz europejski urodził się w Galicji, wówczas w cesarstwie austro-węgierskim, tutaj jest pełna zgoda. Lecz dalej już poraża mistyfikacja: *en el seno de una familia aristocrática*, po polsku to będzie: w starej rodzinie arystokratycznej, to tak jakby urodził się tym lepszym Potockim albo Radziwiłłem.

W rzeczywistości Kuśniewicz nie był nawet prostym szlachcicem. W najlepszym razie pochodził z rodziny niegdyś zamożnych nafciarzy spod Drohobycza, czyli parweniuszy. Życiem rodzinnym w pełni się nie mógł nacieszyć; jego ojciec, Bolesław, zmarł w 1925. Wcześniej zesła z tego świata matka Joanna z Tworkowskich (1906). Pysznił się, że widział ponoć w dzieciństwie w Wiedniu żywego cesarza Franciszka Józefa.

Był *de facto* półsierotą podrzucanym ciotkom, stąd zrodził się ten jego uraz pobrzmiwiający w opowieści: *W drodze do Koryntu*: „ciotka nie ciotka, wuj nie wuj”. Po epizodzie zakopiańskim studiował w Krakowie – najpierw malarstwo, potem prawo i nauki społeczne. Bodaj czy nie również z tego deficytu ciepła rodzinnego w dzieciństwie wywodzi się oschłość i zdystansowanie, tak w jego pisarstwie, jak i w osobistych kontaktach.

Rodzic pisarza, Bolesław Kuśniewicz, najwyraźniej parafrazował się agronomką, był oficjalistą, jak wolicie. Te Kuśniewiczowskie tokowania i bajania o majątkach rodzinnych w lasach i w górach pod Turką: Matków, Iwaszkowce, Mochnaty i, bagatela, parę jeszcze innych, te powabne bajdurzenia o polowaniach, rautach i pałacach – to ordynarna mistyfikacja lub jak to mówią na Kresach, koloryzowanie. Zatem wyłącznie snob, chociaż kreujący się na kogoś w lepszym stylu z *high society*, jednak bez rzetelnych arystokratycznych koligacji.

Rodzina pisarza do pewnego czasu była, owszem, nie tyle bogata, co zamożna, ale ani nie starożytna, ani nie herbowa. Kuśniewiczowie żadnych własnych majątków nie posiadali, owszem, starannie pielęgnowali tzw. stosunki, hołubili korzystne znajomości. Ale najważniejsze, mieli ten pęd do kariery, jak wszyscy parweniuse. Raz jeszcze napiszę: owszem, tak, ocierali się o „warstwy wyższe” z racji swych profesji. Jak opowiadał mi mój krewny wywodzący się ze schłopiałej, ale dobrej rodziny szlacheckiej Gałczyńskich herbu Sokola, wuj Stach, za sanacji dyplomata, za PRL-u „taktyczny rencista”: „Takich panów” Kuśniewiczów przyjmowało się głównie w kredsensowym lub w gabinecie pana domu. Z rzadka widziało się ich na salonach lub w palarniach, po prostu tacy Kuśniewiczowie byli użyteczni.

Za PRL-u Kuśniewicz został wywindowany na wzór Europejczyka, stał się eksportową wzytówką ówczesnej literatury. Trzeba przyznać, że czerwoni nie mieli za bardzo z czego wybierać, z Machejkiem albo Putramentem pokusić się na podbój zachodnich literackich salonów przecież nie sposób było.

Przed wojną prowadził życie światowca. W PRL-u, on przecież swego rodzaju okazowy dinozaur, słynący zresztą z przedwojennych jeszcze, nienaganych manier, znajomości języków obcych, a w młodości – z życia *bon viveura*: miłośnik koni, samochodowych rajdów, wysokogórskich wspinaczek po Alpach, bywalec wytwornych restauracji i legendarnych kabaretów, słowem, ziszczenie marzeń komunistycznego propagandzisty. Patrzcie: oto ktoś taki jest teraz z nami!

Kuśniewicz wkroczył do literatury, będąc już sam legendą nie tyle pisarską, co towarzyską. Gdy korzystnie ożenił się przed wojną z głośną wówczas rewiową girlsą i pisarką zarazem. Tą

jego pierwszą i efektowną żoną od roku 1931 była Maria Ukniewska, właściwie Brejnakowska (1907–1962). Ponoć wyjątkowo atrakcyjna kobieta, tancerka, autorka przede wszystkim jednej znaczącej książki *Strachy* (1938), dwukrotnie sfilmowanej: w 1939 na duży ekran, w 1979 na ekran telewizyjny. Ta pierwsza ekranizacja, której dokonał Eugeniusz Czapalski (1906–1952) wraz z Karolem Szołowskim, to moim zdaniem najlepszy polski film dźwiękowy sprzed 1939 roku.

Strachy to demaskatorski zapis z życia środowisk teatralnych i rewiowych, do dziś tę książkę czyta się dobrze. Inne jej książki: *Czerwone salto* – szkic powieściowy, *Urodzaj tęsknoty* – groteska, *Dom zaczarowany* – opowiadanie autobiograficzne – zostały wydane łącznie dopiero po jej śmierci w 1963, bodaj czy nie nastąpiło to na zasadzie czyszczenia szuflady osoby wysoko ustosunkowanej towarzysko.

Kuśniewicz wziął przedstawicielstwo firmy samochodowej i z tego tytułu w latach 1925–1928 podróżował po Europie. W 1936 wstąpił do służby dyplomatycznej II RP.

Galicja to pierwszy trzon jego pisarstwa, drugim stała się Francja. Jego związki z Francją były długie, mocne i powikłane. Ich początek zasadza się na służbie dyplomatycznej w II Rzeczypospolitej. Pierwsze koty za płoty służby dyplomatycznej zaliczył w konsulacie RP w zakarpackim Użhorodzie, gdzieś na Rusi Zakarpackiej, w kącie ówczesnej Czechosłowacji, czyli jakby zesłany na Kamczatkę, po czym wystrzelił do Francji, czyli trafił do rajy dla dyplomatów, snobów i smakoszy.

W krytycznym 1939 r. pracował w konsulacie w Różowym Mieście – Tuluzie. Zmobilizowany do Armii Polskiej we Francji, otrzymał przydział do paryskiego Biura Rekrutacyjnego. Po upadku Francji od grudnia 1940 udzielał się w Biurze Opieki nad Polakami we Francji, współpracując jednocześnie z francuskim ruchem oporu. W 1943 aresztowali go w Tuluzie gestapowcy, najpierw osadzając w więzieniach, a potem do końca wojny w obozie koncentracyjnym Mauthausen. Właśnie w kacecie wstąpił przewidywająco do Komunistycznej Partii Francji. Konsekwencją tego wyboru ideowego był szybki akces w grudniu 1945 do PPR. Po 1945 korzystnie odnalazł się w nowej rzeczywistości. Do 1950 przebywał we Francji, pracując jako komunistyczny dyplomata na placówkach w Strasburgu, Lille

i Paryżu. Odznaczony został w 1947 francuskim *Medaille de la Guerre et Resistance*.

Gdy już nie był potrzebny Polsce Ludowej we Francji, został wezwany do kraju, gdzie na początku lat 50. znalazł się w apogeum stalinizmu, stracił synekurę w dyplomacji, wyrzucono go z partii. Ponoć miał coś wspólnego z tajnymi służbami francuskimi.

W 1953, roku śmierci Stalina, wyżebrał wreszcie przywrócenie członkostwa w PZPR. Wtedy rozpoczął pracę w Polskim Radiu – sekcji dla zagranicy, a potem w innych redakcjach, gdzie głównie wykorzystywano jego znajomość języków. Pałętał się na posadkach np. w Cepelii. W kraju na prawie dekadę odstawiono go na boczny tor jako kogoś zadżumionego zachodnimi miazmatami, no i kogoś z kłopotliwym pochodzeniem.

Dopiero pod koniec lat 50. wyłynął na szerokie wody, najpierw jako poeta – dla mnie nieprzekonywujący. Jego debiutem w 1956 był poemat *Słowa o nienawiści* o stosunkach polsko-ukraińskich, ciepło przywitany przez Kazimierza Wykę, który chwalił autora za „rzadko spotykaną znajomość dziedzictwa ukraińskiego”, czyli mówiąc otwartym tekstem: za opanowanie warsztatu. Wydał jeszcze dwa zbiory wierszy barokowe w tonie: *Diabłu ogarek* i *Czas prywatny*.

Później, w 1961, objawił się Kuśniewicz-prozaik – od startu powieściowego autor bez wątpienia znakomity. Miał wtedy 57 lat. Zadebiutował powieścią *Korupcja* (w podtytule kryminałem heroicznym), tematycznie opowiadającą o działaniach „londyńskiego” polskiego wywiadu w wojennej Francji. Ale w tej powieści wojny jest mało, dużo więcej barów i burdeli. W zasadzie *Korupcja* doskonale mieści się w gatunku gawędy kontuszowej, choć na pewno zainfekowanej czarnym kryminałem.

Ten kryminał (mało) heroiczny stał się preludium i poligonem tematów do bardziej rozległych i bardziej nasyconych wielowątkowo późniejszych powieści. Od początku Kuśniewicz objawił się najbardziej zachodnioeuropejskim polskim pisarzem. Był eksponentem całej (no, prawie) zdobyczy awangardy literatury europejskiej. Stąd te jego gry gatunkami, poetykami i chwytami narracyjnymi: bywało, że ocierające się o autoparodię i pastisz. W moim przekonaniu, Kuśniewiczowi dla uzyskania czystości formy zaszkodził nadmiar lektur.

Obok kultury – i w tym był już bardzo polski – drugim jego żywiołem stała się historia. W retrospekcjach wielokrotnie powracał do wojen napoleońskich, oceniając je w sposób ambiwalentny – jako kulturotwórczy moment narodzin współczesnych państw narodowych, ale też jako koniec dawnej, idealizowanej wspólnoty. Kuśniewicz z wywiadach przyznawał się: „moją epoką jest oświecenie”. Sarkał, uważał się, utyskiwał i gromił, że właśnie wtedy „pomieszano ludziom języki”.

Na cały wiek XIX – aż po wybuch tej ostatniej rycerskiej wojny z huzarami i szabłami, którą historia nazwie pierwszą światową – pisarz był skłonny patrzeć jako na rozciągnięte w czasie pokłosie napoleońskiej epopei, którego przystankami były m.in. bitwa pod Solferino i rozpad Austro-Węgier. W życiu uwikłany w ideologię i, jak wielu jego rówieśników, skłonny chyba dopatrywać się w historii deterministycznego procesu, w literaturze walczył przeciwko niemu. Widział tę indywidualną niezależność osoby ludzkiej, jaka po pierwszej wojnie przestała istnieć z ogólnych względów cywilizacyjnych.

W prozie Kuśniewicza nie tyle trwa, co zakonserwowany jest tamten świat: może nawet przez tę maestrię realniejszy w smaku i w barwach od rzeczywistego. Mocno zakorzeniony w pamięci, wygenerowany z mitów i interpretacji, z okruszków notatek, strzępów fotografii i krajobrazu, urywków rozmów, świat przemienne utkany z prawdy i zmyślenia. Zalicza się tę prozę nie bez racji do nurtu ewokującego dawne światy, obejmującego zresztą zjawiska bardzo różnorodne. Na tle tego nurtu wyróżnia się autotematyzmem. Uwaga pisarza skierowana jest tyleż na rekonstrukcję przeszłości, co problematyczność tej rekonstrukcji. Proza potwierdza tezę o wszechobecności w ostatnich dekadach literackich nostalgii za pozostawionym i utracionym czasem. Gdy terażniejszość i przyszłość jest zagrożona i wypełniona strachem, ci czulsi pisarze – do nich należał Kuśniewicz – poszukują siebie i obrazów wyidealizowanego porządku w przeszłości. O atrakcyjności świata minionego decyduje historyczność zdarzeń oraz ranga uchwyconego w literackiej wizji momentu. Czas przeszły daje także możliwość zamkniętego oglądu, którego ogólny zarys jest niezmienny. Kalendarzowo to, co było, jest zamknięte na zawsze, ale jednocześnie oddziałuje na terażniejszość,

domagając się unaocznienia. Ale z przeszłości pamięć nie ocala prawie nic.

Jego powieści jako wizytówki polskiej literatury, takie swobodne i europejskie, intelektualnie pogłębione, wolne od nachalnej agitacji, powabne stylistyczne, i, co ważne, osadzone fabularnie w realiach zachodnioeuropejskich, zostały przetłumaczone na wiele języków.

Zasadniczo także w kraju stawały się wydarzeniami literackimi. Tak było już z debiutanckim „kryminałem heroicznym” *Korupcją*, który bardzo lubię, oraz tuluzańskim grubaśnym *Witrażem*. Zwłaszcza *Witraż*, najbardziej zeseizowana powieść Kuśniewicza, w której fabuła stanowi jedynie intelektualną przymówkę do wykorzystania całej erupcji intelektualnego zaplecza autora i ukazania jego biegłości narracyjnej. Tematycznie *Witraż* jest chłodną, ale i demaskatorską rejestracją wyborów między alternatywnymi ideologiami francuskiej elity w przededniu wybuchu II wojny światowej. Ta wielowątkowa i sarkastyczna powieść w moim rankingu książek A.K. lokuje się na miejscu czwartym.

Szczególnie i trwale oczarowały mnie jego kunsztowne galicyjskie prozy. Te misternie rozpisane gry powieściowe na mit i sentyment kreowały niegdysiejsze światy hreczkosiejów, Żydów, hrabiów, oficjalistów, dziwaków, oficerów żyjących w wielonarodowym cesarstwie austro-węgierskim. Przywołujące oleodrukowe oblicze Jego Majestatu Cesarza Franciszka Józefa I, z tego wizerunku kanonicznego, którego w pierwszym tomie *Przygód Dobrego Wojaka Szejka* obesrały muchy w gospodzie „U Kalicha” – jak pogodnie wyjaśnił wyjątkowy grubianin hostiński Palivec. Jego majestat Cesarz – Pan w całej swe nadziemskiej doskonałości w śnieżnobiałym generalskim mundurze, z okazałymi popadającymi w monstrialny patos bokobrodami. Sponad wysokiego, zahaftowanego złotem kołnierza i epoletów z obfitą frędzlą patrzyły rozgrzeszające wady naszego świata oczy wujaszka, mające czułą twardość niebieskiej porcelany. Ową sztafetę magiczną ewokującą: pamięć, tęsknotę wreszcie ból o chwalebnej utracie C.K Monarchii, rozpiętej od Czerniowiec poprzez Lwów, Kraków, Bratysławę, Budapeszt, Pragę, Wiedeń, Graz, Laibach, Zagrzeb, Triest Kolosvar, aż do Sarajewa.

Najlepszą jego powieścią, nie tylko w moim przekonaniu, jest zwarte arcydzieło *Lekcja mar-*



twego języka, które doczekało się przekładów na 9 języków. Tę powieść z sukcesem i ze smakiem przeniósł na ekran Janusz Majewski.

Prawie równie doskonały *Król Obojga Sycylii* miał przekłady na 11 języków.

W *Królu Obojga Sycylii* pisarz spastiszował kanon austriackiej powieści modernistycznej, przypinając nieco przyciężkie to danie literackie ingrediencjami z lżejszych gatunków: kryminału, romansu, powieści drogi. Smaczkiem na deser jest tu upleciona z niedomówień historia kazirodzkiej miłości głównego bohatera do siostry.

Sfery i *W drodze do Koryntu* są dla mnie letnie. Ani mnie nie przekonały, ani mnie nie uwiiodły.

Gorzej jest z rezonerską, taką napompowaną sloganami *Eroicą*. Już ciekawiej, mniej sztampowo, pisał o genezie faszyzmu, w tym kontekście jeszcze znakomiciej o oportunizmie francuskiej elity przed wojną i w jej trakcie w *Wirażu*, a o niemieckim przypadku nie tyle w wybitnej, co znaczącej powieści *Trzecie królestwo*. Chociaż już artystycznie mniej udanej o buncie młodzieży z roku 1968 i rozchwianiu wartości w obrastającej mieszczańskim tłuszczkiem RFN.

Gorzej jest z onirycznym i przegadany jako całość *Stanem nieważkości*, chociaż niektóre partie fabuły i opisy fascynują mnie swoim dramatyzmem i urodą stylu. Gorzej też z bardzo



osobistą, aż minoderyjną *Moją historią literatury*, z quasi- pamiętnikiem z okresu męskiego dojrzewania: *Mieszaninami obyczajowymi*. Choć niektóre partie tej książki są anegdotycznie znakomite i aluzyjne podwójnie.

Książką najmniej udaną jest ta przedostatnia: *Nawrócenie*, napisana z myślą, ażeby się czym prędzej wstrzelić w modny judofilski temat. Rekapitulując, Kuśniewicz nie zawsze skutecznie opierał się pokusom wielkiego gadulstwa.

W jego prozie dużo jest zapożyczeń, trawestacji, filiacji, cytatów oraz odniesień do klasyków francuskich: Markiza de Sade, Prousta, Céline`a, niemieckich: Tomasza Manna, Goethego, anglosaskich: Faulknera, James Joyce`a.

Moim zdaniem jednak najbliższemu Kuśniewiczowi było do ducha pisarstwa W. Somerset Maughama (1874–1965) z podobną chłodną ambiwalencją, apetytem na luksusy i niuansy, snobistycznym nadąsaniem i dążnością do elegancji formy.

Rację mieli ci krytycy, którzy określali powieści Kuśniewicza jako zimne, albowiem jego metodą pisarską był „chirurgizm literacki”. Chłodny był temperament pisarza: analityka, ironista, sceptyka, wreszcie relatywista. Jego ulubionym chwytem był gest demaskatorski, dokopywanie

się prawdziwych pobudek czynów bohaterów, zwłaszcza tych, z których oni sami nie zdają sobie sprawy.

W pierwszych latach 70. ubiegłego wieku Andrzej Kuśniewicz parokrotnie mignął mi na sobotnich bridżach u mojego wujaszka, owego ex-sanacyjnego dyplomaty. Choć tylko mignął, jednak zaistniał na całe życie. Stało się to w wujowskim obszernym mieszkaniu przy ulicy Bałuckiego na starym, zacnym Mokotowie. Wujaszek i Kuśniewicz znali się sprzed wojny, kolegowali, jako że obaj byli tymi, jak się wówczas mawiało: „bubkami z MSZ z parasolami”; ponoć połączyło ich zamiłowanie do wyścigów samochodowych i podobno rywalizacja o względy pewnej damy z artystycznych sfer.

Najbardziej wyrazistym z plejady postaci bywalców u wujaszka wydawał mi się pan rotmistrz, pomrukujący różne pikantności pod sarmackim wąsikiem, sarkający na „te podłe socjalistyczne pogody” i utykający chwalebnie po postrzale jeszcze we wrześniu 39.

Panu rotmistrzowi przytakiwał mrukliwy kawalerzysta-pułkownik uczestnik Olimpiady w Berlinie w 1936, wciąż w bardzo dobrej formie jak na te swoje lata.

Pod ścianami snuł się ktoś milczkowaty i jakiś grzywiasty, bo ten ktoś tłumaczył z litewskiego, no więc z tego tytułu wypadało mu być i ponurym, i tajemniczym.

Dalej, w drugiej linii ktoś ze świata filmu, konwersujący nie zawsze mądrze, ale zawsze ładnie w otoczeniu dwóch, trzech dam w koronkach i tiulowych szalach, chyba bez tytułów, acz z tak zwanymi koneksjami. Jedną z tych dam miała być wicemiss Polski bodaj czy nie z roku 1937?

Zdarzało się, że na Bałuckiego zaglądał Julian Wołoszynowski, ale bywał tak jakby go nie było, coś jak na zasadzie tej dorożki, która podjechała pusta i wysiadł z niej Leśmian.

Najważniejszy bywalec, sam pan Andrzej Kuśniewicz, osoba nikczemnej, wizerunkowo nie sprawdził mi się, ale na pewno miał osobowość. Przy mikrej prezencji, zachwianych proporcjach twarzy potrafił być czarującym, przykuwał uwagę, choć głos miał, powiedziałbym, chwilami wręcz irytujący, o charakterystycznej, syczącej z lekka barwie i przy jakby zwolnionej momentami jękającej artykulacji. Niski, drobniutki, lekko zgarbiony, w całości szczurkowaty. Miał bystre oczka gryzonia – jak zauważył Marian Bran-

dys – które dyscyplinowały interlokutora. Ktoś inny dopatrywał się w jego oczach podobieństwa do oczu aktora specjalizującego się w graniu mumii i potworów Petera Lorre'a. Ja tego podobieństwa nie zauważyłem. Oczy Kuśniewicza – przynajmniej kiedy ja go poznałem – były już zmęczone i mętne, to były oczy naprawdę starego człowieka, nie przejawiały niczego z demonizmu. Tokował, pisał z tematu na temat, sypał anegdotkami i bon motami. Brylował, on, sławny pisarz, niby powściągliwy, w wianuszkach dwóch lub trzech nobliwych dam-bezetek. Do jednej z tych dam zwracano się z rewerencją: pani hrabino. Wówczas tę galanterię towarzyską odbierałem jak naftalinę. Dziś ma dla mnie urok fotografii uszlachetnionej sepią.

Kuśniewicz, już wtedy był dla mnie chodzącą legendą. Przeczytałem chyba wszystko, co do tego czasu opublikował, nawet jego wiersze, które były preludem do prozy, chociaż nie jestem entuzjastą poezji z zasady. Dużo słyszałem o nim od wuja Stanisława, były też i pieprzne anegdotki. Zarówno wujaszek, jak i Kuśniewicz zachowali umysł lotny i pamięć znakomitą. Zgadzałem się z nimi oboma w jednym bez zastrzeżeń, że przemijanie znakomitych potraw i trunków, wytwornych obyczajów, galanterii dla kobiet, troskliwości o swoje zwierzęta, pamiętki, książki, wiary w słowo honoru jest bardzo nie na miejscu.

Dla mnie Kuśniewicz reprezentował jako rozmówca walory natury, powiedziałbym, rodzinno-sentymentalnej. Galileusz zaimponował mi np. tym, że bywał w tamtej Trembowli i jeszcze niżej, wzdłuż Seretu pływając, między innymi zawadził (to jego słowa) o „mój” Zubów.

Wspominał, że zdarzyło się raz, iż po zakrapianej kolacji zagrał w pokera, w restauracji hotelu Fischeniego (tego usytuowanego przy dworcu w Trembowli). Czy wtedy wygrał, czy się zgrał? Tego mi nie zdradził. On grał, pił, jadł, może nawet go miejscowa dziewczyna obsłużyła u tego Fischeniego, a ja tylko o tym słyszałem. Wymieniliśmy kilka listów, odpisywał rzeczowo i odręcznie. Wiem że rekomendował moje opowiadania do „Twórczości”. Po podmięciu reżimów pokrył go cień: nie te tematy, nie ten język były w modzie, czyli w kolejnej nowomowie: na topie. Ot, nastąpił lot w dół, jego książki, dofinansowywane przez MK, wznawiały mało przekonujące oficyny i te wznawienia tułały

się po straganach z taną książką po złotówce, dziś nawet tam ich nie uświadczysz. Wyjechał do Francji na leczenie, powrócił i wkrótce... już nie zdążył mi odpisać.

Nagradzano go wszystkimi możliwymi lauromi i splendorami, krajowymi i zagranicznymi, m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, dwukrotnie otrzymał Nagrodę Państwową, Nagrodę Polskiego Pen Clubu im. Jana Parandowskiego, Nagrodę bardzo znaczącą, bo nowojorskiej Fundacji im. Jurzykowskiego. Francuzi przyznali mu swoje najwyższe odznaczenie – Legię Honorową i jako jedyne z Polaków zaszczytli członkostwem w prestiżowej Akademii Goncourtów.

Miał drugą żonę – Annę Lechicką-Kuśniewicz (1918–2002) – satyryczkę pracującą m.in. w redakcji „Szpilek”, podczas ostatniej wojny krajowego żołnierza AK.

Przykre i bardzo bolesne, że ten wybitny pisarz i zarazem salonowy komunista polski i francuski, a przede wszystkim skrajny oportunistą i cynik, w 1960 został zarejestrowany jako kontakt poufny SB o kryptonimie „Andrzej” (IPN BU 00328/349). Tutaj posłużę się rozbudowanym cytatem: „był autorem pisanych dla SB charakterystyk m.in. Jerzego Andrzejewskiego, Ireny Jurgielewiczowej. Według oceny SB, jego donosy były konkretne, obiektywne, posiadały wartość operacyjną”.

Cóż, ten ex-dyplomata, bywalec salonów i wytwornych restauracji, causeur ześwinił się totalnie, chociaż akurat on nie musiał (bo posiadał przecież autentyczny talent pisarski, w przeciwieństwie np. do jawnego grafomana i groszowego mędrka Andrzeja Szczypiorskiego), zwłaszcza paskudnie po marcu 1968, kiedy – on na pokaz judofil – ochoczo denuncjował swoich kolegów pisarzy i dziennikarzy pochodzenia żydowskiego.

Ten laureat wielu nagród polskich i francuskich, członek Akademii Goncourtów, więc kreowany na wielkość europejską, zmarł przed 20 laty, 14 maja 1993 r.

Tadeusz Zubiński

Nasz udział w londyńskiej „Sztuce do kwadratu”, Śródach Literackich w warszawskim Domu Literatury oraz XII i XIII Światowych Dniach Poezji

Trafił do naszych rąk 2. numer londyńskiego kwartalnika w języku polskim „Sztuka do kwadratu”, redagowanego przez Fredericka Rossakowsky-Lloyda. Zawiera on na str. 46-65 formatu A4 „małą antologię” wierszy poetów polskich z kraju, Litwy i Wielkiej Brytanii w j. polskim i angielskim (z dwujęzycznymi także notami biograficznymi) przy zaangażowaniu wielu tłumaczy. Wśród autorów – z Warszawy: Juliusza Erazma Bolka, Barbary Jurkowskiej, Jarosława Klejnockiego, Miłosza Kamila Manasterskiego, Aleksandra Nawrockiego, z Wilna Marzeny Mackojć, z Londynu Adama Siemieńczyka, z Ciechanowa Stefana Żagla – region nasz reprezentują Benedykt Kozieł i piszący te słowa.

To głównie zasługa poety i antologisty Aleksandra Nawrockiego (redaktora i wydawcy w 2002 pamiętnej 3-tomowej *Poezji polskiej – antologii tysiąclecia* z naszym udziałem), który teksty wybrał i dzięki swoim kontaktom – jako organizator dorocznych (od 2001) Światowych Dni Poezji i (od 2008) Festiwalu Poezji Słowiańskiej – umożliwił pierwsze tak obszerne i dwujęzyczne zaprezentowanie poetów polskich w londyńskim periodyku. Dziękujemy za te promujące starania i ich piękny efekt!

*

Trzeba przyznać, że iście spektakularny charakter miał nasz udział w XII Światowym Dniu Poezji 17 kwietnia 2012 w warszawskim Muzeum Literatury im. A. Mickiewicza z uwzględnioną w jego programie retrospektywną prezentacją „Świętokrzyskiego Kwartalnika Literackiego” (obok koszalińskiego „Miesięcznika” pod red. Marii i Ryszarda Ulickich i wydawnictwa internetowego R. Czachorowskiego), połączoną z recytacją wierszy naszych poetów (także w j.



angielskim) w wykonaniu Ewy M. Wojtasik z interludiami Cezarego Stawskiego.

*

W ramach Śród Literackich 18 kwietnia 2012 w auli warszawskiego Domu Literatury na wieczorze autorskim Benedykta Kozieła zaprezentowane zostały nie tylko jego wiersze z tomu *Słowem w wodę*, ale też fragmenty książki Krystyny Cel o jego życiu i 30-letnim twórczym dorobku pt. *Wobec tajemnicy istnienia*. Prowadząc to spotkanie wyczuwałem, iż miał Kolega satysfakcję, bo wywiązała się ciekawa dyskusja, jaka nie zawsze towarzyszy promocjom.

Przypomnę Czytelnikom, że książka K. Cel ukazała się w serii „Portrety Literackie” OW „STON 2” pod moją redakcją. To była wówczas

druga pozycja w serii, po tomie Liliany Abraham Zubińskiej *W drodze do siebie* o życiu i twórczości Ireny Paździerz, poprzedzająca wydaną ostatnio pt. *Zobaczyć rzeczywistość... Włodzimierz Kłaczyński w rozmowie z Januszem Termerem* – wszystkie trzy omawia w tym numerze pokrótce Alicja Patey-Grabowska w dziale *ESEJE – SZKICE – RECENZJE*.

*

Tegoroczny XIII Światowy Dzień Poezji miał swój piękny epizod w Staszowie i Rytwianach. W Staszowskim Ośrodku Kultury wystąpili – przedstawiani przez Aleksandra Nawrockiego i Iwonę Roszkowski – liczni twórcy zagraniczni z Niemiec (wraz z bawarskim zespołem instrumentalno-wokalnym *d' Bänd*), Rosji (z Sergiejem Głowiukiem, redaktorem serii poetyckich antologii krajów słowiańskich *Iz wieka w wiek / Od wieku do wieku*), Wielkiej Brytanii, Kazachstanu, Jakucji. Czytały potem swe wiersze – przedstawione przeze mnie – poetki z Krakowa: Gina Jusiega i prezeska Oddziału ZLP Magdalena Węgrzynowicz-Plichta. Wreszcie przyszła kolej na grupę gospodarzy z Kielecczyny: Romualda Bielendę, Annę Błachucką (w pomysłowym dwugłosie z Ju-

liuszem Erazmem Bolkiem), Benedykta Koziela, Kazimierę Szczykutowicz, Zofię Walas. W hotelu „Rytwiany” miał miejsce biesiadny ciąg dalszy spotkania, zwrócony już bardziej na absorbujące nas w dobie jednoczącej się Europy sprawy międzynarodowej współpracy i niełatwe, przy niedostatku środków, problemy pozyskiwania dla poezji, specjalizujących się w niej, tłumaczy.

Aleksander Nawrocki docenił (również w wypowiedzi dla Radia Kielce) znakomitą organizację staszowsko-rytwiańskiego ŚDP. My dziękowaliśmy toastami za włożony trud koledze Benkowi Kozielowi i wspomagającej go wydatnie żonie Małgorzacie. Rozstawaliśmy się, pełni nowych nadziei, we wspaniałych nastrojach, obdarowani szczodłą życzliwością przez włodarzy Ziemi Staszowskiej: Andrzeja Kruzla: starostę powiatu i Romualda Garczewskiego: burmistrza miasta i gminy – niezawodnych, prawdziwych przyjaciół twórców, czego dowodem też ich wydatna pomoc w organizacji pięciu już literackich plenerów (tegoroczny podsumujemy szerzej w następnym podwójnym numerze kwartalnika).

Stanisław Nyczał
Fot. Benedykt Koziół



Uczestnicy Światowego Dnia Poezji przed klasztorem pokamedulskim w Rytwianach (13.04.2013)

Światowy Dzień Poezji w Staszowskim Ośrodku Kultury 13 kwietnia 2013



Stanisław Nyczaj (z lewej) dziękuje Siergiejowi Głowiukowi za antologię polskiej poezji *Iz wieka w wiek/Od wieku do wieku*



Od lewej: Aleksander Nawrocki, burmistrz Staszowa Romuald Garczewski, starosta staszowski Andrzej Kruzel, red. Siergiej Głowiuk



Anna Błachucka (w stroju świętokrzyskim) w poetyckim dwugłosie z Juliuszem E. Bolkiem



Poetka z Kazachstanu Tursunaj Orazbajewa (w stroju narodowym) w rozmowie z Benedyktem Koziółem Fot. Andrzej Wawrylak



Zespół d' Bänd z Bawarii



Elżbieta Wodała: *Pejzaż wiejski*



Elżbieta Wodała: *Mój Nikifor*